



ANNA EKBERG

**TAJEMNICZA
KOBIEȦ**

Świat Książki

ANNA EKBERG

TAJEMNICZA KOBIECI

Z DUŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
ELŻBIETA FRĄTCZAK-NOWOTNY


Świat Książki
wydawnictwo

To mechanizm obronny, tłumaczy sobie Helene, wpatrując się w ciemny krąg, który filiżanka po kawie zostawiła na białym laminowanym blacie biurka. To mechanizm obronny sprawia, że siedzi ze wzrokiem wbitym w tak nieistotny drobiazg w chwili, kiedy cały jej świat się wali. Zmusza się, żeby podnieść wzrok, rozgląda po komisariacie, próbuje skupić na kartce, którą dał jej policjant. „Prawa zatrzymanego” jest napisane na samej górze. Ma prawo do adwokata, ma prawo kłamać, ma prawo do jedzenia i picia. I prawo do odszkodowania w wysokości ośmiuset koron, jeśli się okaże, że została niesłusznie zatrzymana i była przetrzymywana dłużej niż dziesięć minut. Jak długo już tu jest? Na pewno dłużej niż dziesięć minut.

– Przeczytała pani? – pyta siedzący naprzeciwko policjant. Młody, chudy chłopak, tuż przed trzydziestką, z trudem wypełnia mundur w ramionach. Stojący obok starszy funkcjonariusz w szarym garniturze i białej koszuli, dotąd jeszcze się nie odezwał.

– Tak.

– I nadal nie chce pani adwokata?

– Nie chcę.

Umundurowany funkcjonariusz zerka na kolegę, który odkasłuje.

– Pani Söderberg, czy wie pani, gdzie pani jest?

Helene otwiera usta, żeby odpowiedzieć, i w tym momencie dostrzega coś za oknem. Błysk światła. Policjanci też go widzą. Starszy z nich natychmiast wstaje.

– Każcie dziennikarzom odejść od okien! – krzyczy zły.

Helene odwraca głowę, nagle znów oślepia ją światło. Podnosi obie dłonie, jakby w geście poddania. Niech dostaną to, po co tu przyszli. Zdjęcie słynnej Helene Söderberg, aresztowanej, w kajdankach, upokorzonej, skończonej.

– Zabierzcie ich stąd! – krzyczy znów starszy funkcjonariusz.

Kilku młodych policjantów wybiega z pokoju, ktoś opuszcza żaluzje. Helene jest wszystko jedno. Niech fotografują do woli.

– Pani Söderberg – zaczyna jeden z policjantów, bierze głęboki wdech, poprawia koszulę. – Obowiązują nas procedury. Musimy pobrać próbkę DNA, wziąć odciski palców. Wszystko zajmie około godziny. Rozumie mnie pani?

– Będę współpracować – odpowiada Helene.

– Następnie wskażemy pani celę, w której pozostanie pani do czasu przesłuchania przed sądem.

Policjant patrzy na nią. Czegoś od niej oczekuje? Powinna coś odpowiedzieć?

– Moim obowiązkiem jest odczytać akt oskarżenia.

Helene milczy. Policjant waha się. W końcu podejmuje decyzję, sięga do kieszeni po okulary. Nieco niechętnie. Odczytuje słowa, powoli, mechanicznie, jakby zapoznawał się z instrukcją obsługi nowej kuchenki.

– Helene Söderberg, jest pani oskarżona z paragrafu dwieście trzydzieści siedem o zabójstwo Louise Andersen.

Helene podnosi wzrok, patrzy mu w oczy. To wszystko? Jedno krótkie zdanie, kilka słów. Zabójstwo. Paragraf 237. Louise Andersen. Pozostali funkcjonariusze, ci siedzący wokół stołu oraz dwie krótko ostrzyżone policjantki stojące obok ekspresu do kawy, udają, że niczego nie słyszą. Ale w komisariacie jest cicho. Wszyscy słuchają. Gdzieś dzwoni telefon, nikt nie odbiera, nikt nie chce stracić ani minuty. Bo w tym momencie dzieje się historia. O tym dniu ludzie będą opowiadać sobie latami. Wieczorem, kiedy policjanci wrócą do domów, usiądą przy stole i opowiedzą rodzinom o wydarzeniach dnia. Dzieci będą słuchać, milczące, z wielkimi oczami. O upadku potężnej rodziny Söderbergów. O zabójstwie niewinnej Louise Andersen. Helene patrzy w oczy młodemu mężczyźnie, potem starszemu. Równie dobrze może od razu zdradzić zakończenie. Zasłużyli na to.

– Jestem winna – szepcze. Czuje, jak całe powietrze zostaje wysane z pokoju. Czas staje w miejscu. – Zabiłam ją – mówi. – Zabiłam Louise Andersen.

Dwa tygodnie wcześniej

Louise budzi się. Każdego ranka z tym samym widokiem przed oczami. Wciąż jeszcze się do niego nie przyzwyczaiła, ale już wie, że nie potrafiłaby bez niego żyć. Morze. Na wyciągnięcie ręki. Okno w kształcie bulaja. Daje złudzenie, jakby była na morzu. Najchętniej zamieszkałby na łodzi, na wodzie. Joachim często żartuje sobie z tego, ale ona się tym nie przejmuje. Sama wie, że to niedorzeczność, bo przecież za każdym razem, kiedy przeprowia się z Christiansø na Bornholm, dostaje choroby morskiej. A jednak wybrała życie nad wodą. Łóżko ustawiła tak, że pierwsze co widzi, kiedy rano otwiera oczy, to morze. Zawsze miała przecucie, że pewnego dnia ktoś przyplynie i zmieni jej życie. Może to głupie, ale zawsze była o tym przekonana.

Dzisiaj morze jest łagodne, i ciemnoniebieskie, takie, jak bywa tylko u szczytu lata, bezchmurne. Słyszy głosy na zewnątrz. Turyści wylegli już na ulice. Przygląda się kobiecie z wózkiem, niedaleko na ławce siedzi para starszych ludzi. Zawsze tam siedzą, a ona zawsze się im przygląda. Dwoje z dziewięćdziesięciu jeden stałych mieszkańców okolicznych wysepek. Czy pewnego dnia ona i Joachim też będą tak siedzieć? Romantyczna myśl zostaje z nią na kilka sekund. Do chwili, kiedy nagle spostrzega mężczyznę. Wysoki, w średnim wieku, w garniturze. Nie należy do stałych mieszkańców, pewno jeden z wielu tysięcy turystów, którzy przybywają tu każdego lata. Stoi obok kawiarnianego tarasu. Niespokojny, podenerwowany, jakby czegoś szukał. A może jest pijany? Louise zamyka na chwilę oczy i wtedy słyszy charakterystyczny dźwięk. Czy to właśnie on ją obudził? Dźwięk, którego jej tak bardzo brakowało?

Odsuwa kołdrę i staje na podłodze. Czuje pod stopami rozgrzane słońcem drewniane deski. Wyślizguje się z sypialni, wychodzi na korytarz i podchodzi do zamkniętych drzwi. Stoi chwilę, czuje, jak jej twarz rozpromienia uśmiech. Dawno nieużywane mięśnie znów pracują. Joachim pisze. Naprawdę pisze. I nie tak jak ostatnio: urywanie, niecierpliwie. Z zewnątrz brzmiało to, jakby walczył z klawiaturą, a kiedy wychodził pokoju, wyglądał jakby wracał z wojny – zapuchnięta twarz, czerwona, spocona. Teraz dźwięki brzmią inaczej. Są harmonijne, palce poruszają się po klawiszach swobodnie, z potrzeby tworzenia.

Louise przypomina sobie ich pierwsze spotkanie. To jedno z jej ulubionych wspomnień. Joachim pisał wtedy, jak gdyby cały świat był jego, szturmem wtargnął do jej życia. Pewnego dnia czytał swoje wiersze w wypełnionej ludźmi kawiarni. Ona była grubo po trzydziestce, on był starszy od niej o dziesięć lat – i dobre dziesięć centymetrów wyższy. Pamięta, jak emanował pewnością siebie,

pamięta jego gęste siwe włosy i sposób, w jaki patrzył na słuchaczy, zerkał na nich znad tanich okularów. Poczula się oszołomiona, pragnął jej, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Miała uczucie, że jest go za dużo – nadal czasem to czuje, chociaż teraz już wie, że Joachim właśnie tak ukrywa niepewność i wrażliwość.

Dotyka ostrożnie klamki, naciska ją, otwiera drzwi i wchodzi do gabinetu. Joachim nie odwraca się, pisze dalej. To dobrze, Louise nie chce, żeby przerywał. Do tej pory praca szła mu z oporami. Najpierw zaczął pisać nową powieść, lecz szybko stracił ochotę. Nigdy dotąd coś takiego mu się nie zdarzyło, zawsze mógł pisać. Ale sytuacja się powtórzyła. Jakby nagle stał się impotentem, a nawet gorzej, tłumaczył jej. Wówczas pomyślała, że impotentem na szczęście na pewno nie jest. Wtedy jednak nie wiedziała, że sytuacja jest tak poważna. Joachim toczył swoją walkę, podczas gdy ona borykała się z problemami z kawiarnią. Nie przewidziała, ile pracy wymaga prowadzenie lokalu. Nie była już jedną z wielu zatrudnionych, mających po prostu stawiać się na określoną godzinę. Musiała uczyć się wszystkiego od początku, uczyć się być czymś szefem, chociaż nadal się dziwiła, że teraz to ona podejmuje decyzje. W końcu jednak zapanował spokój, także dlatego, że zatrudniła Linę, która okazała się nieoceniona. Energiczna, ambitna, odpowiedzialna. Właśnie dzięki niej Louise może sobie od czasu do czasu pozwolić na wolny dzień, jak dzisiaj. Cieszy się, że Joachim znów pracuje. Nagle dźwięk klawiatury milknie, Joachim odwraca się, patrzy na nią znad okularów, jak zwykle, kiedy ktoś przerywa mu pracę.

– Przeszkadzam? – Louise uśmiecha się. – Nie chciałam.

On wstaje, robi dwa kroki i już jest przy niej. Stoi chwilę, przygląda się jej, po czym kładzie dłonie na jej biodrach. Lekki, posuwisty ruch. Całuje ją, jedna ręka wędruje z biodra na kark, łagodny uchwyt zostaje zastąpiony zdecydowanie mocniejszym. Przyciska ją do ściany, podnosi jej koszulę nocną. Louise zsuwa majtki, uwalnia się z nich, on jedną ręką rozpiną spodnie, drugą przytrzymuje jej kark i całuje ją. Wchodzi w nią. Jej ciało odbiera jego pragnienie, przyjmuje go, chłonie wszystkimi zmysłami. Louise czuje na sobie jego spojrzenie, to ono ją tworzy.

Przez krótką drżącą chwilę istnieje tylko w nim. Taka, jaką on ją widzi. Zamyka oczy, słyszy, jak Joachim jęczy, coraz głośniejsze, coraz bardziej schrypnięte. Dochodzi. Louise dotyka dłońmi jego pośladków, czuje, jak się napinają, a potem rozluźniają.

Słyszysz wszystko, widzisz wszystko, czujesz wszystko. Ale jakby gdzieś z oddali. Z miejsca, z którego trudno jej powrócić.

Po chwili znów jest z powrotem. Joachim obejmuje ją.

– Chce mi się siusiu – szepcze Louise, a on śmieje się i całuje ją w czoło. Louise zna go już na tyle, że wie, że chce wrócić do pracy.

Kiedy wychodzi na korytarz, słyszy, jak Lina woła z kuchni. Pyta, czy któraś

z nowych dziewczyn ma na imię Helene.

– Co takiego?

– Bjørk nie przysłała, a tu jest jakiś mężczyzna, który pyta o jakąś Helene.

*

Louise ubiera się i w duchu złorzeczy Bjørk. Będzie musiała ją zwolnić. Dziewczyna nie przychodzi do pracy, przez nią Louise straci dzisiaj wolny dzień. Przykro jej też z powodu Liny, która na pewno wolałaby pójść do wędzarni po ryby, a przy okazji poflirtować z robotnikami sezonowymi spoza wyspy, albo po prostu usiąść z kawą przy komputerze i wejść na Facebook. Przecież takich rzeczy nie będzie robić przy szefowej. Ale nie tylko myśl o straconym wolnym dniu irytuje Louise. Nie ma siły, by wejść do rozgrzanej kawiarni, nakryć stoliki, powkladać nowe świece do świeczników, przygotować lokal do otwarcia.

Mimo wczesnej godziny na zewnątrz jest już ciepło. Louise stoi w niewielkiej, ale dobrze zorganizowanej kuchni i przygotowuje farsz. Obok leży drobno pokrojony fenkuł, Louise musi jeszcze iść na taras, gdzie w donicach rosną zioła. Estragon, koperek, anyżek, pietruszka. Dopracowanie przepisu zajęło jej trochę czasu, ale farsz stał się specjalnością lokalu. I chociaż tak naprawdę powinna dzisiaj mieć wolne, to musi przyznać, że lubi stać w kuchni i przygotowywać jedzenie. Wyprawa do wędzarni wcześniej rano, jeszcze przed pierwszymi turystami, też sprawiła jej przyjemność. Leniwa mucha bzyczy na szprosowym oknie nad zlewem. Louise ociera pot z czoła, wyciera ręce w fartuch i otwiera okno, żeby wypuścić muchę. Przygląda się swojemu odbiciu w szybie. Jasne włosy związała z tyłu, wymaga tego od wszystkich dziewcząt pracujących w kuchni. Stoi w oknie i napawa się chłodną bryzą, przygląda się musze, która, jak tylko Louise otworzyła okno, natychmiast przestała bzyścić. Przysiadła na parapecie, porusza skrzydłami, w górę, w dół, ale nie odlatuje.

Louise wygląda przez okno i przypomina sobie, jak stała tam wtedy, dokładnie w tym miejscu. Wtedy wszystko jeszcze było możliwe. O tym teraz myśli. Mogła zrobić wszystko, na co miała ochotę, ruszyć w świat. Co sprawiło, że skończyła w tym miejscu? Przypadek czy los? Nie potrafi powiedzieć, ale nie może przestać się dziwić, że sprawy przybrały taki obrót. Zobaczyła ogłoszenie w porcie w Rønne. Niedawno tu przybyła i miała po prostu ochotę na coś nowego, na coś, co nie wiązałoby się ze zbyt wieloma zobowiązaniami. „Potrzeby pracownik na okres letni do małej sympatycznej kawiarni na Christiansø. Sumienny i zrównoważony, dobry humor pożądaný, podobnie jak miłe nastawienie do klientów”. Tak było napisane w ogłoszeniu, Louise nadal pamięta niemal każde słowo, bo później często wykorzystywała ten tekst, kiedy sama dawała podobne ogłoszenia. Niewiele myśląc, zgłosiła się. Praca wydawała się miła. Zyska czas, żeby zastanowić się co dalej. Ale została, zamieniając tymczasowość w coś stałego. *If it works, why fix it?*

Tak podobno odpowiedział kiedyś Tom Jones na pytanie dziennikarza, dlaczego na okrągło śpiewa swoje stare przeboje. Jeśli coś działa, po co to zmieniać?

– Przygotowałam już stoliki, otwieramy? – pyta Lina.

Louise spogląda na zegarek. Mają jeszcze czas.

– Zaczekajmy dziesięć minut, możesz dokończyć sałatę.

Pracują w milczeniu, jak to się zwykle dzieje, kiedy ludzie dobrze się rozumieją. Tak było z Beate, poprzednią właścicielką. Louise nie wiedziała nic o pracy w restauracji. Na początku czuła się nieco zagubiona, o wszystko musiała pytać. Na szczęście Beate zawsze chętnie udzielała jej odpowiedzi, i szybko zaczęła powierzać jej coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Louise nie planowała zostać właścicielką kawiarni, ale Beate dostrzegła w niej coś, o istnieniu czego ona sama nie wiedziała. Podobno miała smykałkę do interesów, potrafiła zarządzać ludźmi. Beate była właścicielką niewielkiego domku na obrzeżach Gudhjem, to był jej dom rodzinny, więc mieszkanie nad kawiarnią stało puste. Przez całe lato Louise wynajmowała pokój w pobliskiej gospodzie, co zresztą sporo ją kosztowało. Kiedy sezon się skończył, Beate zaproponowała, żebywprowadziła się do mieszkania nad kawiarnią. Jako jedyna z czwórki personelu miała pracować w kawiarni na stałe. Mieszkanie nie było duże, ale Louise natychmiast je pokochała. No i czynsz nie był wygórowany.

W ciągu pierwszego roku musiała przyzwycząić się do jesieni i zimy na wyspie. Do ciemności, chłodu, powolnego upływu czasu, nawet morze pachniało wtedy inaczej. O tej porze roku Christiansø i jej młodszą siostrę Fredriksø zamieszkiwali ludzie inni niż ci, których obsługiwała latem. Teraz wszyscy mieli znacznie więcej czasu, inne przyzwyczajenia, niektórzy goście przesiadywali godzinami nad filiżanką kawy i gazetą. Odebrawszy pierwszą wypłatę, Louise stwierdziła, że na wyspie płaci się niewielki podatek. Prawie cała suma trafiła do niej, trzydzieści procent, które zwykle zabierała gmina, zostawało w jej kieszeni, ponieważ wyspy nie podlegały władzom komunalnym. Jako historyczna część dawnego systemu obronnego Danii wyspy w kwestii administracyjnej podlegały bezpośrednio Ministerstwu Obrony, które wymagało, żeby były zamieszkane, inaczej mogły zostać napadnięte przez Rosjan, tłumaczono Louise. Jeśli rości się prawo do jakiegoś terenu, trzeba zadbać o jego zaludnienie. Konsekwencją tego był mały podatek. Żeby przyciągnąć dostatecznie dużo Duńczyków w celu odstraszenia Rosjan.

– Puka do drzwi – głos Liny zakłóca myśli Louise.

– Kto?

– Ten facet. Ten, który pyta o Helene. Mam go wpuścić? Możemy już otwierać?

Białe stoliki lśnią w słońcu, ale tylko przez chwilę, bo Louise natychmiast nakrywa je obrusami. Greckie kolory, intensywny błękit i biel, uwielbia tę kombinację w połączeniu z czerwienią donic, w których hoduje zioła. Donice, dzieło miejscowego garncarza, odgradzają taras od ulicy. Teraz kwitnie oregano, rozsiewając wokół zapach Włoch. Louise wkłada drobne gałązki ziół do kieliszków do wódki i ustawia na stolikach. Nigdy nie stawia kwiatów, zawsze zioła. Latem taras stanowi najważniejszą część lokalu. Ulice są pełne opalonych turystów, którzy zwykle nie mają pojęcia, jak silnie opala słońce na wyspach. Ma to coś wspólnego z morzem i kątem, po jakim woda odbija promienie, ktoś próbował jej to kiedyś tłumaczyć. Tak czy inaczej, Louise zawsze używa olejku do opalania, czasem nawet jesienią. Podnosi głowę i spogląda na mężczyznę.

– Helene! – Mężczyzna mówi tak głośno, że niemal krzyczy.

Louise zerka na niego. Wygląda sympatycznie, ma na sobie jasny, dobrze skrojony garnitur, ciemne włosy. Louise odwraca się i wchodzi do środka, uśmiecha się do Joachima, który zdążył już zejść na dół. Siedzi i je, przed nim na blacie leży sterta papierów.

– Posłuchaj tego – mówi. – Masz chwilę? Już otwieracie?

– Za pięć minut.

– No więc, tytuł powieści to *Droga wyjścia*. A zaczyna się tak...

Joachim przerzuca leżące luzem kartki, bałagan to dobry znak. Joachim pisze szybko, szybko i dużo. Odchrząkuje i czyta:

– „Zapamięta psa. Stał na końcu stromej drogi, która prowadziła do szkoły. Każdego ranka bała się, że będzie na nią czekać. Inne dzieci nie bały się go tak bardzo jak ona, zresztą pies czekał tylko na nią. Tak więc w wieku sześciu lat wykształciła swój pierwszy mechanizm obronny, strategię, która później miała okazać się niezwykle przydatna...” – urywa i zerka znad okularów na Louise.

– Co? Czytaj dale! Co było dalej?

– „Schyliła się, powoli, nawet na chwilę nie spuszczać wzroku z psa, wzięła do ręki kamień, największy, jaki była w stanie znaleźć, i ruszyła w stronę bestii...” – Joachim ponownie urywa. – Tak zaczyna się powieść – mówi.

– O czym jest?

– O niej. O jej miłości do mężczyzny, którego nie może mieć.

– Ale kończy się dobrze?

– Oczywiście, że nie. – Joachim się uśmiecha. – Wielka miłość nie może skończyć się dobrze. – Patrzy na nią i dodaje: – W literaturze.

Milknie i wtedy Louise słyszy, jak dziwny mężczyzna na zewnątrz coś woła i puka w szybę.

– Helene!

Powtarza imię kilka razy. Louise wstaje, wygląda zaintrygowana. Mężczyzna stoi obok drzwi, puka w szybę.

– To jakiś Szwed? – pyta Joachim.

– Chyba nie – odpowiada Louise, próbując wyrobić sobie zdanie o mężczyźnie. Nie wygląda na takiego, którzy przychodzą się awanturować. Nie sprawia wrażenia pijanego, jest schludny, gładko ogolony.

Mężczyzna uderza w szybę, tym razem mocniej.

– Porozmawiam z nim – stwierdza Joachim. Wstaje, przemierza pustą kawiarnię i otwiera drzwi.

– Helene! – Mężczyzna mija Joachima i idzie dalej.

– Zaraz, zaraz! – Joachim chwyta go za rękę, próbuje zatrzymać. Nagle Louise uświadamia sobie, że mężczyzna patrzy na nią i kieruje się w jej stronę.

– Helene! – powtarza. – To ja!

Jest wysoki, szeroki w ramionach, w głębi duszy Louise musi przyznać, że jest przystojny. Ma gęste, błyszczące włosy, grzywka opada mu lekką falą na oczy, ale nie zakrywa ich. Przeciwnie, nawet je podkreśla. Oczy ma zielone, jasne.

– Helene – powtarza cicho. Wzburzony bierze głęboki oddech. Stoi i patrzy na nią.

– Mam wrażenie, że coś ci się pomyliło, przyjacielu – odzywa się Joachim władcym tonem. Zwykle kiedy mówi, ludzie go słuchają, ale mężczyzna go ignoruje, podchodzi bliżej.

– Helene, to ja.

Joachim staje mu na drodze, mężczyzna popycha go, lekko, po prostu wykonuje ruch ręką, jednak na tyle silny, że Joachim na moment traci równowagę. Przewraca krzesło, filiżanka spada na podłogę, rozbija się. Lina podbiega do nich, chce pomóc Joachimowi wstać. Louise rozgląda się zdezorientowana, nie wie, co się dzieje.

– Helene!

Louise cofa się i wtedy mężczyzna próbuje ją chwycić. Łapie ją za lewy nadgarstek.

– Puść mnie.

– Nie poznajesz mnie? To ja, Edmund. Co się z tobą dzieje?

– Puść mnie! – Louise podnosi głos.

– Dostyc tego! Puść ją! – mówi Joachim i chwyta mężczyznę za rękę. To jednak jeszcze bardziej go prowokuje. Znowu krzyczy, Louise słyszy w jego głosie desperację i złość.

Nie sprawia wrażenia zagniewanego czy niebezpiecznego, raczej

nieszczęśliwego. Patrzy na Louise, tylko na nią, w jego oczach pojawiają się łzy.

– Helene – powtarza po raz kolejny. – Jesteś moją żoną, Helene.

– Coś z tobą nie tak, przyjacielu – mówi Joachim i ciągnie mężczyznę w stronę drzwi. – Lina! – woła. – Idź do wędzarni i poproś, żeby przyszli tu i nam pomogli.

– To ja, twój mąż, nie poznajesz mnie? Helene.

Ostatnie słowo sprawia, że Louise się cofa, jakby chciała uniknąć ciosu, i traci równowagę.

Joachim nigdy wcześniej nie widział Louise tak wzburzonej. Pomaga jej wstać.

– Dobrze się czujesz?

Nie może nawiązać z nią kontaktu. Gdzieś z tyłu słyszy głos jednego z chłopaków z wędzarni:

– Wyluzuj, facet! Ona cię nie zna.

Joachim odwraca się, próbuje spojrzeć na sytuację z dystansu. Chłopak woła chyba nieco za głośno. Ale okazuje się skuteczny. Na wyspie nie ma policji, więc kiedy zapowiada się awantura, miejscowi muszą pomagać sobie nawzajem. Mężczyzna nieruchomieje. Rozgląda się nerwowo, niepewny siebie. Jakby dopiero teraz uświadomił sobie, do czego doprowadził. Czterech pracowników wędzarni razem z dwoma właścicielami trzyma go mocno, podczas gdy turyści przyglądają się całemu zajściu.

– Nie puszczaj go – odzywa się jeden ze starszych chłopaków. Z doświadczenia wie, że jeśli obezwładni się faceta, to trzeba trzymać go aż do przyjazdu policji.

Joachim zerka na Louise. Nie jest pewien, ale przez chwilę, kiedy mężczyzna wszedł do kawiarni, miał wrażenie, że Louise go zna. Joachim obejmuje ją i tuli do siebie.

– Sytuacja jest opanowana – uspokaja ją.

– Ale czego on ode mnie chce?

– Pewnie jest chory, zaraz się uspokoi.

– Nie chcę go tu widzieć.

– Uspokoi się i dojdzie do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli sobie stąd pójdzie.

– Chcę, żeby natychmiast stąd wyszedł! Teraz.

Joachim patrzy na nią zdziwiony. Dlaczego Louise drży, dlaczego łamie się jej głos? Nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. Louise. Jego piękna kobieta. Chyba nigdy nie zrozumie do końca, jak to się stało, że wybrała właśnie jego. Wie, co prawda, że cieszy się powodzeniem u kobiet, ale nigdy nie traktował tego poważnie. Nie traktował siebie poważnie. Pomysł, że ponieważ pisze, to zapewne jest szczególnie wrażliwy, uważa za żart. Ludzie zachowują się czasem, jakby był wyrocznią. Ale Louise jest inna. Nie traktuje go aż tak poważnie. Nie boi się go. Natomiast wyraźnie boi się mężczyzny, którego chłopcy z wędzarni nadal trzymają pod rękę. Może nie tyle boi, ile jest zaniepokojona, i nie jest w stanie tego ukryć.

Mężczyzna jest wyraźnie niezadowolony, walczy, żeby się wyswobodzić. Krzyczy. Gdyby tylko mogli go uciszyć. Jest silny, wysportowany. Jeden z chłopaków wykręca mu ręce i przygniata do ziemi, próbując go unieruchomić, po czym zdejmuje pasek i okręca nim nadgarstki mężczyzny.

– Już zawiadomiłam policję – oznajmia Lina. Stoi po drugiej stronie baru, gotowa zabarykadować się w kuchni, gdyby zaszła taka potrzeba.

Policja. Joachim wzdycha. Może niepotrzebnie ją wezwali? A może jednak policja będzie w stanie pomóc mężczyźnie, który zresztą już się uspokoił. Jego oczy nie są już rozbiegane, tylko smutne, jakby się poddał, choć nadal przygląda się Louise w jakiś dziwny, nieprzyjemny sposób. Joachim też to czuje. Komisariat policji znajduje się w Rønne. Wprawdzie łódź policyjna jest szybka, szybsza niż prom, ale i tak minie trochę czasu, zanim dopłyne na miejsce.

Muszą coś z nim zrobić, jakoś się nim zająć, może spróbować przemówić mu do rozsądku. Najważniejsze jednak, żeby Louise nie musiała dłużej go oglądać.

– Lina, zostaniesz tu i poczekaasz na przybycie policji? Pójdę do kuchni z Louise, potrzebuje spokoju.

Louise wzdyga się, jakby jego słowa wyrwały ją z letargu.

– Nie, ja jestem za wszystko odpowiedzialna, nigdzie nie pójdę, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

– Chodź, proszę. – Joachim próbuje pchnąć ją łagodnie w stronę kuchni, ale Louise się opiera.

– To mój lokal, ja za niego odpowiadam – powtarza spokojnie.

Joachim obserwuje ją, widzi, jak ze sobą walczy, jak stara się ocenić sytuację i podjąć odpowiednią decyzję. Wyzwała się z jego objęć, bierze głęboki oddech. Znów jest skupiona, gotowa do działania. Zaczyna sprzątać.

– Zaprowadźcie go do kuchni. Dajcie mu szklankę wody. Możecie zostać tam z nim do przybycia policji?

– Oczywiście – mówi najstarszy z mężczyzn i prostuje się, dumny, że udało mu się ochronić Louise przed szaleńcem.

Nieznajomy najwyraźniej się poddał. Ciągłe wpatruje się w Louise pełnym podziwu wzrokiem, ale nie stawia oporu i spokojnie pozwala wyprowadzić się z lokalu. Louise nie zwraca na niego uwagi, skupia się wyłącznie na gościach, którzy powoli zapelniają lokal. To jedno z nielicznych miejsc na wyspie, gdzie można zaspokoić głód. Joachim podziwia Louise i coraz bardziej ją kocha.

– Przykro mi z powodu tego zajścia – mówi Louise. – Proszę, usiądźcie, zaraz wszystko posprzątam.

Joachim krąży między kuchnią a kawiarnią, chciałby pomóc, ale sytuacja jest już pod kontrolą. Przybywają policjanci, dwóch funkcjonariuszy – jeden młody, wysportowany. Joachim czuje do niego instynktowną niechęć. Mężczyzna jest ogolony na łyso, ma tatuaże. Jeden z tych, co to równie dobrze mógł skończyć po

drugiej stronie. Starszy sprawia sympatyczniejsze wrażenie. Witają się, podają ręce, przedstawiają się. Joachim nie dosłyszał nazwiska tego starszego. Kofoed coś tam? Jak wielu tu na wyspie.

– Jest tam – mówi Joachim i daje znać ręką, żeby poszli za nim. Policjanci patrzą zdziwieni na gości, którzy spokojnie siedzą przy stolikach. Nie wygląda to na sprawę dla policji.

– Przez telefon odnieśliśmy wrażenie, że wydarzyło się coś niepokojącego – mówi ten młodszy.

– Tak, wiem. – Joachim rozkłada ręce w przepaszającym geście, patrzy na Linę, która wezwała policję.

– Lina zareagowała chyba nieco przesadnie.

– Jak wygląda sytuacja?

– Facet się uspokoił. Ale coś jest z nim nie tak. Może jest pijany. Albo chory.

– Czego chciał? Coś go oburzyło? Rachunek? Obsługa?

– Nie, wszedł tu i prawdopodobnie pomylił moją dziewczynę z kimś innym.

Joachim prowadzi policjantów do kuchni, wskazuje mężczyznę, który spokojnie siedzi na taborecie. Rozgląda się za Louise.

– Gdzie jest Louise? – pyta.

Lina pokazuje na drzwi prowadzące na klatkę od podwórza.

– Poszła na chwilę na górę. Miała coś przynieść.

Joachim zerka na funkcjonariuszy.

– Powiem jej, że już jesteście – rzuca.

*

Louise siedzi na łóżku. Obejmuje rękami podkulone kolana. Oparła o nie brodę i wygląda przez swoje ukochane okrągłe okienko. Nadal jest roztrzęsiona. Joachim siada obok niej, kładzie rękę na jej plecach, a ona opiera głowę o jego klatkę piersiową, płacze.

– Przestraszyłam się.

– Doskonale cię rozumiem, ale już po wszystkim.

– To było takie niespodziewane. To, co on mówił.

– Już jest spokojny, poza tym przyjechała policja. Zabiorą go, potrzebuje pomocy.

– Ten człowiek ma coś nie tak z głową.

– Może przedawkował leki? Słyszy się o takich przypadkach. Kiedy ktoś zapomina wziąć lek albo bierze niewłaściwą dawkę. Zejdź na dół, policja chce porozmawiać z tobą, zanim go wezmą.

Louise kiwa głową, wyciera oczy i wstaje z łóżka. Już prawie nie widać, że płakała. Jest cholernie piękna. Taka elegancka. Góruje nad nim pod każdym

względem. Może właśnie dlatego nie był w stanie zabrać się do pracy? Wiele razy o tym myślał. O tym, że pisarzowi nie może być za dobrze. To banał, ale tak chyba właśnie jest. Hemingway, Blixen, wszyscy wielcy. Nieszczęśliwa miłość to jedyne paliwo, które może wykrzesać coś z pisarza. Joachim cierpiał, nie był w stanie napisać jednego sensownego zdania, cierpiał do tego stopnia, że nawet się zastanawiał, czy nie poświęcić ich miłości. Odpędza od siebie takie myśli. Bzdura. Oczywiście, że można pisać, mając u boku ukochaną osobę.

W kuchni panuje spokój. Jeden z policjantów rozmawia przez telefon, w drugiej ręce coś trzyma. Zdjęcie? Drugi mówi coś cicho do mężczyzny, który spokojnie odpowiada na pytania. Joachim nie słyszy, co dokładnie mówią, przygląda się scenie zdziwiony. Nie tego się spodziewał. Louise zatrzymuje się w drzwiach, patrzy uważnie na policjantów.

– Co tu się dzieje?

– Musimy poprosić panią o udanie się z nami do komisariatu w Rønne.

Musimy coś wyjaśnić.

– Jak to wyjaśnić? – pyta Joachim i robi krok do przodu.

– Musimy spokojnie o wszystkim porozmawiać.

– O czym?

– Dla porządku. Żeby się zorientować, o co tak naprawdę chodzi w całej tej historii.

Joachim patrzy na Louise, która stoi i zaciska usta. Kręci głową. Ale jedno spojrzenie na policjantów wystarcza, żeby uświadomiła sobie, że nie żartują i że jej opór na nic się nie zda. Joachim wzdycha, znów spogląda na Louise. Ciągnie ją za sobą do kąta kuchni, widzi, jak obcy mężczyzna patrzy na nią tęsknie. Drażni go to. Nawet jeśli facet ma nie po kolei w głowie.

– Musimy z nimi pojechać – mówi do Louise.

– Dlaczego?

– Nie wiem – wzrusza ramionami. – Nie sędzę, żeby to było coś ważnego.

Pewno muszą sporządzić raport.

– Dlaczego traktują go poważnie? Facet jest chory, a ja tracę czas.

– Chodź. Nie ma sensu się im przeciwstawiać. To nie potrwa długo. Lina i ta druga dziewczyna zajmą się tu wszystkim.

– Maria.

– Co?

– Ta druga dziewczyna ma na imię Maria. Czy ty mnie nigdy nie słuchasz?

– Maria, tak oczywiście, przepraszam.

Louise wzrusza ramionami, wygląda na zmęczoną, kiwa głową, idzie po kurtkę. I nagle Joachim czuje to wyraźnie: Louise się zmieniła. Nie potrafi powiedzieć, na czym to polega, ale nie ma wątpliwości.

Dlaczego tak się przestraszyła? Przygląda się mężczyźnie, któremu policjanci pomagają wejść na pokład łodzi. Widzi zdezorientowanego nieszczęśnika w tłumie radosnych turystów w porcie w Gudhjem. Samochód Joachima stoi niedaleko portu w garażu. Wynajmują go od jednego z mieszkańców. Zawiasy piszczą, kiedy Joachim otwiera bramę. Wchodzi szybko do środka, wsiada do starego pomarańczowego volva, którego chyba nigdy nie myje ani nie sprząta, i wyjeżdża tyłem z garażu. Louise czeka na zewnątrz. Rzadko nim jeździ, w ogóle rzadko przeprowia się na Bornholm, zamawia towary wieczorem, następnego dnia przyplływają stateczkiem. To Joachim czuje od czasu do czasu nieodpartą chęć udania się na największą wyspę w okolicy, albo na stały ląd, z jakąś prelekcją. Wtedy płynie do Rønne, przeprowia się promem i rusza na objazd bibliotek, klubów czytelniczych, stowarzyszeń. Jednak od ostatniej takiej podróży minęło sporo czasu.

Joachim otwiera drzwi samochodu, Louise wsiada, każdy ruch dużo ją kosztuje. Czuje się dziwnie ciężka. W świetle dziennym widać wyraźnie kurz na przedniej szybie. Joachim próbuje usunąć go płynem do spryskiwania szyb, ale po kilku kroplach płyn się kończy. Rozmazany na szybie kurz tylko pogarsza widoczność. Louise czuje zdenerwowanie Joachima. To takie dla niego typowe. Praktyczne rzeczy wyprowadzają go z równowagi. Finanse, sprzątanie, gotowanie, brak płynu w spryskiwaczu.

– To naprawdę konieczne? – pyta Louise.

Jest zła, nie oczekuje odpowiedzi.

– Wiem, że to irytujące – mamrocze Joachim pod nosem i dodaje, że nigdy nie był w żadnym komisariacie, więc może to będzie ciekawe doświadczenie, które kiedyś wykorzysta w swojej powieści.

– Nie mógłbyś obejrzeć sobie jakiegoś komisariatu w internecie? Wtedy nie musielibyśmy jechać.

– Internet nie wystarcza, jeśli pisze się książkę – mówi Joachim i tłumaczy jej, jak ważne są szczegóły. – Bo w powieści, jak w życiu, diabeł tkwi w szczegółach.

Louise go nie słucha, nie patrzy na krajobraz za szybą samochodu, widzi jedynie zmieniające się kolory. Zastanawia się, kiedy ostatni raz była na Bornholmie. Spokojne życie na Christiansø bardzo jej odpowiada. Mikroświat, w którym jest wszystko. Bierze głęboki wdech, próbuje się odprężyć. Opuścić sobie. Jest spięta. Napięcie towarzyszy jej od chwili, gdy obcy mężczyzna wszedł

przez drzwi kawiarni. Dlaczego tak na nią działa?

Docierają do komisariatu, Joachim parkuje przed nieciekawym piętrowym budynkiem. Najbrzydsze miejsce na całym Bornholmie, myśli w duchu Louise. Po fasadzie wiją się bluszcz i winorośl, próbując ukryć brzydotę budynku, ale też nie jest to miejsce, gdzie rozmawia się o pięknie. Przeciwnie, tutaj na porządku dziennym jest przemoc, pijaństwo, ludzkie nieszczęścia. Radiowóz czeka już przed wejściem. Louise i Joachim siedzą chwilę w samochodzie, patrzą, jak funkcjonariusze wchodzą z mężczyzną do komisariatu. Joachim kładzie rękę na udzie Louise i zapewnia ją, że zaraz będzie po wszystkim.

*

Tuż za drzwiami rozciąga się wysoka lada recepcyjna. Siedzi za nią młody mężczyzna. Ma postawione na żel włosy. Patrzy na nich pytającym wzrokiem, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, do Louise i Joachima podchodzi dwoje funkcjonariuszy. Jeden to ten młody, który przyjechał na wyspę po intruza. Morten Rask, przedstawia się ponownie, jakby zakładał, że mają kłopoty z pamięcią. Drugi policjant to kobieta. Ma gładkie, brązowe, równo ostrzyżone włosy i krzywy nos, na który trudno nie patrzeć. Podaje im rękę, najpierw Joachimowi, potem Louise.

– Iben – przedstawia się. – Chciałabym z wami porozmawiać, z każdym z osobna – mówi. – Proszę ze mną – zwraca się do Joachima.

Joachim i Louise wymieniają spojrzenia.

– Zostanę z nią – oznajmia Joachim.

– Mój kolega się nią zajmie.

– Idź – mówi Louise. – Miejmy to jak najszybciej za sobą i wracajmy do domu.

Funkcjonariuszka stoi na korytarzu i czeka, drzwi do jednego z pokoi są otwarte, widać, że się niecierpliwi. Joachim wzdycha, wzrusza ramionami, dotyka ręką policzka Louise i uśmiecha się do niej, po czym odwraca się i idzie przed siebie. Drzwi zamykają się, Louise patrzy na pusty korytarz. Sześć par drzwi, trzy po każdej stronie. Zastanawia się, co ją teraz czeka. Morten rusza pierwszy, idzie energicznie, długimi krokami. Zatrzymuje się przed jednymi drzwiami. Duże białe litery: SALA PRZESŁUCHAŃ 2. Sala przesłuchań. Wielkie słowo. Ale pewno tylko to pomieszczenie jest wolne. Louise zastanawia się, czy dziwny mężczyzna siedzi w sali przesłuchań 1.

Wchodzi do pokoju, który okazuje się większy, niż się spodziewała. Dwa duże okna z szerokimi parapetami wychodzą na północ, w pokoju jest dość ciemno. Na środku stoją stół i dwa krzesła. Poza tym pokój jest pusty. Morten odsuwa krzesło, wskazuje na nie, sam siada na drugim, po przeciwnej stronie stołu.

Kładzie na blacie zdjęcie. Zrobione latem przedstawia rodzinę siedzącą na tarasie dużej białej rezydencji. Na stoliku stoją małe chorągiewki, najwyraźniej

ktoś obchodzi urodziny. Pośrodku siedzi elegancka kobieta, na kolanach trzyma małą jasnowłosą dziewczynkę. Obie uśmiechają się do fotografa. Trochę starszy, ciemnowłosy chłopczyk siedzi obok, odwrócony profilem. Za nimi stoi kobieta z tacą w ręce. Na tacy stoją srebrny dzbanek do kawy, porcelanowe filiżanki i dzbanuszek do mleka. Ostrość nastawiono na filiżanki, widać każdy szczegół, delikatną różową lamówkę i równie delikatny jasnoniebieski motyw kwiatowy. Widać też zadbane ręce kobiety. Louise zerka na pierścionek z dużym turkusem i wąską złotą obrączką, po chwili jednak skupia się na kobiecie. Ma uczesane do góry włosy, jest ubrana w letnią sukienkę w kolorze kości słoniowej z delikatną złotą nitką. Sukienka ma cienkie ramiączka, jest dopasowana, ale nie obcisła.

– Może mi pani powiedzieć, kto jest na tym zdjęciu? – pyta Morten Rask.

– Nie znam ich.

– Kobiety też pani nie rozpoznaje?

Policjant unosi palec, wskazuje na kobietę z tacą. Drobną, szczupłą, ale o kobiecych kształtach. Jasne włosy, pełne usta. Niebieskie oczy? Trudno powiedzieć. Louise nie może się skupić. Zastanawia się, co się z nią dzieje.

– Nigdy wcześniej nie widziałam żadnej z tych osób.

– Ale widzi pani podobieństwo?

– Może.

– To pani?

– Nie, nigdy nie widziałam żadnej z tych osób – powtarza. – Nie rozpoznaję też miejsca, nigdy nie widziałam tego domu.

– Ale jest pani podobna do tej kobiety.

– To się zdarza.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem.

– Ma pani siostrę bliźniaczkę?

– W ogóle nie mam rodzeństwa.

– Przyrodniego też nie?

– Powiedziałam, że nie mam rodzeństwa.

– Jest pani pewna?

– Nie rozumiem pytania. Oczywiście, że jestem.

Mężczyzna odchyła się na krześle, zakłada ręce za głowę, przygląda się jej uważnie. Louise czuje się skrępowana.

– Ile pani ma lat, Louise?

– Czterdzieści jeden.

– Urodziła się pani w...

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku.

Funkcjonariusz się prostuje, zakłada nogę na nogę.

– Proszę opowiedzieć mi o swojej rodzinie.

– Dlaczego?

Policjant wskazuje palcem na kobietę na zdjęciu. Louise czuje się tym dziwnie dotknięta, choć nie potrafi powiedzieć, z jakiego powodu.

– To Helene Söderberg. Czy to pani?

– Powiedziała już, że nie.

– Więc proszę powiedzieć, kim pani jest?

– Nazywam się Louise Andersen, ale to pan już wie. O co chodzi?

– Kim jest pani ojciec, Louise? Naprawdę jest pani pewna, że nie ma pani siostry? Może przyrodniej, o której istnieniu nic pani nie wie.

– O co tu chodzi? Czy jestem o coś podejrzana?

– Dlaczego nie chce mi pani nic powiedzieć o swojej rodzinie?

Louise kuli się, kręci jej się w głowie, ma mdłości. Ten przekłety ból głowy. Kiedy się zaczął? Rano? Czy już wczoraj?

– No dobrze, zacznijmy od początku. Przyjechała pani na wyspę trzy lata temu. Proszę powiedzieć, co pani robiła wcześniej?

– Nic specjalnego. Trochę podróżowałam – mówi Louise i znów czuje ten przekłety ból, gdzieś w okolicy czoła. Może rozwija się u niej jakaś choroba?

– Podróżowała pani?

– Tak – potwierdza zła.

– Czym pani się zajmowała?

– Niczym szczególnym. Pracowałam jako kelnerka, to tu, to tam – ciągnie Louise. – Nie pamiętam dokładnie miejsc.

Nie pamięta też domu rodzinnego. Kiedy przybyła na wyspę, postanowiła o wszystkim zapomnieć. Wyrzucić przeszłość z pamięci i żyć teraźniejszością. To chyba nie jest zabronione.

– Louise?

– Tak?

– Może pani podać choć jedno miejsce, gdzie pani pracowała? Żebyśmy mogli to sprawdzić...

Przerzuca luźne kartki, jego głos rozplywa się w powietrzu i gdzieś znika, Louise nie chce go dłużej słuchać. Suchy szelest kartek i szorstka skóra na jego palcu. Wpatruje się w niego jak zahipnotyzowana, robi jej się niedobrze, zamyka oczy. Pokój zaczyna się kołysać, Louise wciąż odczuwa skutki choroby morskiej, którą miała podczas rejsu z Christiansø do Gudhjem. Ciemność. Nie chce, żeby ją pochłonięła, szybko unosi powieki. Policjant nadal przerzuca kartki, marszczy czoło. Czego szuka? Przynajmniej nie patrzy na nią oskarżającym wzrokiem. Louise przygląda się kobiecie w jasnej letniej sukience, domowi, starszej kobiecie, dzieciom. Nikogo ani niczego nie rozpoznaje.

Policjantka wchodzi pierwsza do pokoju – długiego pomieszczenia, na którego końcu stoi biurko z krzesłem. Przy ścianie obok drzwi stoi niewielki okrągły stolik i dwa drewniane krzesła obite czerwonym materiałem. Na biurku widoczna z daleka wizytówka: Iben H. Hansen. Joachim siada na krześle. Zastanawia się, co kryje się za tajemniczym H. Może też Hansen? Iben Hansen Hansen. Wyobraźnia Joachima pracuje dalej, wyobraża sobie, że oboje rodzice mieli na nazwisko Hansen, tylko nie mogli się zdecydować, po kim nazwać dziecko, Hansen po ojcu, czy Hansen po matce. Zabawna historia. Próbuje się skupić. Krzesło, na którym siedzi, jest twarde, niewygodne. Iben Hansen Hansen też siada na krześle, odwraca się w jego stronę. Nogi ma szeroko rozstawione, opiera łokcie na kolanach, nachyla się w jego stronę, spogląda na niego przyjaźnie.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań, odnośnie do Louise – mówi.

Joachim kiwa głową, czeka.

– Edmund Söderberg.

– Słucham?

– Mężczyzna, który odwiedził pana narzeczoną, nazywa się Edmund Söderberg. Jest dyrektorem w Söderberg Shipping, dużej firmie okrętowej w Silkeborgu. Nie słyszał pan o niej?

– Słyszałem. – Joachim rozpiiera się na krześle, czuje twarde drewniane oparcie. Nie ukrywa zdziwienia. Rodzina Söderbergów. Jedna z najbardziej znanych i najbogatszych w kraju.

– Jak pan poznał Louise?

– Ale co ona ma wspólnego z Söderberg Shipping?

– Najpierw chciałabym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie – stwierdza stanowczo kobieta. – Od jak dawna zna pan Louise?

Joachim bierze głęboki wdech, chce zaprotestować, ale szybko uświadamia sobie, że to bez sensu.

– Znam Louise jakieś dwa i pół roku – mówi i rozkłada ręce. – To śmieszne. Czy to jest przesłuchanie?

– Nie pamięta pan, kiedy się poznaliście? – pyta poirytowana policjantka.

– Oczywiście, że pamiętam! I to bardzo dokładnie. To był marzec, a teraz mamy lipiec, czyli dwa lata i cztery miesiące temu.

Iben kiwa głową, nadal zachowuje kamienną twarz. Joachim nie znosi rozmawiać z takimi ludźmi, z ludźmi, którzy wydają się nie angażować w rozmowę. Poprawia się na krześle, rozstawia szeroko nogi, opiera łokcie na

kolanach, naśladuje nawet jej ton.

– Spotkałem Louise na prelekcji w kawiarni, której jest właścicielką. Od razu wiedziałem, że to wyjątkowa osoba, no i od tej pory jesteśmy ze sobą. Bardzo szybko zamieszkaliśmy razem. To wszystko?

– Gdzie pan wówczas mieszkał?

– W pensjonacie, skoro musi pani to wiedzieć.

– W pensjonacie?

– Tak, byłem tuż po rozwodzie – mówi Joachim.

Wpatruje się w Iben Hansen Hansen, spogląda na jej grubą złotą obrączkę, zdecydowanie za dużą, przypominającą mutrę. Może jej też przydałby się rozwód?

– Zna pani to uczucie? Kiedy człowiek po prostu chce uciec od wszystkiego – pyta. Wie, że zachowuje się dziecinnie, ale to reakcja na to, co się wokół niego dzieje, na policjantów, na ich władczą postawę. – Czuję, że muszę wyjechać z Kopenhagi, uciekłem jak najdalej na wschód – dodaje i nagle zastanawia się, po co to wszystko mówi. Co Iben ma do tego? A może chce jej podpowiedzieć, że też może uciec od swojego nudnego męża, który przyspawał ją do siebie mutrą.

– Rodzina mojej byłej żony pochodziła z zachodu kraju, dlatego wschód wydał mi się oczywistym wyborem. Po prostu uciekłem. Nie zdążyłem jeszcze niczego znaleźć, więc tym łatwiej było nam podjąć decyzję, żeby zamieszkać razem. Tak bywa, kiedy spotyka się wielką miłość, Iben – wyjaśnia Joachim, unosząc brwi, jakby próbował ją pouczyć.

– Czy Louise była wcześniej zamężna?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Tak. Na pewno by mi powiedziała.

– A co panu mówiła? Na przykład o swojej rodzinie.

– Nie ma z nią kontaktu.

– Gdzie mieszka jej rodzina?

– Nie wiem.

– Ma rodzeństwo?

– Nie... Nie sądzę.

– Nie sądzi pan?

– Gdyby miała, wspomniałaby o tym.

Iben wstaje.

– Co robiła, zanim się poznaliście? – pyta.

– Dużo podróżowała.

– Gdzie była?

– W różnych miejscach. Brała plecak i ruszała przed siebie.

Cisza. Iben przygląda mu się. Joachim marszczy brwi. Sam słyszy, jak dziwnie brzmi ich rozmowa. I nagle zaczyna się zastanawiać. Jak to właściwie

było? Mieszkał w pensjonacie, dość ponurym. Czuł się wykończony po latach walki z Ellen, poprzedzających ich rozwód, który okazał się tak skomplikowany, jak to tylko możliwe. Ellen udaremniała wszystkie jego próby uwolnienia się od niej. Joachim myśli też o dzieciach. O dzieciach, których nigdy nie mieli. Ellen twierdziła, że zrezygnowała z nich ze względu na niego. Poświęciła się, żeby mógł pracować w spokoju. Oniemiał, gdy to usłyszał. Nie miał pojęcia, że chciała mieć dzieci. A teraz była już za stara. Wściekała się, oskarżała go, że ukradł jej najlepsze lata, że ją zniszczył, za dużo od niej żądał. Okazał się tyranem. Była bliska załamania na samą myśl o tym, że Joachim znajdzie sobie młodszą kobietę i stworzy z nią rodzinę, z której Ellen dla niego zrezygnowała.

Kiedy od niej odchodził, miał wrażenie, że odchodzi od dziecka. Nie od dorosłej kobiety, tylko od pięcioletniej dziewczynki. Dziewczynki, która była wykładowczynią na Akademii Sztuk Pięknych. Mieli lecieć na kilka dni do San Sebastian, a on po prostu nie pojawił się na lotnisku. Kolejna z podróży na zgodę po kolejnej wielkiej awanturze. Tym razem jednak się nie stawił. Pozwolił, by czekała na niego, nic jej nie powiedział. Nie było to ładne z jego strony, jednak czuł, że musi to zrobić. Gdyby przyszedł pożegnać się z nią, na pewno by się załamała. Wtedy by się poddał. Więc po prostu zostawił ją samą.

Uciekł, wyjechał, podróżował, żeglował po morzach. W końcu znalazł sobie miejsce na Christiansø i zaczął pisać. To trzymało go przy życiu. Wśród wszystkich nieszczęść, poczuł nagle nową, nierzeczywistą wolność. Pisał jak opętany. Pewnie też pił, nieco za dużo, i całkowicie odciął się od świata, w zasadzie nie opuszczał pensjonatu, skupiony wyłącznie na pisaniu, na następnych zdaniach.

W dniu, w którym spotkał Louise, wszystko się zmieniło. Louise promieniała. Pamięta, jak wieczorem w kawiarni czytał to, co rano napisał. I wtedy ją zobaczył. Stała gdzieś w głębi, blisko drzwi do kuchni. Była całkowicie pochłonięta słuchaniem go, ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, nie odwróciła wzroku. Wszystko w niej wydało mu się szczere, otwarte. Pamięta, że właśnie tak wówczas pomyślał.

– A więc poznał pan Louise dwa i pół roku temu, ale nie wie pan, co wcześniej robiła. Nie wie pan też nic o jej rodzinie?

Głos Iben wrywa go z zamyślenia. Patrzy nad jej głową na opuszczone żaluzje, które skutecznie zatrzymują światło słoneczne.

– Tak, to prawda – mówi. – Uznałem, że oboje dostaliśmy nową szansę.

– I nigdy pan jej o nic nie pytał? – Spokojny, rzeczowy głos Iben irytuje go.

– Oczywiście, że pytałem.

– I nie dziwiło pana, że nie otrzymał pan odpowiedzi?

Czy w ogóle się nad tym zastanawiał? Oczywiście, że pytał, był ciekaw, chciał wiedzieć wszystko o kobiecie, która teraz należała do niego. Pamięta, jak

leżeli nadzy obok siebie w jego łóżku. Louise wydawała mu się taka żywa. To go w niej tak ujęło. Po związku z Ellen nie przypuszczał, że uda mu się jeszcze do kogoś zbliżyć. Bliskość kojarzyła mu się z obowiązkiem, wydawała się ciężarem. Jednak z Louise było inaczej. Nie wypytywała go o przeszłość. Jedyne, czego pragnęła, to bliskości z nim.

Nie, nie pytał jej. Nagle to sobie uświadomił. Jeśli zadawał jej jakieś pytania, to dlatego, że uznał, że powinien. Że tak trzeba. Ale kiedy powiedziała, że nie ma kontaktu ze swoją rodziną, poczuł ulgę. Podobało mu się, że nie jest niczym związana, w przeciwieństwie do Ellen. Joachim zerka na Iben, ma wrażenie, że na jej twarzy pojawia się ślad emocji. Współczucie? Odchrząkuje.

– Chce pan się dowiedzieć czegoś więcej o Louise?

Joachim kiwa głową, jakby z obowiązku, bo tak naprawdę ma ochotę zawołać: Nie! Nie chcę nic wiedzieć! Jedyne, co mężczyzna musi wiedzieć o kobiecie, to że ona go kocha.

– Louise Andersen wychowywała się w domu dziecka na obrzeżach Randers. Jej matka była narkomanką. Odebrano jej dziecko, kiedy jeszcze było niemowlęciem. Louise miała sześć lat, gdy jej matka zmarła. Nie miały ze sobą kontaktu. Pewnie Louise nigdy nie dowiedziała się o śmierci matki. Ojciec nieznan. Louise mieszkała w wynajętym pokoju w Randers do dziewiętnastego roku życia. Potem w zasadzie znika z naszego systemu.

– W zasadzie. Czyli jednak jest jakiś ślad.

– Raz została zatrzymana i prawie natychmiast zwolniona.

– Za co ją zatrzymano?

– Zatrzymanie odbyło się na Skelbækgade w Kopenhadze.

Iben nie musi nic dodawać, wszyscy wiedzą, że na Skelbækgade można spotkać prostytutki, te stojące najniżej w hierarchii. Rumunki, narkomanki.

– Z ostatnich pięciu lat nie mamy żadnych danych. Jakby nagle zniknęła.

Joachim spuszcza wzrok, patrzy w podłogę. Czuje, jakby miał na plecach ogromny ciężar. Louise. Jego Louise?

– Zniknęła? – powtarza schrypniętym głosem, którego sam nie rozpoznaje.

– Tak, nic więcej o niej nie wiemy.

– Przecież człowiek nie znika ot tak?

Iben wzrusza ramionami.

– Może pojechała do Hamburga, żeby zarobić trochę pieniędzy. Wiele tak właśnie robi. Jadą tam, gdzie jest więcej klientów. A może do Szwecji? Nie wiemy.

– Zawsze zostawia się za sobą jakiś ślad – stwierdza Joachim.

– Tak? – Iben brzmi nagle jak człowiek. – Tylko w dwa tysiące trzynastym roku z systemu zniknęło siedemset dziesięć osób. Czterdziestu nigdy nie odnaleziono.

Joachim podnosi głowę, czuje na sobie jej spojrzenie i natychmiast spuszcza

wzrok. Louise. Tylu rzeczy o niej nie wie. Dlaczego nic mu nie powiedziała? Co przed nim ukrywa? Musi zebrać myśli.

– Widziałem jej dowód osobisty, kartę ubezpieczenia – mówi.

– Jakiś dowód ze zdjęciem?

– Ma prawo jazdy – rzuca zły. – Cała ta historia jest śmieszna.

– Prawo jazdy robiła w Rønne – mówi Iben, przeglądając nieco teatralnie leżące na biurku papiery. – Na podstawie aktu urodzenia.

– I co z tego wynika?

– Może ukradła Louise Andersen jej dowód osobisty. I portfel.

– Nie rozumiem. Czy jakaś Louise Andersen zgłosiła zaginięcie dokumentów?

Iben poprawia się na krześle zniecierpliwiona.

– Sprawa jest bardziej skomplikowana. Edmund Söderberg twierdzi, że Louise wcale nie jest Louise, tylko jego żoną, Helene, która zniknęła trzy lata temu.

Joachim patrzy na Iben zdziwiony.

– Wiem, że to trochę dużo wrażeń jak na jeden raz – mówi funkcjonariuszka. Świetlówka na suficie trzeszczy, Joachim jest coraz bardziej poirytowany. Próbuje zebrać wszystkie informacje i nic nie rozumie. – Niczego nie jesteśmy pewni – podkreśla Iben.

Joachim próbuje zaczerpnąć głęboko powietrza. Skupić się na tym, co przed chwilą usłyszał.

– Zostawię pana na chwilę samego. Dowiem się, czy są nowe wiadomości – mówi Iben.

Joachim zostaje sam, w pokoju słycać tylko trzaski świetlówki. Nie potrafi powiedzieć, ile czasu mija, zanim drzwi znów się otwierają i do pokoju ponownie wchodzi Iben.

– Chcielibyśmy, żeby pan z nią porozmawiał – mówi.

– Gdzie ona teraz jest?

– Najpierw muszę mieć pewność, że pan wie, czego od pana oczekujemy. Musi pan spróbować wydobyć od niej wszystko, co może o sobie powiedzieć.

– Nie rozumiem?

– Nie wiemy, w jakim jest stanie.

Joachim patrzy zdezorientowany na policjantkę.

– Niewykluczone, że jest chora.

– Chora? – powtarza zdziwiony.

– Niewykluczone, że cierpi na schizofrenię – rzuca lekko Iben. – W tej chwili jest nieco roztrzęsiona, ale rozmowa z panem może ją uspokoić, może też skłonić ją do powiedzenia czegoś więcej.

Chora. Joachim wstaje, opiera rękę na krześle. Ma wrażenie, że krew odpływa mu z głowy, że cały odpływa.

– Dobrze się pan czuje?

Czuje się zmęczony. Niewiarygodnie zmęczony. To prawda, co usłyszał? Zamyka oczy i przez moment znów ma przed oczami Ellen, w jej najgorszym okresie. Pamięta, jak raz podbiegła do niego i zaczęła go dusić. Wyrywała sobie włosy z głowy i groziła, że robi sobie różne straszne rzeczy. Ellen. Ale nie Louise. Joachim czuje, że dłużej nie wytrzyma. Iben wychodzi na korytarz. Sala przesłuchań 2. Tam na niego czeka. Joachim nie ma pojęcia, czego może się spodziewać. Teraz już nie.

7

Louise nie ruszyła się od czasu, kiedy policjant opuścił pokój. Teraz do środka wchodzi kobieta, która już wcześniej z nią rozmawiała, tuż za nią wchodzi Joachim. Porusza się niepewnie, siada na krześle obok Louise, bierze jej dłonie w swoje. Louise pragnie tylko jednego. Wyjść.

– Możemy zostać sami? – zwraca się Joachim do policjantki.

Kobieta zastanawia się chwilę, po czym kiwa głową.

– Będę na zewnątrz, w razie czego proszę wołać.

– Możemy już iść? – pyta Louise, jak tylko zostają sami. Patrzy na niego, widzi, że Joachim przygląda się jej badawczo. – Dlaczego tak na mnie patrzysz? Co oni ci powiedzieli?

– Louise, oni chcą po prostu wiedzieć, jak naprawdę wygląda sytuacja... Ja zresztą też. Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Louise go nie słucha. Jest wściekła. Chociaż właściwie nie ma ku temu powodu, bo Joachim ma prawo wiedzieć. Powinna była mu powiedzieć o tym od razu, na samym początku. Tylko jak powiedzieć komuś, że tak naprawdę nie ma mu się nic do powiedzenia? Jak ubrać w słowa głuchą pustkę? Fakt, że jest zupełnie sama na świecie. Nikomu nie jest potrzebna. Podczas przeprawy promem na Bornholm zemdląca, a kiedy doszła do siebie, okazało się, że nikt jej nie szuka. Jak ma mu to wytłumaczyć?

– Dorastałam w domu dziecka – mówi cicho.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – pyta Joachim i patrzy na nią nieszczęśliwy.

– A dlaczego miałabym? Zacząłbyś mi współczuć. Nie chciałam tego.

– Co było potem? – głos Joachima jest łagodny, zwraca się do niej jak do dziecka. Niepokoi ją to. – Podobno zniknęłaś. Nie ma żadnych śladów od momentu, kiedy skończyłaś dziewiętnaście lat do chwili, kiedy pojawiłaś się na Bornholmie. Gdzie byłaś w tym czasie?

Louise kręci głową, wzrusza ramionami i zagryza zęby. Jest spięta, od szcęk aż po kark. Sztywnieją jej plecy, ręce. To dobrze. Zmusza ciało, żeby było nieruchome. Wtedy może odeprzeć niedające jej spokoju uczucia i myśli. Czuje na sobie jego wzrok, wodzi oczami po jej twarzy. Jakby czegoś szukał. Nie podoba jej się to. Nie chce, żeby patrzył na nią w ten sposób. Jakby była kimś obcym.

– To ja – mówi i bierze jego dłoń. – Chodźmy stąd – szepcze mu do ucha.

Opiera swoją twarz o jego. Joachim zamyka oczy, Louise czuje jego oddech na swojej skórze. Czuje, jak oboje uspokajają się powoli. Ich ciała dobrze się znają. Zawsze tak było, od chwili kiedy się poznali. I tak ma być. Louise jest o tym przekonana: ich przeznaczeniem jest być razem.

– To ja – powtarza. – Znasz mnie i wiesz, że nigdy cię nie okłamałam, Joachimie. Nigdy.

Całuje go, a on jej na to pozwala. Wracają wspomnienia pierwszego pocałunku, chociaż wtedy było odwrotnie: to on pocałował ją, a ona mu na to pozwoliła. Louise puszcza jego dłoń, odchyła się na krześle. Ich twarze nadal są tak blisko siebie, że czują wzajemne ciepło. Ale Louise chce go widzieć. Chce, żeby on ją widział.

– Musisz mi zaufać. To ważne, żebyś mi wierzył. Wszystko, co w moim życiu jest ważne, wydarzyło się, kiedy byliśmy razem. Wszystko, co było wcześniej, pozostaje gdzieś we mgle, w ciemnościach i jest mi obojętne. Całkowicie obojętne, rozumiesz?

Louise wyczuwa wahanie Joachima. On się odsuwa, więc nachyla się w jego stronę. Joachim kładzie rękę na jej ramieniu i delikatnie, ale stanowczo ją powstrzymuje.

– Nie można uznać, że przeszłość jest bez znaczenia – mówi smutno. – Musisz mi wszystko opowiedzieć. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło.

– Dlaczego?

– Dlaczego...? Bo nagle zjawia się mężczyzna, który twierdzi, że ty to nie ty. Bo policja mówi, że przez piętnaście lat w ogóle nie istniałaś. – Przygląda się jej uważnie, w skupieniu. – To ma znaczenie. A dla mnie jest ważne, żebym dowiedział się tego od ciebie. Żebyś powiedziała mi prawdę.

– Musisz mi wierzyć – błaga go. – Dla mnie ważni jesteście tylko my.

Louise widzi, jak wahanie kładzie się cieniem na twarzy Joachima. Bierze jej dłonie w swoje, patrzy na nią zdziwiony, jakby jej nie poznawał.

– Zabierz mnie stąd – mówi Louise, a Joachim słyszy desperację w jej głosie. Musi jej uwierzyć.

Louise wstaje. Nikt nie ma prawa jej tu zatrzymać. Nic nie zrobiła.

– Idziemy! – oznajmia i sięga do klamki. Drzwi są zamknięte od zewnątrz. – Chcemy stąd wyjść! – krzyczy i trzy razy uderza w drzwi.

Do pokoju wchodzi policjantka, drobna kobieta z krzywym nosem. Dlaczego

tu jest? Dlatego, że Louise zawołała?

– Proszę się nie denerwować – mówi i rusza w kierunku Louise z szeroko rozpostartymi rękami.

Louise ignoruje ją, próbuje ominąć, ale kobieta chwyta ją za rękę.

– Puść mnie. Nie macie prawa...

– Nikt nie chce pani skrzywdzić – wchodzi jej w słowo policjantka.

Louise patrzy na Joachima. Szepcze jego imię. Jej szept brzmi jak prośba, jak błaganie o pomoc. Joachim jej nie wierzy. Czuje to. Uwierzył im. Louise robi się ciemno przed oczami. Jest sama. Oni i ona. Cały jej świat się wali.

Do pokoju wchodzi kolejny funkcjonariusz, ten o brzydkich, szorstkich palcach. Louise słyszy, że znów krzyczy. Nie może się powstrzymać. Jakby słowa musiały znaleźć jakieś ujście.

– Joachim!

Nagle widzi coś czerwonego na twarzy policjanta, na jego ustach. Uświadamia sobie, że musiała go uderzyć, może pchnąć. Policjanci chwytają ją za ręce, przytrzymują.

– Spokojnie – mówi jeden z nich.

Louise próbuje się wyswobodzić, ale nie jest w stanie. Nie mają prawa jej tak traktować. Kopie. Nie chce, a jednak to robi. Kopie z całych sił obiema nogami. Kopie Joachima, bo chce, żeby zwrócił na nią uwagę, kopie jednego z policjantów, bo nie chce jej puścić.

– Musisz mi uwierzyć, Joachimie! – krzyczy. Widzi, że do pokoju wchodzi jeszcze jeden policjant. Jest starszy od pozostałych, ich głosy się mieszają. Dociera do niej tylko jedno słowo: lekarz.

Wieczny strumień. Płynąca woda, przejrzysta, czysta, i niewielkie kamyki, potok. Dookoła jest ciemno – drzewa iglaste, las i wąska dróżka? Louise kilka razy otwiera i zamyka oczy, sen powoli się zaciera. Gdzie ona jest? W pomieszczeniu jest jasno, sufit nad nią jest biały. Przekręca głowę i widzi przed sobą szeroki biały parapet. Cienkie, białe firanki są na wpół rozsunięte, na zewnątrz świeci słońce. Na parapecie w białej doniczce stoi paproć. Louise słyszy kroki, odwraca głowę w stronę, skąd dobiega dźwięk. Do pokoju wchodzi kobieta w jasnozielonym fartuchu i białych spodniach.

– Już pani nie śpi? – pyta i uśmiecha się. Staje obok łóżka Louise, wciska jakieś guziki, zagłówek łóżka powoli się podnosi. Louise próbuje usiąść, ale ciało nie chce jej słuchać. Kobieta patrzy, jak walczy.

– To znieczulenie, jeszcze do końca nie ustąpiło. Niedługo poczuje się pani lepiej – mówi i delikatnie ściska jej rękę.

– Gdzie ja jestem? – pyta Louise. Ma sucho w ustach, ledwie może coś powiedzieć.

Kobieta nalewa sok do plastikowego kubka i podaje Louise. Pilnuje, żeby wypić. Malinowy. Smak dzieciństwa.

– Jest pani w szpitalu – oznajmia kobieta. – W Rønne, na oddziale psychiatrycznym. Mam na imię Sanne.

Louise przygląda się jej. Sanne. Owszem, zna kobietę o takim imieniu, ale to nie jest ona. A może jest? Znów rozgląda się po białym pomieszczeniu. Jest dezorientowana. Niby wszystko widzi, rozumie, a jednak nie do końca. Jakby nagle znalazła się w środku kalejdoskopu, który ktoś obraca, tak że jego elementy cały czas układają się w coraz to inny wzór.

– Jaki dzisiaj dzień? – pyta ostrożnie.

– Wciąż jest wtorek, spała pani tylko kilka godzin. Pani mąż niedawno stąd wyszedł. Siedział i trzymał panią za rękę, ale lekarz uznał, że lepiej, żeby była pani sama, kiedy się obudzi.

Louise patrzy przed siebie, myśli. Próbuje myśleć. Jej mąż. Cały czas coś na nią czyha, grozi, że wciągnie ją w jakąś otchłań. Z trudem chowa ręce pod kołdrę. Pościel jest biała, szeleści.

– Bardzo mi zimno – mówi.

– To skutek znieczulenia – tłumaczy Sanne. Podciąga jej kołdrę pod szyję, otula ją. – Pani mąż zostawił kartkę – dodaje.

Bierze kartkę ze stolika obok łóżka i podaje jej.

– Proszę tu położyć – mówi Louise słabym głosem. – Później przeczytam.

Kiedy budzi się następnym razem, w drzwiach stoi ciemnowłosa kobieta, wysoka, szeroka w biodrach. Podchodzi do łóżka, podaje jej rękę, ale Louise nie ma siły jej chwycić. Kobieta siada.

– Jestem ordynatorem oddziału. Nazywam się Anna Pontoppidan – przedstawia się i patrzy na Louise. Czeka. Na co? – Wie pani, gdzie pani jest? – pyta po długiej przerwie.

– Pielęgniarka mi powiedziała. Jestem w szpitalu. W Rønne – odpowiada Louise szybko.

– Jak się pani nazywa?

– Louise Andersen.

– Wie pani, dlaczego tu jest?

– Nie. To znaczy pamiętam, że podano mi znieczulenie, ale nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, co się wydarzyło.

– Przejrzeliśmy pani kartę choroby. Trzy lata temu zemdląła pani na promie. Doznała pani wtedy silnego urazu głowy. Zatrzymaliśmy panią kilka dni na obserwacji, szybko doszła pani do siebie. Pani stan nie budził obaw. Nic nie wskazywało na to, że uraz jest poważny. Była pani, co prawda, lekko zamroczone i potrzebowała pomocy, żeby przypomnieć sobie, kim pani jest i gdzie pani jest. Ale, jak już mówiłam, szybko doszła pani do siebie. Nie było powodu, żeby dalej trzymać panią w szpitalu. Wówczas.

Kobieta patrzy na nią, poważne spojrzenie. Jakby chciała podkreślić to, co Louise już zrozumiała. Że teraz jest inaczej.

Louise powraca myślami do poprzedniego pobytu w szpitalu. W tym samym szpitalu, z taką samą białą, szeleszczącą pościelą i takim samym nieprzyjemnym uczuciem. Pamięta, co czuła, kiedy uświadomiła sobie, że jest sama na świecie. Pamięta tę otchłań, tę pustkę. Miała opanowane wszystkie podstawowe czynności. Potrafiła jeść, nie brudząc się, iść do toalety, przeczytać gazety i udawać, że obchodzi ją to, co o niej piszą. Potrafiła rozmawiać o pogodzie, odpowiadać na pełne niepokoju pytania lekarzy, jednak gdzieś w głębi czuła bezdenną pustkę, w której poruszała się nieco po omacku. Wtedy wypuszczono ją po kilku dniach. Teraz... Wystarcza jej jedno spojrzenie na lekarkę. Teraz nie może udawać, że otchłań nie istnieje. Nawet wobec siebie. Louise wzdycha, być może lekarka uznaje, że to znak, że jest gotowa słuchać dalej, bo po chwili znów zaczyna mówić.

– Sprawdzamy, czy cierpi pani na amnezję psychogenną lub amnezję wsteczną, utratę pamięci, wywołaną czynnikami psychicznymi. Mogą to być traumatyczne przeżycia albo silne doświadczenia emocjonalne. Nie muszą im towarzyszyć żadne objawy fizyczne, dlatego niekiedy trudno ją dostrzec. Zwykle po jakimś czasie dołącza depresja, ale nie zawsze. To rodzaj zaniku pamięci nakierowany na siebie. Dotknięta nim osoba zapomina wszystko, co jej dotyczy.

Zwykle taki stan trwa kilka godzin albo kilka dni. Rodzina bądź znajomi szybko orientują się, że coś jest na rzeczy i kontaktują się z lekarzem. Zdarza się też, że nikt niczego nie zauważa. Media opisują czasem losy tak zwanych wędrowców. Słyszała pani o takich przypadkach? – pyta lekarka i patrzy na Louise, która kręci głową. – Podam jeden przykład – ciągnie po chwili. – Pewna kobieta podeszła do osoby z obsługi londyńskiego metra i poprosiła o pomoc. Nie miała pojęcia, kim jest ani dokąd chce dotrzeć. Jej zdjęcie pokazano w telewizji, ale nikt się nie zgłosił. Kobieta została poddana dokładnym badaniom. Nie stwierdzono żadnych niepokojących objawów fizycznych, psychicznych zresztą też nie. Zastosowano hipnozę. To metoda budząca pewne kontrowersje, ale często bywa skuteczna. Kobieta jednak nadal nie mogła sobie niczego przypomnieć. Ponieważ poza tym funkcjonowała bardzo dobrze, po jakimś czasie została wypisana ze szpitala. Mniej więcej rok później jej rodzina w Stanach skontaktowała się z policją w Wielkiej Brytanii. Okazało się, że kobieta z dnia na dzień opuściła dom i poleciała do Anglii. Jej małżeństwo przechodziło wówczas kryzys. Kiedy rodzina dostarczyła jej informacji, kobieta niemal całkowicie odzyskała pamięć.

Lekarka patrzy na Louise, która próbuje doszukać się podobieństwa między historią, którą przed chwilą poznała, a jej własną sytuacją.

– Jeśli uciekła od problemów – zaczyna niepewnie, waha się, próbuje znaleźć właściwe słowa – może wcale nie chciała zostać odnaleziona? Może po prostu udawała, że niczego nie pamięta?

– Niewykluczone. Na pewno są sytuacje, kiedy ludzie symulują zaburzenia pamięci, żeby uniknąć nieprzyjemności. Ale takie rzeczy można dzisiaj sprawdzić. Przeprowadza się testy, specjalistyczne badania. Właśnie takim badaniom chcielibyśmy panią poddać.

– Podacie mi znieczulenie? – pyta Louise i czuje, jak sztywnieje.

– Nie, proszę się nie niepokoić. Jak już wspomniałam, czasami w takich przypadkach stosuje się hipnozę, ale to metoda kontrowersyjna, której nie praktykujemy w Danii. Problem polega na tym, że istnieje ryzyko, że same pytania wytworzą nowe wspomnienia, co może utrudnić dotarcie do prawdy. – Lekarka milknie, waha się, jednak po chwili mówi dalej: – Badania, którym chcemy panią poddać, to rutynowe testy mające na celu pokazanie, jaka część pani pamięci została dotknięta. Testy motoryczne, EEG. Chcemy ustalić, jaka część mózgu nadal funkcjonuje, to z kolei pozwoli nam ustalić, co się stało. A pani dowie się czegoś o sobie.

Louise zamyka oczy, widzi czarne plamy, kręci jej się w głowie. Dowie się czegoś o sobie? Patrzy przez okno na rosnący przed nim złotokap. Ktoś powinien go podlać. Znow zamyka oczy, teraz widzi swoje zdjęcie, to, które pokazano jej w komisariacie. Kobieta w jasnej sukience, ze starannie ułożonymi włosami. Dłonie, pierścionki na palcach. Jeden duży, z turkusem i wąska obrączka. Znow

kręci jej się w głowie, wir chce ją porwać. Louise zaciska dłonie, przytrzymuje się kołdry.

– Jest ich więcej? – pyta.

– Więcej?

– Więcej takich przykładów.

Lekarka kiwa głową, zastanawia się chwilę.

– Niekiedy objawy fizyczne zaciemniają nieco obraz. Pewien starszy mężczyzna skarżył się na ból z prawej strony klatki piersiowej. Któregoś dnia upadł na ulicy, kiedy odzyskał przytomność, okazało się, że ma lekko sparaliżowaną prawą stronę ciała, i nie pamięta żadnych danych biograficznych. Jego rodzina długo upierała się przy dolegliwości fizycznej, nie przyjmując do wiadomości, że być może powód jest natury psychicznej. Po jakimś czasie mężczyzna rozpoznał żonę, dzieci, ale poza tym dalej nic nie pamiętał. Kiedy żona przypomniała mu o jego trudnym dzieciństwie i o problemach w pracy, z którymi borykał się tuż przed zanikiem pamięci, nagle pamięć wróciła.

*

Lekarka wychodzi, zostawia otwarte drzwi. Louise leży i się w nie wpatruje. Zamknięte drzwi. Nie miała pojęcia, że można aż tak bardzo tęsknić za zamkniętymi drzwiami. Za miejscem, gdzie można być samemu. Opada na poduszkę. I nagle przypomina sobie kartkę. Joachim zostawił jej wiadomość. Tak bardzo za nim tęskni. Potrzebuje go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jej ciało staje się powoli posłuszne, wyciąga rękę, sięga do małego stolika przy wezgielciu. Bierze do ręki kartkę. Wykończona opiera się znów o poduszkę i czyta: „Jesteś w moich myślach dzień i noc, jesteś ze mną cały czas. Nie jesteś sama. Kocham Cię”. Czyta te kilka zdań wiele razy, czuje, jak przechodzi ją fala ciepła. Te słowa są jej potrzebne. Ale litery... Wyniosłe łuki, „d” wystające poza inne litery. Czy Joachim tak pisze? Patrzy na podpis: bazgroł na samym dole. Ruch piórem, tak zamaszysty, że nieczytelny. Nie rozpoznaje go. Obojętnie, jak bardzo się przygląda, nie widzi żadnego J. Rzuca kartkę na podłogę, jakby nagle zaczęła ją parzyć. Dostrzega duże E. Mąż. Tak powiedziała pielęgniarka. „Pani mąż zostawił kartkę”.

Louise oddycha szybko. To on napisał tę kartkę. On. Edmund. Pamięta go. „Helene”, wołał. Powtarzał to imię kilka razy. Był tu, siedział obok niej, kiedy ona spała. Trzymał ją za rękę? Louise siada, a przynajmniej próbuje. Chce zawołać, żeby Joachim ją stąd zabrał. Lewą ręką zmięła kartkę w kulkę. Rzuca nią w stronę drzwi.

Joachim krąży po kuchni. Podróż z Rønne na Christiansø bez Louise była okropna. Myślami ciągle był przy niej, przy Louise. Bardzo przeżył jej załamanie w komisariacie, a potem przyjęcie do szpitala. Cały czas jechał swoim volvem za karetką, a potem był przy niej, kiedy przyjmowano ją na niewielki zamknięty oddział psychiatryczny miejscowego szpitala. Louise była nieprzytomna, więc lekarka zasugerowała, żeby wrócił do domu po rzeczy dla żony. Potrzebowała czegoś do ubrania, to, co miała na sobie wcześniej, zostało zniszczone podczas szarpaniny z policjantami.

Joachim siada na krześle Louise, patrzy na turkusowe szafki kuchenne i stare drewniane meble, które przemalowała przed jego wprowadzeniem się. Wyremontowała całe mieszkanie. Pomalowała ściany na biało, zawiesiła lekkie jasne firanki, na podłodze rozłożyła szmaciane dywaniki w kolorach przytłumionej zieleni i niebieskim. Wszędzie te same barwy: nieba, morza, wodorostów. Kiedy Joachim się do niej wprowadził, nie czuł potrzeby zmian. Po prostu przyszedł z komputerem i książkami i to wszystko. Małeńki gabinet to jedyne pomieszczenie, gdzie odcisnął swój ślad. Pomieszczenie pełne frustracji. To tu toczył swoją walkę – i przegrał. Pozostała część mieszkania: kuchnia, sypialnia, niewielki salon – to jego dom. Nigdzie nie czuł się bardziej w domu jak właśnie tutaj. Razem z Louise. Szczęśliwy.

Helene?

Joachim wstaje. Helene. Czy jego piękna, pełna energii Louise tak naprawdę jest kimś innym? Lekarka nie chciała mu nic powiedzieć, ale policja zdaje się przyznawać rację Edmundowi Söderbergowi, który twierdzi, że Louise jest jego zaginioną żoną Helene. Joachim wchodzi do sypialni i zaraz z niej wychodzi. Po co tu przyszedł? Racja, ma wziąć dla Louise coś do ubrania. Helene. Imię nie daje mu spokoju. Helene. Imię z greckiej mitologii i tam jest jego miejsce, nie tu na Christiansø. Piękna Helena. Zeus zmieniony w łabędzia, który zapłodnił Ledę. Helena, która wykluła się z jaja, piękna, biała jak łabędź. Najpiękniejsza ze wszystkich kobiet. Tak piękna, że mężczyźni szaleli na jej punkcie, pragnęli jej, wszyscy, Odyseusz, Joachim i Edmund. Nie, wszystko pomieszał, siada ponownie. Przesuwa ręką po włosach. Przypomina sobie grecki mit, wydaje mu się prostszy niż rzeczywistość. Żeby zalotnicy nie pozabijali się nawzajem, zawarto pakt: ojciec Heleny, to znaczy mężczyzna, który pełnił funkcję ojca i miał dbać o jej wychowanie – takimi rzeczami bogowie się nie zajmują – podjął decyzję, którą wszyscy musieli uznać. Mieli bronić praw wybrańca do małżeństwa z piękną

Helena. Wszyscy za jednego. Wśród zalotników był także Odyseusz. Wprawdzie zawarł pakt, ale potem usiłował go obejść. Udawał szaleńca, ale został zdemaskowany i zmuszony bronić prawa Menelaosa, króla Sparty, do małżeństwa z Heleną. Sam ożenił się z Penelopą. I na tym cała historia mogłaby się zakończyć, lecz tak się nie stało. Piękna kobieta stała się przyczyną wojny. Trzy najpiękniejsze boginie: Afrodyta, Hera i Atena nie mogły rozstrzygnąć sporu, która z nich jest najpiękniejsza. Na sędziego wezwano trojańskiego księcia Parysa, obiecując mu sowite wynagrodzenie za wydanie werdyktu. Hera obiecała mu władzę, Atena mądrość, a Afrodyta miłość. Parys okrzyknął Afrodytę najpiękniejszą z całej trójki, a ona wykradła dla niego Helenę. Stało się to początkiem trwającej wiele lat wojny między Spartą a Troją, która sprawiła, że Odyseusz, uciekając od konfliktu, wyruszył w długą podróż, a jego powrót do domu trwał dziesięć długich i pełnych niebezpieczeństw lat.

Joachim wzdycha głęboko, powrót do greckich mitów nie poprawił mu humoru. Rozgląda się, jakby czegoś szukał. Jakiegoś znaku, śladu. Czegoś, co mogłoby powiedzieć mu więcej o kobiecie, którą, jak sądził, zna. Naprawdę ma męża? Edmunda Söderberga? Trudno mu w to uwierzyć. Współczesny Menelaos, bogaty i władczy jak mało kto, jak mityczny król. Kim więc jest on sam, Joachim? Parysem, który skradł Helenę królowi? Nie, czuje się raczej jak Odyseusz, który uciekł od wojny, jakiej nigdy nie pragnął. Uciekł i wyruszył w podróż. Długą i pełną cierpienia. Podróż, która nie wiadomo jak się skończy. Gdzie jest jego dom, jeśli nie tutaj?

Joachim wchodzi do sypialni. I nagle coś mu się nie zgadza. Obchodzi pokój dookoła, przygląda się wszystkiemu, każdej rzeczy. Louise sama je wybierała, sama decydowała, co gdzie ma stać. Nic o niej nie wie, to prawda, ale wszystko ma przed sobą. Jeśli Louise naprawdę jest kimś innym, to gdzieś tutaj musi być ślad tej drugiej osoby.

– Myśl, Joachimie – mówi sam do siebie.

Zaczyna od sypialni. Otwiera wszystkie szuflady, szafy, przeszukuje wszystkie półki. Ubrania, perfumy, biżuteria, kremy. Wszystko dobrze mu znane. Ubrania są proste, z miękkich materiałów, kolory te same, co w mieszkaniu: błękit i zieleń we wszystkich możliwych odcieniach. Inaczej ma się sprawa z biżuterią. Duża jej część jest ze złota. Bransolety, długie łańcuchy, wielkie kolczyki. Zamyka oczy i widzi Louise. Tak różną od innych kobiet ubranych w spodnie, z praktycznymi fryzurami. Wie, że Louise nigdy nie wydawała dużo na ubrania. Nie było jej na to stać. Kawiarnia ledwie zarabia na siebie. Louise często kupowała używane rzeczy, zwykle nic szczególnego, ale potrafiła łączyć je w taki sposób, że...

W sypialni nic nie znajduje. Nie ma tam nic, czego by wcześniej nie widział. Że też dopiero w komisariacie, w ponurym pokoju Iben Hansen Hansen, dotarło do

niego, że właściwie nic nie wie o kobiecie, z którą żyje od dwóch lat. Jak mógł niczego nie zauważyć? Nie rozumie tego. Cały czas robił wszystko, żeby wyprzeć z pamięci przeszłość. Rozwód z Ellen to była ta wojna, od której uciekał. Jego uraz był większy, niż sądził. A potem Louise. Helene. Od czego uciekała? Lekarka powiedziała mu, że do utraty pamięci może dojść w wyniku jakiegoś dramatycznego wydarzenia, tak strasznego, że umysł nie potrafi sobie z nim poradzić. Nie chce o tym wiedzieć. Czego Louise doświadczyła? Co kryje jej przeszłość?

Joachim szuka dalej. Przeszukuje szafki w kuchni, w pokoju. Nic nie znajduje. Krąży po mieszkaniu niespokojny. Stoi z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i głową pełną myśli. Nie potrafi się skupić. Przecież tu była. Mieszkali razem. Nie zauważyłby, gdyby coś przed nim ukrywała? Zastanawia się, czy nigdy nie pokazywała mu czegoś ze swojej przeszłości? Może jakieś zdjęcie? Listy? Pamiętnik? Nie. Chociaż... Przypomina sobie stary plecak, z którego nawet trochę się wyśmiewał. Powiedziała mu, że miała go ze sobą, kiedy przybyła na Bornholm. Dlaczego się wtedy roześmiał? Bo plecak do niej nie pasował. Zniszczony, z sukna, w nieco militarnym stylu. Jakiego był koloru? Szarego?

Joachim otwiera klapę prowadzącą na strych. Nigdy wcześniej tam nie był. Rozkładana drabina zacina się, zawiasy zardzewiały, w końcu udaje mu się ją rozłożyć i wchodzi na górę. Pod starym dachem z gontu jest gorąco jak w saunie. Stare krzesła z lat siedemdziesiątych. Pomarańczowe i brązowe. I dwa kartony z ubraniami. Należały do Louise? Przeszukuje kieszenie. W jednym z kartonów znajduje plecak, w którym nie ma nic z wyjątkiem podstawki pod szklanek. Takiej, jaką podaje barman, serwując drinka czy zimne piwo. Joachim schodzi na dół i ogląda plecak. Dno sprawia wrażenie zardzewiałego? Ale materiał nie może zardzewieć. A jednak, kiedy dotyka go dłonią, zostaje na niej drobny, metaliczny pył. Może plecak leżał w wodzie?

Przygląda się wyblakłej reklamie na podstawce. Campari. Tektura jest poplamiona. Campari z wodą. Kiedyś był to popularny drink. Na drugiej stronie widnieje numer telefonu. 91880119. A może to nie jest numer telefonu? Jakaś data, nie. Kod, nie. To na pewno numer telefonu, zapisany czarnym długopisem, w pośpiechu, nieco niechlujnie, ale cyfry są wyraźnie. Joachim sięga po komórkę, googluje numer na żółtych stronach. „Szukany numer nie został odnaleziony”, czyta. I dalej: „Telefon może być na kartę, numer jest zarezerwowany albo już nieużywany”.

– *No shit!* – Joachim wybiera szybko numer, czeka cierpliwie, kiedy kolejne dzwonki wybrzmiewają.

– Peter – odzywa się głos po drugiej stronie. Młody mężczyzna, może dwudziestolatek. W tle słychać hałas, gwar.

– Do kogo się dzwoniłem? – pyta Joachim.

– Dodzwoniłeś się do piwnicy, a z kim chcesz rozmawiać?

Joachim szybko myśli. Piwnica. Co to znaczy?

– Z Louise Andersen – odpowiada.

– Louise... Nie mamy nikogo o tym imieniu. Jesteś członkiem nowego zespołu księgowego? – pyta Peter.

Joachim zastanawia się, czy podjąć grę.

– Mam na imię Joachim – odzywa się po chwili. – Zajmuję się sprawą zaginionej kobiety. Louise Andersen. Wśród jej rzeczy znaleziono kartkę z tym numerem telefonu.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiada Peter. Trochę za szybko, uznaje Joachim.

– Dam ci szansę, żebyś mógł nam pomóc, zanim informacje zostaną przekazane policji – dodaje.

– Policji? O co chodzi? Kim jesteś?

– Mówiłem już, że mam na imię Joachim. Numer twojego telefonu został znaleziony w rzeczach Louise.

– Nie znam jej. Louise? Jak ma na nazwisko? To ją zwolniono z działu finansowego?

– Niewykluczone – mówi Joachim, zastanawiając się, jak poprowadzić rozmowę, żeby wyciągnąć z Petera jak najwięcej. – Znałeś ją?

– Nie – odpowiada Peter, w jego głosie słychać wahanie. – Raz poszliśmy do knajpy, po przyjęciu nowej ustawy finansowej. Tylko że tam było wtedy pół ministerstwa – dodaje. – Nie, to śmieszne.

– Pracowała w Ministerstwie Finansów? – ciągnie Joachim. Próbuje zyskać na czasie. Znaleźć pytanie, które pozwoli posunąć mu się do przodu.

– W Ministerstwie Finansów? Nie, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Socjalnych. Jesteś pewien, że dobrze trafiłeś? Nic o niej nie wiem. I proszę, nie dzwoń więcej – mówi Peter, ale nie rozłącza się.

– A Helene Söderberg? Coś ci to mówi? – pyta Joachim i w odpowiedzi słyszy ciszę. Peter już dawno odłożył słuchawkę.

Joachim stoi, trzymając w jednej ręce komórkę, w drugiej tekturową podstawkę. Żalotne. Cholerna podstawka. Z numerem telefonu do jakiegoś Petera z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Socjalnych. Czym oni się tam zajmują? Wykorzystywaniem dzieci, peselami. To są sprawy, które podlegają Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. I jeszcze chyba dane statystyczne.

Joachim poddaje się i idzie do sypialni. Siada na łóżku, spogląda przez okno. Morze jest spokojne. Niemal nieruchome. Popołudniowe niebo ma kolor głębokiego, nasyconego błękitu. Lato. Joachim tęskni za wiatrem, za sztormem. Za burzą z piorunami. Cokolwiek, tylko nie ten spokój, który zupełnie nie przystaje do tego, co on czuje. Jest sam, bez Louise. Na dodatek nie ma pojęcia, co się z nią

dzieje. Z nimi obojgiem.

10

Louise siedzi obok Joachima w samolocie do Kopenhagi, gdzie w szpitalu uniwersyteckim ma przejść wszelkie możliwe badania. Edmund gotów był jej towarzyszyć, o czym powiedział jej podczas odwiedzin w szpitalu, kiedy już odzyskała przytomność. Ale ona nie chciała.

W fotelu za nimi siedzi policjant Morten Rask. Choć Louise jest zmęczona, nie rozpiera się w fotelu. Nie chce siedzieć zbyt blisko policjanta, cały czas ma przed oczyma jego ręce. Pamięta, jak bębnił nerwowo palcami w blat stołu, kiedy ją przesłuchiwał. Szorstka skóra na jego palcach. Louise ogarnia obrzydzenie. On natomiast nie ukrywa, że jej nie wierzy. Zaginęła kobieta, może nawet dwie, więc teraz jest to sprawa dla policji, oświadczył Joachimowi, kiedy ten protestował w związku z podróżą do Kopenhagi. Joachim trzyma ją za rękę. Louise czuje ciepło jego dłoni na swojej skórze, która nagle wydaje jej się taka cienka. To wrażenie trwa od czasu – znieczulenia? A może to szok jest przyczyną jej nieustannego odczuwania zimna?

Ładują na lotnisku Kastrup. Policjant idzie obok nich, wskazuje drogę do postoju taksówek, otwiera im drzwi. Siada na miejscu obok kierowcy, każe taksówkarzowi jechać do szpitala uniwersyteckiego.

*

Ambulatorium mieści się na parterze. Louise zerka na korytarz i widzi, że obok drzwi do gabinetu stoi Edmund. Rozmawia z kimś z personelu, może z psychiatrą. Louise zauważa, jakim szacunkiem ludzie darzą Edmunda. Tak samo jak policjanci na Bornholmie. Joachim ściska mocno jej dłoń.

– Helene – mówi Edmund i patrzy na nią czule. Louise odwraca wzrok.

– Może dajmy najpierw przemówić nauce – zwraca się Joachim do Edmunda.

– Oczywiście. Już oddałem próbki krwi dzieci do analizy.

Dzieci. Louise powraca w myślach do zdjęcia. I uwiecznionej na nim dwójki dzieci. Pulchnej małej dziewczynki i trochę starszego chłopca z twarzą odwróconą od obiektywu. Czuje, jak pulsuje jej żyłka na skroni, podnosi dłoń, dotyka palcami głowy.

– Dobrze się czujesz?

Louise słyszy głos Joachima i nagle odkrywa, że wszyscy się jej przyglądają. Peszy się, zamyka usta, nie zdawała sobie sprawy, że stoi z otwartymi ustami. Na

korytarzu pojawia się kolejny lekarz.

– Dzieci? – powtarza Louise.

– Sofie i Christian – mówi Edmund. – Nie pamiętasz...

Lekarz chwyta Edmunda za rękę, powstrzymuje go, zanim powie coś więcej.

– Przepraszam, myślałem, że pani wie. Tak, jest dwójka dzieci, zbadamy ich DNA. Na razie nic jeszcze nie jest pewne – informuje ją lekarz.

– Tak, nic nie jest pewne – podchwytuje Joachim. – Proponuję, żebyśmy o tym pamiętali. Czy on naprawdę musi tu być? Nie powinniśmy bardziej oszczędzać Louise? Mam wrażenie, że dość na nią spadło w ciągu ostatniej doby.

Edmund podchodzi bliżej, wyciąga rękę. Ma na sobie nowy garnitur. Granatowy, kolor powagi. Louise próbuje uspokoić oddech. Dwoje dzieci. Ciemnowłosy mąż i dwoje dzieci.

– Zaraz zaczniemy badania – mówi lekarz spokojnym głosem. Najwyraźniej przywykł do takich sytuacji, do spraw związanych z ustaleniem rodzicielstwa, kiedy nagle pozamałżeńskie dziecko żąda udziału w rodzinnym majątku. To tu rozstrzygają się takie sprawy, jak kto z kim spłodził dziecko.

Lekarz wyciąga rękę w uspokajającym geście, ale widać, że sytuacja jest dla niego krępująca.

Udaje mu się nakłonić Edmunda do wyjścia z gabinetu. Wychodzi w towarzystwie pielęgniarki, która staje się mimowolnym świadkiem zdarzenia. Louise nienawidzi anonimowych świadków. Dlaczego przypadkowi ludzie mają oglądać ją w takim stanie, obnażoną, zawieszoną w niepewności?

*

Zostaje skierowana na badanie rezonansem magnetycznym. Leży w białej tubie, w silnie oświetlonym pomieszczeniu. Nagle lekarze odkrywają stary uraz, prawdopodobnie po uderzeniu. Czy właśnie o tym wspominała lekarka w Rønne? Pewnie tak. Lekarze nie są w stanie powiedzieć, co go spowodowało. Edmund zeznał, że w wieczór, kiedy zniknęła, wybrała się na przejażdżkę konną. Potem znaleziono jej konia i kask. Natomiast ona zniknęła. Lekarze nie mogą stwierdzić, czy uraz powstał w wyniku upadku z konia. Jedynie, że był poważny.

– Poważny? – Louise jest zdziwiona, czeka na dalsze informacje.

– Mógłby spowodować śmierć.

Dostaje jednoosobowy pokój, pielęgniarka podaje jej tabletkę, zaleca odpoczynek. Lekarze potrzebują trochę czasu na przeanalizowanie wyników. Sędziowie wydadzą wyrok. To słowa Joachima. Pozwolono mu zostać z nią w pokoju. Siedzi więc na krześle obok jej łóżka. Louise prosi, żeby zaciągnął firanki i zgasił światło. Jest zmęczona, ma wrażenie, że znajduje się wewnątrz jakiegoś klosza, coś dudni jej w głowie, nie może się z niego wydostać. Nie ma siły odpowiadać na żadne pytania, nie chce słuchać żadnych odpowiedzi. Natychmiast

zasypia. Kiedy się budzi, na zewnątrz panuje półmrok. Joachim siedzi na krześle i śpi. Głowa opada mu na piersi, ma rozchylone usta.

Louise obraca się na bok, żeby móc lepiej go widzieć. Leży cicho, nie chce zakłócić mu snu. Jego twarz jest pomarszczona, ogorzała od słońca i wiatru, żył ostro i to zostawiło ślad. Jednocześnie jest w niej coś rozbrajającego. Louise zastanawia się, jak wyglądał w dzieciństwie? Nagle czuje ukłucie. Wkrótce okaże się, czy ma dzieci. Ale przecież takich rzeczy się nie zapomina. Dlatego nie jest nią, nie jest Helene. Nie zapomina się, czy ma się dzieci czy nie.

Kiedy wreszcie zostają poproszeni do gabinetu, Louise uznaje, że wszystko toczy się za szybko. I chciałyby wiedzieć, i nie. Wchodzą do środka. W narożnym gabinecie mieści się owalny stół konferencyjny i biurko, w głębi stoją nawet niewielka kanapa i fotele. U szczytu stołu siedzi jeden z funkcjonariuszy, przed nim piętrzą się papiery, Louise siada naprzeciwko niego, plecami do biurka, ale tak, że widzi drzwi i okna. Joachim siada obok niej.

Pojawia się Edmund. Zajmuje dużo miejsca, widać, że jest kimś ważnym, ważniejszym od lekarza. Ważniejszym od Joachima?

W końcu lekarz odchrząkuje, patrzy na Louise.

– Wyniki badań nie pozostawiają żadnych wątpliwości – stwierdza cicho, jakby się wstydził. Louise cały czas bacznie mu się przygląda. Słyszy, jak mówi o wynikach testów DNA i wyjaśnia, jakie jest statystyczne prawdopodobieństwo błędu. Nic z tego nie rozumie, dociera do niej jedynie to, że jest Helene Söderberg. Kobieta, która zaginęła trzy lata temu.

Louise. Helene. Siedzi na krześle, czuje podłogę pod stopami, twarde krzesło pod udami, drewniane oparcie pod plecami. I dłoń Joachima w jej dłoni. A jednak ma wrażenie, że nagle znika. Unosi się. Rozpływa się w powietrzu. Chwyta mocniej dłoń Joachima, znika. Przestaje istnieć. Louise. Helene. Joachim. Edmund. Joachim i Louise. Helene i Edmund. Sofie i Christian. Dzieci. Jej dzieci. Nie jest sama na świecie. Nic nie jest takie, jak jej się wydawało. Ma korzenie. Nie wychowała się w domu dziecka. Ktoś za nią tęsknił. Tylko ona nikogo nie pamięta. Wszystko zapomniała. Ona. Nie oni.

To Joachim wybrał miejsce, a teraz tego żałuje. Patrzy na Louise, nie, na Helene. Siedzi przed nim blada i zmęczona. Restauracja nazywa się The Real Chinese, wydają się tu całkowicie nie na miejscu, kiedy tak siedzą w milczeniu, otoczeni ludźmi sukcesu. Joachim zerka na kartę, jego wzrok przykuwa słowo *real*, prawdziwy. Prawdziwe imię Louise brzmi Helene. Ostatnie kilka dni kręciło się tylko wokół tego. Louise, nie, Helene spotykała się z najlepszymi psychiatrami w kraju, którzy starali się wyciągnąć ją z mroku niepamięci, w którym ostatnio żyła. Bez powodzenia. Ale zdjęcia i filmy z jej udziałem przekonały ją. I Joachima. Właśnie odbyli wizytę w specjalistycznej poradni szpitala uniwersyteckiego, mieszczącej się w szarym starym budynku, tuż obok Instytutu Nielsa Bohra, jednego z ładniejszych, wchodzących w skład szpitalnego kompleksu. Joachim był gotów zaakceptować niemal każdą diagnozę, byleby nie była to amnezja wsteczna czy psychogenna.

Ale nie ma już żadnych wątpliwości. Chociaż lekarz ze szpitala uniwersyteckiego stwierdził to już kilka dni temu, prawda okazała się trudna do zaakceptowania. Głównie dla Helene. Chciała uciec od wszystkiego, błagała Joachima, żeby jak najszybciej ją stąd zabrał. Ale Joachim oparł się jej, powtarzał, że muszą być racjonalni. Rozsądek wziął górę.

To ona zaproponowała, żeby wyszli gdzieś wieczorem. I spokojnie porozmawiali. Teraz jednak milczy i unika jego wzroku. Joachim dotyka nerwowo pałeczek, rozgląda się zniecierpliwiony za kelnerem. Żadne z nich nie wie, jak zacząć rozmowę, do której prędzej czy później musi dojść. Co dalej? Są dzieci. To wszystko zmienia. Joachim nie jest w stanie wyobrazić sobie, co ona czuje. Ona. Helene. Czy teraz zacznie używać tego imienia? Jest przekonany, że byłby w stanie to zaakceptować. Podobnie jak fakt, że Helene ma dzieci. Dużo o tym myślał, czekając na nią w szpitalu, gdzie poddawano ją różnym testom i badaniom.

Inaczej sobie to wszystko wyobrażał. Miał nadzieję, że dzisiejszy wieczór stanie się odskocznią od koszmaru, w jakim Helene się znalazła. W jakim oboje się znaleźli. Gdyby tylko można było go usunąć z rzeczywistości. To by im pomogło. Przez moment stara się spojrzeć na nich z dystansu. Wyobraża sobie, jak widzą ich pozostali goście. Błazi, zgarbieni, milczący. Powinien coś powiedzieć. Nie mogą tak siedzieć i nie odzywać się do siebie. Musi być w stanie dotrzeć do kobiety, którą tak bardzo kocha. Pytanie. Proste pytanie, czy to takie trudne? Może coś o tej drugiej kobiecie? Tej, której teraz poszukuje policja. Prawdziwej Louise Andersen.

– W twoim plecaku znalazłem podstawkę pod szklankę – mówi.

– Podstawkę?

– Z zapisanym numerem komórki – ciągnie Joachim. Tłumaczy jej, że to numer do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Społecznych. Odebrał niejaki Peter. Opowiedział mu, czym ministerstwo się zajmuje: statystyką i ludźmi zagrożonymi wykluczeniem. Joachim mówi, a jednocześnie cały czas bacznie ją obserwuje. Nic nie budzi jej zainteresowania. Przekazał policji tę informację, ale najwyraźniej nie ma żadnych powiązań między tekturową podstawką a Helene czy Louise.

– Przesłuchiwali cię dzisiaj? – pyta nagle głosem tak zmienionym, że ledwie sam go rozpoznaje. Kładzie rękę na jej dłoni, ale ona ją cofa. Kładzie ręce na kolanach. Rozumie, że coś ją gnębi, coś jest nie tak.

– O co cię pytali?

– Wypytywali mnie o Louise. Wydają się przekonani, że jednak coś pamiętam. Lekarze twierdzą, że pamięć może mi wrócić. Im więcej informacji będę miała, tym większa szansa, że zacznę sobie coś przypominać. Ale pytania policji wskazują, że są przekonani, że kłamię.

– Wiedzą coś o niej?

– Nie, wszystkie ślady kończą się w momencie, kiedy wyprowadziła się z pokoju w Randers. Raz była zatrzymana, ale na krótko, potem pojawia się dopiero, kiedy w Rønne zeszałam z promu z jej plecakiem.

– Z jej zardzewiałym plecakiem.

– Co?

– Nic – mówi Joachim i wzrusza ramionami. – Spód plecaka był zardzewiały.

Louise uśmiecha się i kręci głową.

– Ty i te twoje szczegóły.

– Szczegóły tworzą narrację.

– W szczegółach tkwi diabeł – dodaje Louise. Przez moment rozmawiają jak dawniej. Zanim to wszystko się wydarzyło. Louise też chyba tak to odbiera. Czy dlatego zaraz znów się wycofuje?

– Zeszałaś z promu i trafiłaś do szpitala? W Rønne?

– Tak.

– Pamiętasz to?

– Pamiętam, że się obudziłam i bolała mnie głowa.

– Od uderzenia – mówi Joachim.

Próbuje przypomnieć sobie, co mówił mu policjant. Helene zeszała z promu w Rønne, znaleziono ją na nabrzeżu nieprzytomną. Karetka zabrała ją do szpitala. Wkrótce odzyskała przytomność. Miała przy sobie plecak Louise Andersen. Dlatego lekarze uznali, że tak właśnie się nazywa. Louise. Reagowała na to imię.

– Coś państwo zamawiają? – Kelner stoi obok stolika i przygląda się im.

Joachim recytuje swoje zamówienie. Za dużo jedzenia. Wie, że ledwie je

tknie. Kelner odchodzi, a Louise pogrąża się we własnych myślach. Joachim chciałby coś powiedzieć, ale się waha. Jak ma się do niej zwracać? Którego imienia używać? Musi ją o to spytać. Chociaż bardzo nie chce. Cała sytuacja jest dla niego ciężka.

– Louise – mówi cicho. A ona reaguje, ale na jej twarzy maluje się smutek.

– Mam przestać tak do ciebie mówić?

– To takie dziwne... Nie wiem. – Podnosi dłonie, zakrywa nimi twarz, siedzi tak chwilę, po czym opuszcza ręce. – Cały dzień odpowiadałam na pytania dotyczące tej kobiety.

– Mam mówić do ciebie Helene? Tak? – pyta Joachim i znów słyszy, jak dziwnie brzmi jego głos, inaczej niż zwykle.

– Joachim, muszę ci coś powiedzieć. – Nachyla się w jego stronę, bierze go za rękę, tym razem to on się waha. Helene opuszcza głowę, włosy zakrywają jej twarz. Wszystko jest nie tak. Więż, która jeszcze tak niedawno była między nimi, zniknęła. – Joachim... Nie możemy dalej żyć razem. W Silkeborgu czeka na mnie inne życie. Mąż, dwójka dzieci.

– Oczywiście, że nie możemy żyć, jakby nic się nie stało – mówi Joachim, szybko, nerwowo. – Oczywiście, że wiele się zmieniło, ale poradzimy sobie. Możemy się przeprowadzić. Zamieszkać gdzieś blisko nich. Dzieci będą częścią naszego życia, oczywiście, ja...

Helene puszcza jego dłoń, Joachim milknie.

– Nie, nie rozumiesz mnie – mówi Helene. – Ja nie mogę dalej tak żyć. Moje życie jest gdzie indziej. Mam pracę, firmę, która zatrudnia dużo ludzi. Męża. Edmund jest moim mężem. Ty i ja... Nie możemy się widywać.

– Doskonale cię rozumiem – zapewnia Joachim, chociaż to nieprawda. Rozumie, że Helene jest w szoku. Boi się. To normalne, ale przecież nie muszą podejmować żadnych decyzji. Jeszcze nie. – Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś się deklarowała, teraz, natychmiast. Jesteś w szoku, wszystko stało się tak nagle. Wyjdźmy stąd, nie powinniśmy tu przychodzić, to był błąd. Wróćmy do hotelu.

Helene kręci głową. Joachim widzi, że jest spocona, jemu też jest gorąco, czuje ból w klatce piersiowej.

– Chodzi o pieniądze? O to, że on jest bogaty?

– Jak możesz tak mówić? – przerywa mu oburzona, a Joachim wyrzuca sobie swoje słowa.

– Przepraszam, wiem, że nie.

Przeprasza ją, ale zdaje sobie sprawę, że słów już nie cofnie. Helene milczy dłuższą chwilę. Kiedy znów się odzywa, ma zmieniony głos. Jest poważna, słysząc, że przemyślała pewne rzeczy.

– Jeśli nie zaangażuję się w to całym sercem, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Wiesz, jak się czuję, kiedy myślę o tym, co już straciłam? Zawiodłam swoje dzieci, nienawidzę siebie za to. Na trzy lata zniknęłam z ich życia, rozumiesz to? Były przekonane, że nie żyję.

Helene nachyla się, chowa twarz w dłoniach i płacze. Joachim wstaje od stolika z dziwnym uczuciem, jakby stał obok i wszystkiemu się przyglądał, jakby to wszystko w ogóle go nie dotyczyło. Po chwili kuca obok niej i obejmuje ją. Wstaje ponownie, ciągnie ją za sobą, trzyma mocno i razem wychodzą z restauracji, uciekają od obcych spojrzeń.

Na ulicy znów ją obejmuje. Czuje, że Helene ulega, poddaje mu się. Stoją tak długą chwilę, aż wreszcie obojgu brakuje łez. Joachim chłonie jej słodki, łagodny zapach. Doskonale ją rozumie. Wie, co najbardziej ją boli. Wie, że musi to zrobić. A jednak pyta:

– Naprawdę to musi odbyć się tak szybko?

– Tylko w ten sposób możemy to zrobić.

Joachim kiwa głową, ale trudno mu się z tym pogodzić. Nie chce jej puścić.

– Muszę już iść – szepcze Helene.

Łagodnym ruchem wyswobadza się z jego objęć. Mówi, że jutro czekają ją kolejne badania, lecz Joachim już jej nie słucha. To zbyt bolesne. Patrzy na nią, widzi, jak odsuwa ręką kosmyk włosów z twarzy. Usiłuje zapisać w pamięci ten gest. Naprawdę już nigdy jej nie zobaczy? Nie zobaczy, jak śpi u jego boku, kiedy rano obudzi się w swoim łóżku?

– Muszę już iść – powtarza Helene cicho. – Samochód czeka...

Spuszcza wzrok, patrzy w ziemię. Joachim wie, że ma na myśli Edmunda. A więc już wcześniej się z nim umówiła. Z mężczyzną, który zrozpaczony szukał jej całe trzy lata. Aż pewnego wtorkowego poranka dostał list od dalekiego znajomego z wiadomością, że ten widział kobietę, która przypominała mu zaginioną żonę Edmunda. Zareagował natychmiast i jeszcze tego samego dnia poleciał na Bornholm prywatnym samolotem. Noc spędził, siedząc na ławce w szytym na miarę garniturze wartym wiele tysięcy koron. Kiedy tylko wzeszło słońce, poszedł do kawiarni i zaczął wypytywać o Helene. Wołał ją. I w końcu ją znalazł.

Joachim kręci głową, po chwili mówi:

– Nie zapomnisz tego, co razem przeżyliśmy?

– Jak mogłabym – odpowiada Helene czule. W jej oczach jest miłość, Joachim powstrzymuje się, żeby jej nie dotknąć, wkłada ręce do kieszeni. Stoi przed nią, ma uniesione ramiona, odzywa się ciemnym głosem pełnym smutku.

– Wiem, że musisz tak postąpić, doskonale to rozumiem, ale dałbym wszystko, żeby tak się nie stało. Wiedz, że zawsze będę myślał o tym, jak mogło się potoczyć nasze życie. Codziennie rano będę myślał, że ty pewno też już nie śpisz. I będę za tobą tęsknił... – nagle urywa. – Nie zostanę na Christiansø – dodaje

po chwili ku własnemu zdziwieniu. Podjął tę decyzję w momencie, kiedy wypowiedział te słowa, jednak nie ma wątpliwości. – Wracam do Kopenhagi, nie zostanę na Christiansø bez ciebie. Ale wiesz, gdzie mnie szukać. Gdybyś...

Nie kończy. Helene milczy, porusza się niespokojnie. To chwila rozstania. Muszą się pożegnać. Joachim chce ją objąć, ona uprzedza go i się cofa. Próbuje się uśmiechnąć, ale wychodzi z tego grymas.

– Może znów zaczniesz pisać – mówi, starając się, żeby zabrzmiało to jak zachęta.

Joachim patrzy na nią. I wtedy coś do niego dociera. Najwyraźniej jej też przyszło to do głowy. Kiedy siedział w swoim pokoju, sfrustrowany i zły. Że to z jej powodu.

– To nie ma znaczenia. Pragnę tylko ciebie – szepcze, ale jego głos nie jest w stanie unieść tych wszystkich słów, załamuje się. Helene robi krok do tyłu.

– Louise...

Helene kręci głową. To na nic. Odwraca się. Joachim nadal stoi, chociaż też powinien się odwrócić, zamiast śledzić ją wzrokiem, niemal jak masochista, patrzeć, jak idzie ulicą, nie odwracając się. A potem jak wsiada do dużego samochodu. Od początku wiedział, że tak to się skończy. Samochód cały czas na nią czekał. Teraz zawraca, ona siedzi na tylnej kanapie, z przodu siedzi mężczyzna, którego Joachim nigdy nie widział. Światło zmienia się na zielone. Joachim w końcu jest w stanie się poruszyć, idzie za samochodem w stronę placu Ratuszowego, z oczami wpatrzonymi w czerwone światła stopu. Zastanawia się, czy są jakieś słowa, które by sprawiły, że wróciłyby do niego, tylko on jeszcze ich nie znalazł.

Zatrzymuje się. Czerwone światła zniknęły, zlały się ze światłami innych samochodów. Louise zniknęła.

Na bezchmurnym niebie świeci słońce. Właśnie w taki dzień Helene wraca do domu. Siedzi w samochodzie i nie może się zdecydować, przez które okno patrzeć. Nie ma pojęcia, z której strony leży dom. Ani jak wygląda. Ale jedna myśl nie daje jej spokoju: a jeśli go rozpoznam? Może nagle, kiedy go zobaczy, poczuje, że jest w domu, u siebie. W okolicach Silkeborga, szepcze do siebie i spostrzega, że kierowca przygląda się jej w lusterku. Mężczyzna ma na sobie garnitur i wygląda raczej jak urzędnik banku niż kierowca. Edmunda nie ma przy niej. Polecił wcześniej, żeby przygotować dzieci na spotkanie z matką. Ostatnie dni były bardzo trudne. Już bez Joachima. Nie ma pojęcia, co ją czeka.

Lekarze robili wszystko, by mogła odzyskać choć część wspomnień. Mają nadzieję, że spotkanie z dziećmi okaże się tak silnym przeżyciem, że być może pamięć powróci. To się zdarza, na całym świecie są tego przykłady, tłumaczył jej Hans Peter Rosenberg, jeden z czołowych duńskich specjalistów, u którego Edmund załatwił jej wizytę. Rosenberg uczestniczył w wielu zagranicznych konferencjach poświęconych amnezji mającej źródło w różnych okolicznościach – wynikającej ze stresu czy urazu, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Jeśli chodzi o nią, Rosenberg jest przekonany, że amnezję wywołało uderzenie w głowę. Może nawet nie jedno. Na pewno uderzyła się, spadając z konia w dniu, w którym zniknęła. Drugi raz mogła doznać urazu na promie płynącym na Bornholm.

Helene kręci głową. Nie ma siły o tym myśleć, męczy ją to. Zastanawiała się, czy powinna skontaktować się z kimś, kto doświadczył czegoś podobnego. Kto, podobnie jak ona, zapomniał, kim był w przeszłości. Dziwnie się czuje. Nagle przychodzi jej na myśl, że opuszczając Joachima, popełniła największy błąd w życiu. Lecz nie ma dobrych rozwiązań, są tylko złe. Wie, że przede wszystkim musi myśleć o dzieciach.

To ona postanowiła, że przyjedzie rano. Pomyślała, że lepiej rano niż po południu czy wieczorem. Zjawi się rankiem, nowy początek. To jednak oznaczało, że musiała wyjechać z Kopenhagi w środku nocy, ale przecież i tak nie mogłaby spać. Po drodze wszystko dokładnie obserwuje. Rozpoznaje coś?

Samochód skręca w długą aleję, widać wysokie ogrodzenie wokół domu. Poranne słońce odbija się od okien wielkiej willi, może wręcz pałacu? Nie jest pewna, gdzie jest granica, jednak wie na pewno, że go nie rozpoznaje. Czuje zawód, zaciska ręce na pasku torebki. Oddycha szybko, urywanie, patrząc na otynkowane na biało ściany budynku, dwa piętra, dwa balkony z eleganckimi balustradami z kutego żelaza, szerokie kamienne schody prowadzące do wejścia,

do wysokich podwójnych drzwi. Przed domem znajduje się zadbane klomb z niewielką fontanną na środku. Kiedy samochód pokonuje ostatni odcinek drogi, Helene patrzy skupiona na cztery wykute z marmuru ryby, z których pysków tryskają strumienie wody mieniającej się w porannym słońcu. Pamięta je? To ona je wybierała? Louise nigdy nie wybrałaby takich, nie są w jej guście. Joachim z pewnością by je wydrwił.

Zanim zdążyła sięgnąć do klamki i otworzyć drzwi, Edmund już był przy samochodzie, nawet nie zauważyła, kiedy podszedł.

– Witaj w domu – mówi i uśmiecha się pełen nadziei. Podaje jej rękę, którą ona przyjmuje z lekkim wahaniem. Po raz pierwszy się dotykają. Nie, po raz pierwszy ona dotyka jego z własnej woli. Przypomina sobie, jak chwycił jej dłoń w kawiarni. W kawiarni, która teraz jest zamknięta. Helene wypłaciła Linie trzymiesięczną pensję, ale nie wymówiła najmu lokalu. Został przejęty przez Söderberg Shippinhg. Edmund się o to zatroszczył.

– Podróż była męcząca?

Helene słyszy jego głos, wzrusza ramionami. Tak. Wyczerpująca. Z każdym kilometrem oddalała się od Joachima, ból stawał się coraz większy. Ale i tak pewnie nie był tak duży, jak ten, który musiały czuć jej dzieci, kiedy zniknęła. Powtarza to sobie już kolejny raz. Ruszają schodami na górę, nagle Edmund się zatrzymuje.

– Dzieci jeszcze śpią. Chcesz rozejrzeć się po okolicy, czy najpierw zajrzeć do domu? – pyta, spokojnie, łagodnie.

– Chcę zobaczyć wszystko, nie jestem zmęczona – mówi, nieco zawiedziona, że spotkanie z dziećmi odsuwa się w czasie.

Edmund pokazuje jej dom od tyłu. Widok jest oszałamiający, patrzy zdziwiona na jezioro, które rozciąga się jakby w przedłużeniu zadbanego trawnika. Wie, że są ludzie, którzy tak mieszkają. Bardzo bogaci ludzie. Ale kiedy teraz stoi tu i próbuje sobie uświadomić, że to wszystko należy do niej, łącznie z tym ogromnym ogrodem schodzącym do jeziora, to nagle wydaje jej się to dziwnie nierzeczywiste. Wokół domu jest taras otoczony kamieniami. Helene wzdryga się. Rozpoznaje go, taras i podwójne szklane drzwi prowadzące do domu. I wtedy przypomina sobie zdjęcie, które pokazano jej w komisariacie. Zdjęcie przyjęcia urodzinowego. Stała wtedy na tym tarasie z tacą w ręce. Uświadamia sobie, że nie wie nawet, czyje urodziny obchodzono. Któregoś z dzieci? Christian i Sofie. Powtarza ich imiona, jakby się bała, że zaraz je zapomni. Absurdalne, skoro uczestniczyła w ich wyborze.

– O której dzieci zwykle wstają? – pyta.

– Różnie. Wczoraj miały kłopoty z zaśnięciem, więc pomyślałem, że możemy dać im się wyspać, ale może zaraz się obudzą, były bardzo podniecone – mówi Edmund i wzrusza ramionami, jakby przeproszał za niejednoznaczność

odpowieź.

Idą nad jezioro, powolnym, spacerowym krokiem, obok siebie. Helene nie może się nadziwić, że wszystko wydaje jej się oczywiste, a jednocześnie dziwne.

– Rozpoznajesz coś? – pyta Edmund.

Helene odwraca się, spogląda na dom, na dach z glazurowanej dachówki, białe ściany i fontannę, która jej się nie podoba. Czy coś rozpoznaje? Zerka na Edmunda. Widzi, że czeka na odpowiedź.

– Może widok – mówi z wahaniem, ostrożnie. Sama w to nie wierzy, ale chciałaby mu coś dać.

– Widok?

– Tak. Woda. Może dlatego na Christiansø wybrałam dom z podobnym widokiem.

Idą dalej, ramię w ramię, w stronę wody. Na niewielkim wzgórzu po drugiej stronie jeziora pasą się krowy. Zerka na Edmunda. Nic o nim wie. Powinna zadać mu jakieś pytania. Tylko od czego ma zacząć? Zresztą mają czas. Teraz powinna skupić się na domu, na okolicy. Widzi pomost, ale nie cumują przy nim łodzie. Powierzchnia jeziora pokryta jest kręgami, pojawiają się i znikają.

Potem Edmund wprowadza ją po domu. Przechodzą przez kolejne wysokie pokoje. Meble obite aksamitem, kryształowe żyrandole, porcelanowe wazony. Zdecydowanie nie w jej guście. Wszystkie pomieszczenia wydają jej się bezosobowe, jakby to było muzeum, a nie miejsce, gdzie mieszkają ludzie. Może nie tyle muzeum, ile coś na pokaz, coś, czym chciałoby się pochwalić. Jej mieszkanie na Christiansø było inne. Nie na pokaz. To było ich miejsce, ich kryjówka. Czym w takim razie jest ten dom? Przychodzą jej na myśl egipskie grobowce, w których gromadzono to, co chciano zabrać ze sobą w śmierć, niewiarygodne bogactwa. Czy jej dom jest grobowcem? Nie chce tak o nim myśleć. Nie chce też myśleć, że jest dziedziczką tego wszystkiego, to jakby za wiele, musi powoli oswajać się z rzeczywistością. Teraz musi skupić się na dzieciach. Zastanawia się, kiedy wstaną. Gdy na schodach rozbrzmiewają kroki, wzdryga się. Edmund kładzie rękę na jej ramieniu, a ona pozwala mu na ten gest, chociaż nie przychodzi jej to lekko.

– To Caroline. Opiekuje się dziećmi – uspokaja ją Edmund.

Do pokoju wchodzi kobieta. Wygląda na siedemdziesiąt lat. Jest ubrana w spódnicę i różowy sweter bliźniak. Ma długie, rozpuszczone włosy, dość niezwykle jak na kobietę w tym wieku, ale do twarzy jej w nich. Bierze rękę Helene i się przedstawia.

– Caroline.

– Czy my się znamy? – pyta Helene z wahaniem.

– Nie, zostałam zatrudniona już po pani zniknięciu – odpowiada kobieta uprzejmie.

Helene patrzy na Edmunda. Najwyraźniej dokonał dobrego wyboru. Caroline nie zastąpiła dzieciom matki, ale ma w sobie dużo miłości.

– Dzieci już nie śpią, mogą w każdej chwili zejść – oznajmia Caroline, a Helene się wzdryga.

Tak więc zaraz się to stanie. Naprawdę. Nareszcie. Edmund ponownie kładzie rękę na jej ramieniu, uspokaja ją. Tym razem przyjmuje to z wdzięcznością.

– Przyrowadź je – zwraca się Edmund do Caroline, po czym szepcze do Helene: – Caroline chciała wyjechać już wczoraj.

– Dlaczego?

Edmund wzrusza ramionami.

– Nie chce wam przeszkadzać. Tobie i dzieciom. Ale poprosiłem, żeby jeszcze trochę została – mówi i uśmiecha się niepewnie.

Helene spuszcza wzrok. Nie ma nic przeciwko temu, żeby starsza pani jeszcze została, na wszelki wypadek. Może przecież się zdarzyć, że Helene znów zniknie. Słyszy kroki na schodach. Łagodne kroki Caroline, ciche i spokojne, i te drugie, inne. Jedne nieco powolne, drugie wyraźnie niecierpliwe. Po chwili dzieci stają w drzwiach, trochę jeszcze zaspane, w piżamach. Helene wstrzymuje oddech, nie wie, jak na nią zareagują. Targają nią sprzeczne uczucia: radość i zawód. Nie rozpoznaje dzieci. Nigdy ich nie widziała. A jednak dziewczynka jest do niej podobna, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Chłopiec, Christian, jest starszy. Dość mocno zbudowany wygląda na więcej niż swoje osiem lat. Jest podobny do ojca. Te same ciemne włosy, ten sam prosty, trochę za duży nos i wyraźnie zaznaczone brwi. Ładny chłopiec, który wyrośnie na przystojnego mężczyznę. A córeczka? Helene przygląda się jej zdziwiona. Widzi rozczochrane po nocy jasne włosy. Oczy, szarzielone, jak jej. Stoi teraz z podniesionymi ramionami, trzyma Caroline za rękę i onieśmielona zerka na Helene. Christian zatrzymał się na progu, stoi niezdecydowany. Najchętniej pewnie zawróciłby i wyszedł. Helene wie, że musi coś zrobić, coś powiedzieć. Jest ich matką. Matką... Kręci jej się w głowie, dopiero teraz dociera do niej znaczenie tego słowa. Jest matką dwójki myślących młodych ludzi. I przez długi czas nie było jej z nimi. Podchodzi powoli bliżej, kuca obok Sofie.

– Cześć, Sofie, na pewno mnie nie pamiętasz, byłaś malutka, kiedy ja... – urywa, waha się. Jakich słów powinna użyć? Zerka na Edmunda, ale w jego spojrzeniu nie znajduje pomocy.

– Pewnie wiesz, że uderzyłam się w głowę i straciłam pamięć. Na szczęście tata mnie odnalazł. Teraz wróciłam i będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby lepiej się poznać.

Helene ściska rączkę córeczki i wstaje. Zwraca się do Christiana, który cały czas uważnie jej słuchał.

– A ty mnie pamiętasz? – pyta łagodnie.

Chłopiec waha się, patrzy na nią i w końcu mamrocze pod nosem:

– Myślałem, że nie żyjesz.

Poważne słowa nie pasują do jego wysokiego, chłopięcego głosu. Helene czuje ukłucie w sercu, czuje ból. To mały chłopiec. Wygląda na starszego, ale nie wolno jej zapominać, że ma dopiero osiem lat. Jest dzieckiem, które straciło matkę.

– Mogę zobaczyć wasze pokoje? – pyta. Żadne z dzieci jej nie odpowiada. Nie bardzo wie, co powinna teraz zrobić.

– Chodźcie, pokażecie mamie swoje pokoje – odzywa się Edmund zdecydowanym głosem.

Helene czuje ulgę. Dzieci wychodzą z pokoju, ona i Edmund idą za nimi, Edmund krok przed nią. Patrzy na nich. Jej rodzina. To jest jej rodzina.

*

Helene spędza dwie godziny, siedząc na podłodze w pokoju Sofie. Christian pierwszy pokazał swój pokój, typowo chłopięcy, porządny, w którym wszystko ma swoje miejsce, po czym oświadczył, że musi odrobić lekcje. Edmund zaprotestował, ale Helene powiedziała, że rozumie, oczywiście powinien zająć się lekcjami. Nie chce mu się naprzykrzać. Jest starszy od Sofie, miał pięć lat, kiedy Helene zniknęła, na pewno przeżył to bardziej niż młodsza siostra. Musi minąć trochę czasu, zanim zrozumie, że naprawdę wróciła. Edmund na szczęście wydaje się rozumieć sytuację. Wycofał się dyskretnie, kiedy Sofie zaproponowała, że pokaże jej swoje lalki. Pokój córki to typowy pokój księżniczki, marzenie wszystkich dziewczynek. Helene zastanawia się, czy uczestniczyła w jego urządzaniu, czy też Sofie przeniosła się tu już po jej zniknięciu. Ubierają lalki, uzgadniają kto się z kim przyjaźni, od czasu do czasu Sofie zerka na matkę.

– Chcesz zobaczyć Lucky’ego? – pyta nagle.

– Lucky’ego?

– Mojego kucyka. Jest cały biały – odpowiada dziewczynka. Promienieje, onieśmielenie gdzieś zniknęło. Kiedy schodzą po schodach, bierze Helene za rękę.

*

Wchodzą do stajni. Przez okna w dachu wpadają promienie słońca. Po obu stronach znajdują się boksy, w których stoją konie. Kiedy matka z córką przechodzą, niektóre z nich wystawiają łby, nastawiają uszu. Helene widzi ich inteligentne oczy, duże nozdrza i pięknie zarysowane chrapy. Arabcy. Chyba wszystkie są tej samej rasy.

I nagle ma wrażenie, że miejsce jest jej dziwnie znane. Ten zapach: siana, trawy, koni. Zacerpuje łapczywie powietrza, chłonie szczegóły. Na końcu stajni sprząta młoda dziewczyna. Ładna, ciemnowłosa, pewnie koło dwudziestki, jeździecki strój podkreśla jej krągłe biodra i kształtne piersi. Wita się serdecznie

z Sofie, kiwa chłodno głową Helene, która cieszy się, że to nie ją Edmund wybrał na opiekunkę do ich dzieci. Podaje dziewczynie rękę, przedstawia się. Dziewczyna bierze jej dłoń z pewnym oporem, ściska lekko i natychmiast puszcza.

– Mam na imię Katinka, proszę pani – mówi.

Tego Helene się nie spodziewała. Nie chce, żeby zwracano się do niej w ten sposób. W jej uszach brzmi to śmiesznie, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, Sofie już ciągnie ją dalej. Z jednego z boksów wystaje łeb śnieżnobiałego konia.

– Mamo? To jest Lucky – oświadcza dziewczynka i otwiera drzwi boksu.

Helene uśmiecha się. Czuje łzy w oczach, lecz powstrzymuje je. Mamo.

*

Po drugim śniadaniu Caroline zabiera dzieci do ich pokoi, zaś Edmund oświadcza, że musi zająć się pracą.

– Tylko godzinę – dodaje przepraszająco.

Helene zostaje sama. Po raz pierwszy od wielu dni jest sama. W sypialni. Podchodzi do podwójnych szklanych drzwi prowadzących na jeden z pięknych balkonów. Widok zapiera dech w piersiach. Trawnik jest ozdobiony licznymi kwiatowymi rabatami, w oddali widać jezioro, na którym kołyszą się białe łodzie, dokoła las, widać też piękne zabudowania stajni. Wciąż nie może pojąć, że to jest jej dom. Odwraca się i patrzy na łóżko. Podwójne małżeńskie łożo. Przetyka ślinę. Podchodzi bliżej, przesuwając dłoń po grubej kapie. Kładzie się na łóżku, na plecach, patrzy na sufit. Po chwili wstaje, podchodzi do okna, dotyka czołem chłodnej szyby. Czuje, że się poci. Widzi, jak Edmund idzie przez trawnik, kieruje się w stronę pomostu, rozmawia przez komórkę, gestykuluje, ale jego ruchy są spokojne. Jej mąż. Ona stoi w sypialni. Ich dzieci odpoczywają w swoich pokojach. Wróciła do domu.

Przy kolacji Christian w końcu się ożywia. Milczący, zamknięty w sobie chłopiec gdzieś zniknął. Siedzi i opowiada jakąś zabawną historyjkę, niedawno zasłyszaną w szkole, o kacze, która idzie do rzeźnika i prosi o kukurydzę. Sam żart okazuje się mniej dowcipny niż sposób, w jaki Christian go opowiada. Sofie zaśmiewa się i to chyba jest w tym wszystkim najlepsze.

Potem zjawia się Caroline i zabiera dzieci na górę. Czeka je kąpiel, potem pójść spać. Helene widzi, że są bardzo zmęczone. Nie chce zmieniać ich przyzwyczajęń. Tym bardziej, że jest to jej pierwszy wieczór w domu. Dzieci podchodzą do Edmunda i życzą mu dobrej nocy. Sofie gramoli mu się na kolana i go obejmuje, Christian mówi tylko dobranoc. Dziewczynka waha się, ale po chwili podchodzi też do Helene, która rozkłada ręce, a mała wdrapuje się jej na kolana i ją obejmuje. Mocno. Helene zamyka oczy i napawa się zapachem ciepłego ciała dziecka. Kiedy otwiera oczy, widzi przed sobą Christiana. Chłopiec się waha, ale stoi blisko. Helene obejmuje go jedną ręką, przyciąga do siebie, a on pozwala jej na to, opiera się o nią, jednak cały czas przypatruje się jej uważnie swoimi poważnymi niebieskimi oczami. Po raz pierwszy patrzą sobie w oczy. Matka i syn.

– Dobranoc, mamó.

Helene ściska go, mocno i długo. Mamó. Jak dobrze to słyszeć. Może i jest nikim, człowiekiem pozbawionym tożsamości, ale jest matką. Jest matką, żoną, dziedziczką. Pewnie minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczai, szczególnie do tego ostatniego. Za każdym razem, kiedy Edmund rozpoczyna rozmowę o firmie, powstrzymuje go. Na wszystko przyjdzie pora. Teraz musi się skupić na tym, co najważniejsze.

– Dobranoc, skarbie – mówi głosem schrypniętym ze wzruszenia.

Siedzą chwilę w milczeniu, Edmund bawi się serwetką.

– Smakowało ci? – zagaduje.

Helene zerka na talerz. Niemal niczego nie tknęła. Zjadła jedynie kęs pieczeni wieprzowej. Szparagi w białym sosie i ziemniaki są nietknięte.

– To twoje ulubione danie.

– Tak? – Patrzy zdziwiona na talerz. Ma łzy w oczach, chociaż nie bardzo wie dlaczego. Jej ulubione danie? Na wyspie nigdy nie zjadłaby czegoś tak ciężkostrawnego.

– Chcesz obejrzeć zdjęcia? – pyta Edmund i wstaje.

Nie zauważył jej łez i dobrze. Helene kiwa głową, wstaje i idzie za nim do dużego salonu, którego okna wychodzą na taras. Szklane drzwi są otwarte,

wieczorne słońce rozświetla salon. Na zewnątrz w dole rozciąga się jezioro, z daleka wygląda jak morze. W salonie stoją dwie duże kanapy obite aksamitem w kolorze zwiędłej zieleni, między nimi – niski stolik. Wzdłuż ścian stoją wąskie, białe stoliki, w antycznych wazonach są kwiaty. Nad nimi wiszą obrazy, krajobrazy w ponurych kolorach, podobne do tych z sypialni. Helene zastanawia się, czy sama je wybierała?

– Po twoim zniknięciu zebraliśmy je w albumie – mówi Edmund. Helene patrzy na niego, po czym przenosi wzrok na leżący na stoliku album ze zdjęciami. – Oglądaliśmy je wieczorami. Ja i dzieci – dodaje.

Helene spuszcza wzrok. Wyobraża sobie, jak Edmund i dzieci siedzą wieczorem na kanapie i oglądają zdjęcia zaginionej matki. Podczas gdy ona cieszyła się słońcem w Gudhjem i kochała z Joachimem. Co z niej za matka? Może byłoby lepiej, żeby nie żyła?

Siada na kanapie, Edmund otwiera pierwszy album, przysuwa się do niej, kładzie jej go na kolanach. Wskazuje na pierwsze zdjęcie, na którym ona siedzi na koniu, kasztanowym arabie. Ma na sobie niebieskie spodnie do jazdy konnej, uśmiecha się szeroko.

– Jeździłaś konno po wypadku? – pyta Edmund.

Helene kręci głową, wraca myślami do ranka, kiedy razem z Sofie odwiedziła stajnię. Nie przestraszyła się koni, ale nie czuła też potrzeby, że podejść do nich bliżej.

– Jeździłaś codziennie. To twoje konie – ciągnie Edmund.

– Mamy hodowlę? – pyta zaciekawiona.

– Też, ale to przede wszystkim konie sportowe. – Edmund wzrusza ramionami i mówi dalej. Wskazuje na zdjęcie, na którym Helene stoi obok kasztanowego konia.

– To twój ulubieniec. Samir. Codziennie na nim jeździłaś.

Wypadek. Uraz głowy. Pewnie to próbuje jej powiedzieć. Helene przygląda się zdjęciu. I ona, i koń wyglądają na odprężonych, stoją spokojnie.

– Ćwiczyłaś przed wyścigami, często nie było cię nawet kilka godzin, jeździłaś też po zmroku. Ale tamtego dnia Samir wrócił z lasu sam. Stajenny przyszedł do mnie i razem pojechaliśmy cię szukać. Przeczesał wszystkie ścieżki, którymi zwykle jeździłaś. Szukałem cię całą noc, wołałem.

Głos Edmunda jest spokojny, choć ręce, w których trzyma album, drżą lekko. Helene próbuje wyobrazić go sobie na koniu. Jadącego przez las, z latarką. Przerażonego, że znajdzie ją ranną, może nawet martwą.

– Twój kask leżał niedaleko miejsca, gdzie stał Samir.

W salonie zapada milczenie. Słońce zachodzi, światło w pokoju przybiera pomarańczowy odcień, lekki powiew wiatru niesie ze sobą zapach lata. I jeszcze czegoś. Jeziora. Słodka woda pachnie inaczej niż morska, do której zdążyła już

przywyknąć. Zapach jeziora jest słodszy. Czuć w nim... błoto? Edmund wstaje, zamyka drzwi, Helene odwraca stronę w albumie. Też jest wypełniona jej zdjęciami, jej i koni, następna i kolejne podobnie. Jest też dużo zdjęć kasztanowego konia, Samira. Edmund zapala światło, reguluje moc, aż znajduje właściwą. Wraca, siada na kanapie obok niej. Tym razem już nie tak blisko.

– Policja przeczesła cały teren i niestety nic nie znalazła. Szukali wiele dni, patrole z psami, śmigłowce. Przeszukali nawet jezioro. Wspomniano o samobójstwie, ale... – Edmund urywa, wzdycha. – Potem uznano cię za zaginioną, w Danii i za granicą. I znów nic, żadnego śladu. Zniknęłaś. Tak po prostu.

Helene słucha go. To przecież jej historia. To przydarzyło się jej.

– Czym się zajmowałam? Rozumiem, że konie to było moje hobby. Pracowałam? – pyta, nagle zniecierpliwiona.

– Współzarządzałaś firmą. Należała do twojego ojca. To on stworzył Söderberg Shipping, kontynuujemy to, co zaczął.

– Mój ojciec – mówi Helene. Powtarza słowo kilka razy, czuje, jak przechodzi ją fala ciepła. Zatem nie wychowywała się w domu dziecka, bez bliskich.

– Opowiedz o mojej rodzinie. O ojcu, matce, jacy oni byli?

– Wywodzi się z bardzo znanego rodu. Twój pradziadek był współinicjatorem patriotycznych spotkań na Himmelbjerget – zaczyna Edmund, a Helene widzi, jak cały czas wypatruje w jej spojrzeniu czegoś, co świadczyłoby o tym, że może jednak coś pamięta. A ona za każdym razem go zawodzi. Edward, niezrażony, ciągnie dalej: – Te ludowe, masowe spotkania położyły podwaliny pod duńską demokrację.

Helene kiwa głową, coś jednak pamięta. Zna fakty, daty. Wie, że Montevideo leży w Urugwaju, że Dania stała się demokratycznym krajem w 1849 roku, wie też, że ryż jaśminowy jest bardziej kleisty od innych gatunków ryżu, i najlepiej nadaje się do jedzenia pałeczkami. Wie miliony innych rzeczy, mogłaby opowiadać o nich całymi dniami, ba, latami. Nie wie tylko nic o sobie, i o tym, co jest dookoła niej.

– A mój ojciec? – pyta. – Też w tym uczestniczył?

– Twój prapradziadek. To wszystko działo się w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Twój ojciec miał na imię Aksel. Zmarł jako jeden z najbardziej wpływowych ludzi duńskiego biznesu.

Edmund mówi, jakby czytał książkę, bez uczucia, podając suche fakty. Opowiada jej o ojcu, o jego statkach, które najpierw pływały po jeziorach, przewożąc drewno, ale także turystów. Szybko jednak zrozumiał, że przyszłość to żegluga morska, rozwinął wtedy działalność i zaczął budować statki w Frederikshavn. Główna siedziba firmy pozostała w Silkeborgu, chociaż wielu

przez lata próbowało namówić go do przeniesienia biura do Kopenhagi, do Aarhus, a nawet na Filipiny.

– Masz jakieś zdjęcia? A co z moją matką? Mam rodzeństwo?

Edmund sięga po album, przerzuca strony, podaje go jej, wskazując kilka starych czarno-białych zdjęć.

– To twój ojciec i twoja matka. Jesteś jedynaczką – oznajmia oficjalnym tonem.

Helene przygląda się fotografiom. Jedna jest ze ślubu: bardzo młoda kobieta siedzi na krześle w prostej, białej sukience, z welonem, który sięga jej do ramion. Wydaje się zawstydzona i lekko przestraszona. Edmund przysuwa się bliżej, kładzie rękę na jej dłoni, ale szybko ją cofa. Helene skupia się na zdjęciach. Jej ojciec. Na zdjęciu ślubnym stoi wyprostowany, władczy. Jest starszy od młodej żony, może być pod pięćdziesiątkę. W jego rysach rozpoznaje swoje rysy: broda, oczy, wyraźnie zaznaczone brwi. Helene ogląda wszystkie zdjęcia po kolei, cały album. Matka najpierw jest młoda, z wiekiem poważnieje. Potem na świat przychodzi Helene, rodzice zaokrąglają się. Zdjęcia nie są już czarno-białe, tylko kolorowe, zmienia się styl ubierania się, na ich twarzach pojawiają się zmarszczki. Helene przewraca kolejne strony i nagle – jej palce czują to, jeszcze zanim zauważą to oczy – nierówny brzeg wewnątrz albumu.

– Brakuje jednej strony – mówi.

– Naprawdę?

Edmund dotyka palcem kartek.

– Rzeczywiście. To stary album – stwierdza i odwraca stronę.

Helene ogląda teraz fotografie ze swojego dzieciństwa. Na rękach u matki, której twarz promienieje miłością i ciepłem. Potem dorasta, uczy się chodzić, a potem razem z kucykiem, domyśla się, że jej pierwszym. Chłonie każdy szczegół, a Edmund nie pośpiesza jej, siedzi obok i milczy. Czuje ciepło jego ud, słyszy jego oddech. W końcu dociera do ostatniej strony, zamyka album i patrzy na inne piętrzące się na stoliku. Tyle zdjęć. Tyle lat. Uświadamia sobie, jak wiele nie pamięta.

– Moi rodzice nie żyją? – pyta, chociaż zna odpowiedź. Bo przecież gdyby żyli, byłiby tu teraz razem z nią.

– Tak, oboje już nie żyją. Chcesz obejrzeć zdjęcia dzieci z okresu, kiedy były małe?

– A co z rodziną? Kuzynki, kuzyni...

Edmund się waha.

– Tak, ale...

– Ale co?

– Wiesz, jak to jest, kiedy w grę wchodzi pieniądze.

– Nie wiem.

– Twój ojciec dorobił się wielkiego majątku – mówi Edmund i po raz kolejny wzrusza ramionami. – Przypuszczam, że rodzina spodziewała się nieco więcej, niż on zdecydował się im przekazać.

Helene kiwa głową w milczeniu, z mieszanymi uczuciami otwiera kolejny album.

– Christian? – szepcze, a Edmund przytakuje. Oboje mają łzy w oczach.

Powoli przewraca kolejne strony, kolejne lata jej życia, które zniknęły z pamięci. Po raz kolejny próbuje zmusić mózg do pracy: chce pamiętać. Nie chce jedynie przyglądać się zdjęciom, chce odzyskać uczucia, które im towarzyszyły.

– Przypominasz sobie coś? – pyta Edmund.

Najwyraźniej myślą o tym samym.

Helene kręci głową nieszczęśliwa.

– Może coś się zmieni, kiedy zacznę terapię – mówi i nagle czuje się bardzo zmęczona.

Edmund wynajął najlepszych duńskich specjalistów, psychiatrów i terapeutów, których zadaniem jest sprawić, by jej pamięć wróciła. Ale przecież lekarze w szpitalu uniwersyteckim też próbowali jej pomóc. I za każdym razem kończyło się tym samym: ogromnym zmęczeniem, jakby próbowali pozbawić ją życia.

Edmund bierze jej dłoń i przysuwa do swojej twarzy. Helen próbuje się uwolnić, ale on trzyma mocno.

– Tęskniłem za tobą – mówi i nachyla się w jej stronę. Helene czuje jego usta na swoich wargach. Jest jej mężem, jest przystojnym mężczyzną. Kładzie dłoń na jego klatce piersiowej, czuje twarde mięśnie, powstrzymuje go.

– Jeszcze za wcześnie, nie mogę...

Edmund puszcza ją, wstaje.

– Przepraszam – szepcze.

– Nie przepraszaj. To moja wina. Czuję się okropnie zmęczona.

Helene wstaje, patrzy na niego onieśmielona.

*

W milczeniu szykują się do nocy, potem kładą się obok siebie. W podwójnym łóżku małżeńskim jest dużo miejsca, każde z nich ma swoją kołdrę.

– Dobranoc – mówi Edmund. Odwraca się do niej plecami. Helene słyszy jego ciężki oddech, choć nie potrafi powiedzieć, czy już zasnął, czy tylko udaje. Sama nie śpi. Długo leży i wsłuchuje się w nowe dźwięki. Głuche zawodzenie dochodzi zapewne z komina, na zewnątrz szumią drzewa. Ale przede wszystkim słyszy Edmunda. Od tej pory będzie słyszała go co noc. Jest jej mężem. W pewnym momencie będzie gotowa. Wie, że tak się stanie. Mimo to bardzo za nim tęskni. Za Joachimem. Zastanawia się, czy zaczął już pisać.

Joachim budzi się z bólem głowy i smakiem makreli w ustach. Makreli? Długo leży na materacu z zamkniętymi oczami, nie ma siły spojrzeć na to, co go otacza. Nędzny pokój na Nørrebro, farba schodzi ze ścian, linoleum na podłodze. Duszne, zatęchłe powietrze i jakiś ostrzejszy zapach dochodzący z kąta, pewno któryś z wcześniejszych lokatorów trzymał tu kota. Na zewnątrz za oknem kołysze się na wietrze tabliczka z napisem „Na sprzedaż”.

– Szlag – mówi Joachim sam do siebie. Chociaż właściwie powinien być wdzięczny. To Gudrun z wydawnictwa zlitowała się nad nim i pozwoliła mu tu nocować, do czasu aż mieszkanie zostanie sprzedane. Kupiła je dla swojego syna, który jednak postanowił wyjechać na studia do Nowego Jorku. Takie sprawy są mu obce, znów zamyka oczy. Rodzina, dzieci, które studiuje w Nowym Jorku. Prawdziwe życie, prawdziwa praca.

Obraca się na bok i otwiera oczy, patrzy na złożone pod ścianą kartony ze swoimi rzeczami. Wczoraj zdołał jedynie posłać sobie na leżącym na podłodze materacu i postawić komputer na czerwonym stoliku, który zostawił syn Gudrun. Obok komputera stoją dwie puste butelki po piwie i do połowy pełen kieliszek wina. Tak wczoraj skończyła się jego próba powrotu do pisania.

Podnosi się z trudem, idzie do maleńkiej łazienki, do której trzeba niemal wcisnąć się siłą, trudno uwierzyć, że znalazło się tu miejsce na kabinę prysznicową. Stara się nie patrzeć w lustro, dobrze wie, jak wygląda po nocy, którą sobie zafundował. Spuchnięta, czerwona twarz, z pewnością wygląda na więcej niż na swoje pięćdziesiąt dwa lata. Przez kilka minut szuka tabletek od bólu głowy, nie znajduje ich. Nie pakował się sam, poprosił o to Linę. Nie był w stanie przemóc się i wrócić na Christiansø bez Helene. Jego stare volvo zostało na Bornholmie. Następnego dnia ludzie z firmy przesyłkowej dostarczyli mu jego kartony: stare ubrania i jeszcze starsze brudnopisy powieści.

Co teraz? Co ma robić? Siedzieć w tej norze w Kopenhadze i każdego ranka budzić się w ten sposób? Czekać i mieć nadzieję, że Helene zmieni zdanie i do niego wróci? Teraz, kiedy ma rodzinę? Wie, że jest na przegranej pozycji. Mąż, dzieci, dom. A co on może jej zaproponować?

Musi wrócić do pisania. Jest wystarczająco nieszczęśliwy, musi tylko wziąć się w garść. Może to błogosławieństwo, że wszystko tak się potoczyło? Siada przed komputerem, ale nie jest w stanie zacząć pisać. Wstaje, krąży po pokoju, podchodzi do okna. Brakuje mu Louise. Helene. Czuje wręcz fizyczną tęsknotę, jakby amputowano mu część ciała. Ból staje się nie do wytrzymania. Chciałby do niej

zadzwoić. Chyba może to zrobić? Zadzwoić i powiedzieć, że tęskni za nią, spytać, jak ona się czuje. Pamięta, jak stali razem przed restauracją. Ona płakała. Wtedy właśnie poprosiła go, żeby dał jej spokój.

Podchodzi do komputera. Free-wifi-fuck, sieć, z której wczoraj korzystał, nie pojawia się na ekranie. Pojawia się natomiast Rebekkas Fiskenet, sieć sąsiadki z dołu. Joachim waha się chwilę, po czym szybko wkłada koszulę, zniszczone buty i zbiega dziewięć stopni niżej. Puka do drzwi Rebekki. Otwiera mu po chwili. Ma dwadzieścia kilka lat, studentka, ładna – i co z tego? Na pewno nie tak ładna jak Helene.

– Tak?

– Cześć – mówi Joachim i się czerwieni. – Właśnie się tu wprowadziłem i chciałem się przywitać.

– Jasne. – Śmieje się dziewczyna. Ładne zęby, córeczka tatusia, jasnoróżowy lakier schodzi z paznokci, wczorajszy makijaż, te cholerne szczegóły. Dlaczego w ogóle zwraca na nie uwagę?

– Mogę wyżebrać od ciebie trochę internetu? – pyta. – Mnie założą dopiero w przyszłym tygodniu.

*

Po powrocie do mieszkania Joachim loguje się do sieci Rebekki, siedzi chwilę i przygląda się logo Google'a.

– No, rusz się – szepcze.

Zamierza pisać. O swoim nieszczęściu. Nie zamierza odwiedzać Helene, nie zamierza tracić na nią więcej czasu. Wpisuje w przeglądarkę „Helene Söderberg”. Na ekranie pojawiają się informacje – o firmie i o prapradziadku Helene, który brał udział w organizowaniu masowych narodowych spotkań na Himmelbjerget, był jednym z ludzi walczących o duńską demokrację. Lektura nie poprawia Joachimowi humoru, nagle czuje się mały, nic nieznaczący, doskonale pasuje do mikroskopijnego dwupokojowego mieszkania. Jego rodziny nie można nazwać rodem, nie ma porównania z Söderbergami.

Czyta dalej. O Helene jest zadziwiająco mało informacji. Znajduje wywiad w jednym z kobiecych pism, sprzed pięciu lat. Z jej zdjęciem. Ma inną fryzurę, jaśniejsze i gładkie włosy. Jednolity kolor to zapewne dzieło fryzjera. Jest piękna, wygląda jak dama. Również styl ubierania się jest inny – ma na sobie elegancką granatową sukienkę, na szyi prosty łańcuszek. Są też zdjęcia domu, w środku i na zewnątrz. Pompatyczny, luksusowy. Bardzo odległy od życia, które wiedli razem na Christiansø. Czyta wywiad. Helene opowiada o swoich korzeniach, o związkach z tym, co romantyczne i duńskie, jakby Dania powstała właśnie wtedy, na tej choliernej Himmelbjerget. Joachim czyta dalej, chociaż go to męczy. Helene kilka razy wymienia imię Edmunda. „Mój mąż”. Podaje go za przykład partnera

rozumiejącego, jakie to ważne, żeby oboje małżonkowie uczestniczyli w domowych obowiązkach. Nowoczesny mężczyzna, który nie tylko twierdzi, że jest za równouprawnieniem, ale rzeczywiście je realizuje.

Dzwonek do drzwi. Joachima przechodzi dreszcz. To ona? Tak szybko? Na zewnątrz stoi mężczyzna w garniturze, z teczką w ręce.

– Dzień dobry, adwokat Schmidt, jestem prawnikiem rodziny Söderbergów. Mogę wejść? Zajmę panu tylko chwilę.

Joachim podaje mężczyźnie rękę, jest zaskoczony. Adwokat rozgląda się, patrzy na materac na podłodze, na butelki po winie, na kartony pod ścianami, niektóre są otwarte, wypadają z nich różne rzeczy. Joachimowi robi się wstyd, zbiera butelki i wynosi je do kuchni, zamyka komputer.

– Przepraszam, właśnie się wprowadziłem... – zaczyna i urywa. Jest skrępowany.

Adwokat wskazuje na krzesło, Joachim kiwa głową, mężczyzna siada, kładzie teczkę na stole, otwiera ją.

– O co chodzi? – pyta Joachim.

– Chciałem porozmawiać o pewnej sprawie. Pragnęlibyśmy znaleźć rozwiązanie zadowalające wszystkie strony. Może pan usiąść, pokażę panu pewne dokumenty.

Joachim znów odczuwa skutki kaca, może nadal jest trochę pijany? Prawnik rodziny? Kręci głową, przysuwa jeden z kartonów do stolika, siada na nim. Karton okazuje się za niski, wstaje, stawia na nim drugi karton. Teraz siedzi nieco za wysoko, ale trudno. Adwokat rodziny. Powinien się domyślić, że Söderbergowie mają własnego prawnika.

– Rozwiązanie? – powtarza. – Nie bardzo rozumiem.

Adwokat odchrząkuje, bierze do ręki kartkę.

– Zapewne zna pan ród Söderbergów. Ta historia jest dość... dziwna. Jedno to zniknięcie Helene, utrata pamięci, to straszne, ale...

Adwokat przesuwając kartkę w stronę Joachima. „Zawarcie ugody” jest napisane dużymi literami na samej górze. Czyta. Po chwili dociera do niego cel wizyty adwokata. Ugoda zawarta między stronami: jego imię i nazwisko a Edmundem Söderbergiem.

– Rodzina nie chce, żeby zbyt wiele szczegółów wyszło na jaw. Fakt, że pani Söderberg mieszkała z innym mężczyzną... Musimy myśleć o niej, oszczędzić jej przykrości – mówi adwokat i zerka na czytającego przygotowane dokumenty Joachima.

Miałby podpisać, że nie będzie wypowiadał się na ten temat dla prasy, w rodzinie, wśród przyjaciół, nigdzie. I nie wolno mu pisać o Helene. Pod żadną postacią. Do umowy dołączono długą listę, specyfikacja obejmuje wszystko: książkę, eseje, artykuły itd. Wszystko zostało dokładnie obmyślane. Patrzy na

kwotę i przeżywa szok. Pięćset tysięcy koron. Pół miliona.

– Rozumiemy, że to dla pana nieprzyjemne, dlatego pragniemy to panu zrekompensować – odzywa się adwokat.

Zrekompensować? Joachim zastanawia się, za co właściwie miałby dostać pieniądze. Za milczenie? Chodzi o to, żeby uniknąć krępujących plotek, czy też chcą mieć pewność, że nie będzie szukał z nią kontaktu? Chcą mu zapłacić, żeby o niej zapomniał?

– Jeśli Helene postanowi odejść od Edmunda, to jestem gotów do niej wrócić – mówi i kładzie umowę na stół. Widzi, że dłoń drży mu lekko.

Adwokat marszczy brwi, jest wyraźnie zakłopotany.

– Umowa dotyczy tylko pańskich wypowiedzi odnośnie do tego, co się wydarzyło w minionych trzech latach. Chcemy, żeby zobowiązał się pan nie mówić o Helene...

– Chcę mieć pewność, że nie chodzi o to, bym zrezygnował z Helene. Kocham ją i ona też mnie kocha. Rozumiem, że musi teraz tak postąpić, ale może przecież zmienić zdanie.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Helene Söderberg wróciła do rodziny, która chce mieć pewność, że nie pojawią się jakieś krępujące plotki.

Krepujące plotki. Joachim czuje, jakby dostał obuchem w głowę. Został zredukowany do krępujących plotek. Których obawia się rodzina. Które mogłyby zniszczyć jej idealne życie. Czy Helene zamierza udzielić wywiadu gazetom? Będzie opowiadać o tym, jaka była zrozpaczona, zanim szczęśliwie nie została odnaleziona przez swojego męża? Tak to będzie przedstawione? Joachim czuje, jak wszystko przewraca mu się w żołądku. Znów czuje w ustach smak makreli. Makreli? Przecież on nigdy nie jada makreli. Jadł w nocy makrelę?

– Nie mogę tego podpisać – stwierdza zdecydowanym głosem i odsuwa od siebie papiery.

– Ale... – Adwokat jest wyraźnie zdziwiony.

Joachim wstaje.

– Przykro mi. Rozumiem, że dla rodziny jest to nieprzyjemna sytuacja, ale nie mogę. – Waha się, po czym ciągnie niemal szeptem: – Nie chcę stwarzać Helene problemów, ale naprawdę nie mogę. Zapewniam jednak, że nie przysporzę jej kłopotów. Nie sprzedam tego, co razem przeżyliśmy, naszego wspólnego życia, które teraz też jest częścią jej życia. I czymś, o czym nie chcę zapomnieć. Pisarz nie może sprzedawać swoich doświadczeń. To jedyne, co ma – mówi z pełnym przekonaniem. Bo to prawda, wspomnienia z czasu spędzonego razem z Helene to jedyne, co ma.

Adwokat wstaje, sprawia wrażenie niezdecydowanego. Joachim podaje mu papiery, nie chce ich przyjąć.

– Proszę je zatrzymać i jeszcze raz wszystko przemyśleć. Może zmieni pan

zdanie. Poza tym jest też sprawa Louise – mówi mężczyzna i patrzy na Joachima.

– Jaka sprawa?

– Prawdę mówiąc, Helene jest podejrzana w sprawie zaginięcia Louise Andersen. Także w tym przypadku dobrze byłoby uniknąć plotek.

Joachim patrzy na adwokata, próbuje zrozumieć, co ten gad mówi. Czy ryzyko, że Helene trafi do więzienia, zmniejszy się, jeśli on podpisze umowę?

– Nie zmienię zdania – oznajmia w końcu. Podaje adwokatowi papiery, ale mężczyzna zamyka teczkę, wymija go i rusza w stronę drzwi.

– Proszę jeszcze raz się zastanowić. Na umowie znajdzie pan mój adres i numer telefonu, proszę dać znać, gdyby jednak zmienił pan zdanie. Jeśli zdecyduje się pan podpisać, pieniądze w ciągu godziny będą na pana koncie.

Joachim jednym ruchem przedziera umowę. Szelest papieru sprawia, że adwokat się odwraca. Zdziwiony patrzy na dwie części kartki, które lądują na podłodze. Kręci głową. Idzie do drzwi, otwiera je, po czym zamyka z hukiem.

Joachim zostaje sam. Sam. Taka jest prawda. Helene go nie wybrała. Ale postanawia na nią czekać. Nawet gdyby miał czekać do końca życia. Poza tym jest dziwnie przekonany, że coś w całej tej sprawie się nie zgadza. Dlaczego Helene pojawiła się na Bornholmie jako Louise Andersen? Co się stało z prawdziwą Louise? Co te dwie kobiety – jedna wychowana w domu dziecka, druga córka bogatego przedsiębiorcy – mają ze sobą wspólnego? Chce się tego dowiedzieć. Dotrzeć do prawdy. Szuka czegoś w torbie na laptop i na samym dnie między anyżkowymi cukierkami znajduje starą podkładkę pod piwo. Jedyne ślad, pierwsze zdanie w opowieści o Louise Andersen. Cholerny kawałek tekturki, na którym kiedyś stała butelka piwa. Z zapisanym numerem telefonu, do Petera w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Socjalnych. 91880119. Joachim już dawno przekazał tę informację policji, która jednak do niczego nie doszła. Numer telefonu zapisany na podkładce nie wróży przełomu w sprawie, tak mu powiedzieli, a Joachim musiał przyznać im rację. Gównie warte. Rzuca tekturkę na stolik.

– *Fuck* – szepcze i zalewa kawę rozpuszczalną gorącą wodą z kranu. Wraca do pokoju, wystarczy, że zrobi dwa kroki i już w nim jest. Patrzy na podkładkę. – Nie – mówi do siebie i kręci głową. Naprawdę to takie proste? Numer telefonu. Teraz podkładka leży do góry nogami. 61108816. Pismo też wygląda inaczej, jakoś bardziej normalnie. Chociaż nie ma pewności. Jest dość niechlujne. Jedyne to po prostu kreski. Sięga po telefon. Musi to sprawdzić.

– Algade, Gorm przy telefonie. – Słyszy zmęczony życiem męski głos.

– Louise Andersen – mówi Joachim. Nic więcej. Trzy sekundy milczenia.

– Z kim rozmawiam? – pada dość obcesowo z drugiej strony.

– Gdzie ona jest? – dopytuje Joachim.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Co to za pomysł, żeby tu dzwonić?

- Zniknęła. Próbuję ją odszukać. Ten numer telefonu był w jej rzeczach.
- Nigdy o niej nie słyszałem – mówi mężczyzna i się rozłącza.

Joachim wie, że kłamie. Gorm. Z Algade. Trzy sekundy milczenia powiedziały mu wszystko.

Helene odwraca się na łóżku. Patrzy na Edmunda, który nadal śpi. Wstaje, najciszej jak potrafi. Obok łóżka stoi fotel, na nim leży szlafrok. Wkłada go i idzie do łazienki przy sypialni. Obok jest garderoba, osobny pokój. Brakuje jej Joachima. Jej ciało za nim tęskni. Za jego ramionami, jego ustami, jego spojrzeniami. Odkręca prysznic. Namydla się, myje włosy i cały czas ma nadzieję, że Edmund się nie obudzi i nie przyjdzie do łazienki. Oddycha z ulgą, kiedy w końcu wkłada szlafrok. Edmund ciągle śpi. Helene wchodzi do garderoby, przygląda się rzędom sukienek i kostiumów na wieszakach. Niezdecydowana zaczyna je przeglądać, szuka czegoś, co miałaby ochotę włożyć. Przymierza jedwabną bluzkę i marynarkę. Spogląda w lustro. Ma nagie nogi, do tego koszula i marynarka. Wkłada ręce do kieszeni, typowa kobieta biznesu. W kieszeni coś jest. Wyjmuje niewielką karteczkę. Kwit z parkometru.

– Co to takiego?

Słyszy głos i podnosi głowę. W drzwiach stoi Edmund i się jej przygląda.

– Nie wiem. Jakiś kwit. Z parkometru. Na pięć koron.

– Chowałaś wszystkie kwity – mówi Edmund i idzie do łazienki.

– Po co?

– Jak to po co? – odzywa się z łazienki niemal oburzony. – Prowadziłaś księgowość. Jesteś bardzo oszczędną osobą.

– Naprawdę?

– Bardzo. Wszystkie wydatki można przecież odliczyć. Kwitek na pięć koron to dodatkowa korona i dwadzieścia pięć øre w kasie. Jaka data widnieje na kwicie? Pewno możesz go jeszcze odliczyć, koszty odlicza się do pięciu lat wstecz – woła Edmund z łazienki.

Helene przygląda się karteczce. Pierwszy ślad jej dawnej osobowości. Jest sknerą. Super. Data. Dwudziesty trzeci marca. Fabryka papierów. Dwudziesty trzeci marca. Z tego, co już zdążyła się dowiedzieć, to trzy dni przed jej zniknięciem. Wkłada kwit do szuflady stolika nocnego. Może kiedyś znów stanie się taka jak dawniej i wtedy nie daruje sobie, że nie zaoszczędziła tej korony i dwudziestu pięciu øre. Znów spogląda na swoje dawne ubrania. Stroje do jazdy konnej. Zdejmuje wieszak ze spodniami, przygląda się im. Zastanawia się, czy pamięta, jak dosiada się konia?

– Obawiam się, że na razie nie będziesz ich potrzebować. – Słyszy za sobą głos Edmunda. Uderza ją, że brzmi jak nadgorliwy ekspedient w sklepie odzieżowym.

– Może spędzimy dzień z dziećmi? – proponuje.

– Caroline odprowadziła je do szkoły. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli pozostaną przy stałym rytmie dnia – mówi Edmund spokojnie, jakby ustalanie takich spraw z opiekunką, a nie z nią było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Helene jest zawiedziona. Cieszyła się na spędzenie trochę czasu razem.

– Pomyślałem, że może spędzimy ten dzień sami, mamy sporo do nadrobienia, ja i ty... – mówi Edmund cicho i nagle urywa.

Chociaż nie mówi tego wprost, Helene domyśla się, co ma na myśli. Seks. Na pewno. Zaczyna się niepokoić. Ogarnia ją złość. Na co on liczy? Czego od niej oczekuje? Po chwili trochę się uspokaja. Edmund tęsknił za nią, to zrozumiałe. Nie zapomniał jej, tęsknił za nią przez cały czas, kiedy jej nie było. Trzy lata.

– Chyba jednak wybiorę się na przejażdżkę – oznajmia i wzrusza ramionami jakby przepraszająco. – Spróbuję wrócić do tego, co robiłam przed wypadkiem. Może wróca też wspomnienia.

Edmund jest wyraźnie zawiedziony, ale nie protestuje.

– Dam znać w stajni, żeby osiodłali Samira.

*

Na dziedzińcu przed stajnią czeka na nią Katinka z osiodłanym Samirem. Dziewczyna wydaje się równie naburmuszona jak wczoraj. Helene pochodzi do konia, Samir rzy cicho, nie ma wątpliwości, że ją poznaje. Helene kładzie ostrożnie rękę na łbie zwierzęcia, czuje ciepło jego ciała i jedwabście miękką sierść. Nie boi się go. Ale czy potrafi na nim jechać? Może to tak jak z jazdą na rowerze? Zostaje w człowieku na całe życie. Helene kładzie dłonie na siodle, czuje pod palcami gładką, zadbaną skórę konia, pochyla się lekko w jego stronę, zamyka oczy. Pamięta, co ma robić? Otwiera oczy. Oczywiście. Wkłada jedną nogę w strzemień, próbuje się odbić. Nagle na dziedzińcu pojawia się Edmund, idzie powoli, ma na sobie strój do jazdy konnej.

– Pomóc ci wsiąść? – pyta i bierze cugle od Katinki.

Helene widzi, jak dziewczyna na niego patrzy. Zachwycona, oczarowana. Jasne. Katinka jest w wieku, kiedy dziewczyny zaczynają fantazjować o mężczyznach takich jak Edmund. To dlatego zachowuje się sceptycznie wobec Helene. Edmund wyciąga ręce, żeby podsadzić żonę. Ale zanim zdąży cokolwiek zrobić, Helene już siedzi na koniu. I teraz wie na pewno. Potrafi jeździć konno.

– Chciałabym tę pierwszą przejażdżkę odbyć sama – mówi i sięga po cugle.

– Rozumiem. – Edmund kiwa głową i puszcza wodze.

Helene czuje się dobrze w siodle, jest idealnie dopasowane do jej figury. Zerka na Edmunda i Katinkę, którzy stoją obok siebie. Czy w łóżku też leżeli obok siebie, zastanawia się. Niewykluczone. Edmund to mężczyzna w sile wieku, a Katinka jest wyraźnie o nią zazdrosna.

Samir wyjeżdża ze stajni i kieruje się w stronę lasu.

Buki, wrzosi i drzewa iglaste, a pomiędzy nimi sieć ścieżek. Helene skręca w lewo, jedzie w stronę jeziora. Niebieska tafla wody cały czas jej towarzyszy, nieustannie przypomina o wszystkim, przez co nie jest w stanie przebrnąć, czego nie widzi, co kryje się pod powierzchnią.

Dziwi się, że tak dobrze sobie radzi. Instynktownie porozumiewa się z koniem, dając mu drobne, subtelne sygnały. Przenosi wagę ciała z jednej strony na drugą, ostrożnie, delikatnie. Jakby ciało jej i zwierzęcia miały własny język. Odpręża się. Nabiera głęboko powietrza, czuje, jak schodzi z niej napięcie ostatnich dni.

Po jakimś czasie uświadamia sobie, że Samir cały czas próbuje skrócić w pewnym kierunku, ciągnie go na wschód, z dala od jeziora. Jest coraz bardziej podniecony, przyspiesza, przechodzi z kłusu w galop, a Helene poddaje mu się, choć z pewnym oporem. Staje w strzemionach, przywiera mocniej kolanami do boków zwierzęcia, pochyla się. Samir przyspiesza, Helene pochyla się jeszcze bardziej, jeszcze mocniej przywiera kolanami do konia. Ogarnia ją poczucie wolności. Nie czuje strachu, nawet na ostrych zakrętach, gdzie koń lekko się kładzie. Pokonują zakręt, jeden, potem kolejny i nagle Samir się zatrzymuje. Helene leci do przodu w siodle, ale szybko odzyskuje równowagę. Koń stoi nieruchomo, słyszy jego falujący oddech, sama też oddycha szybko.

Są na polance, gdzieś przed nimi szumi strumyk. Helene zsiada z konia, puszcza cugle, Samir skubie trawę. Helene kuca przy potoku, nabiera wody w dłoń i pije. Po chwili czuje, jak lodowata woda spływa jej do gardła. I nagle – jakby zaczęła sobie coś przypominać. Już tu kiedyś była, nie ma żadnych wątpliwości. To miejsce wracało do niej w snach. Strumyk. Las. I ona, sama, tak jak teraz. We śnie była noc. A może to jednak nie był sen, tylko wspomnienie? Podnosi wzrok, patrzy na drugi brzeg strumienia. W stronę gęstego lasu.

– Droga – szepcze. Pamięta drogę, ścieżkę prowadzącą przez las. Wchodzi do strumyka, stawia ostrożnie kroki. Samir przygląda się jej zaniepokojony.

– Spokojnie – zwraca się do zwierzęcia. Kilka kroków i jest po drugiej stronie. Słyszy rżenie Samira, wzywa ją podekscytowany. Może tak to się wtedy odbyło? Może właśnie w tym miejscu zniknęła, a koń to pamięta.

Drzewa rosną gęsto, tak gęsto, że wiele uschło, gałęzie, suche jak skrzydła motyla, łamią się przy najlżejszym dotknięciu. Helene przedziera się przez las, wzniesając pył, który unosi się w powietrzu. Nagle zatrzymuje się, dotarła do drogi. Mija ją ciężarówka, kierowca trąbi, dając znak, żeby się odsunęła. Czy właśnie w tym miejscu stała, zanim zniknęła? Zanim uciekła? Ma ochotę wrócić po Edmunda. I opowiedzieć mu wszystko. Powiedzieć, że pamięta. Strumyk, las, drogę. Problem w tym, że wcale tego nie chce. Nie chce dzielić się Edmudem swoim wspomnieniem. Podświadomie czuje, że uciekła.

Wraca przez las do strumyka, ale pytania nie dają jej spokoju. Dlaczego porzuciła konia? Czy to prawda, co jej powiedziano? Że spadła z Samira i uderzyła się w głowę. Po co jechała do drogi i co było potem? Ktoś ją gdzieś podrzucił? Do Kopenhagi? Nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Naprawdę spadła z konia i uderzyła się w głowę?

Samir podnosi łeb i patrzy w stronę ścieżki. Helene słyszy kroki, odgłos końskich kopyt, po chwili na polance pojawia się Edmund. Zatrzymuje się, schodzi z gniadego konia, rusza w jej stronę, ciągnąc go za sobą.

– Martwiłem się o ciebie – mówi. – Długo cię nie było.

Na jego twarzy pojawia się coś ciemnego, ponurego, coś, czego wcześniej nie zauważyła. Widać, że nie czuje się tu pewnie.

– Wszystko w porządku. Ale dobrze, że jesteś, nie wiem, czy trafiłabym sama do domu – mówi. Stara się niczym nie zdradzić. Edmund jest już niemal obok niej, mija go i szybko wraca do Samira.

– Jedziemy do domu? – pyta i wbija pięty w boki konia.

W poszukiwaniu odrobiny uznania Joachim wraca do swojego dawnego świata. Akt desperacji. Wchodzi do budynku wydawnictwa, idzie schodami, mija zabieganych redaktorów i młodych kiepsko wynagradzanych studentów na stażach gotowych zrobić wszystko, by zapewnić sobie w przyszłości pracę w branży wydawniczej. W tej branży, od której on uciekł. Od świata Ellen. Świata rządzącego się własnymi regułami, posługującego się własnym językiem, własnymi kodami, w którym ważne jest to, kto akurat cieszy się łaską środowiska, a kto nie. Joachim uśmiecha się do jednego ze starszych redaktorów, ten jednak nie odwzajemnia uśmiechu. Odpowiada lekkim skinieniem głowy. Kolejny kod. Najwyraźniej Joachim nie cieszy się już uznaniem środowiska, zresztą nigdy nie czuł się jego częścią. Ellen radziła sobie znacznie lepiej. Była mistrzynią. Znała wszystkie kody. Wracają wspomnienia. Z czasem stworzył swoistą technikę porozumiewania się z Ellen. Początkowo nie wiedział, kiedy mówiła prawdę, a kiedy kłamała. Dopiero po kilku latach związku zauważył, że kiedy Ellen kłamie, mówi wolnej. Zwykle mówiła szybko, krótkie, inteligentne riposty, często lekko agresywne. Kiedy kłamała, zwalniała tempo, niewiele, ale na tyle, żeby Joachim się zorientował.

Na korytarzu co rusz pojawiają się znane twarze. Zauważa, że nikt się z nim nie wita. Czuje ucisk w żołądku. Nie rozumie kodów. Nie chodzi o to, kto jak się sprzedaje. Książki, które sprzedają się w więcej niż kilkuset egzemplarzach, no może kilku tysiącach, są z definicji podejrzane. Joachim już to wie. To proste równanie matematyczne: jeśli uważasz siebie za jednego z nielicznych ludzi w kraju mogących się pochwalić dobrym smakiem, nie możesz lubić tego, co lubi większość, bo wtedy nie znajdziesz się w gronie wybranych. Proste, choć zarazem cholernie skomplikowane, no i dużo znaczy. Decyduje o tym, kto się komu kłania, a komu nie poświęca się nawet spojrzenia, o kim mówi się źle, obok kogo warto stanąć podczas przyjęcia, gdzie jeździ się na urlop. Krótko mówiąc, o wszystkim.

Joachim wchodzi do gabinetu, na środku stoi Gudrun, trzyma w ręce plik papierów, jego papierów. Wygląda jak zawsze – szeroka w biodrach, pewna siebie, czarne włosy.

– Mój ulubiony pisarz – mówi i się uśmiecha.

Obejmują się długo i ciepło, znają się od zawsze.

Gudrun pyta go o mieszkanie, czy już się zadomowił. Towarzyszy mu od początku, kiedy jeszcze był młodym i obiecującym pisarzem, na szczycie. Teraz... Ciekawe, co mówią o nim teraz. Gudrun nadal w niego wierzy. Joachim wyrzuca

sobie, że napisał ten e-mail: „W końcu coś ruszyło!”. Teraz stoi przed nią i czuje wstyd. Jest samotnym biedakiem, który właśnie utracił ukochaną i od tygodni nie napisał nawet kilku sensownych zdań. Kiedy otwiera laptop, natychmiast zaczyna oglądać zdjęcia Helene Söderberg albo wraca do numeru telefonu na podstawce. Sprawdził w internecie adres, to jakiś sklep ze sprzętem fotograficznym na Algade. Powiedział o tym policji, prosił Iben Hansen Hansen o przekazanie informacji, że telefon nie jest do Petera z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Socjalnych, tylko do Gorma z Algade Foto, sklepu, który oferuje stary sprzęt z ubiegłego stulecia, że znalazł go w internecie. Iben obiecała coś zrobić, ale Joachim słyszał, że kłamie, w ogóle nie była zainteresowana, wszyscy byli przekonani, że to on zwariował. Poza tym piękna Helene Söderberg się odnalazła, a Louise Andersen nikt nie szuka. Nikt poza Joachimem – ale też to on ją stracił.

– Powiedz mi coś o książce, jestem jej bardzo ciekawa – mówi Gudrun, wypuszczając go z objęć.

Siada wygodnie w jednym z foteli w kolorze czerwonego wina, w rogu, tuż koło okna. Joachim siada naprzeciwko niej, kładzie dłonie na udach i czuje, jak ogarnia go rozpacz. Spogląda na półki, widzi książki, które Gudrun wydała w tym roku, i nie poprawia mu to humoru. *System*, pięćsetstronicowe dzieło, szwedzki hit wydawniczy, biografia szwedzkiego botanika Karola Linneusza. Bierze książkę do ręki i czyta, że w 1735 roku Linneusz pojechał do Haarlem w Holandii, gdzie napisał *Systema Naturae*, trzystaście stron, które zmieniły nasze pojmowanie świata. Książka, tour de force w dziedzinie wiedzy i narracji, zaczyna się w 1666 roku, w którym to babcia Linneusza zostaje spalona na stosie za czary w mieście Stavanger, a kończy w oświeconej Europie, w której religia upada i rodzą się nowe czasy. Joachim zerka na gwiazdki na okładce i zastanawia się przez chwilę, czy to gwiazdy na południowym niebie, czy też książka naprawdę zdobyła aż tyle pozytywnych recenzji.

Podnosi głowę i patrzy na Gudrun. Kobieta uśmiecha się do niego, ale on nic dla niej nie ma. Nawet trzynastu stron, nie mówiąc już o pięciuset. Nic. Może jej tylko powiedzieć, że został opuszczony, i to wszystko. Siedzi tu i musi przyznać, że gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że Gudrun jednak stworzy mu jakieś możliwości. Kiedyś była nim zainteresowana. Przypomina sobie imprezę w wydawnictwie kilka lat temu, dał jej wtedy delikatnie do zrozumienia, że nie zamierza się angażować, a potem oboje udawali, że do niczego nie doszło. Ona była szczęśliwie zamężna, i nadal jest – z tym samym mężczyzną. Ale wówczas była gotowa rzucić męża – dla niego. Joachim próbuje spojrzeć na siebie z zewnątrz. Jest boleśnie świadomy, że bez Helene jest nikim. Widzi, jak Gudrun zerka na papiery na biurku. Musi coś jej dać. Inaczej niepotrzebnie zajmuje kobiecie czas.

– To bardzo romantyczna historia, nieszczęśliwa miłość, opowieść

pozbawiona wstydu – mówi, a Gudrun się śmieje. – Ktoś znika, tajemnica. Kobieta, Louise Andersen, znika i znów się pojawia, ale okazuje się, że to wcale nie ona... – Joachim urywa, słyszy, jak beznadziejnie to wszystko brzmi.

Gudrun jednak wygląda na autentycznie zainteresowaną.

– Mów dalej! To, co mi przesłałeś, wydaje się ciekawe, mam wrażenie, że coś rzeczywiście może z tego wyjść.

– Tak... – mówi Joachim i próbuje przypomnieć sobie, co jest na stronach, które jej przesłał. Wysłał wszystko, co udało mu się napisać, zanim Edmund tamtego nieszczęsnego ranka pojawił się w kawiarni. To, czego nie usunął. Nie pamięta, ile to było stron. Jedyne, co pamięta, to wyraz twarzy Helene, kiedy żegnali się przed restauracją. Gudrun ponownie przekłada kartki i podniecona mówi dalej:

– Wygląda mi to na lekturę na lato. Uda nam się wydać ją w czerwcu? Jeśli wszyscy weźmiemy się do pracy, może damy radę.

Mruga do niego porozumiewawczo. Oboje znają branżę, są w niej od lat. Lektura na lato musi być lekka, dobra na plażę, żeby można było oderwać się od niej na chwilę, a potem wrócić, nie tracąc wątku.

– Tak, jestem pewien, że uda mi się szybko ją skończyć. Zależy mi na tym, żeby to było coś dobrego – dodaje cicho.

– Wszystko, czego się tkniesz, jest dobre, wracaj do pisania. Na tym polega twój problem, jeśli chcesz znać moje zdanie. Za dużo myślisz, za mało piszesz.

*

Joachim stoi na ulicy. Spotkanie było stratą czasu dla obu stron. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jest samotny. Bez rodziny, bez przyjaciół. No może nie do końca, ma przecież jakiegoś kuzyna i starą ciotkę, i kilku znajomych z przeszłości. Starzy, grubi, łysiejący faceci, zgorzkniali. Pewnie siedzieliby i narzekali, że nic nie potoczyło się tak, jak chcieli. Że ich żony są śmiertelnie chore, że obrzydła im praca. Joachim nie ma na to siły. Chce tylko znów rozmawiać z Helene. Próbuje wmówić sobie, że chce o niej pisać. O swojej stracie. A tak naprawdę, to chce, żeby wróciła.

Rusza przed siebie. Dobrze wie, dokąd zmierza. Do sklepu ze sprzętem fotograficznym. Zastanawia się, co powie właścicielowi. Może poda się za policjanta? Wie, że nie może odpuścić sobie Helene. A Helene coś wiąże z Louise Andersen. Kobieta, która zaginęła. Ta myśl nie daje mu spokoju: jeśli odnajdzie Louise Andersen, odnajdzie też drogę do Helene, dowie się, dlaczego pojawiła się na Bornholmie jako Louise Andersen. Jego jedynym śladem jest numer telefonu zapisany na podstawce. Ma ochotę biec, poczuć, jak tętno mu przyspiesza, jak szybko oddycha, jak się poci. Ale nie będzie przecież biegł chodnikiem w centrum Kopenhagi, wśród tłumu letnio ubranych ludzi. Wszyscy pielgrzymują do parków

z kosztami zjedzeniem. Życie toczy się wokół niego, tylko on w nim nie uczestniczy.

Algade Foto. Zatrzymuje się. Nie sądził, że tego rodzaju sklepy wciąż jeszcze istnieją. Na wystawie stare kamery, projektor super ósemka, niewielkie, szare szpule, wymienne obiektywy, przedmioty z czasów, kiedy świat był bardziej namacalny. Stoi i zastanawia się chwilę. Zbiera się na odwagę, żeby wejść do środka, wracają wspomnienia. Przychodzi mu na myśl, że kiedy był młody, wiele rzeczy można było wytłumaczyć. Gdyby nagle znalazł się w czasach Cezara i miał mu wytłumaczyć przyszłość, to w 1985 roku byłoby to jeszcze możliwe. Ale dzisiaj? Dzisiejsze czasy trudno wytłumaczyć. Facebook i Twitter, i kobiety, które po trzech latach okazują się kimś zupełnie innym. Nie. Tego Juliusz Cezar by nie kupił.

– No, cóż – szepcze Joachim i wchodzi do środka. Na blacie leży rozłożona na części kamera, nad którą pochyla się starszy mężczyzna. Podnosi głowę, kiedy Joachim wchodzi.

– W czym mogę panu pomóc?

Joachim pokazuje zdjęcie Helene w komórce. Czeka na reakcję mężczyzny. Przypomina sobie dzień, w którym je zrobił. Przy skałach w północnej części wyspy, tuż po tym jak wyszli z wody.

– Nie uda mi się zrobić z tego odbitki dobrej jakości – mówi mężczyzna. Nie słysząc, żeby rozpoznał Helene.

– Zna ją pan?

Mężczyzna kręci głową.

– Czy ją znam... To ty dzwoniłeś? Wynocha stąd.

– Helene Söderberg, coś ci to mówi?

Tamten mruży podejrzliwie oczy.

– Mam pomóc ci wyjść?

Joachim się czerwieni, nawet na szyi, jak dziecko złapane na gorącym uczynku.

– Badam sprawę zniknięcia pewnej osoby. To kobieta, którą kocham – mówi z przekonaniem i po raz pierwszy od dawna nie mija się z prawdą. Cały dzień krążył wokół tematu. Na spotkaniu z Gudrun w wydawnictwie nie odważył się powiedzieć wprost, o co mu chodzi. A przecież chodzi mu po prostu o miłość.

Patrzy w oczy starszemu mężczyźnie. Czy to możliwe, że wydają mu się nieco sympatyczniejsze?

– Tak naprawdę chodzi o dwie kobiety – tłumaczy. – Helene Söderberg, to ta na zdjęciu, i Louise Andersen. Zna pan może którąś z nich?

– Nie, już panu mówiłem – rzuca mężczyzna i znów skupia się na leżącej na blacie kamerze. Joachim stoi, nie bardzo wie, co robić.

– Przejął pan ten sklep niedawno? Może wcześniejszy właściciel je znał?

– Mam ten sklep od trzydziestu lat i zamierzam go mieć następne trzydzieści
– odpowiada starszy pan, nie podnosząc głowy znad blatu.

Joachim podchodzi do półki ze statywami i torbami na kamery, przechodzi dalej – do gabloty z nowoczesnymi kamerami. Odwraca się i nagle spotyka czyjś wzrok. W głębi sklepu stoi młody, chudy mężczyzna i patrzy na Joachima, który robi krok w jego stronę, ale wtedy mężczyzna otwiera szeroko oczy i przestraszony kręci głową. Joachim się waha. Starszy pan wydaje się skupiony na swojej pracy, młodszy nadal spogląda na Joachima, tak intensywnie, że Joachim nie ma już żadnych wątpliwości. Mężczyzna coś wie. I chciałby mu to powiedzieć, ale nie zrobi tego, dopóki w pomieszczeniu jest ten drugi. Joachim podchodzi do drzwi.

– Przepraszam, że zabrałem panu czas – mówi.

– W porządku. Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego pan szuka – odpowiada właściciel i podnosi głowę. W jego oczach pojawia się dziwny błysk. Groźny. Nieprzyjemny.

*

Joachim postanawia zaczekać w pobliskiej kawiarni, siada przy stoliku w pobliżu okna, z którego może obserwować drzwi zakładu fotograficznego. Przez następne kilka godzin mało kto wchodzi do środka. W końcu wychodzą z zakładu razem, starszy mężczyzna z młodszym. Młodszy natychmiast rusza przed siebie, starszy zostaje i zamyka sklep. Bardzo powoli zaciąga kratę. Joachim śledzi wzrokiem młodszego mężczyznę. Starszy przekręca w końcu klucz i idzie w drugą stronę. Joachim wychodzi z kawiarni, biegnie chodnikiem. Po jakichś stu metrach dostrzega młodszego mężczyznę, który skręca w jedną z bocznych uliczek. Dogania go, kładzie mu rękę na ramieniu.

– Wiesz coś, prawda? – mówi zdyszany.

– Właściwie to nie – odpowiada tamten z wahaniem. Rozwiązane sznurowadło u lewego buta jest mokre i upaprane od kałuż i miejskiego brudu.

– Odniosłem wrażenie, że chciałeś mi coś powiedzieć – ciągnie Joachim.

– Chodzi o Louise, pytałeś o nią.

– Tak?

– Czasem dzwonią tu różne młode kobiety. – Mężczyzna spuszcza wzrok.

– Dzwonią? I co mówią?

– Nie wiem. Porozmawiaj z Gormem.

– Co mówią? – Joachim nie ustępuje, postanowił wycisnąć jak najwięcej z młodego człowieka.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Gorm zawsze wtedy zamyka drzwi. Rozmawiają ze sobą, kobieta i Gorm.
– Ponownie wzrusza ramionami.

– Powiedz mi, co wiesz – mówi Joachim zachęcająco. – Nikt się nie dowie,

że ze mną rozmawiałeś. Obiecuję.

Młody człowiek podciąga ramiona niemal do uszu.

– Nic więcej nie wiem. Może coś je łączy, tę kobietę, której szukasz, i Miss Daisy.

Joachim wzdycha, nie wycisnie z niego więcej, to wydaje się jasne. Ale coś jednak zdobył. Miss Daisy. Może powinien zacząć jej szukać. Tylko czy to naprawdę ta kobieta? Tak czy inaczej, zyskał pewność, że właściciel sklepu kłamał. Musi postarać się dowiedzieć czegoś więcej. Ma nowy ślad, pójdzie jego tropem. Czuje dziwny niepokój. Wciąż jeszcze ma szansę. Jeśli znajdzie Louise, jeśli się dowie, dlaczego Helene podała się za nią... Musi być jakieś wytłumaczenie. Jakaś nadzieja.

17

Psychiatra Hans Peter Rosenberg. Raz w tygodniu, tak się umówili. Raz w tygodniu samolot Edmunda z Rosenbergiem na pokładzie ląduje w pobliżu rezydencji. Terapia ma trwać tak długo, jak to będzie konieczne. Helene siada naprzeciwko lekarza w salonie, którego okna wychodzą na jezioro. Wolałaby spędzić ten czas z dziećmi, wcale nie jest przekonana, że jego pytania jej pomogą.

– Nic? – pyta Rosenberg ponownie i poprawia się niespokojnie w fotelu.

Helene waha się, wypija łyk herbaty.

– Mogę panu zaufać?

– Oczywiście – obrusza się psychiatra.

– Nie powie pan nic mojemu mężowi?

Mężczyzna zamierza coś odpowiedzieć, ale rezygnuje. Uśmiecha się.

– Słyszała pani o przysiędze Hipokratesa?

– Nie...

Uśmiech mężczyzny jest zaraźliwy, Helene go odwzajemnia.

– Składa ją każdy lekarz. Od starożytności. Na pewno nie będę tym, który ją złamie.

Helene kiwa głową. Zastanawia się.

– Miałam... – zaczyna i urywa, szuka właściwego słowa. – Miałam jakiś przebłysk.

– A mianowicie?

Opowiada o strumieniu, o lesie. Mówi, że wiedziała, że po drugiej stronie jest droga. I że ucieszyła się, bo to dowodziło, że rzeczywiście była kobietą, która kiedyś tu mieszkała. Chociaż poczuła się też zaniepokojona.

– Co to może znaczyć? – pyta.

– To dowód, że to wszystko jest w pani, ale ukryte gdzieś głęboko – odpowiada psychiatra i znów się uśmiecha.

– Nic więcej nie pamiętam. Tylko że biegnę przez las. – Helene wzrusza ramionami. – Kiedy stałam przy tej drodze, bardzo dziwnie się czułam. Miałam wrażenie, że wtedy uciekałam...

– Uciekała pani?

Helene kiwa głową. Tak, uciekała. To była ucieczka.

– Jak układa się między panią a mężem?

– Dobrze. Tyle że wszystko jest dla mnie nowe.

– To zrozumiałe. Pytała go pani?

– O co?

– Czy byliście szczęśliwi? Może coś, co zaszło między wami, doprowadziło do pani amnezji – mówi Rosenberg. – Takie rzeczy się zdarzają – dodaje.

– Mąż twierdzi, że byliśmy szczęśliwi.

Psychiatra przygląda się jej chwilę.

– Helene, niech pani spróbuje skupić się na tym, co wydarzyło się w czasie poprzedzającym zniknięcie. Innymi sprawami proszę się nie zajmować. Rozumie pani?

– Tak.

– Wygląda na to, że zachowała pani pamięć, ale prowadzą do niej tylko jedne drzwi – ciągnie Rosenberg. Przysuwa się do niej, składa dłonie, ścisza głos. – Nie ma sensu wpatrywać się w stare zdjęcia, swoje i dzieci. Na siłę nic pani sobie nie przypomni. Proszę trzymać się tego przeblýsku, jak to pani określiła. Biegnie pani przez las. Co wydarzyło się chwilę wcześniej. Albo zaraz po tym?

*

Edmund odprowadza Rosenberga do drzwi. Dorośli odchodzą na bok porozmawiać, myśli Helene. Czuje się ubezwłasnowolniona i nie może się z tym pogodzić. Cała sytuacja wydaje się jej dziwna. Edmund otacza się kobietami – starsza pani pełniąca funkcję guwernantki, młoda dziewczyna w stajni... A od niej najwyraźniej oczekuje, że będzie stała i ładnie się uśmiechała, podczas gdy on będzie prowadził poważne rozmowy. Nie godzi się na to, za dużo w niej z Louise, kobiety, która prowadziła własną kawiarnię, wstawiała codziennie rano i odbierała ryby z wędzarni, piekła chleb na zakwasie i zsiadłym mleku z St. Clemens i miodzie z uli z ogródka za domem. Negocjowała z Carlsbergiem darmowe markizy do swojego lokalu w zamian za to, że będzie podawała piwo z tego starego browaru. Patroszyła węgorki, usuwała pęcherze pławne, a potem przechowywała ryby w soli przez wiele miesięcy, żeby były gotowe do jesiennego menu. Podawała je z marynowanymi buraczkami i czosnkiem niedźwiedzim, wszystko według starej, niemal stuletniej receptury, której zmiana groziła powszechnym buntem.

Prowadziła rachunki, czyściła zamrażarki rodalonem, silnym środkiem dezynfekującym, by usunąć zapach mięsa i cytrynowego sorbetu. W pewnym momencie będzie musiała wytłumaczyć to Edmundowi. Ciekawe, czy on wie, co to jest rodalon?

Helene wychodzi przed dom, na trawniku bawią się dzieci, dołącza do nich.

Stara się być obecna, ale wspomnienie strumyka i lasu nie daje jej spokoju. Po raz pierwszy od trzech lat wraca do niej przeszłość, ale może o tym rozmawiać jedynie z Rosenbergiem. Psychiatra uważa, że wspomnienie może być kluczem do jej amnezji. Dlaczego biegnie? Poznała innego mężczyznę i chciała z nim uciec? W takim razie, gdzie on jest? Joachima poznała znacznie później. A może dowiedziała się, że Edmund ma inną? Boże drogi, takie rzeczy dzieją się codziennie. To nie jest powód, żeby tracić pamięć, co najwyżej dobry humor. O co więc mogło chodzić?

Helene stara się uczestniczyć w zabawie dzieci. Teraz, kiedy znów jest z nimi, nie chce tracić ani sekundy. Sofie nawet na moment nie puszcza jej ręki, Christian rozśmiesza ją, po jego oczach widać, że jest zachwycony, kiedy mu się to udaje. Łączy ich podobne poczucie humoru, to dobrze, z czasem pewnie poczuje się bezpieczniej w jej towarzystwie. Za każdym razem, kiedy Helene siada na trawie, Sofie natychmiast wdrapuje się jej na kolana. Helene czuje ciężar ciała dziewczynki i rozkoszuje się chwilą. Uświadamia sobie, że kiedy zniknęła, Christian był mniej więcej w wieku Sofie.

Po kolacji i położeniu dzieci spać, idzie do pokoju Edmunda.

– Zasnęły? – pyta ją, podnosząc głowę znad papierów.

– Tak, bez problemów.

Helene rozgląda się po pokoju, czy raczej bibliotece, urządzonej klasycznie, z regałami od podłogi do sufitu. Wszystkie lampy mają abażury z zielonego szkła. Pośrodku stoi kanapa, obita piękną ciemnoczerwoną skórą.

– Twoje biurko stoi tam.

Edmund wskazuje biurko, które wygląda niemal tak samo jak jego, tylko jest nieco mniejsze. Helene podchodzi bliżej zaciekawiona. Biurko znajduje się w pobliżu okna z widokiem na ogród i jezioro. Widok wody towarzyszy jej.

– Tutaj zwykle pracujemy wieczorami. Ale masz też prawdziwe biuro.

Edmund wstaje, podchodzi do niej. Patrzy na nią z nieskrywanym pożądaniem. Helene robi krok w stronę kanapy, czuje, że beżowa sukienka opina jej kształty bardziej, niżby tego chciała. Czuje też, że Edmund widzi wszystko, jej biodra, piersi. Siada na kanapie, on obok niej, kładzie dłoń na jej udzie.

– Helene... – zaczyna schrypniętym głosem.

– Jakie było nasze małżeństwo? – przerywa mu Helene.

Edmund waha się przez moment.

– Dobrze – odpowiada w końcu.

Nadal trzyma dłoń na jej udzie, ale nie podejmuje dalszych kroków, najwyraźniej czeka na sygnał z jej strony. Ma lekko opaloną skórę, ładne, żywe oczy. Jest przystojnym mężczyzną. Dobrym ojcem. Więc dlaczego uciekała? Wtedy.

– Opowiedz coś o nas. Byliśmy szczęśliwi? Często ze sobą sypialiśmy? – pyta Helene, chociaż czuje, że Edmund nie chce o tym rozmawiać. Bardzo się kontroluje. Po dłuższej chwili obejmuje ją i przyciąga do siebie.

– Wszystkie małżeństwa przechodzą kryzysy – mówi Helene. – Jakie mieliśmy problemy?

– Brakowało nam czasu dla siebie – odpowiada Edmund szybko. – Przejęcie wymagało dużo pracy i...

Helene wchodzi mu słowo: – Przejęcie?

Edmund ponownie się waha.

– Nie sądzę, żeby to był właściwy moment na taką rozmowę.

– Co miałeś na myśli?

– Kilka lat zajęło nam przejęcie holenderskiej spółki okrętowej. Gdyby doszło do skutku, bylibyśmy najwięksi na świecie. To był twój pomysł, twoje marzenie, Helene. A to oznaczało, że często nie było cię w domu. – Edmund wzrusza ramionami.

– Ale czy byliśmy szczęśliwi?

– Tak, byliśmy bardzo szczęśliwi. Byliśmy przyjaciółmi, dzieliliśmy wszystko, pracowaliśmy razem, spędzaliśmy razem wolny czas, zajmowaliśmy się dziećmi. I sypialiśmy ze sobą... – Edmund spuszcza wzrok, jest skrępowany. – Często ze sobą sypialiśmy.

Nachyla się i spontanicznie całuje Helene. Ich wargi spotykają się, Helene czuje, jak mocno bije jej serce. Cały czas analizuje swoje reakcje. Powinna się odprężyć. Edmund najwyraźniej nie ma takiego problemu, jego przyspieszony oddech mówi wszystko. Bierze jej twarz w swoje dłonie i znów ją całuje, przesuwając delikatnie językiem po jej wargach, Helene czuje przyjemne ciepło. Walczy ze sobą. I chce, i nie chce. Nagle Edmund puszcza ją i wstaje. Patrzy na niego zdezorientowana. Edmund podaje jej rękę, a ona ją chwytą. Idą przez cały dom, potem po schodach na górę do sypialni, podchodzą do łóżka. Edmund najwyraźniej nie należy do mężczyzn, którzy rzucają się na swoje żony w bibliotece. Jest zawiedziona? Sytuacja od początku była trudna, a spacer przez dom jej nie poprawił. Edmund się rozbiera, powoli, systematycznie. Kładzie ubrania na krzesło. Helene stoi i przygląda się mężowi. W końcu staje przed nią nagi, na piersiach i brzuchu ma ciemne włosy, wyraźnie zaznaczone mięśnie. Nie patrzy na nią. Po dłuższej chwili podchodzi do niej i ją rozbiera, równie systematycznie, jak przed chwilą sam się rozbierał. A ona mu na to pozwala. Unosi ręce nad głowę, żeby mógł zdjąć z niej sukienkę. Podnosi stopy, zdejmując majtki. Teraz oboje są

nadzy. Dwa ciała. Mąż i żona. Edmund bierze ją za rękę i prowadzi do łóżka.

– Jesteś taka piękna. Zawsze byłaś – szepcze schrypniętym głosem.

Kładzie się na niej, wciska ją w materac. Jego ciało na jej ciele. Opiera łokcie o materac, bierze w dłonie jej twarz, całuje ją. Równie perfekcyjny pocałunek jak poprzedni. Helene odwzajemnia go, musi. Ostrożnie gładzi rękami jego ciało. Czuje na udach jego twardy członek, który po chwili dotyka jej łona.

– Nie – szepcze Helene.

– Co? – Edmund odrywa się od niej. Leżą obok siebie, oddychają szybko. Słyszą szum wiatru na zewnątrz, gdzieś z daleka dochodzi dźwięk syreny statku.

– Przepraszam – mówi cicho Helene.

– W porządku. – Edmund kładzie dłoń na jej rękę. – Mamy czas, tyle, ile będziesz potrzebować. – Odzywa się komórka. – Może zaczekać – rzuca Edmund.

– Nie, odbierz – zachęca go Helene.

– Pewnie jakieś służbowe sprawy. Zaraz wracam. – Edmund wstaje, ubiera się, równie dokładnie jak wcześniej się rozbierał, zerka na komórkę i wychodzi.

Helene zostaje sama w łóżku. Pierwszy raz zawsze jest najgorszy, przekonuje sama siebie. Otwiera szufladę nocnego stolika, robiła to już wcześniej, wie, co w niej jest. Słoiczek z aspiryną, chusteczki higieniczne, stara Biblia. Z trudem odczytuje napis na pierwszej stronie. To dedykacja. Od Blichera, pastora i pisarza, organizatora spotkań na Himmelbjerget, dla prapradziadka Helene. Zerka też na kwitek z parkometru. Data. Dwudziesty trzeci marca. Bez roku, ale wie, że zniknęła dwudziestego szóstego marca. Trzy dni wcześniej miała... No, właśnie, co? Spotkanie? W papierni? Nie wie, co o tym myśleć. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Psychiatra radził jej skupić się na dniach poprzedzających jej zniknięcie. Co tam robiła? W tej fabryce.

Słyszy kroki na schodach, Edmund wraca. Szybko wkłada kwit z powrotem do szuflady. Kładzie się i odwraca plecami do drzwi. Myśli o *Kupcu*, to jedyne opowiadanie Blichera, jakie czytała, nie pamięta kiedy, pamięć jest jej wrogiem. Nienawidzi jej. Pamięta charakterystyczny smak zupy chlebowej na piwie, pamięta *Casablankę* i pamięta *Kupca*. „Największy smutek to utrata kogoś, kogo się kochało”. Joachim. Straciła go. Zamyka oczy i udaje, że śpi. Wyobraża sobie Joachima. Widzi go siedzącego przed komputerem. Może jest szczęśliwy, teraz kiedy znów zaczął pisać.

Joachim budzi się wcześniej. Budzi go wspomnienie Helene. Pewnie jest szczęśliwa, myśli. Pewnie leży u boku męża, zapomniała o nim, o Joachimie. Czuje się opuszczony, porzucony.

Siada na łóżku, opiera się plecami o zimną ścianę oklejoną żółtą tapetą. W całej tej historii coś mu nie pasuje. Pamięta, co powiedział mu młody mężczyzna ze sklepu ze sprzętem fotograficznym: że być może starszy pan coś wie, że od czasu do czasu rozmawia przez telefon z różnymi kobietami, szczególnie z jedną, z Miss Daisy.

Miss Daisy.

Wstaje z łóżka, włącza komputer, wchodzi na stronę zakładu fotograficznego. Znajduje na niej nazwisko Gorma. I adres. W dzielnicy willowej. Sprawdza na mapie. Z Nørrebrogade jeździ autobus do metra, potem jeszcze kwadrans spacerem. Studiuje mapę, stara się zapamiętać nazwy ulic ostatniego odcinka. Równie dobrze może od razu się tam udać.

*

Znajduje dom, ale ma wątpliwości. To naprawdę tutaj? Czy niepozorny starszy pan naprawdę może być właścicielem tak okazałej willi? Może jego żona dobrze zarabia? A może ją odziedziczył? Willa leży przy jednej z bocznych uliczek, oddalona nieco od głównej ulicy, prowadzi do niej chodnik, wzdłuż którego rosną róże. Joachim dzwoni do drzwi, po chwili otwiera mu długonoga nastolatka z aparatem na zębach.

– Tata jest w domu? – pyta Joachim. Późne dziecko, myśli w duchu. A może Gorm ponownie się ożenił i to jest córka jego i jego młodej żony?

– Moment – rzuca dziewczyna i znika w przedpokoju.

Nagle w drzwiach staje Gorm, natychmiast wychodzi na zewnątrz, zamyka za sobą drzwi.

– Co ty sobie wyobrażasz? – cedzi przez zęby.

– Chcę, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz o Louise Andersen – mówi Joachim, zmusza się do zachowania spokoju.

– Nie wiem, o kim mówisz. Idź stąd – szepcze mężczyzna agresywnie.

– Wiem, że miałeś coś wspólnego z Louise Andersen i chcę, żebyś mi o tym opowiedział. Rozmawiałeś o niej z Miss Daisy.

Na dźwięk imienia Gorm wzdryga się. Zerka nerwowo w stronę domu, robi krok w stronę Joachima.

– Możemy porozmawiać gdzie indziej? – pyta cicho.

Joachim kiwa głową, czuje podniecenie. Nareszcie konkretny trop. Nareszcie czegoś się dowie.

– Spotkajmy się gdzieś indziej. Skręć tą ulicą w lewo, za chwilę podjadę i cię zabiorę. – Gorm zerka na zegarek. – Po prostu idź przed siebie, to długa ulica, będę za jakiś kwadrans.

Joachim zastanawia, ma gonitwę myśli. Czy to wybieg, żeby się go pozbyć?

– Jeśli się nie pojawisz, wrócę tu.

Gorm kiwa ponuro głową i znika w domu. Joachim idzie, po chwili skręca w boczną uliczkę. Mała willowa uliczka szybko zamienia się w szeroką ulicę, po obu stronach wznoszą się bloki. Mniej więcej po kwadransie na jezdni pojawia się czerwony passat, zatrzymuje się. Joachim otwiera drzwi i wsiada. Gorm nie obdarza go nawet spojrzeniem, rusza i natychmiast przyspiesza.

– Dokąd jedziemy?

– Chciałeś się spotkać z Miss Daisy.

– Chcę znaleźć Louise.

– Nie znam Louise, ale Daisy może coś wiedzieć – mówi Gorm, nie patrząc na Joachima.

Docierają na obrzeża miasta, bloków jest coraz więcej i są coraz wyższe, jednak potem znów pojawiają się niższe budynki. Jadą teraz przez tereny przemysłowe na obrzeżach Bagsværd. Nagle Gorm skręca.

– Gdzie mieszka Miss Daisy? – pyta Joachim, ale nie dostaje żadnej odpowiedzi. – Hej!

Gorm hamuje, zagniewany rowerzysta za nimi trąbi, mijają ich, pokazuje im środkowy palec.

– Chcesz się z nią zobaczyć?

Joachim przygląda się Gormowi. W oczach mężczyzny widzi nienawiść. Jadą dalej, obaj milczą. Joachim wygląda przez okno, wjeżdżają właśnie do lasu. Pewnie Hareskoven, Zajęczy Las. Joachim już od pewnego czasu śledzi tablice drogowe, próbuje się zorientować, w jakim kierunku jadą. Żałuje, że nie wziął ze sobą niczego, co mogłoby posłużyć za broń. Gorm skręca w wąską leśną dróżkę i po chwili się zatrzymuje. Odwraca się do Joachima.

– Masz się trzymać z daleka, rozumiesz?! – mówi.

– Gdzie ona mieszka? O co chodzi?

Nie dostaje odpowiedzi, widzi tylko, jak Gorm sięga do kieszeni, wyjmując podłużny, ciemnoszary przedmiot, robi zamach i trafia Joachima w skroń.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy Joachim.

Gorm uderza drugi raz, zdecydowanie, jakby nie miał nic do stracenia. Joachim próbuje wysiąść z samochodu, co okazuje się błędem. Drugi cios trafia go w kark. Robi mu się czarno przed oczami, ręka mu drży. Gdyby tylko był w stanie

wysiąść. Porusza się powoli, jak w sennym koszmarze, gdzie człowiek walczy i walczy i nic z tego nie wynika. Gorm wysiada z samochodu, wyciąga z niego Joachima.

– Ja... powiedziałem komuś o tobie – szepcze Joachim. Gorm stoi z podniesioną ręką, czyżby zamierzał go zabić? – Powiedziałem o tobie swojemu bratu. Nie ujdzie ci to na sucho.

– Masz tu nie wracać. Nie wolno ci iść na policję. Nie jestem sam, rozumiesz? – Trzyma Joachima za kołnierz kurtki, potrząsa nim, oczekuje odpowiedzi.

– Ja też nie – mówi Joachim i sam słyszy, że nie brzmi to przekonująco.

Gorm uśmiecha się i kręci głową.

– Następnym razem źle się to dla ciebie skończy – rzuca i zadaje kolejny cios.

*

Joachim budzi się oszołomiony i zdezorientowany. Dotyka ręką skroni, czuje potężny guz. Boli go głowa. Siedzi dłuższą chwilę na ziemi, dopiero po jakimś czasie przypomina sobie twarz Gorma. Mężczyzny, który pobił go do nieprzytomności. Czym go uderzył? Metalową ostrzałką? Taką do noży? Jest prawie pewien, że tak właśnie było.

Sięga do kieszeni po komórkę. O ile nadal ją ma. Czuje ulgę, kiedy jego palce dotykają gładkiej plastikowej powierzchni. Najpierw wybiera 112. Nie wie, co ma robić. Nie potrafi odpowiedzieć na pytania operatora. „Gdzie jesteś? Co się stało?”. W końcu się rozłącza. Rozmyśla, czy zadzwonić do Iben Hansen Hansen. I co jej powie? Nie bardzo ma co. Poza tym Helene jest podejrzana w sprawie zaginięcia Louise. Miała przy sobie jej plecak. Może w ogóle nie powinien jej szukać? Nie jest wcale pewien, czy to służy Helene.

Podnosi się z trudem. Rusza w stronę asfaltowej drogi. Coś jest nie tak z jego wzrokiem, widzi wszystko w kawałkach, jak w kalejdoskopie, chwieje się, pewnie wygląda, jakby był pijany. Idzie dalej, aż dociera do domu, na którym jest numer. Sięga po telefon, kropla krwi pada na ekran, kiedy googluje korporacje taksówkowe. Ballerup, Værløse, domyśla się, że jest gdzieś w okolicy. W końcu znajduje jakąś. Dzwoni. Tłumaczy, gdzie jest i dokąd chce jechać: do najbliższej izby przyjęć.

*

Tłumaczy kobiecie w rejestracji, że spadł z roweru. Mówi o bólu w klatce piersiowej i zaburzeniach widzenia. Kobieta każe mu usiąść i czekać. Siada i czuje, jak przepelnia go nienawiść do Gorma, która jednak po chwili zostaje zastąpiona poczuciem wdzięczności. Bo teraz już wie na pewno. Wie, że jest na właściwym

tropie. Bo przecież w innym wypadku Gorm nie zareagowałby tak gwałtownie. Znow sięga po komórkę, googluje Miss Daisy. Pojawiają się najróżniejsze dane. Najwięcej oczywiście o filmie *Wożąc panią Daisy*, nagrodzonej Oscarem amerykańskiej komedii z 1989 roku z Morganem Freemanem i Jessicą Tandy w rolach głównych, w reżyserii Bruce'a Beresforda, na podstawie sztuki Alfreda Uhry'ego. Jest też adres firmy oferującej podobne usługi: kierowca nie tylko przewiezie cię z punktu A do punktu B, ale zostanie również twoim przyjacielem. Joachim uśmiecha się i znow czuje ostry ból, przestaje. Czyta dalej. Nauka jazdy z instruktorem kobietą, restauracja na Florydzie, i jeszcze jedna restauracja.

Pielęgniarka bada go, dotyka wprawnymi rękami jego klatki piersiowej. Joachim jęczy, kiedy kobieta dotyka guza na skroni. Świeci mu w oczy, sprawdza odruchy, zadaje mnóstwo pytań. Potem daje mu jakieś tabletki i mówi, że ma odpoczywać, ale przez sześć najbliższych godzin nie wolno mu zasnąć. Ma lekkie wstrząśnienie mózgu, nic poważnego. Jeśli zaczniesz wymiotować albo poczuje się gorzej, ma ponownie skontaktować się z lekarzem.

– Ktoś powinien być z panem – mówi pielęgniarka. – Mieszka pan z kimś?

– Tak – odpowiada Joachim i czuje łzy w oczach.

Przechodząc przez poczekalnię, zerka na leżące na stolikach gazety. „Ekstra Bladet” z pierwszą stroną na wierzchu. Przypomina sobie spuszczone wzrok Gorma. Córka, żona. Poczucie wstydu. Czy to możliwe, że Miss Daisy jest prostytutką? Wydzwaniające kobiety, strach w oczach Gorma. Joachim bierze do ręki gazetę, siada na krześle i otwiera na jednej z ostatnich stron. Przebiega wzrokiem wyszukane nazwy i określenia. „Sorø, ekskluzywna, niegrzeczna” albo: „Nowość: ekskluzywny masaż francuski prostaty”. Świat stał się bardziej skomplikowany, a jemu przybyło lat. Przerzuca kolejne strony. I nagle to widzi. Imię. Naprawdę. „Miss Daisy. Czeka na ciebie całą dobę”. Szybko sięga po komórkę, zerka na gazetę. Wyobraża sobie, jak to wygląda dla kogoś, kto obserwuje go z zewnątrz: facet zapisuje numer telefonu do dziwki, ale jest za skąpy, żeby kupić gazetę. Czy można upaść niżej? Zapisuje numer w kontaktach, zamyka gazetę i szybko wychodzi. Kręci mu się w głowie. Nie potrafi powiedzieć, czy to na skutek uderzenia, czy z emocji. Teraz ma już konkretny ślad. Za tym wszystkim coś się kryje, wie to na pewno. I zamierza odkryć co.

Pierwszą podróż własnym samochodem Helene odbyła w towarzystwie Edmunda. Siedział obok niej na miejscu pasażera, a ona cały czas go uspokajała. Tłumaczyła, że przecież na Bornholmie prowadziła samochód. Już chciała wspomnieć stare volvo Joachima, ale się powstrzymała. Dziwnie się czuje. Wspomnienia, które ma, muszą pozostać w ukryciu, te, których nie ma, bez przerwy pojawiają się w rozmowach z Edmudem. Wspomnienia związane z dziećmi, z tym, jak ona i Edmund poznali się na konferencji firmowej w Singapurze. Wspomnienia. Ale nie jej wspomnienia. Edmund nie ukrywał, że nie chce, by przez najbliższe pół roku jeździła sama samochodem. Zaprotestowała. Nie będzie porcelanową lalką. On jednak obstawał przy swoim. Na szczęście musiał w końcu pojechać do pracy. Pocałowała go na do widzenia, a potem patrzyła, jak wyjeżdża przez bramę. W szafce obok drzwi znalazła kluczyki do małego mercedesa.

Nareszcie jest sama w samochodzie. Wóz sprawia wrażenie nowego, jest czysty, nijaki, tak różny od starego volva Joachima, które było częścią ich obojga. Mieli tam wszystko, książki Joachima, filiżanki do kawy, gliniane dzbanki kupione do kawiarni, które z jakiegoś powodu zostały w aucie.

Helene jedzie powoli przez ciche, spokojne miasteczko, przygląda mu się uważnie. Stare centrum, parowiec „Hjejlen” cumujący przy nabrzeżu obok innych statków turystycznych, stare domy, pomosty, historia. Parking znajduje się obok dużego centrum fitnessu. Dużo lat minęło od czasu, kiedy produkowano tu papier, myśli Helene. Teraz ćwiczy się tu mięśnie. Dwaj mężczyźni wychodzący właśnie z centrum są tego dobitnym przykładem. Helene wrzuca pięć koron do parkometru, bierze kwitek. Podobny do tego, który znalazła w kieszeni żakietu, tylko data jest inna. Była tu trzy dni przed swoim zniknięciem. Trzy dni przed tym, zanim wsiadła na Samira, przejechała lasem, zsiadła z konia na polanie przy strumyku, przebiegła gęstym lasem iglastym, przedzierając się z mozołem przez suche gałęzie, i wyszła po jego drugiej stronie. Jako całkowicie inna kobieta, zmieniona, z wyczyszczonym twardym dyskiem. A jednak... Psychiatra powiedział, że jej pamięć wskazała drzwi do wspomnień z czasu przed zniknięciem. Drzwi, przez które powinna spróbować wejść. Więc to zrobiła. Rozgląda się. Tuż obok jest restauracja, gdzie serwują steki, w oknie leży kowbojski kapelusz i *ad libitum* za sto trzydzieści dziewięć koron. To tutaj się wybierała? Zamierzała coś zjeść? Nie, to chyba nie w stylu Helene, ani w jej dawnym, ani obecnym wydaniu. Poza tym zapłaciła za parking pięć koron, czyli za kwadrans postoju. Zbyt mało, żeby iść na ćwiczenia

i zbyt mało, żeby zjeść stek czy nawet wypić latte. Więc po co tu przyjechała? Może miała się z kimś spotkać. Na parkingu? Nie. W takim wypadku nie płaciłaby za parkowanie. Skoro Helene jest, czy raczej była taka oszczędna, jak twierdzi Edmund, to postawiłaby samochód i kontrolowała, czy nie zbliża się parkingowy.

Rusza przed siebie. Dobrze, że Edmund jej nie widzi. Byłby nieszczęśliwy? Raczej zdenerwowany. A ona? Denerwuje się? Czy przyszło jej na myśl, żeby zostawić wszystko i znów zniknąć? Nie potrafi powiedzieć, nie wie, kim jest. Przygląda się ludziom wokół, dwie kobiety w jej wieku wychodzą z siłowni. One wiedzą, kim są. Wszyscy wiedzą, kim są – taksówkarz, porządkowy, który chodzi i sprząta teren, parkingowy, który wypisuje kwity, wszyscy oni wiedzą, kim są. Wszyscy z wyjątkiem Helene. Dlatego tu przyjechała.

Idzie dalej w jedynym możliwym kierunku, w dół do rzeki, po drugiej stronie jest ruchliwa droga. Wchodzi do kawiarni. Za barem stoi kobieta mniej więcej w jej wieku, przygotowuje latte, robi na niej serduszka z pianki. Helene czeka chwilę, aż goście wypiją kawę i odejdą.

– Coś pani podać? – pyta kobieta, nie podnosząc głowy.

– Prawdę mówiąc, mam pytanie. Być może zabrzmi nieco dziwnie, ale proszę powiedzieć, czy pani mnie kiedyś widziała?

Kobieta podnosi wzrok zdziwiona. Patrzy na nią i się uśmiecha.

– Tylko na zdjęciach w gazetach – odpowiada.

– Pani jest właścicielką tej kawiarni?

– Tak.

– Od dawna?

– Do czego pani zmierza?

– Trudno mi to wytłumaczyć... – mówi Helene, po chwili przeprasza, że zabrała jej czas i wychodzi.

Tak zapewne robi policja – chodzi od drzwi do drzwi, wypytuje ludzi, tylko że policjantów jest wielu, a ona jest jedna. Wraca do samochodu. Mijają ją dwie osoby w mundurach SAS-u. Przed hotelem są tylko dwa miejsca parkingowe, oba zajęte przez niebieskie hotelowe furgonetki. Zastanawia się chwilę, kiwa głową. Tak, to możliwe. Pewno miała jakąś sprawę w hotelu, ale miejsca postojowe były zajęte. Dlatego zostawiła samochód na parkingu. Zapłaciła za kwadrans. Prawdopodobnie była z kimś umówiona. Szklane drzwi rozsuwają się, Helene wchodzi do holu.

– Pani Söderberg?

Odwraca się, widzi idącego w jej kierunku mężczyznę w garniturze. Patrzy na nią, waha się. Dojrzały mężczyzna, zadbane, krótkie siwe włosy.

– Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że panią widzę... – urywa, po czym szybko dodaje: – Tu dzisiaj.

Pewnie zamierzał powiedzieć „przy życiu”, myśli Helene.

– To miło z twojej strony. Z pana strony – poprawia się.
– Co mogę dla pani zrobić? – Uśmiecha się dyrektor hotelu. Daje znać ręką współpracownikowi, który czeka na niego z plikiem papierów, żeby mu nie przeszkadzał.

– Wpadłam tu, bo pomyślałam, że może zna pan moją sytuację?

Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienia się, jego spojrzenie jest otwarte, ale w oczach pojawia się lekki niepokój.

– Straciłam pamięć – szepcze Helene, jakby zawstydzona, chociaż nie potrafi powiedzieć dlaczego.

Mężczyzna zerka za siebie. W głębi holu czeka grupa biznesmenów, ich bagaże stoją na wózku hotelowym. Helene ma wrażenie, że w czymś mu przeszkodziła, ale on zaprasza ją do swojego gabinetu.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, czy kiedyś już tu byłam? – pyta Helene wprost. W napięciu czeka na odpowiedź.

– Gościliśmy uczestników wielu organizowanych przez państwa konferencji. Tak. Oczywiście. Często bywała pani naszym gościem, co bardzo sobie cenimy – mówi dyrektor, odchrząkuje, kiwa głową.

– Ale czy byłam tu niedługo przed zniknięciem? Dwudziestego trzeciego marca trzy lata temu. Pracował pan tu wtedy?

– Tak. Byłem zastępcą dyrektora, nie pamiętam, czy tego dnia byłem w pracy, w końcu to dość dawno temu.

– Hotel ma monitoring?

– Tak – odpowiada mężczyzna i patrzy na nią lekko przestraszony.

– Przechowujecie taśmy?

– To nie są taśmy, tylko pliki. Tak. Przechowujemy je, ale nie chcesz chyba... – urywa nagle.

Helene zauważa, że przeszedł na ty. Odkasłuje i wstaje.

– Chętnie je obejrzę – mówi i kładzie na stoliku zmięty kwitek z parkometru.

– To nie zajmie dużo czasu, chodzi o kwadrans z tego konkretnego dnia.

*

Nagranie jest czarno-białe, kadry nieco niewyraźne, szczególnie kiedy technik zwiększa prędkość, żeby przejść do ranka dwudziestego trzeciego marca. Ludzie wybiegają i wbiegają w szalonym tempie.

– Piętnasta czterdzieści trzy – zwraca się Helene do technika. Spogląda na kod czasowy na dole ekranu. Technik zatrzymuje nagranie na piętnastej czterdzieści jeden. Puszczą obraz w normalnym tempie. Dyrektor stoi za Helene i też pilnie obserwuje nagranie. Do hotelu wchodzi starsi państwo, dostają kartę do pokoju. Ruszają w kierunku windy. Jest piętnasta czterdzieści trzy. Jedna z pokojówek przechodzi, ciągnąc wózek z pościelą. Piętnasta czterdzieści cztery.

Helene wzdycha, dyrektor pomrukuje. Piętnasta czterdzieści siedem. Nadal nic. Przejście z parkingu do hotelu zajmuje mniej niż minutę.

– Przykro mi – mówi dyrektor, kiedy kod czasowy wskazuje piętnastą pięćdziesiąt.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – odpowiada Helene, wstając.

– Odprowadzę panią.

Helene idzie za dyrektorem, wychodzą na korytarz, kiedy nagle słyszą za sobą głos technika.

– Chwileczkę.

Helene odwraca się, zerka przez ramię na ekran. I widzi na nim, jak wchodzi do holu. Szybko wraca do pokoju technika, siada przed monitorem. Na nagraniu zdecydowanym krokiem podchodzi do recepcji. Ma na sobie niebieski blezer, ten, w którego kieszeni znalazła kwitek z parkingu. Do tego spodnie i ciemne lakierki. Z trudem się rozpoznaje. Jest w niej coś twardego, bezkompromisowego, nawet w sposobie poruszania się. Sięga do torebki i coś z niej wyjmuje. Zdjęcie? Kartkę? Trudno powiedzieć. Recepcjonista kręci głową, nie widać jego twarzy, stoi tyłem do kamery. Helene wydaje się nalegać, podsuwa kawałek papieru bliżej recepcjonisty, który tylko wzrusza ramionami i rozkłada ręce. Helene stoi chwilę, w końcu wkłada kartkę do torebki i wychodzi. To wszystko.

– Mogę jeszcze raz obejrzeć tę scenę?

Technik cofa nagranie. Helene ogląda scenę trzy razy, ale niewiele jej to daje. Widać tylko, że najwyraźniej przysłała do hotelu dowiedzieć się czegoś.

– Mogę zamienić kilka słów z recepcjonistą? – pyta.

– Przejdźmy się do recepcji, muszę odszukać grafik sprzed trzech lat – mówi dyrektor. Podchodzi do komputera, otwiera jakiś plik, szuka daty, która interesuje Helene.

– Z grafiku wynika, że to był Martin. To z nim wtedy rozmawiałaś – oznajmia, po czym zwraca się do dziewczyny w recepcji: – Wiesz, co dzieje się z Martinem?

– Nie ma go z nami – odpowiada młoda recepcjonistka.

Dyrektor patrzy na Helene przepaszająco.

– Umarł?

– Mam nadzieję, że nie. – Śmieje się.

– Ma teraz etat w Małych Rybkach – wtrąca się do rozmowy recepcjonistka.

Ma miły głos, mówi dialektem.

– W Małych Rybkach? – powtarza Helene zdziwiona.

– To nad jeziorem – informuje dziewczyna, usiłując ukryć zdziwienie.

Wyjmuje mapę turystyczną i kładzie przed Helene. Zaznacza krzyżykiem miejsce. Helene nie znosi map, takimi sprawami zajmował się zawsze Joachim. Nawigacją. Gdzie on jest, do diabła, teraz, kiedy go tak potrzebuje. Pewnie siedzi

i pisze, szczęśliwy, może w towarzystwie jakieś dawnej kochanki.

– Małe Rybki są tutaj – mówi recepcjonistka i pokazuje miejsce na mapie. – A tutaj jest szkoła nurkowania. Jestem niemal pewna, że go tam znajdziesz. Martin jest instruktorem.

Instruktor nurkowania. Helene zastanawia się, czy instruktor nurkowania, Martin, pamięta, o co pytała go tamtego dnia trzy lata temu?

W przedziale pociągu siedzi starszy mężczyzna w eleganckim beżowym płaszczu i przygląda mu się z wyraźną dezaprobatą. Joachim wie, że wygląda okropnie, na twarzy ma wybroczyny, na wardze ranę. Zagłębia się w fotel, przyciska czoło do zimnej szyby. Powinien odebrać samochód. Zostawił go na Bornholmie. Z różnych względów, praktycznych i emocjonalnych. Wszystko działo się tak szybko, ale wie, że siebie nie oszuka. Jeśli coś się za sobą zostawia, to dlatego, że ma się nadzieję wrócić. Im ważniejsza rzecz, tym większa nadzieja. Tak było?

Dom publiczny okazuje się tak łatwy do znalezienia, jak zapewniała go Fanny, kiedy rozmawiał z nią przez telefon. Schodzi schodkami do piwnicy. Trzy stopnie, wszystko się zgadza. Na tabliczce na drzwiach ktoś napisał ręcznie: OTWARTE. Duże litery, kobiece pismo. Okna są zasłonięte, widać tylko świetlny łańcuch z czerwonych serduszek. Nie można się pomylić. Wchodzi do jasno oświetlonego pokoju. Za ladą, rodzajem recepcji, siedzi młoda, chuda dziewczyna. Na szklanym blacie widać tłuste plamy i ślady po wosku.

– Zapraszam.

Joachim rozpoznaje schrypnięty głos. To Fanny, kobieta, z którą rozmawiał przez telefon. Rozgląda się: pomalowane na biało ściany, reflektorki na suficie dają mocne światło, wzdłuż ściany stoją cztery wiklinowe fotele. W jednym siedzi krótko ostrzyżony mężczyzna i przegląda jakieś czasopismo. Wykidajło – tatuaże i potężne mięśnie wystające spod bardzo wyciętej koszulki nie pozostawiają wątpliwości.

– Co... mam zrobić? – pyta Joachim.

– Jesteś nowy? – Uśmiecha się Fanny.

Nic w jej wzroku nie zdradza, że zauważyła jego posiniaczoną twarz. Jest dyskretna. Wie, że nikt nie chce zostać rozpoznany, nikt nie chce odpowiadać na niepotrzebne pytania czy wysłuchiwać komentarzy.

Joachim odpręża się. Może to dziwne, ale czuje, że jest w bezpiecznych rękach.

– Mam dla ciebie bardzo miłą dziewczynę, trochę pulchna, ale ma świetne kształty i pięknie się uśmiecha. Jeśli wolisz dzikiego rudzielca, to też się znajdzie. Masz jakieś preferencje? Może chciałbyś niegrzeczną blondynkę?

Fanny mruga do niego porozumiewawczo, a Joachim nie może powstrzymać uśmiechu.

– Blondynka – odpowiada bez chwili wahania.

– Zaraz zawołam Mindy – mówi Fanny, nachyla się do Joachima i pyta szeptem: – Masz jakieś specjalne życzenia?

– No...

Joachim czerwieni się, nie wie, co powiedzieć.

– Czyli normalnie – stwierdza Fanny.

Joachim kiwa głową.

– Dobrze. Płacisz gotówką? Przyjmujemy też karty, na wydruku będzie napisane „wellness”, pełna dyskrecja.

Joachim mruczy pod nosem, że kartą, a Fanny uśmiecha się i wskazuje mu miejsce obok ochroniarza. Joachim siada, próbuje wziąć się w garść. Przypomina sobie, dlaczego tu jest – chce znaleźć Louise Andersen.

W końcu Fanny wraca.

– Mindy czeka na ciebie. Wejź do pokoju, który ma otwarte drzwi.

Joachim rusza korytarzem, pomalowane na biało ściany, zapach salmiaku. Wchodzi przez otwarte drzwi, w środku jest duże metalowe łóżko z mosiężnymi gałkami u wezłowia i stolik nocny – to wszystko. Słyszy za sobą kroki, odwraca się gwałtownie i staje naprzeciwko Mindy. Dziewczyna ma jasne, niemal białe włosy, skośne, szeroko rozstawione oczy, czarna kreska podkreśla ich koci charakter. Twarz Mindy jest przypudrowana na biało, tylko wysokie kości policzkowe zostały zaznaczone różem. Wargi są jaskrawoczerwone. Mindy zamyka drzwi i nie spuszczając z niego wzroku, podchodzi bliżej. Dotyka dłonią jego biodra, mija go. Joachim odwraca się, spogląda na nią. Mindy stoi obok łóżka, patrzy na niego wyczekująco. Ma na sobie pas do pończoch, stanik i stringi. Na nogach szpilki na bardzo wysokich, cienkich obcasach. Jej piersi są idealnie krągłe. Joachim otwiera usta, chce coś powiedzieć, zadać pytanie, ale ona jest już przy nim, kładzie palec na jego wargach, drugą rękę wkłada za pas jego spodni, a on czuje jej chłodne palce na swojej skórze, która nagle wydaje mu się bardzo gorąca.

Nigdy jeszcze nie był z prostytutką. Nigdy tego nawet nie rozważał. Jako młody chłopak był zbyt nieśmiały, a potem poznał Ellen i został pisarzem. I zaczął otrzymywać propozycje, o których dawniej nawet nie śmiał marzyć. Piękne kobiety pisały do niego listy, dzwoniły, przychodziły do niego po prelekcjach. Nawet kiedy sprzedaż jego książek powoli spadała, propozycji nie ubywało. Był teraz tajemniczym pisarzem, który osiadł na Christiansø. Na ogół odrzucał je wszystkie. Czas spędzony z Ellen podziałał na niego jak szczepionka. Kiedy jeszcze byli małżeństwem, miewał skoki w bok, obecnie nie ma już takiej potrzeby. Przy Louise, przy Helene, mógł znów oddychać. Przy Ellen nie był w stanie. Ellen zarzucała mu skłonność do kompromisów. Czyżby się zmienił? Stał się bardziej wytrwały w swoich dążeniach? Jak artyści, których tak podziwiał. Jak Turner, angielski malarz, który kazał przywiązać się do masztu i w ten sposób przetrwał czterogodzinny sztorm na pełnym morzu, by później móc oddać go na swoich

obrazach? Czy on też taki się stał? Bezwzględny, przywiązany do masztu, który nazywa się Helene? Co powiedziałaaby Ellen, gdyby teraz go zobaczyła? Czy nareszcie stał się takim twórcą, jakim zawsze chciała go widzieć?

Leży na łóżku, czuje na sobie doświadczone ręce Mindy. Kobieta dotyka go, bardzo świadomie, ale ani w jej dotyku, ani w jej oczach nie ma ciepła. Czy dlatego jej na to pozwala? Dlaczego czuje się mniej winny wobec Helene? Czy w ogóle można mówić o winie, skoro to Helene go opuściła? Tego nie wie, wie tylko, że rozpiął koszulę i opuścił spodnie, jego twarde członek nie kłamie, mówi prawdę o jego żądzach. Mimo to Joachim podejmuje rozmowę, mając dziwne przeczucie, że to jego ostatnia szansa.

– Szukam kobiety, która pracowała tu trzy lata temu. Louise. Znasz ją?

Mindy wzdycha, schodzi z łóżka, siada na krawędzi odwrócona do niego plecami. Przeciąga się, jak ktoś, kogo bolą mięśnie. Joachim też siada, próbuje się szybko ubrać, wkłada bokserki na lewą stronę, czuje, jak uciskają mu członek.

– Wiedziałam, że nie przyszedłeś tu, żeby się pieprzyć – stwierdza Mindy krótko.

Joachim wyjmując z kieszeni komórkę, znajduje zdjęcie Helene. Okrąża łóżko, staje przed dziewczyną, pokazuje jej zdjęcie.

– Znasz ją?

Chwila konsternacji, Mindy ściąga brwi, sekundę potem jej twarz znów jest bez wyrazu.

– Nigdy jej nie widziałam, jasne?

Joachim wie, że kobieta mówi prawdę. Dostrzegł jej konsternację. Nie skojarzyła twarzy Helene z imieniem Louise. To imię musi jej się kojarzyć z kimś innym. Gdyby miał zdjęcie prawdziwej Louise. Ale nie ma, więc teraz musi znaleźć sposób, żeby zachęcić Mindy do rozmowy.

– Znałaś Louise? Wiesz, gdzie teraz jest?

Mindy podnosi się powoli.

– Masz na myśli Stellę? Wydaje mi się, że ona już nie pracuje w branży.

Joachim powtarza imię. Stella. Oczywiście, żadna prostytutka nie używa własnego imienia. Wszystkie nazywają się Vanessa, Mindy, Pamela albo podobnie.

– Jeśli nie chcesz się pieprzyć, to możesz już się zbierać.

– Stella – powtarza Joachim. – Czy Louise Andersen używała imienia Stella? Muszę ją znaleźć. To bardzo ważne. – Kładzie dłoń na ręce dziewczyny. Mindy spogląda na niego, jakby ją obraził. – Pomóż mi, proszę, chcę się dowiedzieć, co się stało z Louise. Ze Stellą. To ma związek z kobietą na zdjęciu. Myślała, że jest Louise. Przez trzy lata żyła właśnie jako Louise, a teraz muszę się dowiedzieć, jak było naprawdę. Możesz mi pomóc. Powiedz tylko, co wiesz, nawet jeśli wydaje ci się to nieistotne. Każda informacja może posunąć sprawę naprzód.

Mindy mruży oczy, wygląda, jakby się zastanawiała.

– Dobrze ci zapłacę.

Mindy cofa powoli rękę, robi krok do tyłu.

– Zaczekaj chwilę – rzuca i znika za drzwiami.

Może jednak coś mu powie. Chociaż bardziej prawdopodobne, że poszła po ochroniarza. Na pewno coś wie, Joachim jest o tym przekonany. To frustrujące być tak blisko odpowiedzi i nie móc jej uzyskać. Rozgląda się, zdaje sobie sprawę, że musi działać szybko. Nocny stolik z szufladą. Otwiera ją błyskawicznie, znajduje torebkę. Droga, ze skóry. Przegląda zawartość, nasłuchując kroków z zewnątrz. Dotyka ręką podstawki pod szklankę, wyjmuje ją. Podobna do tej, którą miała Helene, a którą teraz ma on. Tyle że ta jest nowsza, ma wyraźniejsze kolory. Ale reklama campari jest taka sama. Zamiast numeru telefonu na odwrocie napisano długopisem datę i godzinę. Dzisiaj wieczorem. Tylko gdzie? Słyszy głosy na korytarzu, wrzuca torbę z powrotem do szuflady, zamyka ją, odchodzi kilka kroków. W momencie, kiedy wkłada podstawkę do kieszeni, drzwi się otwierają. Pierwszy do pokoju wchodzi mężczyzna, który wcześniej siedział w wiklinowym fotelu w holu, zanim idzie Mindy.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy ochroniarz, ale najwyraźniej nie oczekuje żadnej odpowiedzi.

Joachim łapie koszulę i buty, sekundę później ochroniarz chwyta go za ramię i popycha do tyłu. Joachim ledwie utrzymuje się na nogach. Spokojnie. Przypomina sobie słowa pielęgniarki. Musi zachować spokój. Wyciąga przed siebie rękę.

– Przepraszam, przepraszam, już wychodzę.

– Jasne, że wychodzisz.

– Mam wstrząśnienie mózgu – mówi Joachim, jakby chciał się w ten sposób usprawiedliwić. Nie chce bójki.

Ochroniarz stoi bez ruchu, po czym uderza głową Joachima o ścianę. Joachim czuje, jak serce zaczyna mu szybciej bić. Po chwili ochroniarz cofa się i pozwala mu przejść do drzwi. Mindy stoi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, jej twarz jest bez wyrazu. Tak nierzeczywiście piękna. Joachim rusza korytarzem prowadzony przez ochroniarza. Wchodzą do holu, Joachim popychany przez osiłka potyka się na schodach, gubi koszulę i buty. Stoi na chodniku, próbuje niezdarnie pozbierać rzeczy i się ubrać. Zastanawia się, co pomyślałaby Helene, gdyby go teraz zobaczyła. Próbuje wmówić sobie, że nic go to nie obchodzi. Poza tym Helene go nie widzi, już nigdy go nie zobaczy. Wróciła do dawnego życia, bezboleśnie. Gdyby było inaczej, na pewno by się do niego odezwała.

Helene jedzie bezpośrednio do szkoły nurkowania, nie ma na co czekać. Chce znaleźć Martina i spytać go, co pokazała mu wtedy w recepcji. Jedzie powoli, kilka razy zatrzymuje się, żeby sprawdzić drogę na mapie. Samochód ma GPS, ale nie potrafi go uruchomić. Jest nowy. Edmund mówił, że stary wzięła policja, kiedy zgłoszono jej zaginięcie. Próbowali jej szukać, sprawdzając zapisane na nim adresy. Żałuje, że nie ma go teraz przy sobie. Może coś by sobie przypomniała. Myśli o kobiecie, którą widziała na nagraniu z monitoringu. Ta sama kobieta siedzi teraz za kierownicą samochodu, ta sama, a jednak inna. Tamta była silna, zdecydowana, trudno było jej się przeciwstawić. Już sam sposób chodzenia wiele o niej mówił. Szła, jakby wszystko dookoła było jej. Jak królowa.

Helene zerka w lusterko. Ciemnozielony samochód, sedan... Kiedy ostatnio patrzyła w lusterko, też był za nią. Włącza kierunkowskaz, skręca w prawo. Jadący za nią samochód jedzie prosto. Chyba naprawdę zaczyna mieć paranoję. Znow spogląda na mapę. Powinna była skręcić już dawno temu, droga, którą teraz jedzie, prowadzi do Himmelbjerget, ale jest za wąska, żeby mogła zawrócić, po obu stronach opada stromo w dół. Jedzie więc dalej. Drogowskazy kierują ją do Himmelbjerget, największej okolicznej atrakcji turystycznej. Dojeżdża do rozwidlenia, może tu będzie mogła zawrócić? Spogląda do tyłu. I dostrzega samochód, zielonego sedana. Może jednak jedzie za nią? Może Edmund się niepokoi? Martwi się o nią czy o to, czego ona może się dowiedzieć? Helene skręca w lewo, przyspiesza. Myśli kłębią się jej w głowie, sięga po okulary przeciwsłoneczne, na moment traci panowanie nad kierownicą, szybko jednak odzyskuje kontrolę. Kto ją śledzi?

*

Zostawia samochód na dużym wyasfaltowanym parkingu przed Himmelbjerget. Uznała, że to najlepszy sposób na pozbycie się swojego prześladowcy. Zniknąć w tłumie. Budy z jedzeniem, kioski z pamiątkami i wszędzie ludzie, rodziny, dzieci na szkolnych wycieczkach, grupy emerytów w autobusach z przewodnikami. Helene czuje, że jest cała sztywna. Nie kontaktowała się z Joachimem od ich ostatniego spotkania w restauracji. Powinna? Nie, to bez sensu. Wie, jak by to się skończyło. Rozmowa telefoniczna nie da jej tego, za czym tęskni. Pustka robi się tylko jeszcze większa. W tym momencie odzywa się jej komórka.

– Helene, gdzie jesteś?

Głos Edmunda, na granicy hysterii.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam – mówi Helene. – Spotkałam na ulicy przyjaciółkę, która mnie rozpoznała. Ucieszyłam się i zapomniałam o wszystkim.

Kłamstwo przychodzi jej z taką łatwością, że sama jest zdumiona. Rzuca szybkie spojrzenie przez ramię, ciemnozielony sedan stoi w pobliżu.

– Nie powinnaś nigdzie sama jeździć.

– Edmundzie, nie możesz mnie zamknąć w domu.

– Nikt cię nigdzie nie zamyka – mówi Edmund obruszony. – Po prostu niepokoi się o ciebie.

Helene nabiera powietrza. Rozumie jego troskę, ale musi się dowiedzieć różnych rzeczy.

– Z kim jesteś? – pyta Edmund już bardziej ugodowo.

– Z Vibeke – odpowiada Helene szybko. – Chyba jej nie znasz. Podobno nie była na naszym ślubie. Chodziłyśmy razem do szkoły.

– Ale wrócisz niedługo? Dzieci czekają.

– Postaram się – obiecuje. Następuje długie milczenie. Wystarczająco długie, żeby się zorientowała, że Edmund wie, że kłamie. Jest przekonana, że wie, gdzie jest. Mężczyzna w zielonym sedanie pewnie przekazał mu już informację. Rozumie niepokój męża, jednak nie daje jej spokoju myśl, że bardziej niż o nią, martwi się tym, czego ona może się dowiedzieć.

– Ale...

Helene słyszy ciężkie westchnięcie, gdzieś z głębi dobiegają ją odgłosy zabawy. Powinna wracać do domu, tylko że chce też wiedzieć, na czym stoi.

– Przykro mi, ale to jedyna okazja, żebyśmy mogły porozmawiać – mówi. Kłamie, nie ma wyboru.

– Dobrze – odzywa się Edmund. – Tylko uważaj. Wiesz, że się niepokoję, kiedy prowadzisz. Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, poza tym wypłam tylko jeden kieliszek.

– Pamiętaj, że jutro masz spotkanie z zarządem.

Helene zapomniała o czekającym ją spotkaniu. Zarząd. Sami mężczyźni, wszyscy ją znają, a ona nie zna nikogo. Pytała Edmunda, czy to konieczne. Ale jest jedyną spadkobierczynią i szereg umów wymaga jej podpisu. Niektóre sprawy czekają już trzy lata. Edmund powtarzał jej kilka razy, że sporo ich to kosztowało.

Kończą rozmowę, Helene rozgląda się dookoła. Nie widzi swojego prześladowcy, dołącza do grupy starszych ludzi, którzy właśnie wysiedli z autokaru. Ruszają z parkingu, idąc w stronę wznoszącego się obok szczytu. Helene wchodzi w środek grupy, spogląda za siebie.

– Tak naprawdę Himmelbjerget jest zaledwie siódmym najwyższym duńskim szczytem, ale niewątpliwie najpiękniejszym – mówi przewodniczka, która stoi zaledwie kilka kroków od niej. – Na pewno zdarzało wam się słyszeć, że nie

jest to prawdziwa góra, tylko takie wyższe wzgórze. – Przewodniczka odwraca się, zerka zdziwiona na Helene, ale nic nie mówi. – Czy wiecie – kontynuuje – że na dodatek jest to fałszywe wzgórze? Fałszywe, bo zbocza powstały, kiedy strumienie wody topniejącego lodowca przecięły krajobraz, wrzynając się w ziemię. Jezioro Julsø, które zobaczycie, jak dotrzemy na szczyt, powstało w zagłębieniu doliny, w miejscu, gdzie woda wypłukała ziemię.

Helene nadstawia uszu. Julsø. Przecież to jezioro, nad którym leży jej dom. Widać go ze szczytu Himmelbjerget? Idąc pod górę, zastanawia się, w którym kierunku jest jej dom. Słońce na tarasie jest zawsze wieczorem. Czyli powinna patrzeć na wschód?

Starsi ludzie mozolnie pokonują wzniesienie, ale nie zatrzymują się. Helene podziwia ich wytrwałość. Wielu z nich jest w zdecydowanie lepszej formie niż ona. Sapie, a kiedy w końcu docierają na szczyt, jest spocona i z trudem chwyta powietrze. Rozgląda się, patrzy na zebranych na górze ludzi. Jest tam dużo starszych osób, ale są też całe rodziny, dużo dzieci, nikt, kto byłby nią zainteresowany, jest tego pewna. Oddycha nieco swobodniej. Widok zapiera dech w piersiach, zbocza są porośnięte lasem i wrzosowiskami. Wężowa ścieżka wiję się w dół aż do jeziora. Opowieść przewodniczki o historii miejsca porusza ją, pewnie też dlatego, że dotyczy bezpośrednio jej rodziny. Prapradziadek uczestniczył w organizowanych tu spotkaniach. Przychodziły tysiące ludzi, to było prawdziwe święto ludowe mające odniesienie do przyrody i praw człowieka. Steen Steensen Blicher walczył o wprowadzenie konstytucji, a szczyt miał być jej symboliczną ramą. Umieszczone tu kamienie pamiątkowe mają przypominać o poecie pastora. Jeden z nich przypomina też o wprowadzeniu prawa głosu dla kobiet, w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. W tym samym roku posadzono dąb, którego korzenie teraz sięgają głęboko w ziemię, a gałęzie tworzą nad nią gęsty zielony dach.

Helene odchyła głowę, widzi fragmenty nieba prześwitującego przez gałęzie: cienkie, jasne pasemka światła. Zamyka na chwilę oczy. Musi mieć pewność. Musi wiedzieć, czy rzeczywiście ktoś ją śledzi. A jeśli tak, to kto? Podchodzi do dużej żeliwnej lornety umocowanej na statywie na tarasie widokowym. Szuka w torbie monety. Lorneta jest skierowana na jeziora i otaczające je lasy. Odwraca ją w stronę parkingu, nie widzi samochodów, ale widzi spory odcinek wijącej się ścieżki. I właśnie tam, niedaleko kiosku z pamiątkami, z laskami z napisem Himmelbjerget i innymi tanimi gadżetami, dostrzega go. Mężczyznę z lornetką skierowaną na nią. W momencie, kiedy ich spojrzenia się spotykają, mężczyzna się odwraca. Helene wie, że została odkryta. Robi dwa kroki do tyłu, czuje, jak mocno bije jej serce. A więc to nie było przywidzenie. Ktoś ją śledzi. Dlaczego? Próbuje myśleć racjonalnie. Powinna przyjrzeć się mężczyźnie, żeby potem mogła go rozpoznać. Ale jest już za późno. Kiedy ponownie patrzy przez lornetkę, nie zauważa nikogo. Czyżby się gdzieś ukrył? Włożył okulary przeciwsłoneczne,

czapkę, jak gwiazdy filmowe ukrywające się przed fanami. Na szczęście zapamiętała jeden szczegół: ciężkie wojskowe buty. Czarne, zabudowane, mało kto chodzi w takich latem.

Musi stąd jak najszybciej odejść. Tylko jak to zrobić, żeby mężczyzna jej nie zauważył? Pośpiesznie wraca do grupy starszych ludzi. Staje jak najbliżej przewodniczki, próbuje wmieszać się w tłum. Grupa schodzi prowadzącą przez wrzosowiska wężową ścieżką. Helene spogląda przez ramię, widzi, że mężczyzna wszedł już na górę i teraz patrzy w jej stronę. Helene rusza przed siebie biegiem.

– Halo! – dobiega ją głos przewodniczki.

Przyspiesza, słyszy, jak dwie starsze kobiety mówią coś o wężach na wrzosowisku, może stąd nazwa ścieżki? Odwraca się, nie widzi mężczyzny. Część uczestników wycieczki jest wyraźnie zmęczona, Helene uśmiecha się do starszego małżeństwa i proponuje pomoc. Jednocześnie cały czas sprawdza, czy nikt jej nie śledzi. Wie, że musi uważać. Po chwili docierają do pomostu przy hotelu Julesø. Przy pomoście cumują trzy małe statki, jakaś kobieta zwalnia właśnie cumę parowca. Helene znów się odwraca, widzi, że mężczyzna jest w drodze na dół, toruje sobie drogę wśród turystów, głównie starszych osób. Helene przyspiesza, wbiega na pomost w momencie, kiedy stary parowiec odbija od brzegu. Kobieta woła z pokładu, że przykro jej, ale musi popłynąć następnym.

Helene odbija się od pomostu i wskakuje na pokład, statek nie zdążył jeszcze odplłynąć. Kobieta jest zła.

– Przepraszam, nie usłyszałam pani – mówi Helene i rusza przed siebie. Wchodzi do salonu. Wnętrze jest w lakierowanym mahoniu, który błyszczy w słońcu. Mężczyzna, który ją śledził, stoi na pomoście przed hotelem i patrzy, jak parowiec odbija od brzegu i wypływa na jezioro. Facet nie wyróżnia się z tłumu, ma na sobie cienkie spodnie i koszulę, kapelusz i okulary. Helene opada na fotel, jest zmęczona. Kim jest mężczyzna, zastanawia się zaniepokojona. Dlaczego ją śledzi? Czy Edmund ma z tym coś wspólnego?

Jest godzina dwudziesta trzecia. Taka właśnie widnieje na podstawce z reklamą campari, którą Joachim ma w kieszeni. Biel, błękit i czerwień nasuwają skojarzenia z wybrzeżem Amalfi, Sofią Loren, ferrari i chłodną morską bryzą nad Morzem Śródziemnym. Joachim spędził kilka godzin, czekając przed drzwiami prowadzącymi do domu publicznego. Co ma się wydarzyć o godzinie dwudziestej trzeciej? Co zamierza Mindy? Z kim się spotka? I gdzie?

Ponownie spogląda na podstawkę podobną do tej, którą znalazł wśród rzeczy Helene, kiedy jeszcze nazywała się Louise. Już od jakiegoś czasu czuje parcie na pęcherz, ale nie ma odwagi opuścić posterunku. Jeśli Mindy wyjdzie, a on jej nie zauważy, straci jedyny trop. Chociaż ma jeszcze coś: imię Stella. W końcu jednak musi się wysikać. Odchodzi od drzwi, rusza ulicą, zatrzymuje się przy każdej bramie prowadzącej na podwórze. Wszystkie są zamknięte. Co chwila odwraca się i sprawdza, czy przy drzwiach do piwnicy nic się nie dzieje. Wreszcie się poddaje, przeskakuje śmiesznie mały płótek oddzielający chodnik od terenu bloku, staje na wąskim pasie trawy i oddaje moc. Cały czas zerka na drzwi do piwnicy. Pomarańczowe światło wieczoru oświetla dachy, niebo wyżej jest ciemnoniebieskie. Za godzinę Mindy ma być w jakimś określonym miejscu, coś ma się wydarzyć. Joachim jest zmęczony, ale ból głowy minął, zniknęły też plamy przed oczami. To chyba dobry znak.

Nagle drzwi do piwnicy się otwierają i staje w nich Mindy. Rusza ulicą w stronę, z której nadszedł Joachim, w stronę stacji. Idzie za nią w bezpiecznej odległości. Przed stacją Mindy zatrzymuje taksówkę. Wsiada, zostawiając Joachima w tyle. Joachim biegnie, dociera do stacji w momencie, kiedy taksówka rusza. Zerka zdesperowany na jadące ulicą samochody. Dostrzega wolną taksówkę, macha ręką, samochód się zatrzymuje.

– Wiem, że to zabrzmie śmiesznie, ale mógłby pan jechać za tamtą taksówką – mówi Joachim i wskazuje na wóz przed nimi.

Ku jego zdziwieniu kierowca nie zadaje żadnych pytań, włącza kierunkowskaz i po chwili jadą za taksówką Mindy. Joachim wychyla się do przodu, przygląda się nerwowo taksówce, przez moment ma wrażenie, że gra w filmie. *Follow that car*. Wjeżdżają na Kongens Nytorv, samochód zatrzymuje się przy chodniku na jednej z małych uliczek pełnej kafejek, restauracji i dyskotek. Elegancko ubrani młodzi ludzie stoją w grupach, oddzielnie mężczyźni, oddzielnie kobiety, jest też kilka par, z lokali płynie muzyka, słychać rozmowy, śmiech. Inny świat, południowy, egzotyczny. Joachim płaci, widzi, jak Mindy wysiada

z taksówki i wchodzi do klubu nocnego. Roxy. Czarna, elegancka fasada, nazwa wypisana wysmakowanymi literami. Joachim wchodzi na schody, wie, że pewnie mu się nie uda, ale mimo to postanawia spróbować. Bramkarz ma szerokie ramiona, przypomina typa z domu publicznego, z tą różnicą, że ten jest ubrany na czarno. Nawet nie patrzy na Joachima, nic nie mówi, tylko kręci głową. Joachim idzie dalej, ale udaje mu się tylko dojść do progu.

– Rzniesz głupa, czy co?

– Słucham?

– Eleganckie ubranie i damskie towarzystwo albo możesz zapomnieć – poucza go bramkarz.

Joachim spogląda na swoje ubranie. Sportowe buty, dżinsy i koszula nie pierwszej świeżości. Nie mówiąc o guzie i podbitym oku. Czuje się jak dureń. I jest zdesperowany. Tam w środku jest Mindy, a do jedenastej została niecała godzina. Nadal nie wie, co ma się stać, z kim dziewczyna się spotka. Właściwie nie wie nic, ale ma nieodparte wrażenie, że za chwilę straci ważny trop. Nie może do tego dopuścić. Zbiega po schodach. Jego taksówka nadal stoi przy chodniku. Joachim otwiera drzwi gwałtownym ruchem.

Dopiero o zmroku Helene odważa się wrócić na parking taksówką. Parking jest pusty, został tylko jej samochód. Helene płaci, taksówka szybko odjeżdża. A jeśli mężczyzna kryje się gdzieś w mroku i nadal ją obserwuje? Naprawdę ją śledził? Helene stoi chwilę, patrzy na gałęzie drzew targane przez wiatr. Po chwili rusza w stronę auta.

Czuje się jak paranoiczka. Jedzie do szkoły nurkowania, ale cały czas zerka na drogę w tylnym lusterku. Niczego nie dostrzega. Parkuje pod drzewami, siedzi chwilę w samochodzie, w końcu wysiada. Szkoła jest zamknięta. I co teraz? Ma zrezygnować i wrócić do domu? – Helene Söderberg?

Helene dostrzega latarkę, podchodzi bliżej. Młoda kobieta siedzi na ławce i porządkuje sprzęt do nurkowania. Patrzy na Helene i się uśmiecha.

– Czytałam, że wróciłaś – mówi.

Helene patrzy na nią. Tego się nie spodziewała.

– Niestety nie pamiętam ciebie. Znamy się?

Kobieta odkłada sprzęt i podchodzi do Helene, która odruchowo robi dwa kroki do tyłu. Kobieta patrzy na nią zdezorientowana.

– A więc to prawda. To co, o tobie pisali. Że straciłaś pamięć – mówi i przygląda się jej badawczo. – Dobrze się czujesz?

– Tak, ja... – zaczyna Helene i po chwili dodaje: – Szukam Martina. Właściciela szkoły.

Kobieta marszczy brwi.

– Wiem, kim jest Martin. Na pewno wszystko w porządku? Nie potrzebujesz pomocy?

– Muszę z nim porozmawiać. – Helene stara się, żeby jej głos brzmiał obojętnie.

– Zaraz tu będzie – mówi kobieta. – Prowadzi wieczorne zajęcia – dodaje i wskazuje ręką na pomost.

– Dziękuję.

Helene idzie we wskazanym kierunku. Mija chwila, zanim dostrzega światła pod wodą. Poruszają się, są coraz bliżej. Rząd świateł płynących w jej stronę, jak świecący morski potwór. Pierwszy z nurków dociera do drabiny, wychodzi na pomost w obcisłym, czarnym stroju. Po chwili pojawia się kolejny, i następny. Wszyscy wyglądają tak samo. Ostatni nurek zatrzymuje się, zdejmuje maskę. Piegowata twarz, ruda broda, sympatyczne oczy.

– Pani Söderberg – mówi.

– Ty jesteś Martin? Masz chwilę?
– Martin, otworzysz?! – woła jeden z nurków, stojący obok szopy na sprzęt.
– Mam do ciebie pytanie, to zajmie naprawdę chwilę – rzuca Helene. –
Wiesz, że zniknęłam i nie było mnie trzy lata?

Martin kiwa głową.

– Wiem tyle, ile można było przeczytać w gazetach.

– Na krótko przed zniknięciem byłam w hotelu, w którym pracowałeś.
Pokazałam ci jakąś kartkę, o coś cię pytałam. Wiesz, o co mi chodziło?

Chłopak się zastanawia.

– Nie pamiętam dokładnie. O kogoś pani pytała. Kogoś, kto mieszkał
w hotelu.

– O kogo?

– Nie pamiętam – mówi i wzrusza ramionami.

– O kobietę czy mężczyznę? Nic sobie nie przypominasz? To dla mnie
bardzo ważne.

– Co z tobą, Martin? Tu jest cholernie zimno – zwraca się do niego jeden
z nurków.

– Zaraz przyjdę – odpowiada Martin poirytowany.

Patrzy na Helene, która czeka w napięciu. Nagle unosi wzrok, jakby
zobaczył kogoś za nią.

– Helene! – rozlega się męski głos.

Helene czuje czyjąś rękę na swoim ramieniu, odwraca się i widzi Edmunda.
W jego oczach jest szaleństwo, na szyi widnieją czerwone plamy. Głos ma
wzburzony, Helene ledwie go poznaje.

– Co ty tu robisz? – pyta zdziwiona.

– Co ja tu robię? To ja powinienem spytać, co ty tu robisz. – Edmund mówi
podniesionym głosem, niemal krzyczy, Helene nie poznaje go. Nie wie, co ma
odpowiedzieć.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – pyta.

– Ann Louise zadzwoniła – odpowiada Edmund i pokazuje ręką do tyłu.

Helene spogląda na ścieżkę i widzi młodą kobietę, która rozpoznała ją, kiedy
się tu zjawiała. Stoi teraz z rękami skrzyżowanymi na piersi i przygląda się im
z ciekawością.

– Zadzwoniła do ciebie? – Helene jest szczerze zdziwiona.

Twarz Edmunda wykrzywia grymas.

– Co się z tobą dzieje? Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? Nie możesz tak po
prostu zniknąć. Nigdy więcej.

Jego słowa są jak cios.

– Mówiłam, że wrócę późno – próbuje się bronić.

– Mówiłaś, że spotkałaś koleżankę, ale to było wiele godzin temu. Poza tym

to nieprawda. Okłamałaś mnie. Co ty tu robisz? Ann Louise zadzwoniła i powiedziała, że krążysz nad brzegiem zdezorientowana. Martwię się o ciebie. Dzieci są przerażone, nie rozumiesz tego?

Helene kiwa głową. Edmund ma rację. Jest naprawdę zdezorientowana, spogląda na Martina, widzi jego skrepowanie.

– Przepraszam – mówi, nie wiadomo, czy do Edmunda czy do Martina. – Przepraszam, nie pomyślałam.

Edmund obejmuje ją, ściska lekko i dodaje już łagodniejszym tonem: – Wiem, że nie robisz tego specjalnie. Wiem, że możesz czuć się zdezorientowana, ale to minie. Lekarze ci pomogą.

Odwraca się, pociąga ją za sobą i razem ruszają pomostem w stronę brzegu. Jego duży samochód stoi po drugiej stronie szopy. Kierowca zauważa ich i włącza silnik, wychodzi z auta, otwiera drzwi. Mijają młodą kobietę, Ann Louise, która uśmiecha się do Edmunda.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś. Bardzo mi pomogłaś – mówi Edmund.

Puszcza Helene i ściska dłoń kobiety. Ta się czerwieni, jakby spotkała swojego największego idola albo prezydenta. Co sprawia, że Edmund tak działa na kobiety, zastanawia się Helene. Wszystkie są w niego wpatrzone. Wszystkie, z wyjątkiem niej. Edmund znów ją obejmuje, Helene dostrzega zazdrość w spojrzeniu młodej kobiety. Po chwili siedzi już w samochodzie, spogląda przez okno na grupkę nurków, którzy stoją w kombinezonach i przyglądają się jej z zaciekawieniem. Martin podszedł do samochodu, stoi przy Helene. Trzyma w ręce maskę do nurkowania, coś przy niej robi, chucha na przezroczystą szybę. Wygląda, jakby ją czyścił, ale nagle podnosi głowę, chwytając spojrzenie Helene i unosi maskę do światła. Wiadomość, jedno słowo: Kirsch. Helene mruży oczy. Nic jej się nie przywidziało. To nie są bazgroły, wyraźnie widzi litery. Kirsch. Co to znaczy. Samochód rusza, Edmund zdejmuje rękę z jej ramienia, siedzi milcząco i zacięty obok niej.

– Skąd znamy Ann Louise? – pyta Helene ostrożnie.

– Przez jakiś czas pracowała w stajni. Dawno temu, kiedy jeszcze uczyła się w liceum. – Edmund wzdycha, przeciąga dłonią po włosach. Patrzy na nią, jakby była kimś obcym.

– Ale miała twój numer telefonu – mówi Helene.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – odpowiada Edmund zmęczonym głosem.

– Jestem osobą publiczną, na dobre i na złe. Tym razem na dobre, naprawdę się niepokoiłem.

Bierze jej dłoń, przytrzymuje ją, Helene czuje, że drżą mu ręce.

– Rozumiem – stwierdza.

Nie wraca więcej do tego. Siada wygodniej. Naprawdę chciałaby dać sobie spokój z tym wszystkim, jednak myśli nadal kłębią się w głowie. Części układanki

nie pasują do siebie. Mężczyzna, który ją śledził. I wiadomość przekazana jej przez Martina. Kirsch.

Sąsiadka z dołu, Rebekka, otwiera drzwi i wita Joachima uśmiechem. Joachim jest zdyszany, pod domem czeka taksówka, taksometr bije. Zdążył już przebrać się w granatowy garnitur z czasów, kiedy prążki przeżywały renesans. Ostatnio miał go na sobie w dniu prelekcji w kawiarni.

– Cześć? – głos Rebekki przywołuje go do rzeczywistości.
 – Cześć, jesteś zajęta?
 – A o co chodzi?
 – Mogłabyś wskoczyć w swoją najlepszą sukienkę? Wytłumaczę ci wszystko w taksówce.

*

Taksówkarz jedzie szybko, poganiany przez zdenerwowanego Joachima. Rebekka patrzy przez okno, ma na sobie tanią, nieco wyzywającą sukienkę.

Joachim musiał poświęcić trochę czasu, żeby przekonać ją do swojego planu. Opowiedział jej o zaginionej kobiecie. W pewnym momencie Rebekka przerwała mu i spytała, czy to wszystko ma związek z jego nową książką. Joachim spojrzął na nią, zastanawiając się, czy w ogóle go słuchała. Nagle dotarło do niego, że o ile trudno jej ogarnąć takie sprawy, jak stracona miłość, zaginione dziecko, prostytutka, to fakt, że znany pisarz prowadzi badania w związku z planowaną książką, jest znacznie łatwiejszy do zrozumienia. Dlatego przytaknął. Tak, chce sprawdzić kilka rzeczy. Nocne kluby, dekadencja Kopenhaga. Rebekka pokiwała głową ze zrozumieniem.

Joachim płaci horrendalną kwotę za szatnię, najwyraźniej klub w ten sposób selekcjonuje gości. Spogląda na siebie w dużym lustrze, które pokrywa większą część tylnej ściany. Dochodzi do wniosku, że jego zniszczona twarz dobrze pasuje do tego miejsca, szczególnie teraz, kiedy ma na sobie garnitur i kobietę u boku. Wyglądam jak człowiek mafii, myśli, wkraczając do lokalu. Rozgląda się, zerka na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Mindy nie ma.

– Szlag.
 – Coś nie tak?
 – Spóźniliśmy się. Nie widzę jej.
 – Wracamy? Nie możesz zrobić wywiadu z inną kobietą?

Rebekka kładzie dłoń na jego ręce, przekrzywia głowę, przygląda mu się zmartwiona. Joachim kręci głową.

– Ale skoro już tu jesteśmy, postawię ci drinka – mówi.

Znajdują miejsce przy barze. Przyćmione światła, wszystko w czerni i szarościach, surowy metal. Czarne dywany na podłodze są grube i miękkie, z sufitu zwisają okrągłe metalowe lampy, dają łagodne złociste światło. Na ścianach wiszą skóry zebr, kóz, zwierząt o jasnej i ciemnej sierści. W kątach stoją niewielkie kanapy, meble reprezentują różne style, są szezlongi, fotele worki. Wokół kręcą się piękne, zadbane i elegancko ubrane kobiety. Mężczyźni są na ogół w dojrzałym wieku, wyjątek stanowią jedynie barman i DJ. Wyglądają jak greccy bogowie. Muzyka brzmi w uszach Joachima obco, ale Rebekka doskonale porusza się w jej takt, zamyka oczy i oddaje się jej bez reszty. Roxy to drogi klub. Rebekka z pewnością nie bywa w takich miejscach. Prawdę mówiąc, Joachima też na to nie stać. Cały ten dzień wydaje mu się absurdalny, podróże taksówką, napad, a potem jeszcze to wyrzucenie na bruk. Patrzy w lekko drwiące oczy Rebekki.

– Co ci zamówić? – pyta.

– Strawberry daiquiri.

Joachim zamawia drinka. Barman jest szczupłym, młodym mężczyzną, ma długie ręce i nogi, i alabastrową skórę. Rebekka bez skrupowania taksuje go wzrokiem, po czym odwraca się do Joachima, jej oczy błyszczą.

– Opowiem przyjaciółkom, że tu byłam! – mówi głośno.

– To jakieś szczególne miejsce?

– Jak to? Nie widzisz, kto tu jest?

Joachim spogląda na pozostałych gości. Warunkiem wstępu, oprócz odpowiedniego stroju, jest najwyraźniej różnica wieku między facetem a kobietą. Powinna wynosić przynajmniej dwadzieścia pięć lat. Tak więc Joachim i Rebekka pasują tu doskonale, tyle że Joachim zachowuje się mniej nachalnie niż większość obecnych w klubie mężczyzn, dla których wizyta tutaj jest jedynie wstępem do dalszego ciągu. Niektóre kobiety całkiem nieskrępowanie pozwalają mężczyznom na pieszczoty. W sumie widok jest smutny. Ale Rebekka najwyraźniej widzi to inaczej. Podniecona pokazuje mu różne osoby, informując, z czego są znane. Joachim nie rozpoznaje ani nazwisk, ani twarzy. Większość jest znana z tego, że jest znana. Joachim odwraca się plecami do parkietu, skupia się na swojej whisky. Czuje się zawiedziony. Nie zdążył. I teraz wszystko co ma, to dwie podstawki z napisem campari. Na jednej widnieje numer telefonu, który zaprowadził go donikąd, na drugiej – godzina, która już minęła.

Opróżnia szklankę jednym haustem. Daje barmanowi znak ręką, żeby przyniósł następnego drinka. Postanowił się upić. Może spróbuje wkupić się w łaski Rebekki? Barman kiwa głową, potwierdza, że go widzi, ale jest zajęty rozmową przez telefon. Bierze do ręki ołówek, pisze. Joachim się niecierpliwi. Przegląda kartę alkoholi, kolejny drink ma być większy imo wystarczyć na dłużej, jak alkohol podany Thorowi w rogu podczas biesiady u Lokiego w Utgardzie. Wieczność ukryta w alkoholu. Nagle Joachim podnosi wzrok znad karty. Coś

przykuło jego uwagę. Patrzy na barmana, który pisze na podstawce reklamującej campari, takiej samej jak ta, którą Joachim ma w kieszeni. Obserwuje, jak chłopak miesza drinka i podchodzi do kobiety, która siedzi przy barze, zaledwie trzy stołki od Joachima, i stawia drinka na podstawce. Kobieta wypija łyk, podnosi kartonik, zerka na niego i wkłada do torebki. Joachim patrzy na kobietę i na barmana. Chłopak zmierza w jego stronę. Kiedy Joachim odwraca głowę, kobiety już nie ma. Na blacie stoi szklanka z niemal nietkniętym drinkiem.

– O co prosiłeś?

Joachim przygląda się barmanowi, który stoi i czeka na odpowiedź. Czy tak to się odbywa? Roxy wynajmuje dziewczyny, a barman umawia spotkania. Jest pośrednikiem między klientami a luksusowymi prostytutkami. Klienci dzwonią do barmana, składają zamówienie, a dziewczyny siedzą gotowe, więc chłopak wie, która jest wolna. Numer telefonu albo godzina, być może także miejsce spotkania zostaje zapisane na małej podstawce. Trudno dowieść, że coś jest nie tak, nie ma żadnych papierów, SMS-ów, e-maili – barman i klub dostają prowizję za pośredniczenie w kontaktach.

– Coś zamawiasz?

Joachim rozgląda się, barman nie chce dłużej czekać i odchodzi. Przy barze siedzą teraz dwie kobiety, przed każdą stoi szklanka. Czekają. Na telefon od klienta? Joachim sięga zdecydowanym ruchem po komórkę, na odwrocie karty alkoholi znajduje numer do klubu.

– Napijemy się jeszcze czegoś? – pyta Rebekka.

– Gdzie są toalety?

Rebekka pokazuje mu ręką i znów skupia się na barmanie, niemal pożera go wzrokiem. Joachim idzie do toalety. Czarne płytki, stalowa armatura, stalowe pisuary, stalowe drzwi. Sprawdza, czy jest sam i wybiera numer. Barman odpowiada natychmiast. Joachim bierze głęboki oddech i idzie na całość, zadaje pytanie, które kosztowało go już niejednego siniaka.

– Jest Louise?

– Louise? Chciałeś powiedzieć Louis? – Barman jest wyraźnie zdezorientowany, ale przynajmniej nie jest agresywny.

– Nie... – Joachim się waha. Przypomina sobie, co powiedziała Mindy, kiedy po raz pierwszy wspomniał o Louise. „Masz na myśli Stellę?”.

– Halo? – Słyszysz głos barmana.

– Jest Stella? – poprawia się Joachim.

Po drugiej stronie zalega cisza. Szlag. To jego ostatnia szansa, musi teraz użyć właściwych sformułowań, inaczej cały plan na nic.

– Stella ma dzisiaj wolne – odpowiada barman. Na pewno kłamie. Ale to kłamstwo z tych, które klienci chętnie słyszą. Czują satysfakcję, że jest zajęta i że kto inny ją dzisiaj posuwa. – Może jutro – proponuje barman.

- W porządku. – Joachim, stara się, żeby w jego głosie nie było słycać podniecenia ani desperacji, nie chce zwracać na siebie uwagi.
- Dokąd mam ją przysłać?
- Do hotelu d'Angleterre. O czternastej. To musi być Stella. Żadna inna.
- O kogo ma pytać?
- O Joachima. Niech pyta o Joachima.

Podczas śniadania dociera do Helene, co zrobiła. Jaki wpływ jej zniknięcie miało na dzieci. Sofie ślęczy nad jedzeniem, ma szkliste oczy, widać, że mało spała, jeśli w ogóle. Helene postanawia spędzić trochę czasu z dziećmi, próbuje wytłumaczyć im, że po prostu musiała wyjść na dłużej, ale że nigdy już ich nie opuści.

Kiedy Caroline odwozi dzieci do szkoły, Helene czuje dziwny niepokój. Myśli o Himmelbjerget nie dają jej spokoju. Przypomina sobie mężczyznę, który ją śledził. A może to wszystko jest wyrazem jej paranoi? Jej mózg, jej myśli... Czy może sobie ufać? Przechadza się po sypialni, próbuje zapomnieć o wczorajszym dniu. Musi być obecna. Także ze względu na rodzinę. Zerka na ubranie, które naszykował jej Edmund. Poprosiła go o to, ponieważ nie ma pojęcia, jakie reguły co do stroju obowiązują podczas zebrania zarządu. Edmund wybrał granatowy kostium, bardzo męski. Helene przesuwa dłonią po materiale, ciężki, o gęstym splocie. Wraca do łazienki, układa włosy. Robi dyskretny makijaż. Patrzy w lustro. Jest dość zadowolona. Ma przed sobą oczy Edmunda, spojrzenie, które posłał jej podczas śniadania. Pełne zawodu, ale i pożądanie. Musi zrobić coś, żeby jej rodzina mogła funkcjonować. Musi ratować swoje małżeństwo. Zdejmuje szlafrok, zdejmuje bieliznę i ponownie wkłada szlafrok.

*

Otwiera drzwi do gabinetu Edmunda bez pukania, Edmund podnosi głowę. Na moment, po czym znów skupia się na leżących przed nim dokumentach. Helene ściąga szlafrok paskiem, zamyka za sobą drzwi i podchodzi do swojego biurka. Edmund nadal siedzi nachylony nad papierami, skupiony. Helene spodziewała się, że wstanie, podejdzie do niej. Że wszystko potoczy się samo z siebie. Ale tak się nie stało, więc podchodzi do jego biurka, staje za jego plecami. Edmund zamyka spokojnie laptop, ale nie odwraca się. Helene wyciąga rękę, przesuwa palcami po jego miękkich włosach w miejscu, gdzie sterczą, sunie dalej, dotyka miękkiej skóry nad kołnierzykiem koszuli. Przed oczyma ma włosy Joachima, rozwichrzone, w wielu odcieniach siwizny... Nie, nie wolno jej tak myśleć.

– Edmundzie – szepcze.

Edmund odwraca się powoli na krześle, patrzy na nią z wahaniem. Helene klęka, ich spojrzenia się spotykają. Wkłada mu dłonie pod koszulę, odpina dwa guziki, Edmund nie protestuje. Odpina kolejne. Edmund całuje ją miękko, łagodnie. Helene czuje jego rękę na swojej talii, drugą pod szlafrokiem, po chwili

jego dłoń wokół jej piersi, palce na brodawce. Od piersi w dół ogarnia ją ciepło, jęczy. To takie proste. Wystarczy dotknąć właściwego miejsca i ciało reaguje. Edmund zaczyna szybciej oddychać, puszcza ją, chce wstać, ale ona go przytrzymuje, nie chce przerywać, nie chce iść przez cały dom, a potem po schodach do sypialni. Szybko rozpina mu spodnie, odciąga napletek, porusza ręką w dół i w górę, miarowe, spokojne ruchy, wsłuchuje się w jego nierówny oddech i rozlegające się od czasu do czasu niecierpliwe westchnięcia. Przygląda się siatce żyłek tuż pod cienką, delikatną skórą. Czuje jego pożądanie. Ma je w swojej ręce. Nachyla się, przesuwa czubkiem języka od korzenia po sam czubek, okrąża go, widzi, jak kropla jasnego płynu wypływa ze szczeliny na samej górze. Odczuwa niemal bolesne pożądanie. Pragnie mieć go w sobie. Wstaje. Edmund jest przekonany, że chce iść na górę, ale ona popycha go łagodnym, ale zdecydowanym ruchem, każe mu wracać na krzesło. Zsuwa mu spodnie, aż do kostek, kładzie ręce na szyi i siada na nim okrakiem. Opuszcza się powoli, ma go w sobie, jęczy, nachyla się nad nim i całuje go z zamkniętymi oczami, schodząc z pocałunkami w dół, coraz niżej i niżej. Czuje jego dłonie na swoich biodrach, jego palce na swoich pośladkach, słyszy jego oddech, pozwala mu przejąć inicjatywę, jego oddech miesza się z jej oddechem, jest coraz głośniejszy, coraz bardziej schrypnięty. Otwiera oczy, przygląda mu się, patrzy na jego zamknięte powieki, czuje jego napięcie. A potem kilka krótkich, szybkich ruchów, po których następuje odprężenie. Sama też dochodzi, razem z nim. Zdziwiona patrzy na mężczyznę, który jakby był gdzieś daleko, a jednocześnie blisko, tuż obok, w niej. Jej mąż. Kiedy jest po wszystkim, siedzą chwilę w milczeniu. Helene pochyla się w jego stronę, dotyka policzkiem jego policzka. Nadal milczą. Edmund pierwszy wykonuje ruch. Porusza nogą. Helene się prostuje. Ma wyrzuty sumienia? Wobec Joachima?

– Noga mi zdrętwiała – mówi przeprasza ją Edmund, jest skrępowany.

Idą na górę, nadal w milczeniu, zerkają na siebie lekko zawstydzeni. Edmund od razu kieruje się do łazienki, Helene siada na łóżku obok kostiumu, który ma włożyć na zebranie zarządu. Wszystko jest w porządku, po prostu musi się tam stawić, jest to winna chociażby dzieciom, po wszystkim, co przeszły. I Edmundowi. A mimo to czuje się bardzo winna.

Wstaje, schodzi do gabinetu, podchodzi do biurka. Włącza komputer, uruchamia internet, wpisuje w google słowo „kirsch”. Firanki i likier wiśniowy ze Schwarzwald. Szuka dalej, ale po chwili poddaje się. Wraca na górę, Edmund wyszedł już z łazienki, a nawet już się ubrał. Jego garnitur pasuje do jej kostiumu, jest w takim samym ciemnym kolorze.

– Gotowa? Samochód podjedzie za godzinę – mówi. – Muszę jeszcze zadzwonić.

Mija ją, nagle zatrzymuje się, wraca i ją całuje. Helene jest zaskoczona, chce

odwzajemnić pocałunek, ale Edmund już odszedł. Wkłada kostium, pasuje doskonale. Przegląda się w lustrze i przypomina sobie, jak uwielbiała czuć na sobie wzrok Joachima. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, miała wrażenie, że rodzi się na nowo. Nie, nie wolno jej tak myśleć. To, co przed chwilą się stało, było dziwne. I słuszne, i niewłaściwe zarazem.

– Szlag – szepcze. Patrzy na zegarek, po raz ostatni zerka w lustro i schodzi na dół. W połowie schodów spotyka Caroline, która właśnie idzie na górę.

– Odwiozłam dzieci do szkoły – informuje ją starsza pani. Wygląda na zmęczoną. Edmund wspominał, że pewnie niedługo będzie chciała przejść na emeryturę, chociaż zapewniła go, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to jeszcze zostanie na jakiś czas.

– Dziękuję – mówi Helene.

– Zdrzemnę się teraz trochę.

– To dobry pomysł. Proszę powiedzieć, jeśli uzna pani, że jest zbyt obciążona obowiązkami.

– Ależ nie jestem. – Uśmiecha się Caroline i ściska dłoń Helene.

Nagle Helene coś sobie przypomina i zwraca się do starszej pani niby od niechcienia:

– Czy słowo „kirsch” coś pani mówi?

Caroline zastanawia się chwilę.

– Nie pijam mocniejszych trunków, ale kiedy będę w mieście, mogę spróbować znaleźć coś dla pani.

Helene kręci głową.

– Proszę się nie trudzić, to nic ważnego. A tak przy okazji, czy możemy mówić sobie na ty?

Caroline kiwa głową niepewnie.

Helene postanawia zaprzestać zabawy w detektywa. Powinna bardziej zainteresować się ludźmi, których zraniła, zawiodła, ludźmi, którzy dla niej pracują, jak ta biedna starsza kobieta marząca o emeryturze, a przede wszystkim dziećmi – zamiast skupiać się wyłącznie na sobie.

Louise Andersen. Nareszcie ją pozna. Być może dzisiaj zakończy się cała ta historia, myśli Joachim jadąc do hotelu d'Angleterre. Louise Andersen. Czego spodziewa się po spotkaniu z prawdziwą Louise? Że zajmie miejsce Helene? Zamieszka z nim na Christiansø? Czy że wreszcie on będzie w stanie usiąść i spisać tę historię. Opowiedzieć o swojej stracie, o swoim nieszczęściu. Nie, tego nie wie. Wie tylko, że chciałby o tym napisać. Jest pisarzem, każdy pisarz do tego dąży. Jego cierpienie musi się zakończyć.

Zdecydowanym krokiem wychodzi schodami z metra na plac, na Kongens Nytorv, napawa się powiewem wiatru na twarzy. Wie, że ryzykuje spotkanie z Ellen. Akademia Sztuk Pięknych leży po drugiej stronie placu, a Ellen niemal zawsze jada lunch na mieście, o ile nadal pracuje na uczelni. Zbliżając się do hotelu, przypomina sobie nagle jeden z jej skoków w bok. Romans z jakimś wykładowcą z Kanady czy z Francji. Facet na pewno mówił po francusku, irytujący typ. Pamięta, że spytał Ellen wprost, czy się z nim pieprzyła. A ona długo na niego patrzyła, uśmiechnęła się, pokręciła głową i w końcu wycodziła powoli „nie”. Wtedy miał już pewność. Kiedy Ellen kłamała, mówiła powoli. Prawda nie wymaga czasu, ale kłamstwo... Kłamstwo zawsze wymaga chwili namysłu.

Joachim kieruje się w stronę hotelu. Dlaczego go wybrał? Tak naprawdę nie stać go na ten hotel. Jest na siebie zły, ale odpowiedź jest prosta: To jedyny hotel, który wówczas przyszedł mu do głowy.

Kiedy wchodzi do holu, czuje się oszołomiony eleganckim wystrojem. Czuje się tu taki mały. Jak ktoś, kto nagle znalazł się w niewłaściwym miejscu. Z tym uczuciem podchodzi do recepcji, podaje swoje nazwisko, dostaje kartę do pokoju, płaci za nocleg, którego nie wykorzysta. Ale hotel d'Angleterre nie funkcjonuje na godziny. Zerka na rachunek, suma jest ogromna.

– Niedługo przyjdzie tu kobieta i będzie o mnie pytać. Proszę podać jej numer mojego pokoju – mówi i się rumieni.

Recepcjonistka, chłodna, uprzejma, nie daje niczego po sobie poznać, kiwa głową ledwie zauważalnie. Joachim może odejść. Czuje narastającą nerwowość. Za moment stanie twarzą w twarz z kobietą, która nazywa się Stella. Czy to Louise Andersen?

– Joachim?

Odwraca się, przed nim w hotelowym foyer stoi Charlotte Lund, jedna z głównych redaktorek wydawnictwa. Szczupła, zadbana kobieta. Ścisła lekko dłoń Joachima.

– Co za spotkanie, kogo jak kogo, ale ciebie się tu nie spodziewałam – mówi i unosi brwi.

Joachim natychmiast to wyczuwa. Ten szczególny ton, język, którego nienawidzi. Co ona właśnie powiedziała? Że to nie jest miejsce dla takich jak on.

– Gudrun przekazała mi, co prawda, że znów jesteś w mieście, jednak nie sądziłam, że spotkam cię akurat tutaj.

Kobieta rozkłada ręce, śmieje się. Joachim widzi, że schudła, niemal skóra i kości. Przypomina sobie rozmowę podczas proszonego obiadu kilka lat temu. Gudrun właśnie wróciła z podróży po Azji, chyba z Wietnamu, i była pod wrażeniem tego, że nie spotkała tam grubych ludzi.

– Umówiłam się tu na obiad z Jornem Schneiderem, może się z nim przywitasz? Na pewno uzna, że to zabawne poznać duńskiego pisarza – mówi Charlotte.

Zabawne? Tak powiedziała? I znów słowa klucze. Jest zabawny, pajac. Ma zostać duńskim pajacem Charlotte?

– Niestety nie mam czasu. Za chwilę mam spotkanie.

Charlotte przygląda mu się zdziwiona, zauważa kartę do pokoju w jego ręce.

– Mieszkasz tu?

– Nie, to znaczy tak, dostałem pokój na jedną noc. Sąsiad zalał mi mieszkanie, pękła rura, ubezpieczenie pokrywa koszty, więc postanowiłem to wykorzystać.

– Będziesz musiał zdradzić mi nazwę tego towarzystwa ubezpieczeniowego – mówi Charlotte i znów się śmieje.

Nie wierzy mu. Joachim domyśla się, co w tej chwili chodzi jej po głowie. Domyśla się, że on, podstarzały, średniej klasy pisarz, umówił się tu na spotkanie z panią lekkich obyczajów. Co zresztą jest prawdą. Kiedy wchodzi do windy, słyszy w głowie słowa, które Charlotte wypowiedziała podczas pewnej kolacji dawno temu, jak to wręcz brzydzi się ludźmi, którzy tylko się obżerają. Ona sama jada najwyżej co drugi dzień. Natomiast codziennie ćwiczy na rowerku stacjonarnym.

Joachim wchodzi do pokoju i siada w fotelu. Poci się. Za chwilę wejdzie tu Stella, prawdziwa Louise, i wtedy okaże się, czy jest w stanie dowiedzieć się od niej czegoś więcej. Wstaje, krąży bez celu po gustownie urządzonego pokoju. Dzwoni komórka, odbiera pośpiesznie. To pewnie umówiona kobieta dzwoni z recepcji. Założył, że po prostu wskaże jej drogę na górę.

– Joachim?

– Z kim rozmawiam? – pyta Joachim, bo nie rozpoznaje chłodnego głosu.

– Mówi Edmund, Edmund Söderberg.

Joachim sztywnieje, zagryza zęby, ściska mocniej komórkę, najchętniej rzuciłby ją w kąt.

- Czego chcesz?
- Odmówiłeś podpisania umowy.
- To prawda.

Zapomniał o wizycie adwokata, teraz przypomina sobie, jak facet stał wśród bałaganu po przeprowadzce i wymachiwał przed nim jakimś dokumentem. Pół miliona koron.

- Dlaczego? – Głos Edmunda brzmi obojętnie, nie potrafi go rozszyfrować.
- Nie zamierzam pisać o Helene, ale nie podobają mi się warunki przedstawione w umowie.
- Jakie warunki? – pyta Edmund. Wydaje się szczerze zdziwiony.

Joachim się waha.

– To, co przeżyłem z Helene, było prawdziwe. Nie podpiszę niczego, co miałoby sprawić, że to zniknie. Nie zamierzam udawać, że tych dwóch i pół roku nie było.

Teraz Edmund się waha. Joachim czeka.

– Skoro nie zamierzasz wykorzystać tej historii w którejś ze swoich powieści, to możesz spokojnie podpisać dokument.

– Nie podpiszę żadnego dokumentu. Ta historia należy tylko do mnie i do Helene, nie zamierzam jej sprzedawać – stwierdza Joachim stanowczo.

– Podwoję kwotę – mówi Edmund.

– Słucham? – Joachim wydaje się zdziwiony i jednocześnie zły. – Nie słyszałeś, co powiedziałem? Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o to, że to nasza historia, moja i Helene. Twoje pieniądze tego nie zmieniają.

– Posłuchaj jeszcze raz. Jeśli o mnie chodzi, możesz nadal brnąć w te swoje romantyczne wizje, ale na barkach Helene spoczywa wielka odpowiedzialność. I nie chodzi tylko o naszą rodzinę. Los Söderberg Shipping, firmy, która zatrudnia ludzi na całym świecie, zależy od tego, jak Helene będzie sobie radzić. Jeśli dobrze, ludzie nadal będą mieć pracę, będą mogli spłacać swoje długi i będą mieli co jeść. Gorzej, jeśli pojawią się plotki, że szefowa firmy postradała zmysły i przez kilka lat zadawała się z nieco zapomnianym już pisarzem? Rozumiesz powagę sytuacji?

Joachim zastyga w bezruchu, dziwi go zarówno nagle agresywny ton Edmunda, jak i same słowa. Chociaż w gruncie rzeczy to wszystko prawda.

– Prasa zaczęła interesować się historią, musimy zrobić coś, żeby powstrzymać dziennikarzy. Moja propozycja jest prosta, podpiszesz umowę, dostaniesz milion koron i już nigdy więcej nie będę zawracał ci głowy – mówi Edmund. Znowu brzmi spokojnie.

– Niczego nie podpiszę – odpowiada Joachim.

Ciężkie westchnięcie po drugiej stronie.

– Stać cię na to, żeby odmówić? – odzywa się po chwili Edmund. –

Mieszkaś w d'Angleterre, a twoje kosztowne przyzwyczajenia alkoholowe raczej z wiekiem się nie zmieniły. Czy spadająca sprzedaż jest w stanie zapewnić ci taki poziom życia? Dobre wina, drogą whisky, kurwy? Mam nadzieję, że Helene się o tym nie dowie.

Joachim wstaje gwałtownie z krzesła.

– Śledzicie mnie? O co wam chodzi?

Żadnej odpowiedzi, Edmund już się rozłączył. Serce Joachima wali jak młotem, czuje, że się poci, rozgląda się, jakby chciał zobaczyć swojego dręczyciela, ale oczywiście nikogo nie widzi. Naprawdę go śledzą? Podchodzi do okna, odsłania firankę, spogląda na dziedziniec, nikogo nie ma. Rozlega się pukanie do drzwi. Joachim odwraca się, przez moment jest zdezorientowany, ale zaraz sobie wszystko przypomina. Już wie, dlaczego tu jest.

– Stella – dobiega go zza drzwi głos kobiety.

Helene parkuje mercedesa przed głównym wejściem do firmy. Nie chce być wożona przez kierowcę, chociaż Edmund bardzo na to nalega. Chce być samodzielna, nie pozwoli się ubezwłasnowolnić. Musi się odnaleźć. Rozmyśla chwilę nad słowami. Tak zwykle mówią ludzie w stresie. Tak kiedyś powiedziała Lina z kawiarni. Że potrzebuje wolnego, żeby odnaleźć siebie. Dla Liny, podobnie jak dla większości ludzi, oznaczało to kilka dni spędzonych na plaży lub w spa. Dla Helene oznacza to poszukiwania, które niekoniecznie muszą do czegoś doprowadzić. Czasem ma wrażenie, że prędzej NASA znajdzie życie w kosmosie niż ona odnajdzie siebie. Przychodzi jej na myśl że może to, czego szuka, wcale nie jest wewnątrz niej, tylko na przykład w firmie? Zerka na budynek, kamienne schody prowadzące do wejścia. Otynkowane na żółto stare mury z daleka mówią o pieniądzach i historii. Pieniądze zarabia się na Jutlandii, wydaje w Kopenhadze, przeczytała niedawno w jakiejś gazecie. Autor artykułu wspominał coś o jutlandzkich majątkach, tradycjach i rodzinnych powiązaniach. Wspominał też rodzinę Söderbergów, ale Helene nie doczytała artykułu do końca. Nie miała siły. Czytanie ostatnio męczy ją bardziej niż cokolwiek innego. Męczą ją litery. Litery Joachima, te, których nie był w stanie pisać, kiedy był z nią. Teraz znów może pisać. Helene wie, że jest niesprawiedliwa, że to nie było tak, ale czuje się opuszczona.

Dzwoni jej komórka. Wzdryga się, nie przyzwyczała się jeszcze do nowego dźwięku, który brzmi niepokojąco. To Edmund. Pyta, gdzie jest. Helene odpowiada, wysyłając SMS. „Jestem na miejscu, zaraz się zobaczymy”. Zostaje jeszcze chwilę w samochodzie. Powraca myślami do Himmelbjerget. Mężczyzna, który ją śledził... Nie, mężczyzna, który być może ją śledził. Może ufać Edmundowi? Zauważa, że bateria telefonu jest słaba, podłącza komórkę do ładowarki i zostawia w samochodzie.

*

– Pani Söderberg, jestem Karen – przedstawia się kobieta, która wyszła jej naprzeciw. Szybkim ruchem poprawia jasnoniebieską spódnicę, podaje Helene rękę, po czym cofa ją i krzyżuje ręce na piersi, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– To pani ma mnie oprowadzić? – pyta Helene. Usiłuje nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale bez powodzenia.

– Jestem pani sekretarką – odpowiada kobieta zdenerwowana.

Helene przygląda się jej. Ma wrażenie, że Karen na coś czeka. Na co? Na

znak, że Helene ją poznaje?

– Od dawna jest pani moją sekretarką?

– Od siedemnastu lat. A jeśli dodać ostatnie trzy, to od dwudziestu.

Helene patrzy na nią. Oczy za okularami, przyjazne spojrzenie. Okrągła twarz. Nagle dociera do niej znaczenie słów, które przed chwilą usłyszała. Oto stoi przed nią ktoś, kto zna ją najdłużej ze wszystkich. Nie licząc wszystkich kuzynów i kuzynek, wujów i ciotek, bliskich, których jej ojciec swoim skąpstwem najwyraźniej zdołał skutecznie do siebie zrazić. Czuje lekkie ukłucie w piersi. Zastanawia się, czy może ojciec jednak miał rację? Może nikt z nich sobie na nic nie zasłużył. Nie można przychodzić i prosić o pieniądze. Czyżby odezwała się w niej dawna Helene?

– Przepraszam, Karen.

– Proszę mnie nie przeproszać. Zaraz pokażę pani gabinet – mówi Karen i szybko wchodzi do budynku.

W wielkim holu stukot obcasów odbija się echem od marmurowych posadzek. Helene odchyła głowę, przygląda się łagodnemu światłu padającemu z ciężkich żyrandoli zwisających z białego łukowego sklepienia. Pozdrawia skinieniem głowy personel za długą mahoniową recepcją, idealnie wpasowaną w łuk ściany. Z obu stron schody prowadzą na górę. Budynek został zbudowany na początku lat pięćdziesiątych, Edmund tłumaczył jej, że to tutaj wykluwają się talenty, które później kierują filiami firmy na świecie.

– Pójdźmy po schodach – mówi Helene. Chce wykorzystać te kilka chwil, żeby dokładniej się rozejrzeć. Kiedy wchodzi po schodach, czuje ucisk w żołądku, denerwuje się. Przygotowała się starannie do spotkania, ale to, co zobaczyła, przeszło jej oczekiwania. Czuje powiew historii. Także jej historii, bo to również jej spadek, jej odpowiedzialność. Gabinet znajduje się na najwyższym piętrze. Helene zagląda przez otwarte drzwi do mijanych po drodze pokoi. Otwarta przestrzeń biurowa, piękne meble, dyskretne elementy marynistyczne, poręcz schodów zrobiona z ciemnej, skręconej liny. Słyszac stukot obcasów na korytarzu, większość pracowników unosi głowy znad dokumentów i komputerów, po czym szybko je opuszcza. Na twarzach niektórych Helene zauważa dziwny grymas, jakby jej widok nie kojarzył się przyjemnie. Próbuje otrząsnąć się z takich myśli, nie chce popaść w paranoję. Kiedy w końcu docierają na samą górę, Karen zatrzymuje się, staje w drzwiach gabinetu.

– Pani pokój – mówi z lekkim wahaniem w głosie.

– Byłyśmy na pani?

– Od samego początku – przytakuje Karen szybko. Czyżby była obrażona? Helene gubi się w sztywnych urzędniczych formach. Pan, pani. Powoli wchodzi do biura. Dominującym meblem jest duże palisandrowe biurko. Siada w eleganckim starym skórzanym fotelu. Z pokoju na piątym piętrze jak okiem sięgnąć widać

niebo.

– Podać pani coś do picia, pani Söderberg?

– A co zwykle pijałam?

– Do godziny dziewiątej kawę. Potem już tylko wodę.

– Do godziny dziewiątej? A o której przychodziłam?

– O siódmej trzydzięci. Pierwsza ze wszystkich. Tak samo jak pani ojciec.

Helene kręci głową zdziwiona. O siódmej trzydzięci? Codziennie? Nawet kiedy prowadziła kawiarnię, nie wstawała tak wcześnie.

– Mam pytanie, które być może wyda się pani dziwne... – zaczyna i się czerwieni.

– Proszę się nie krępować, wszystko zostanie między nami – uspokaja ją Karen.

– Moja praca. Czym właściwie się zajmuję?

– Zarządza pani finansami. Jest pani dyrektorem finansowym.

Dyrektor finansowy. Helene smakuje brzmienie słów. Helene Söderberg, dyrektor finansowy w Söderberg Shipping, jednym z gigantów duńskiej i skandynawskiej gospodarki. Dziwne. Chociaż właściwie nie. To właśnie finanse sprawiły, że zainteresowała się kawiarnią. Kiedy zaczęła porządkować księgowość, Beate stwierdziła, że jest geniuszem. A kiedy później przejęła kawiarnię, wprowadziła szereg zmian, które sprawiły, że miejsce stało się naprawdę dochodowe. Była do tego zmuszona. Zgodnie z umową, którą podpisała z Beate, miała spłacić ją w ciągu pięciu lat. Wprowadziła więc ostry reżim finansowy, przejęła nad wszystkim kontrolę. Teraz zaczyna rozumieć, co za tym stało. Karen nadal stoi przed nią. Miła, chętna do pomocy. Helene namyśla się, ale wie, że w końcu musi zadać to pytanie. Musi przekonać się, czy rzeczywiście popada w paranoję, czy może jednak coś jest na rzeczy.

– Jaka byłam w stosunku do innych?

– Współpraca w zarządzie układała się bardzo dobrze – zapewnia ją natychmiast Karen.

– Miałam na myśli pracowników.

Karen patrzy na nią, po czym spuszcza wzrok, Helene widzi, że się waha.

– Miała pani dużą odpowiedzialność. Ludzie nie zawsze to rozumieją.

– Czym zajmowałam się przed...

Karen odchrząkuje, wchodzi jej w słowo, tak żeby nie musiała używać tego okropnego słowa: zniknięcie.

– Zaraz to sprawdzę – mówi. – Ostatnie, nad czym pracowałyśmy, to umowa dotycząca rocznej wpłaty na konto gospody Julsø Kro. To była decyzja pani ojca, nie bardzo potrafiłyśmy ją wytłumaczyć.

– Rozumiem. – Helene wzrusza ramionami. Uśmiecha się, nie wie, co powiedzieć. – Chodziło o dużą kwotę? – pyta w końcu, żeby jakoś zareagować.

– Dla pani pięć koron miało takie samo znaczenie jak pięć milionów. – Uśmiecha się Karen. Helene przygląda się sekretarce wnikliwie, ale nie rozpoznaje jej. Nie rozpoznaje też siebie na podstawie tego, co opowiedziała Karen.

*

Zostaje sama. Rozgląda się. No to już wie. Jest dyrektorem finansowym i to niezbyt lubianym przez podwładnych. Trudno. Wypija łyk kawy, zjada kruche ciasteczko, znów spogląda na niebo, chmury przerzedziły się, niemal się rozpierzchły. Powraca myślami do Joachima. Po raz pierwszy od dłuższego czasu. Zastanawia się, co on teraz robi. Przypomina sobie jego naprężone plecy, kiedy siedział i pracował. Jego sterczące na wszystkie strony włosy, gestykulujące ręce, i oczy pełne zapału. Wzdycha. Czy on też o niej myśli? Powinna o nim zapomnieć. Był epizodem w jej życiu. Epizodem, który w ogóle nie powinien się zdarzyć. Jej prawdziwe życie jest tutaj. Z czasem Edmund, dzieci i firma zaczną wypełniać coraz większą część jej życia, a chwile spędzone z Joachimem coraz mniejszą. Nie może być inaczej. Próbuje się otrząsnąć, wypija kawę. Na ścianie wiszą zdjęcia oprawione w ładne, proste drewniane ramki. Jedno przedstawia fontannę przed budynkiem, jeszcze w trakcie budowy. Lata sześćdziesiąte, widać to po strojach. Na szczęście nie ona zdecydowała o budowie czegoś w tak złym stylu, z tymi wszystkimi rybami i delfinami. Domyśla się, że były to czasy, kiedy firma na dobre zagościła na morzach świata i ojciec zapragnął to zaznaczyć.

Przenosi wzrok na inne zdjęcia. Statki przy nabrzeżu. Czy to port w Fredrikshavn? To chyba tam powstała pierwsza stocznia ojca. Wodowanie i tradycyjna butelka szampana. Otwarcie pierwszego biura w Singapurze. Helene jako dziecko na ramionach ojca, gdzieś na Dalekim Wschodzie. Siada w fotelu oszołomiona taką dawką historii. Nagle wstaje, podchodzi do ściany. Coś zwróciło jej uwagę. Jakieś litery. Przygląda się zdjęciom, jest pewna, że zobaczyła coś ważnego. Wśród najstarszych zdjęć, jeszcze sprzed wojny, na których wszyscy wyglądają poważnie i mają na sobie schludne, chociaż często zniszczone ubrania. Nagle znów to widzi. Zdjęcie ojca, który pozuje na nabrzeżu w Silkeborgu. Jest młody. Stoi na tle statku. Ale to nie statek zwrócił jej uwagę. W rogu, z lewej strony, pięciu może sześciu młodych chłopców rozładowuje barcę, na której jest drewno, na burcie widać nazwę, dolne litery sięgają linii wody, odbijają się w niej. ...irsh. Martin, instruktor nurkowania, napisał „kirsch”. Helene zdejmuje zdjęcie ze ściany, próbuje zajrzeć pod ramkę. Litery są zasłonięte, to nie jest K, tylko H. Hirsch. Helene stara się przypomnieć sobie litery na zaparowanych okularach. Martin się spieszył, wszystko odbyło się w pośpiechu. Może źle przeczytała? H zamieniło się w K. Może na okularach było napisane Hirsch?

– Helene?

Wzdryga się, odwraca i spotyka spojrzenie Edmunda. Patrzy na nią. A potem

na zdjęcie. Helene odwiesza je pośpiesznie na miejsce.

– Wszystko w porządku? Dzwoniłem do ciebie.

– Wszystko w porządku – potwierdza Helene. Przeprasza i tłumaczy, że zostawiła komórkę w samochodzie.

– Jesteś gotowa? – przerywa jej Edmund. – Zarząd czeka.

Joachim waha się chwilę, zanim otworzy drzwi. Być może zaraz wszystko się wyjaśni. Jeśli do pokoju wejdzie Louise Andersen, być może opowie mu całą historię: jak spotkała Helene i skąd się znają. Jeśli w ogóle się znają. Joachim nie ma czasu się dłużej zastanawiać, bo w tym momencie ktoś szybkim, zdecydowanym ruchem otwiera drzwi. Do środka wchodzi kobieta. Jest młodsza, niż Joachim się spodziewał, nie reaguje na jego widok, sądząc po jej zachowaniu, jest po prostu kolejnym klientem. Szybki numer, następny klient zapewne już czeka. Ma na głowie czarną, błyszczącą perukę. Jest ubrana w jasną, obcisłą kurtkę, która podkreśla jej szczupłą figurę, i jasnobrązowe botki na wysokich obcasach, z torby wystaje pompka do roweru. Jakie to typowo duńskie, myśli Joachim, nawet dziwki przyjeżdżają na spotkanie rowerem. Kobieta ma stonowany makijaż i ładną, gładką cerę. Tak wygląda Louise Andersen?

– Możemy od razu uregulować sprawy finansowe? – zaczyna niewinnie.

– Jasne, oczywiście – stwierdza Joachim.

Wyjmuje portfel, przelicza banknoty. Dlaczego nie pomyślał, żeby podjąć pieniądze?

– Ile? – pyta.

– Osiem tysięcy.

Joachim opuszcza ręce w bezradnym geście. W życiu nie przypuszczał, że suma może być tak duża. To szaleństwo. Wczoraj zapłacił znacznie mniej. Kiedy nie podaje jej pieniędzy, dziewczyna rusza do drzwi.

– Podejmę pieniądze. Chcę tylko porozmawiać.

– Zapomnij.

– Jesteś Louise? – pyta Joachim, ale dziewczyna jest już jedną nogą na korytarzu. Niewiele myśląc, Joachim chwyta ją i przytrzymuje, zamyka drzwi. Trzyma jej ręce, przykładając dłoń do ust, tłumiąc jej krzyk. Dziewczyna walczy, próbuje go kopnąć. Joachim robi unik, nie luzuje chwytu, ściska jej ręce jeszcze mocniej. Stara się spojrzeć na scenę z zewnątrz i nie poznaje siebie. Nigdy tak się nie zachowuje. Zagryza zęby, wie, że nie ma innego wyjścia.

– Louise, bardzo mi przykro – mówi niskim, szorstkim głosem, którego niemal nie poznaje. – Nie chcę cię skrzywdzić, chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała. I zrozumiała, dlaczego tak bardzo zależy mi na tym, żebyś powiedziała mi wszystko, co wiesz, dobrze? Nie mam złych zamiarów. Zaraz cię puszcze.

Uwalnia chwyt, ona się nie rusza. Joachim czuje, jak mocno bije jej serce. W końcu dziewczyna odzywa się słabym głosem.

– Louise? Dlaczego tak się do mnie zwracasz?

Joachim nie odpowiada. Zastanawia się, czy jest zawiedziony.

– Mylisz mnie z kimś – szepcze po chwili dziewczyna.

– Udowodnij to – rzuca Joachim, niewiele myśląc. Choć właściwie, dlaczego miałyby mówić prawdę? Jeśli od trzech lat się ukrywa, to dlaczego teraz miałyby zdradzić swoją tożsamość przypadkowemu klientowi? I to na dodatek porywczemu.

Dziewczyna sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki, wykonuje powolny, nerwowy ruch. Portfel jest z jasnej skóry, podobnie jak botki.

– Spójrz.

Pokazuje mu kartę ubezpieczenia zdrowotnego. Joachim odczytuje jej dane. Rikke Sommer. Urodzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. Czuje zawód. Zdawało mu się, że jest tak blisko, a teraz wraca do punktu wyjścia. Mylił się. Nie zbliżył się do rozwiązania zagadki.

Rikke, czy raczej Stella, prostuje się, robi krok do tyłu, ale nie kieruje się do drzwi.

– Przepraszam, że cię przytrzymałem, ale...

Dziewczyna kiwa głową zamyślona. Joachim ciągnie swoją opowieść.

– Byłem u Miss Daisy, w burdelu. I spotkałem tam... Mindy? Tak, Mindy. Tak miała na imię. Kiedy wspomniałem jej o Louise, podała mi twoje imię. Stella. Potem poszedłem za Mindy do klubu i tam spytałem o ciebie.

– Bo sądziłeś, że jestem Louise Andersen. – Dziewczyna nie tyle pyta, ile po prostu stwierdza fakt. Porusza ostrożnie głowę, nadal jest czujna.

– Wiesz może coś? – W Joachimie odżywa nadzieja.

– Nie słyszałam o niej. O Louise – stwierdza Stella, ale Joachim widzi w jej oczach, że coś wie. Czeka. W końcu dziewczyna zaczyna mówić, cicho, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy, chociaż przebywają w pokoju sami, a drzwi są zamknięte. – Ale jeśli znalazłeś podstawkę z numerem telefonu, to znaczy, że była częścią tego.

– Czego?

– Tego, co robimy.

– Nie robicie tego z własnej woli?

Stella zastanawia się chwilę. Wzrusza ramionami.

– Wiele z nas ma długi. Wiesz, jak to jest... – mówi i patrzy na Joachima zawstydzona. – Wiele z nas w Roxy... – znów urywa. – Słyszałeś o Deep Web? – pyta.

Joachim kręci głowę. Nie wie, o co jej chodzi.

– Ukryta sieć. Można tam znaleźć wszystko, czego nie można znaleźć w normalnym, jawnym internecie. I gdzie niczego nie można wyśledzić. Tylko trzeba wiedzieć, czego się szuka. Ja się na takie rzeczy nie zgadzam. Co to to nie –

dodaje nagle stanowczo. Patrzy na niego, najwyraźniej zależy jej, żeby Joachim jej uwierzył.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Te wszystkie dewiacje, sado-maso i różne skrajności, przekraczanie granic, przyduszanie. Bicie. Niektórych podnieca, jeśli dziewczyna ociera się o śmierć. Fantazjują, że ją duszą w trakcie aktu. Czasem rzeczywiście niewiele brakuje. Są też tacy, których podnieca przemoc. Tortury – mówi i patrzy na Joachima. – Ale można sporo zarobić. Niektóre dziewczyny na to idą. W każdym razie dawniej tak było. To cholernie niebezpieczne, ja w to nie wchodzę – oświadcza Stella.

– I stąd te tajemnice. Numery telefonów zapisywane na podstawkach...

– Żadnych SMS-ów, e-maili, niczego, co zostawia ślad – wchodzi mu w słowo dziewczyna.

Joachim oczywiście wie, że takie rzeczy się zdarzają, a jednak jest zdziwiony. Że też są ludzie, którzy się na to godzą. Dla pieniędzy. Czy Louise Andersen do nich należy?

– Jak można się z nimi skontaktować?

– Nie można – odpowiada Stella szybko.

– Muszę dowiedzieć się czegoś więcej.

– Uwierz mi, że nie chcesz mieć do czynienia z tymi ludźmi. Za nic na świecie.

– Muszę... Muszę dowiedzieć się, dlaczego Helene została Louise. Coś w tym wszystkim nie gra, nie zaznam spokoju... – Joachim urywa, nabiera głęboko powietrza. – Ktoś musi wiedzieć coś więcej, musi mi wytłumaczyć.

Stella waha się.

– Trzeba zostać zaproszonym – odzywa się w końcu.

– Przez kogo? – podchwytuje Joachim podniecony.

Spojrzenie dziewczyna się zmieniło. Jej oczy nie są już przerażone, patrzy na niego i mu współczuje.

– Być może będę mogła zdobyć dla ciebie numer – mówi powoli.

Helene wychodzi do łazienki. Zamyka drzwi i przez chwilę napawa się ciszą. Zaraz spotka się zarządem, z obcymi ludźmi. Edmund już wszedł do środka, Helene przeprosiła i powiedziała, że musi poprawić włosy. Ma mdłości, czuje, jak dziwna niechęć wypełnia jej ciało. Nie chce tam iść, nie chce mieć z tym nic wspólnego. Ale nie ma odwrotu. Chwyta za klamkę, zamierza otworzyć drzwi i w tym momencie słyszy, jak do łazienki wchodzi dwie kobiety, rozmawiają. Postanawia na razie nie wychodzić.

– I znów wszystko będzie jak dawniej – mówi jedna z kobiet i wzdycha.

Helene siada cicho na klozecie.

– Ściska mnie w żołądku. A już niemal zapomniałam, jak to jest – odpowiada druga. Ma niski głos, dialekt wskazuje, że pewnie jest z Kopenhagi.

– Miałam nadzieję, że nie będzie jeszcze w stanie wrócić.

– I to tak szybko – odzywa się druga poufnie. – Ktoś mówił, że podobno miała uraz głowy.

– No to może coś tam jej się poprzestawiało – mówi ta pierwsza. Wzdycha i dodaje cicho: – Witamy z powrotem w piekle.

*

W piekle. Helene próbuje nie myśleć o rozmowie, kiedy wchodzi do sali, w której odbywa się zebranie zarządu. Ludzie jej nienawidzą. Zachowywała się jak suka. Zastanawia się, czy będzie w stanie rozpoznać po głosie kobiety, których rozmowę słyszała. Patrzy na nieskończenie długi stół, słyszy odgłos odsuwanych krzeseł, ludzie wstają. Niezliczenie wiele twarzy, wszystkie zwrócone w jej stronę. Wyłącznie mężczyźni, wszystkie możliwe typy. Niepewnie zerka na Edmunda, który wysuwa jej krzesło. Helene siada, po chwili siadają pozostali. Edmund kładzie dłoń na jej ręce, uspokaja ją.

– Chciałbym powitać z powrotem Helene – mówi. – Jak wam wiadomo, wszystko stało się dość nagle, musi minąć trochę czasu, zanim sytuacja wróci do normy. Na początku Helene będzie raczej przysłuchiwać się naszym rozmowom, ale stopniowo przejmie swoje zadania.

*

Po spotkaniu Edmund zaprasza wszystkich na, jak to nazywa, „nieformalne powitanie”. Helene czuje, że ma ciężką głowę, zebranie trwało kilka godzin, niewiele z poruszanych spraw była w stanie zapamiętać. Nikogo też nie rozpoznała,

przez większość czasu siedziała wpatrzona tępo w papiery, udając, że słucha, kiedy Edmund i pozostali dyskutowali kwestie związane z przejęciem holenderskiej spółki żeglugowej. Po zniknięciu Helene decyzja w tej sprawie została odłożona, teraz do niej wrócono. Chociaż Helene bardzo się starała, nie do końca rozumiała szczegóły zagadnienia, ale – podobnie jak kiedy na Bornholmie ważyła się sprawa przejęcia kawiarni – poczuła silną chęć posiadania. Silniejszą od niej. Może rzeczywiście taka była? Chciwa, pazerna kobieta, która zawsze chce więcej, której wszyscy się boją. Teraz stoi z kieliszkiem białego wina w ręce i uśmiecha się do mężczyzny ściskającego jej dłoń.

– Jak dobrze znów widzieć panią w tak doskonałej formie. Bardzo się martwiliśmy.

Helene napina mięśnie twarzy, odnosi wrażenie, że ma maskę, której nie jest w stanie kontrolować. Mężczyzna jest już dwunastą osobą, która podchodzi do niej i mówi jej mniej więcej to samo, co poprzednie. Członkowie zarządu to szefowie albo właściciele dużych firm, wszystkie mają centrale w zachodniej Danii. Helene dostrzega pewne cechy wspólne otaczających ją mężczyzn: są bardziej pewni siebie niż ludzie na Bornholmie, ich poglądy wydają się niepodważalne. Zaczyna rozumieć, dlaczego to właśnie tutaj narodziła się duńska demokracja. To ludzie, którzy nie pozwolą sobie nic narzucić, także mężczyzna, który teraz ściska jej dłoń, serdecznie, ale nieco za mocno. Opowiada o ich ostatnim spotkaniu, jeszcze przed jej zniknięciem, kiedy to razem z Edmundem odwiedziła jego ranczo. Uśmiecha się, mruga do niej porozumiewawczo i szepcze:

– Przypominam ci na wypadek, gdybyś zapomniała.

Helene stoi wciśnięta w kąt dużego tarasu i nie bardzo wie, jak się tu znalazła. Szerokie deski, wyblakłe od wiatru i słońca, jak pokład statku. Ciągłe pojawiają się nowi ludzie. Na środku tarasu stoi Edmund, rozmawia z bardzo starą mężczyzną i jego... No właśnie, pielęgniarką, opiekunką, a może córką? W każdym razie kobieta cały trzyma starca pod rękę. Po chwili Edmund bierze go pod drugą rękę i razem ruszają w jej kierunku. Helene wzdycha, nie ma już siły. Za dużo obcych twarzy. Obcych ludzi, których nigdy wcześniej nie widziała, a którzy wszystko o niej wiedzą.

– Helene? To jest Karl Gudmundson. Razem z twoim ojcem był w firmie od początku – mówi Edmund i uśmiecha się nieco sztucznie. – Od zarania dziejów – dodaje głośno.

– Słuch ojciec ma dobry – odzywa się córka starszego pana. – Gorzej z pamięcią – dodaje. Uśmiecha się i podaje Helene rękę.

Usta starca poruszają się bez przerwy, ale pozostają zamknięte, jakby mężczyzna cały czas coś przeżuwał. Padają kolejne grzecznościowe formułki, Gudmundson jest honorowym członkiem jakiegoś komitetu w firmie. Sprawia wrażenie równie zdezorientowanego jak ona. Helene zauważa, że jest traktowana

podobnie jak starszy pan. Jak osoba niepełnosprawna, upośledzona umysłowo, ale – tak się złożyło – z kupą kasy. Gdyby nie to, nikt nie zaszczyciłby jej nawet spojrzeniem. Czuje niesmak, przeprasza. Musi wyjść. Kiedy rusza w stronę schodów, wypada jej z ręki torebka. Schyla się, żeby ją podnieść. I wtedy, kawałek dalej, wśród lakierków i szpilek, dostrzega je: ciężkie czarne męskie buty, odpowiednie na wojnę. Czyżby należały do mężczyzny, który śledził ją na Himmelbjerget? Helene chwyta torebkę. Wstaje, rozgląda się. Wokół niej jest tłum ludzi, ale nie dostrzega nikogo w czapce i okularach przeciwsłonecznych, wszyscy mężczyźni mają mniej więcej takie same fryzury, są też podobnie ubrani. Tętno jej przyspiesza, krew pulsuje w skroniach, jakby tam w środku stukwały dwa małe dziecięcy. Zbiega po schodach, chce wrócić do swojego gabinetu. Odzyskać spokój. Przemyśleć wszystko. Czy naprawdę ktoś ją śledzi, czy może traci zmysły? Nie jest w stanie trafić. Mijają ją dwie młode kobiety, patrzą na nią przestraszone.

– Przepraszam, gdzie jest mój gabinet?

– Prosto, a potem w lewo – odpowiada jedna z kobiet.

– Bardzo dziękuję.

W końcu dociera do gabinetu, wchodzi, zamyka za sobą drzwi. Chce do domu. Chociaż wie, że powinna wrócić na przyjęcie. Spojrzeć pracownikom w oczy, pokazać, kim jest. Ale nie może. Nie po rozmowie, którą przypadkiem podsłuchiwała w toalecie. Była jędzą. Jest jędzą. I nagle uświadamia sobie, że może sprawa dotyczy jej? Może wtedy też chodziło o nią? Może miała romans? Była podłą suką, która zaaranżowała własne zniknięcie. Może Edmund nasłał na nią kogoś, mężczyznę w ciężkich butach, bo była mu niewierna? Siada w fotelu przy biurku, zanurza się w nim, ma wrażenie, że wszystko, co do tej pory było nią, nagle się rozplywa. Zatraca kontury. Wydawało jej się, że wie o sobie wszystko. Ale nic się nie zgadza. Czy przynajmniej była dobrą matką? Czuje szum w uszach. Ma wrażenie, że tkwi nieruchomo zawieszona nad przepaścią, czuje pod sobą czarną otchłań i lodowaty chłód, i nic poza tym. Pustka. Tyle rzeczy o sobie nie wie.

– Żle się czujesz? – dobiega ją głos Edmunda od drzwi.

Nie jest w stanie mu odpowiedzieć, nie może się skupić, otwiera usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Edmund podchodzi do niej, klęka przed nią, zaniepokojony kładzie rękę na jej czole.

– Jesteś rozpalona.

Dotknięcie jego ręki sprawia, że chłód znika. Czuje jego skórę na swojej. Wróciła, siedzi w fotelu przed biurkiem, patrzy na Edmunda, który wygląda na naprawdę zmartwionego.

– Czy jestem okropnym człowiekiem? – pyta.

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy? – Edmund jest zdziwiony.

– Nienawidzą mnie – mówi Helene cicho.

– Kto?

– Oni wszyscy.

– Nie nienawidzą. Nie było cię trzy lata, teraz wróciłaś, to nowa sytuacja. Ludzie muszą się do tego przyzwyczaić, ale nie nienawidzą ciebie. Aż tak ważna dla nich nie jesteś. Jesteś tylko ich pracodawcą – tłumaczy jej spokojnie.

– Dlaczego tak niewiele osób zadzwoniło do mnie po tym, jak wróciłam? Nikt nie lubi Helene. Na Christiansø miałam więcej przyjaciół niż tutaj. – Czuje, że jej słowa go ranią, nie było to jej zamiarem.

Edmund bierze głęboki wdech.

– Byłaś... To znaczy jesteś – poprawia się natychmiast – ...bardzo rodzinną osobą. Pochłaniała cię praca i rodzina. To nieprawda, że wszyscy dookoła cię nienawidzili – zapewnia ją. – Spotykaliśmy się ze znajomymi. Z Ulrikiem i jego żoną Majbritt – dodaje, ale Helene nie pamięta ani Ulrika, ani jego żony. – Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli jeszcze chwilę zaczekamy z odświeżeniem znajomości – ciągnie Edmund.

Jego słowa uspokajają Helene. Ciemność wokół niej znika, oddycha lżej.

– Lepiej się czujesz? – pyta cicho Edmund.

– Tak.

– Dasz radę wrócić jeszcze na chwilę? Niedługo wszyscy się rozejdą, nie dawajmy powodu do plotek. Poza tym dobrze byłoby, żebyś jak najszybciej wróciła do firmy.

Edmund jest pełen optymizmu. Wierzy w nią. Helene nie chce go zawieść. Wstaje. Jest gotowa stawić czoło wyzwaniu. Musi wytrwać.

– Będiesz przy mnie? – prosi.

– Oczywiście. Cały czas jestem przy tobie – mówi Edmund.

Ruszają w stronę drzwi. Z Edmundem u boku Helene czuje się silniejsza i pewniejsza. Poradzi sobie. Musi po prostu się uśmiechać, ścisnąć dłonie, mówić dziękuję, a potem wrócić do domu. Wszystko będzie dobrze. To zrozumiałe, że jest zdezorientowana. Wszystko wokół niej jest nowe, obce. Z czasem się to zmieni, tłumaczy sobie. Kiedy podnosi głowę, jej wzrok pada na zdjęcie na ścianie. Na starą barkę, która ma na burcie wypisane Hirsch. Wzdryga się. Zapomnij o tym, nakazuje sobie. Nagle się zatrzymuje. Dociera do niej, że na ścianie wisi nie to zdjęcie.

– Gdzie jest statek? – pyta.

– Jaki statek? – Edmund patrzy na nią, nic nie rozumiejąc.

Helene puszcza jego dłoń, podchodzi do ramki, w której teraz znajduje się inne zdjęcie. Stara czarno-biała fotografia przedstawia fasadę budynku firmy. Spogląda na inne zdjęcia. Czyżby źle zapamiętała? Może zdjęcie z barką wisiało w innym miejscu? Nie...

– Tu wisiała stara fotografia statku, barki. Teraz zniknęła.

Edmund przygląda się zdjęciom, wzrusza ramionami.

– Nie wiem, o jakim statku mówisz, Helene. Te zdjęcia wiszą tu od zawsze. Twój ojciec je tu powiesił.

Helene znów spogląda na ścianę. Jest przekonana, że widziała zdjęcie statku. Pamięta jego nazwę. Hirsch. Otwiera usta, żeby powiedzieć to Edmundowi. Upewnić się, że ją rozumie. Że coś jest nie tak. Himmelbjerget... Mężczyzna, który ją śledził... A może...

Coś dziwnego się z nią dzieje, znów nie może się skupić, ma wrażenie, że ogarnia ją ciemność, jest coraz bliżej, pochłania ją. Edmund obejmuje żonę, szepcze jej coś do ucha. Ona próbuje mu coś powiedzieć. Mówi o butach, o dużych, męskich butach. O tym, że ktoś ją śledzi, że coś jest nie tak.

– Helene? Nikt cię nie śledzi. Kocham cię – mówi Edmund. – Kocham cię, Helene – powtarza.

Helene kiwa głową, milczy, po policzkach płyną łzy. Boi się. Co się z nią dzieje?

– Źle się czujesz, przepraszam, że od razu tego nie zauważyłem – odzywa się Edmund nieszczęśliwy.

W drzwiach pojawia się Karen, też wygląda na zaniepokojoną.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta.

– Zadzwoń po naszego lekarza – zwraca się do niej Edmund. – I skontaktuj się z Rosenbergiem.

*

Lekarz daje jej zastrzyk uspokajający. Helene nie protestuje, przeciwnie, sama o niego prosiła. Ufa lekarzowi. Chce jak najmniej czuć, uwolnić się od tęsknoty za Joachimem, przestać się dręczyć tym, że nie wie, kim jest. Że nie wie, kogo kocha. Potrzebuje odpoczynku. Lekarz bada ją, zadaje kilka pytań, nie za dużo i niezbyt trudnych. Odwraca się do Edmunda.

– Helene potrzebuje spokoju – oznajmia. Zwraca uwagę, że wszystko dzieje się za szybko. Edmund przeprasza. Ją czy lekarza? – Proszę ją obserwować przez kilka dni – mówi lekarz. Jest zły. Zły na Edmunda.

Helene wszystko słyszy, ale słowa jakby do niej nie docierają, są jej obojętne, ma wrażenie, że jest gdzieś daleko, że rozplywa się we mgle. I jest jej wszystko jedno. Mogą zrobić z nią, co zechcą, byle tylko niczego od niej nie wymagali. Pojawia się Karen, mówi, że Rosenberg jest w Stanach na konferencji.

– Potrzebuję chwili odpoczynku – szepcze Helene.

Edmund ściska jej dłoń, gładzi ją po policzku jakby była dzieckiem.

– Potrzebujesz chwili odpoczynku – powtarza za nią.

Jest ósma wieczorem. Zostało jeszcze dużo czasu. Joachim idzie Bredgade i próbuje zrozumieć, w co się pakuje. Zawarł pewną umowę. Popęłnił błąd? Stella była wyraźnie przestraszona, kiedy zadzwoniła ze swojej komórki pod numer, który dostała od przyjaciółki. Zapisała go szminką na hotelowym papierze listowym. Uparła się, żeby zadzwonić z zastrzeżonego numeru. Nie chciała, żeby osoba, która odbierze, wiedziała, kto dzwoni. Kiedy podała Joachimowi telefon i wyszeptała, że ma dodać „*No limits*”, jej głos drżał. Ale wszystko się udało. Umowa została zawarta, Joachim ma się stawić na basenie w Frederiksbergu dzisiaj o ósmej wieczorem. Wtedy otrzyma dokładniejsze instrukcje. To wszystko, co udało mu się dowiedzieć. No i widział też przerażenie Stelli. Kartkę, na której zapisała numer, spaliła, nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Joachim przeprosił ją, poszedł podjąć pieniądze z bankomatu na Bredgade, po czym ją odesłał.

*

Pływalnia w Frederiksbergu. Budynek z czerwonej cegły sprawia wrażenie potężnego. Jest za kwadrans ósma. Joachim wchodzi do środka, zatrzymuje się przy pierwszym okrągłym filarze. Ma stąd widok na wejście i schody prowadzące do szatni dla kobiet po jednej stronie i dla mężczyzn po drugiej. Za nim, w szklanej budce siedzi bileterka. Przygląda się uważnie wszystkim wchodzącym. Na ogół są to kobiety w niewielkich grupach, pewnie przyjaciółki. Ale przychodzą też starsi mężczyźni.

– Łaźnia parowa. – Słyszy nagle cichy męski głos.

Odwraca się i widzi mężczyznę wychodzącego z basenu. Zastanawia się, czy pobiec za nim, ale porzuca pomysł. To zbyt niebezpieczne, musi robić, co mu każą, grać zgodnie z regułami gry. Łaźnia parowa. Czyżby tam siedział ktoś i na niego czekał? Podchodzi do kasy i kupuje bilet do łaźni parowej.

– Nagość pana nie krępuje? – pyta bileterka i tłumaczy mu, że w łaźni nie wolno mieć na sobie kąpielówek, ale że może kupić specjalną opaskę na biodra.

Joachim wchodzi do środka, przebiera się w jednym z małych zamkniętych boksów, w którym zostawia wszystkie swoje rzeczy z wyjątkiem ręcznika. Wchodzi pod prysznic, myje się szybkimi, niecierpliwymi ruchami, po czym otwiera drzwi do łaźni. Białe kafelki na podłodze i na ścianach, marmurowe ławki na trzech poziomach, to wszystko, co jest w stanie dostrzec w oparach mgły. Mruży oczy. Ile osób jest w środku? Nie widzi twarzy, tylko niewyraźne postaci, słyszy fragmenty rozmów po duńsku i arabsku, nie potrafi powiedzieć, kto z kim

rozmawia.

Stoi, nie bardzo wie, co robić. Ktoś tu na niego czeka. Kto? Zajmuje jedno z wolnych miejsc, czeka. Po chwili ktoś siada obok niego, pochyla się, głowa mężczyzny jest tuż przy jego głowie.

– Czego szukasz? – szepcze mężczyzna.

Joachim zastyga w bezruchu, zmrożony. Ma ochotę się odwrócić, ale wie, że w oparach i tak nic nie zobaczy. Poza tym nie może przecież zacząć od pytań o Louise. Musi być ostrożny, wysondować teren, przeniknąć do zamkniętego kręgu.

– Potrzebuję kobiety. Bez ograniczeń – powtarza zdanie, które okazało się skuteczne podczas pierwszej rozmowy telefonicznej.

Następuje długa przerwa.

– Po co? – pyta mężczyzna.

Wokół nich toczą się rozmowy, dopóki nie podnoszą głosu, nie muszą się obawiać, że ktoś ich usłyszy. Joachim wie, że musi powiedzieć coś, co przekona mężczyznę.

– Chcę spędzić noc, podczas której tylko pożądanie będzie wyznaczało granice.

– Kto dał ci numer telefonu?

– Dziwka – mówi Joachim i natychmiast żałuje, że użył tego słowa. – Nie chciała się zgodzić na moje propozycje, więc dała mi ten numer. Twierdziła, że macie takie, które będą mogły mnie zaspokoić. To prawda? – mówi cicho. Czuje, że drży w środku, ale stara się tego nie okazać.

– Jak się nazywa?

Joachim zastanawia się, nie może powiedzieć, że jego źródłem jest Stella.

– Nie mam pojęcia, prawdę mówiąc, z trudem je rozróżniam.

– To kosztuje. Jesteś tego świadomy?

– Domyślam się, ale co znaczą pieniądze... Nie są ważne.

– Bierzemy na siebie ryzyko, za to nam płacisz. Co z tego będziesz miał, to już twoja sprawa. Nie każdy jest w stanie sprostać zadaniu. Faceci mają się za twardzieli, a jak przychodzi co do czego, to kłapa. Rozumiesz? Wiesz, o co mi chodzi? Nie chcę potem żadnych awantur. Kiedy zapłacisz, nie ma już odwrotu.

– Bez ograniczeń? Obiecujesz? – Joachim nie spuszcza z tonu, chociaż ma wrażenie, że mężczyzna go przejrzał.

– Jeśli zapłacisz, jest twoja. Masz kasę?

– Ile?

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy, w gotówce. I nie po, tylko przed.

Joachim chce zaprotestować, ale się powstrzymuje. Ćwierć miliona? To szaleństwo. Mimo to kiwa głową.

– Mam forszę. Więc kiedy?

– Jutro o dziewiątej wieczorem. Na parkingu przed Israels Plads. Masz mieć ze sobą całą kasę. Jasne?

Joachim znów kiwa głową. Mężczyzna nachyla się, kładzie rękę na jego ramieniu. Joachim czuje lodowaty dotyk.

– Doświadczysz czegoś wyjątkowego – szepcze mężczyzna. – Zobaczysz. Jest twoja w stu procentach. Możesz ją, kurwa, zajebać na śmierć. A teraz odczekaj pięć minut. Jeśli wyjdiesz wcześniej, umowa będzie nieważna.

Mężczyzna wstaje i niemal bezszelestnie wyślizguje się z łaźni. Joachim widzi jedynie zarys jego sylwetki. Facet jest średniego wzrostu, średniej budowy ciała. Jeden z tysięcy. Joachim mógł pójść za nim, spróbować go zobaczyć. Ale nie. Na zewnątrz może ktoś czekać, jacyś ludzie udający bywalców basenu, którzy wszystko bacznie obserwują. Ktoś, kto zajmuje się takimi rzeczami, musi być ostrożny. Handluje życiem. Życiem kobiet. Joachim wie, że skoro się zdecydował, musi przestrzegać reguł gry. Jednak wciąż jeszcze może zmienić zdanie. Bo jak, do diabła, zdobędzie dwieście pięćdziesiąt tysięcy? W gotówce. Kto się na coś takiego decyduje, zastanawia się, chociaż zna odpowiedź. Ktoś naprawdę zdesperowany. Jak on.

Słońce jest już nisko, jasna kula tuż nad nią. Helene zerka do góry, słońce oślepia ją, czuje, jak ciepło przenika jej skórę. Czuje łagodną pieśczoć statku, delikatne ruchy, słyszy łopotanie żagli i rytmiczne uderzenia liny o maszt. Głosy. Jej rodziców? Helene śni. I nie chce się obudzić. Ale powieki same się otwierają.

– Nie śpisz już? – Edmund nachyla się nad nią niczym groźny cień.

Helene siada, Edmund odstepuje na krok przestraszony.

– Gdzie ja jestem? – Helene rozgląda się niepewnie.

– W klinice – mówi Edmund, jakby zakładał, że ona wie, co on ma na myśli.

Pokój jest przyjemny, przypomina nieco mieszkanie na Christiansø. Okno ze szprosami, szeroki parapet i lekkie, koronkowe firanki. Na zewnątrz szerokie gałęzie drzew dają przyjemny cień. Słoneczne promienie torują sobie drogę przez liście, zabierając ze sobą cienie, które lądują na ścianie pokrytej tapetą w kwiaty. Helene przypomina sobie lekarza. Zastryk. Ciepło. Ma wrażenie, że jej mózg zaraz zacznie się gotować. Jest bliska załamania. Może właśnie tak było wtedy, kiedy zniknęła? Może w jej mózgu doszło do spięcia?

– Karen dała mi twoją torebkę – mówi Edmund i przesuwa ostrożnie torebkę w jej stronę.

– Jestem w klinice? – pyta Helene zdezorientowana.

– Tak – odpowiada Edmund z lekkim wahaniem.

Helene zastanawia się, jak była ubrana wcześniej w ciągu dnia. Teraz ma na sobie miękkie welurowe dresy w kolorze brudnego różu.

– Chcę wrócić do domu. Czuję się już lepiej – mówi cicho.

– Najpierw musisz porozmawiać z lekarzami, a potem zobaczymy – oświadcza Edmund.

– Co to znaczy „zobaczymy”? – W głosie Helene słychać poirytowanie.

– Przestań, proszę – wchodzi jej w słowo Edmund. – Nie jesteś sobą. Twierdzisz, że ktoś cię śledzi, opowiadasz o jakichś butach... Miałaś załamanie nerwowe. Musisz przejść badania. To może trochę potrwać.

Co on mówi, myśli Helene i czuje, że znów kręci jej się w głowie.

– Po prostu chcę wrócić do domu – szepcze. – Na pewno poczuję się lepiej, mając przy sobie dzieci, w miejscu, które znam.

Edmund nie odpowiada. Przez kilka sekund oboje milczą. Czyżby Edmund nie chciał, żeby wróciła do domu?

– Posłuchaj mnie, Edmundzie. Nie chcę tu zostać.

– Przykro mi. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, ale prawdę mówiąc, nie

ty o tym decydujesz – mówi Edmund i przesuwa nerwowo dłońmi po nogawkach spodni.

– Skoro chcę wrócić do domu, to chyba nie możesz zmusić mnie, żebym tu została.

– Możesz zrobić sobie krzywdę. Poza tym dzieci nie powinny oglądać cię w takim stanie, prawda? Powiedziałem tylko, że zobaczymy, co powiedzą lekarze.

Edmund wstaje, podchodzi do okna, stoi odwrócony do niej plecami. Helene opada na łóżko. Co tu się dzieje? Co dzieje się z Edmundem? Z nią? Dlaczego Edmund nie wierzy jej, kiedy ona twierdzi, że lepiej poczuje się, kiedy wróci do domu, do dzieci. Co z niej za matka? Naprawdę jest tak chora, że trzeba zamknąć ją w zakładzie? I zabronić kontaktów z dziećmi? A może... Może to pułapka? Myśl pojawiła się nagle, ale Helene jej nie odrzuca. Mimo że wszystko w niej się buntuje. Czy Edmund to wszystko zaaranżował? Czy naciskał na nią tak, aż w końcu coś w niej pękło? I wtedy przywiózł ją tutaj. Robi to, żeby miała wrażenie, że traci rozum? Może dlatego uciekła. Ma ochotę krzyczeć. To chyba jedyne, co jest w stanie zrobić. Wykrzyczeć frustrację, strach, wszystkie swoje wątpliwości. Ale nie robi tego. Leży nieruchomo i czuje, jak powoli traci resztkę sił. Bo przecież nie może wykluczyć, że faktycznie tak jest: że zwariowała. A on robi to, co w takiej sytuacji powinien robić.

Edmund siada, wyjmując z teczki jakieś papiery.

– Co to jest? – pyta Helene, kiedy już nie daje rady dłużej milczeć.

– Nie byłem pewien, czy powinienem ci to pokazać – mówi Edmund.

– Co to jest? – powtarza Helene.

Sięga po dokumenty, ale Edmund cofa rękę. Ma zacięty wyraz twarzy. To musi być coś ważnego.

– Chcę, żebyś wiedziała, że możesz mi ufać. Robię wszystko, żebyś poczuła się lepiej.

W końcu podaje jej papiery. Helene spogląda na nie i widzi jego imię: Joachim. Jej serce przyspiesza. Mruży oczy, próbuje się skupić. Litery tańczą, nie rozumie, o co chodzi.

– Szantażuje nas od chwili twojego powrotu do domu. Zażądał pieniędzy za milczenie, za to, że nie sprzeda prasie twojej historii – mówi Edmund. – Przykro mi, ale tak to wygląda.

Jego słowa docierają do niej z daleka. Umowa. Joachim podpisał umowę. Tyle zrozumiała. Podpisał całe mnóstwo słów, które tak naprawdę znaczą, że wszystko, co było między nimi, nigdy się nie zdarzyło. Patrzy na kwotę. Jest ogromna. Milion koron. Przyjął pieniądze od firmy, która należy do niej, żeby wyrzucić ją z pamięci. Helene czuje dłoń Edmunda na swojej ręce. Jak mógł? Joachim, którego знаła, nigdy nie sprzedałby ich historii, nigdy by nikogo nie szantażował.

– Bardzo mi przykro, Helene, ale musisz zrozumieć, że jestem jedyną osobą, której możesz zaufać.

Helene odwraca się powoli i patrzy na męża. Swojego męża. Chciałaby przyznać mu rację, lecz nie jest w stanie. Dlaczego? Dlaczego nie może mu zaufać? Po policzkach płyną jej łzy, zimne łzy. Edmund ociera je, czuje dotyk jego palców. Pozwala mu na to, siedzi cicho, oddycha. Powoli jej oddech się uspokaja, wrażenie, że jest gdzieś poza światem znika. Rzeczywistość powraca. Siedzi na łóżku. Na łóżku w szpitalu. Jest w szpitalu. Joachim ją zdradził, zdradził ich miłość. Tak wygląda rzeczywistość. Ale... Przypomina sobie zdjęcie na ścianie w gabinecie. To nie było przywidzenie. Wie, co widziała.

– Zdjęcie – mówi z lekkim wahaniem.

– Jakie zdjęcie? – Edmund jest wyraźnie poirytowany.

– W gabinecie. Ktoś podmienił zdjęcia – mówi Helene cicho, choć już bez wahania.

– Posłuchaj. – Edmund bierze jej dłoń w swoje ręce, patrzy jej w oczy. – To zdjęcie nie istnieje, nigdy nie było statku o takiej nazwie. „Hirsch” istnieje tylko w twojej głowie. To nie twoja wina, po tym, co się stało, jest to całkowicie zrozumiałe. Właśnie dlatego tu jesteś. Dzwoniliśmy do Rosenberga. Będzie tu jutro. Był w Stanach, ale już wrócił. Pomoże ci. To jest prywatny szpital, korzystają z niego wszyscy nasi najważniejsi pracownicy. Jestem w zarządzie szpitala, poza tym mamy tu największe udziały. – Uśmiecha się uspokajająco. – Lekarze zrobią dla ciebie wszystko. Nikt nie będzie wywierał na tobie presji, nie czeka cię tu nic nieprzyjemnego. Chodzi o to, żebyś jak najszybciej wróciła do zdrowia. Dzieci będą mogły cię odwiedzać – dodaje i klepie ją po ręce.

Hirsch.

Edmund powiedział Hirsch. A przecież ona nie wspomniała o nazwie statku. Ani teraz, w szpitalu, ani wcześniej w gabinecie. Jest tego pewna. I znów powraca wrażenie, które dręczy ją już od jakiegoś czasu. Coś tu jest nie w porządku. Teraz to wie.

Zgodnie z umową Joachim czeka w podziemnym parkingu, ściskając w ręce torbę. Dyskretną, czarną torbę sportową, którą kilka godzin wcześniej dostarczył mu adwokat Söderbergów. Bez zbędnych słów podpisał umowę i wziął pieniądze. Nienawidzi siebie za to, ale tłumaczy sobie, że musiał to zrobić. Nie opíše historii, jeśli jej nie pozna. Tylko że właśnie zobowiązał się, że nigdy jej nie opíše. Dylemat niemożliwy do rozstrzygnięcia.

Zaczyna się niecierpliwić. Robi kilka kroków, które odbijają się głuchym echem od betonu. Nasłuchuje. Czyżby zbliżał się jakiś samochód? Nie, w uszach ma tylko pogardliwy ton Edmunda, kiedy Joachim zadzwonił i powiedział, że zgadza się przyjąć jego propozycję, ale pod jednym warunkiem: dwieście pięćdziesiąt tysięcy otrzyma w gotówce, pozostała kwota zostanie przelana na jego konto.

Słyszy trzaśnięcie drzwiami auta. To już? Mija go zwyczajnie wyglądający czerwony samochód, za kierownicą siedzi kobieta, nie widzi go. Joachim czeka dopiero dziesięć minut, które wydają mu się wiecznością. Ma sucho w gardle, mokre plamy pod pachami, mimo że tu, na dole, w przeciwieństwie do ciepłego wieczoru na zewnątrz, powietrze jest chłodne i ostre. Zbliża się kolejny samochód, tym razem większy. Wyjeżdża zza rogu, biała furgonetka z przyciemnianymi szybami. Zatrzymuje się kawałek od niego, kierowca włącza długie światła, oślepiają go.

Na przednim siedzeniu dostrzega dwóch mężczyzn. Jeden z nich opuszcza szybę.

– Odwróć się! Wyłącz telefon i stań twarzą do ściany. Nie ruszaj się! – krzyczy mężczyzna.

Po akcencie słyhać, że pochodzi z Kopenhagi. Wszystko zostało dokładnie przemyślane. Joachim nawet przez moment nie widzi mężczyzn, nie widzi też tablic rejestracyjnych furgonetki.

Pozostaje mu tylko wykonywać polecenia. Odwraca się, ściska mocniej teczkę. Słyszy, jak otwierają się drzwi samochodu, po chwili rozlegają się kroki. Drugie drzwi również się otwierają, więcej kroków, silnik cały czas pracuje, Joachim słyszy, jak rozsuwają się boczne drzwi, kroki się zbliżają. Odwraca głowę, tylko trochę, chce zobaczyć, co się dzieje.

– Nie ruszaj się. – Jeden z mężczyzn przywołuje go do porządku, podchodzi bliżej. – Wyłączyłeś komórkę? – pyta. Sięga do kieszeni Joachima, wyjmując komórkę, sprawdza ją.

Ktoś naciąga mu na głowę worek, szorstki materiał drapie go w czoło i w nos, ogarnia go ciemność. Instynktownie podnosi ręce, chce zdjąć worek i wtedy pada cios. Ktoś uderza go w prawą rękę, tę, w której trzyma torbę. Krzyczy z bólu.

– Chyba nie chcesz, żeby wszystko się wydało? – ostrzega go mężczyzna.

Ktoś wykręca mu ręce na plecach, ostra metalowa krawędź wrzyna się w nadgarstki. Kajdanki. Założyli mu kajdanki.

– W porządku – mówi mężczyzna i popycha go.

Joachim chwieje się, uderza łydkami o stopień furgonetki, znów ktoś go popycha, traci równowagę i wpada do auta głową do przodu. Ktoś podnosi mu nogi, zatrzaskuje drzwi. Po chwili furgonetka rusza, jedzie do góry podjazdem garażu.

Przez dłuższy czas Joachim leży bez ruchu. Sam się w to wszystko wpakował, wręcz za to zapłacił. Przesuwa się nieco, zmienia pozycję na wygodniejszą, opiera o coś głowę. Ręce ma nadal skute kajdankami na plecach, bolą go. Od czasu do czasu próbuje nimi poruszać, żeby pobudzić krążenie. Cały czas nasłuchuje, ale dociera do niego jedynie dźwięk silnika. Nagle furgonetka przyspiesza, wyprzedza inne pojazdy. Jadą autostradą? Dwaj mężczyźni nie rozmawiają ze sobą. A może kabina kierowcy jest tak dobrze odizolowana, że nie docierają do niego żadne dźwięki?

– Jak długo będziemy tak jechać?! – woła.

Żadnej odpowiedzi. Trzęsienie furgonetki powoduje ból pleców. Nagle samochód zwalnia. Skręca? Ma wrażenie, że są na rondzie. Potem znów przyspiesza, teraz jadą prosto. Autostradą. Po dłuższej chwili furgonetka ponownie zwalnia, wjeżdżają na rondo. Za trzecim razem, kiedy sytuacja się powtarza, Joachim zaczyna się zastanawiać, czy jeżdżą w tę i z powrotem tym samym odcinkiem drogi. Jadą prosto, a potem zawracają, żeby go zmylić.

– Jest tam kto?! – woła. – Jak długo będziemy tak jechać?

I znów żadnej odpowiedzi. Joachim otwiera i zamyka oczy, ale w dusznej ciemności nie ma to żadnego znaczenia. Przez głowę przelatuje mu pytanie, po co to wszystko robi. Bo to moja ostatnia szansa – odpowiada sam sobie. Inaczej nigdy nie dowie się prawdy o Louise Andersen. Prawdy o Helene, kobiecie, którą utracił, a której twarz ciągle ma przed oczami. Widzi delikatną skórę jej powiek, sieć małych żyłek, delikatne ruchy oczu pod powiekami, sygnały wysyłane alfabetem Morse'a. Musi się dowiedzieć, co się stało z Louise. Kiedy się dowie, wtedy odpuści. Obiecuje to sobie.

*

Czyżby zasnął? Drzwi otwierają się, czyjeś ręce chwytają go i wyciągają z furgonetki. Drżą mu nogi. Ktoś go prowadzi, Joachim chwieje się, czuje pod

stopami nierówną, miękką ziemię. Mężczyźni muszą trzymać go pod ręce z obu stron. Zaczerpuje powietrza. Czuje świeży, ostry zapach. Drzewa iglaste? Sól? Są nad morzem czy w lesie? W lesie nad morzem? Jego stopy dotykają czegoś twardego.

– Unieś stopę – odzywa się jeden z mężczyzn.

– Musisz zejść po schodach – dodaje drugi.

Joachim unosi wysoko stopę, dotyka twardej powierzchni, unosi drugą, znajduje stopień, schodzi. Podłoga. Piwnica, zapach nie pozostawia żadnych wątpliwości: surowy beton. Ktoś rozpiną kajdanki, zdejmując mu z głowy worek. Ktoś inny zamyka za nim drzwi, przekręca klucz w zamku. Joachim odwraca się. Mężczyźni wyszli, jest sam. Ściany, sufit, posadzka, wszystko z surowego betonu, powietrze jest wilgotne, czuje chłód. Wzdłuż ścian stoją duże metalowe świeczniki, w których palą się świece. Joachim widzi ich drżące płomienie. Z sufitu zwisają haki, duże, ciężkie, takie jak w starych rzeźniach. Obok stalowy stół przygotowany do operacji, na nim narzędzia, najróżniejsze. Szybko odwraca głowę, ale kątem oka widzi zaschnięte ślady krwi. Plamy na stole, na podłodze. Dużo krwi. Specjalnie nikt ich nie usunął? Klienci sobie tego życzą? Ściana w głębi wygląda jak z gotyckiej powieści. Haki sprawiają wrażenie bardzo starych, jakby pochodziły z zarania dziejów, gdy Bóg dolał nienawiść do kobiet do swojego tygła. I stworzył uczucie tak silne, że nie do pokonania. Joachim widział to ostatnio wiele razy: u Gorma, u klientów klubu nocnego i u Miss Daisy. Głęboko zakorzenioną, irracjonalną nienawiść do kobiet. Nagle przypomina sobie Ellen. I kobietę z wydawnictwa, Charlotte Lund. Dlaczego właśnie one przychodzą mu do głowy? Dlatego, że budzą w nim uczucia, z których nie jest dumny. Do których nie chce się przyznać.

Na krótkiej ścianie w głębi pomieszczenia stoi wąski stolik nakryty ciemnoczerwonym materiałem sięgającym posadzki. Nad stolikiem wisi duże, szerokie lustro, wypukłe niczym oko. Lustro weneckie. Widywał już takie, ale nigdy w takich rozmiarach. Ogromne oko. Podchodzi bliżej, unika własnego odbicia, jego uwagę przykuwają metalowe pojemniki na stole. Na wierzchu mają dziwny wyszukany wzór. Otwiera jeden z nich. Szczypce. W drugim znajduje igły różnej długości. W kącie obok stolika stoi parawan wysokości człowieka. Podobnie jak świeczniki jest zrobiony z metalu. Zagląda za niego i widzi wieszak, a na nim najróżniejsze kostiumy. Płaszcz, maski. Wszystko w ciemnych kolorach, z grubych, błyszczących materiałów. Przesuwa palcami po czarnym kostiumie, obcisłym, chyba dla kobiety, o ile może się zorientować.

Nagle słyszy, że otwierają się drzwi, odwraca się. Jest taka młoda. Młoda i bardzo szczupła. Umalowana tak samo jak Mindy, dziewczyna z burdelu. Biały puder, wyraźnie podkreślone oczy i czerwone usta. Ale nie ma nic z urody Mindy. Patrzy na jej skąpy stanik i stringi. Zbyt luźny pas podtrzymuje siatkowe

pończochy, jest taka szczupła, że być może nie ma podwiązek w jej rozmiarze. Podchodzi do niego, chwieje się na wysokich szpilkach. W jej ruchach jest coś dziwnego, jakby poruszała się wbrew sobie. Joachim zagryza zęby, prostuje się, wie, że to jego jedyna szansa, żeby się czegoś dowiedzieć. Rusza w jej stronę, dziewczyna zatrzymuje się, ma powiększone źrenice. A co on sobie wyobrażał? Że wejdzie kobieta, która od razu mu wszystko powie? Patrzy na odurzoną dziewczynę, podchodzi i obejmuje ją, ściska mocno. Całuje w czoło. Dziewczyna stoi z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, nie protestuje. Nagle Joachim doznaje dziwnego uczucia, które sprawia, że robi krok do tyłu, dziewczyna zdezorientowana odwraca głowę, z pewnym opóźnieniem stara się śledzić jego ruchy. Joachim czuje wzbierającą złość, gorycz i bezsilność. Wie, że dziewczyna może być jego. Zrobi wszystko, co jej każe. Tak ma przykazane. Joachim odwraca się, ma przyspieszony oddech. Nie rozumie, co się z nim dzieje. Podchodzi do wieszaka w rogu, sięga po czarny kostium. Zamyka oczy. Widzi kobiece ciało przybite do ściany, nogi w rozkroku, wykrzywiona twarz, usta otwarte, jęki bólu... A obok on. Jaką rolę odgrywa w tej scenie? W swojej wyobraźni. Co robi? Otwiera oczy, zmusza się do spojrzenia na swoje odbicie w wypukłym oku dużego lustra. Pomarszczona twarz z lekkim zarostem i resztkami letniej opalenizny. Ciemne worki pod oczami. Włosy sterczące w różne strony. I oczy. To spojrzenie.

Helene czeka, aż nastanie noc. Dopiero wtedy zamierza przystąpić do realizacji swojego planu. Planu to może za dużo powiedziane, ale tak czy inaczej zamierza opuścić klinikę i spróbować dotrzeć do prawdy. Kluczyki do samochodu leżą w jej torebce. Spieszy się, jednak zanim wyjdzie, musi zdobyć pewne informacje. Edmund umieścił ją w szpitalu, powiedział lekarzom, że Helene może targnąć się na swoje życie, że zmyśla różne historie, nazwiska. Hirsch. Ale powiedział jeszcze coś. Że ze szpitala od początku jego istnienia korzystają też pracownicy firmy. To podsunęło jej pewien pomysł. Tak narodził się jej plan.

Cały dzień otaczali ją lekarze. I pielęgniarki, miłe, przyjazne twarze, zatroskane słowa. Pilnują mnie, myśli Helene. Dlatego w pokoju ciągle ktoś jest. Chcą mieć pewność, że nie zniknie. Twarze zlewają się jej, ale jedną zapamiętuje. Twarz Johana Iversena, młodego lekarza o wyrazistych rysach. Na okrągło wypytywał ją o objawy fizyczne poprzedzające załamanie. Chciał, żeby możliwie najdokładniej opisała mu, co wtedy czuła. Rozmowy przedłużały się, Helene nie mogła się skupić, a lekarz miał problem z komputerem, który bez przerwy się zawieszał.

– Przepraszam. Naprawdę, bardzo panią przepraszam – powtarzał, kiedy komputer zawiesił się po raz czwarty. Na szyi wystąpiły mu czerwone plamy.

W końcu zawołał pielęgniarkę i poprosił ją o pomoc.

Kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo do Helene. Wiadomo, mężczyźni i technika. Helene, trochę nieobecna, odwzajemniła uśmiech. I wtedy w jej głowie zrodził się plan. Rodzina Söderbergów korzysta ze szpitala od wielu lat. To pierwszy prywatny szpital w kraju, co ją nie dziwi. Zrozumiała już, że tu, w zachodniej Danii, ludzie niezbyt cenią pomysły, które powstały na wschodzie kraju, pomysły takie, jak na przykład publiczne szpitale. Dawniej szpital był sanatorium dla osób cierpiących „na nerwy”, teraz jest własnością Söderberg Shipping, a w jego zarządzie zasiada Edmund. W szpitalu wszystko jest odnotowywane. I niczego się nie usuwa. W całym tym chaosie jej mózg próbuje wysnuć własne wnioski. Helene zastanawia się, co wie. Wie, że tuż przed swoim zniknięciem była w hotelu i pytała o Hirscha. Martin jej to powiedział. Wie też, że „Hirsch” to nazwa jednego ze statków należących do firmy. Statki nie mieszkają w hotelach, w hotelach mieszkają ludzie, to wie na pewno. A więc statek został nazwany na czyjaś cześć. Człowieka, którego tożsamość Edmund próbuje przed nią ukryć. Stare zdjęcie to niedopatrzienie. Ktoś, kto powiesił je na ścianie w gabinecie, nie zauważył tego, co dostrzegła ona: ledwie widoczne litery na starej barce,

z lewej strony, tuż nad powierzchnią wody. Ale zdjęcie zawieszono z powodu jej ojca, jest na nim, taki młody, tryska energią. Może Hirsch przebywał kiedyś w tym szpitalu? Skoro wszyscy zatrudnieni mają do niego dostęp? A przecież wszyscy chorują. Jeśli tu był, to po jego pobycie musiał zostać jakiś ślad. Karta choroby.

Czy nie za dużo sobie wyobraża? Być może. Chociaż w momencie, kiedy snuje te myśli, wydają się jej realne. Dlatego postanawia natychmiast przystąpić do działania: postanawia poznać login lekarza, by móc wejść do kartoteki i odszukać Hirscha.

Pielęgniarka stoi obok lekarza, oboje są skupieni na monitorze. Mijają kolejne minuty, komputer drwi sobie z nich. Helene wychyla się do przodu, stara się być cicho. Dostrzega login użytkownika: dwie pierwsze litery imienia i nazwiska lekarza. Johan Iversen, JOIV, łatwe do zapamiętania. Gorzej z hasłem. Postanawia zaryzykować, wychyla się bardziej i odczytuje cyfry: pięć pięć zero trzy dziewięć.

*

Nastaje noc. Na zewnątrz jest ciemno, w środku budynku panuje cisza. Helene leży i czeka, aż pielęgniarka skończy obchód. Słyszy kroki na korytarzu, pielęgniarki chodzą w białych drewniakach. Drzwi się otwierają, widzi czyjąś głowę. Zamyka oczy, oddycha głęboko, miarowo. Drzwi zamykają się, z korytarza znów dobiega ją odgłos kroków. Szybko wstaje z łóżka, podchodzi do drzwi. Otwiera je ostrożnie, wychodzi na ciemny korytarz oświetlony tylko słabą nocną lampą. Podchodzi do pokoju, którego drzwi są uchylone. Tutaj też pali się jedynie słaba żarówka. Pośrodku stołu stoi komputer. Helene wciska klawisz i na ekranie natychmiast pojawia się żądanie hasła. Czuje, że drżą jej ręce. Nazwa użytkownika: JOIV. Hasło: 55039. Zapamiętała. Oczywiście, cały dzień je sobie powtarzała. Tylko czy hasło okaże się prawidłowe? Na ekranie pojawia się kółeczko, kręci się. Helene podnosi mimowolnie rękę, dotyka włosów, owija kosmyk wokół palca, pociąga za niego i dopiero kiedy czuje ból, uświadamia sobie, co robi. W końcu kółko przestaje się kręcić. Helene wstrzymuje oddech. Na monitorze pojawia się nowy obraz. Biała powierzchnia, mnóstwo pól, ikonek, linków.

Nagle jej uwagę przykuwają dźwięki na zewnątrz. Kroki? Głosy? Drżą jej palce, ledwie jest w stanie trafić w klawisze. Hirsch. Wstukuje nazwę. Wciska „szukaj” i na ekranie znów pojawia się niebieskie kółeczko. Kręci się. Potem zatrzymuje. Czas staje w miejscu. Helene czuje się zawieszona w próżni, całą uwagę skupia na ekranie. Czeka na odpowiedź, która być może przybliży ją do rozwiązania zagadki. W końcu coś się dzieje, pojawia się tekst: „Brak wyników wyszukiwania”. Jest ogromnie zawiedziona. Zastanawia się, czy może zrobiła jakiś błąd w nazwisku? Ma przed oczyma maskę do nurkowania Martina i wypisane na niej palcami słowo. Znów spogląda na ekran. Trudno jej uwierzyć, że to wszystko

po prostu sobie wymyśliła. Kroki na korytarzu zbliżają się. Obchód się skończył. Musi szybko wracać do pokoju. Wstaje, odwraca się w stronę drzwi. Ostatni raz spogląda na monitor. Kilka słów przyciąga jej uwagę. Jakiś zapis dotyczący kart pacjentów sprzed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Zerka ponownie. Słyszy kroki, ale mimo to siada, wciska klawisz, na ekranie pojawia się żądanie loginu. Szybko wstukuje nazwę użytkownika i hasło, zagryza wargi, kiedy niebieskie kółeczko znów się kręci. Drzwi się otwierają.

– Co pani tu robi? – Słyszy poirytowany głos.

Helene wpatruje się w ekran, chce jeszcze raz zobaczyć komunikat.

– To niesłychane, zaraz wezwę ochronę – mówi pielęgniarka i wciska czerwony guzik w ścianie.

Helene obserwuje ją kątem oka, skupiona na ekranie. Czyta informację: „Karty pacjentów sprzed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku nie zostały uwzględnione w systemie, znajdują się w archiwum papierowym”. Bierze głęboki wdech, patrzy na pielęgniarkę. Kobieta coś do niej mówi, ale ona jej nie słyszy. Jest pochłonięta własnymi myślami. To jeszcze nie koniec. Jeszcze ma szansę, musi tylko znaleźć archiwum.

Joachim wpatruje się lustro, zdesperowany próbuje rozpoznać siebie w mężczyźnie po drugiej stronie. Czy tak wygląda człowiek, kiedy pozbawi się go wszystkiego, co dobre? A może zawsze taki był? Znowu myśli o Louise. Promiennej, pełnej energii. Gdyby go teraz zobaczyła. Przestraszyłaby się? Tak, jak ta dziewczyna, która ledwie trzyma się na nogach. Na rękach ma wyraźne blizny, pewnie ślady po pejczu, który wisi na ścianie. A może ktoś ją pociął? Joachim wie, że ma tylko tę jedną jedyną szansę. Musi ją wykorzystać, przynajmniej spróbować. Bierze rękę młodej kobiety i szepcze jej do ucha:

– Znasz dziewczynę, która ma na imię Louise? Zniknęła. Wiesz, co się z nią stało?

Błysk zdziwienia w jej oczach świadczy o tym, że przynajmniej go zrozumiała. Zerka na coś za nim. Joachim się odwraca. Próbuje dociec, na co dziewczyna patrzy. Widzi to samo, co wcześniej. Ścianę, ekran, za nim wieszak z kostiumami i stół przypominający niewielki ołtarz: czerwony obrus, lustro. Znowu odwraca się do dziewczyny.

– Louise Andersen – powtarza, tym razem nieco głośniej. – Znasz ją? Wiesz, gdzie jest?

Dziewczyna ponownie ucieka wzrokiem. I nagle Joachim wie, a raczej domyśla się, o co jej chodzi. Ktoś ich obserwuje. Lustro. Odwraca się powoli, patrzy na nie. Tam, po drugiej stronie, ktoś jest. Widzi wszystko. Widzi, że Joachim nie zachowuje się tak, jak powinien. Co ma robić? Chwycić pejcz i bić dziewczynę? Ma ją związać i pociąć skalpelem do krwi? Popycha ją w stronę ściany w głębi pomieszczenia, ściąga z niej stringi. Bierze cienką czarną linkę i okręca ją wokół jej nadgarstków. Mocno, ale ona nie protestuje. Joachim chwytając ciężkie żelazne kółko, takie, jakie czasem widuje się na nabrzeżu, albo do których przywiązuje się konie w stajni. W metalu jest wyryta nazwa firmy, Fabryka Żelaza Amager. Dawna kopenhaska odlewnia. Przeciąga sznur przez kółko, przywiązuje do niego rękę dziewczyny. Najpierw jedną, potem drugą. Stoi przed nim niczym figura Jezusa, gotowa się poświęcić za jego grzechy. Joachim patrzy na jej łono. Jest gładko ogolona, żadnych włosów, tylko miękka szparka. Rzut oka na lustro. Są tam, wie o tym. Siedzą i się onanizują? Czekają, aż zatłucze ją na śmierć, czy w najlepszym razie zostawi półżywą.

– Louise Andersen – szepcze Joachim.

Zdejmuje ze ściany pejcz. Zastanawia się. Chociaż raz powinien ją uderzyć, żeby uwiarygodnić się w oczach tych za lustrem, tych, którym zapłacił dwieście

pięćdziesiąt tysięcy koron. Zamachuje się i nagle widzi przed sobą twarz Ellen, pejcz świszczy w zimnym piwnicznym powietrzu. Trafia dziewczynę. Krzyk. Musi być bezwzględny. Ellen zawsze mu to powtarzała. Jeśli chce osiągnąć cel, musi być bezwzględny. Zamachuje się ponownie. Tym razem mocniej. W krzyku dziewczyny słyszy echo własnej woli. Zrobił to. Przyciąga do siebie pejcz, ale czuje opór. Końcówka pejcza pozostaje w ciele kobiety, w jej udzie. Ciągnie ponownie, dziewczyna krzyczy głośnie. Wtedy go zauważa. Haczyk, trójzębny haczyk na końcu pejcza. Taki, na jaki łowi się szczupaki, żeby się nie wyrwały. Krew. Spływa po udzie dziewczyny. Podchodzi do niej, zdesperowany próbuje wyjąć haczyk z ciała, widzi dużą, brzydką ranę.

– Szlag – szepcze.

Jest zszokowany tym, co zrobił. Sparaliżowany smutkiem i cierpieniem dziewczyny. Raz w tygodniu umiera. Do pokoju wchodzi dwaj mężczyźni, ci sami, którzy go tu przywieźli, obaj mają na twarzach czarne kaptury, widać tylko ich oczy.

– Ja nic nie zrobiłam – mówi dziewczyna głośno.

– Nie przejmuj się, to świr – odzywa się jeden z mężczyzn, luzuje sznur, którym dziewczyna ma związane ręce. Joachim stoi i patrzy na nich, bierze głęboki wdech. Może powinien spróbować z nimi porozmawiać?

– Szukam pewnej dziewczyny – zaczyna. W tym momencie dostrzega trzeciego mężczyznę, który za drzwiami przejmuje dziewczynę. Obejmuje ją ramieniem i znika w korytarzu. Jest olbrzymi, ma masywne uda, potężny kark, Joachim słyszy odgłos jego ciężkich kroków. Mężczyźni, którzy nadal są w pokoju, podchodzą do Joachima. Wyglądają groźnie.

– Czego ty chcesz, do cholery?

Joachim wie, że teraz nie ma wyboru. Widzi ich bezwzględne spojrzenia.

– Szukam Louise – mówi, próbując mieć oko na obu. Jeden z nich staje za nim. – To ważne – ciągnie Joachim. Mówi coś o miłości, szuka słów, które mogłyby na nich wpłynąć. – Nie chodzi o was, chodzi o Helene – szepcze i próbuje wytłumaczyć im całą historię. Gdyby tylko udało mu się ich zainteresować, spowodować, żeby go wysłuchali. Przecież dlatego został pisarzem. Żeby wytłumaczyć światu, dlaczego jest taki, jaki jest. Opowiedzieć o swojej przeszłości, o tym, jak nauczyciele się na niego uwzięli, a jego ojciec, wiecznie niezadowolony z syna, miał do niego pretensję, że jest marzycielem. I słusznie, bo Joachim jest marzycielem. Cokolwiek zaczynał, rozmarzał się i niczego nie kończył. Czy to były zadania z matematyki, czy ćwiczenia w laboratorium. Nawet kiedy pomagał ojcu układać drewno w szopie, też rozmyślał. Brał do ręki kawałek drewna i mu się przyglądał, zastanawiając się, ile drzewo miało lat, co przeżyło. Dlatego zaczął pisać. Pisanie stało się bronią marzyciela. To próbuje wytłumaczyć tym dwóm zamaskowanym mężczyznom. Mówi im, że kocha Helene, że ona jest

spełnieniem wszystkich jego marzeń, ale teraz nie wie, co robić.

– Rozumiecie mnie? – szepcze. – Szukam Louise.

Jeden z mężczyzn stoi za nim, drugi przed nim. Nagle czuje kopnięcie. Jeden z nich kopie go w kolano, szybki, wprawny ruch. Joachim ląduje na ziemi, krzyczy, drapie paznokciami posadzkę, jakby w ten sposób chciał nieco zrównoważyć ból.

– Nie masz co jej szukać – mówi jeden z mężczyzn. – A już na pewno nie tu!
– Wykręca Joachimowi ręce, skuwa je kajdankami, mocniej niż poprzednio.

Znów naciągają mu worek na głowę, czuje materiał, który staje się wilgotny od jego oddechu. I czyjąś dłoń na ramieniu, ktoś go ciągnie, stawia na nogi, wyprowadza z pomieszczenia, idzie po schodach, do góry. Podnosi nogi, szuka stopni, ktoś niecierpliwiony popycha go, wali w plecy.

– Szybciej.

Joachim potyka się, uderza kolanem o stopień. Krawędź przecina materiał, czuje krew na łydce. Oddycha szybko, nie może się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. Ktoś znów chwyta go za ramię, podnosi go, stawia na nogi. Nagle są już na dworze. Zapach świerków, słyszy, jak wiatr targa gałęziami. Popychają go niecierpliwie, ma iść dalej, przed siebie. Dźwięk otwieranych drzwi furgonetki. Ktoś wrzuca go do środka. Teraz ma już pewność. Wie, że najprawdopodobniej umrze. Dla tych ludzi życie nie ma żadnej wartości – niewykluczone, że jego zaraz się skończy. Jedyne, o czym marzy, to zobaczyć Helene. Ten ostatni raz.

Może ufać tylko sobie. Nie Edmundowi, nie Joachimowi, który ją sprzedał, sprzedał ich przeszłość za milion koron. Musi być silna. Spogląda na otaczający ją personel szpitala. Ostatni pojawia się lekarz. Wyraz jego twarzy wskazuje, że nie ma ochoty tu być. Spogląda w bok, kiedy pielęgniarka zdaje mu relację. Opowiada, jak znalazła Helene. Skarży się, że nie chciała jej słuchać. Helene natomiast cały czas siedzi na krześle przy biurku i obraca się to w jedną, to w drugą stronę.

– Chciałam tylko sprawdzić pocztę – tłumaczy się.

Pielęgniarka zerka na lekarza, to on jest tu autorytetem. Pora, żeby zabrał głos.

– Takie rzeczy oczywiście nie mogą się zdarzać – odzywa się lekarz. – Karty pacjentów są tajne.

Helene kiwa głową. Jej myśli w tej chwili skupiają się na archiwum. Musi się dowiedzieć, że istnieje karta Hirscha. Czy Hirsch rzeczywiście jeszcze gdzieś istnieje, poza jej głową.

– Teraz musi pani wrócić do łóżka – ciągnie lekarz. – Jutro porozmawiam z pani mężem. Tak będzie najlepiej, prawda? – zwraca się do Helene. A ona uświadamia sobie, że nie jest to pytanie retoryczne. On naprawdę ją o to pyta. Po chwili zwraca się do pielęgniarki, prosi o odprowadzenie Helene do sali, po czym mówi do strażnika:

– Może pan już zejść do recepcji.

Helene wstaje z ociąganiem. Widzi, jak ludzie udają się każdy w swoim kierunku. Strażnik kieruje się do drzwi, pielęgniarka zmierza w jej stronę, wyciąga do niej rękę, ma ściągniętą twarz. Helene patrzy na lekarza. Ten podchodzi do biurka i powoli, bardzo powoli, wyjmuje rękę z kieszeni i sięga po słuchawkę. Edmund. Zamierza zadzwonić do Edmunda.

– Nie – odzywa się Helene niskim, władczym głosem, który sama ledwie poznaje.

Wszyscy na nią patrzą. A ona zaciska szczęki tak mocno, że czuje ból w skroniach.

– Nie życzę sobie, żeby dzwonił pan do mojego męża.

Lekarz stoi z ręką na słuchawce, widać, że czuje się winny. Jakby zamierzał zrobić coś niedozwolonego i został złapany na gorącym uczynku.

– Eee... – zaczyna i urywa, na jego szyi znów pojawiają się czerwone plamy.

Wyraz twarzy pielęgniarki też się zmienił. A może od początku tak wyglądała? Nie, coś się w niej zmieniło, podobnie jak w twarzach lekarza

i strażnika. Helene ma wrażenie, że się jej boją. Tak, jest tego pewna. Dostrzega strach w ich oczach, słyszy nerwowość w ich głosach. Próbuje spojrzeć na siebie z zewnątrz. Pani Söderberg. Helene Söderberg, jedyna spadkobierczyni wielkiego imperium, jednego z największych w kraju. Jedna z najpotężniejszych kobiet w Danii. Ma większościowy udział w szpitalu. Oni należą do niej, ma nad nimi władzę, nad ich pracą, ich przyszłością. Wystarczy pstryknięcie palcami i po nich. Pewnie dlatego mają strach w oczach. Dlatego się jej boją.

– Wiem, kim jestem – mówi cicho.

Widzi przed sobą Helene, tę Helene z nagrania, która energicznym krokiem wkracza do hotelu. Zimna, silna, twarda. Ta Helene nie musi mówić głośno. Wystarczy szept, a i tak wszyscy usłyszą.

– Wiecie, że w każdej chwili mogę kazać was zwolnić. Jeśli ktokolwiek dowie się o tym, co tu się wydarzyło, wszystkiemu zaprzeczę. Powiem, że źle się poczułam, że byłam otumaniona lekami, oskarżę was o złą opiekę. Możecie być pewni, że to mnie uwierzą. – Helene urywa, robi teatralną przerwę. Patrzy im w oczy, każdemu po kolei. Chce, żeby poczuli jej władzę. I nagle odkrywa, że lubi to. Lubi, kiedy ludzie jej słuchają.

– A teraz zejdziemy do archiwum – oznajmia.

*

Lekarz idzie pierwszy, wskazuje drogę. Schodzą do piwnicy. W pustym korytarzu zapala się światło, wściekle białe neonówki oświetlają blade, zacięte twarze ludzi, którzy zwartą grupą zmiierzają do końca korytarza. Nagle lekarz zatrzymuje się.

– Masz przepustkę? – pyta pielęgniarkę.

Pielęgniarka przesuwając kartę przez czytnik, wstukuje kod. Zamek rozświetla się na zielono, słychać ciche kliknięcie. Helene odsuwa ją na bok, otwiera pośpiesznie drzwi i wchodzi do środka. Archiwum. Nareszcie. Napięcie w piersiach niemal zagłusza ból głowy. Gdyby chociaż mogła rozluźnić szczęki, ale nie potrafi, ma szczękościsk.

Pielęgniarka i strażnik stają pod ścianą. Wyglądają jak zakładnicy, zachowują się, jakby miała broń. Helene odwraca się do lekarza, który sprawia wrażenie najspokojniejszego z całej trójki.

– Potrzebuję karty pacjenta, osoby o nazwisku Hirsch – mówi Helene. Literuje nazwisko.

– Z którego roku? – pyta lekarz.

– Nie wiem.

– Mężczyzna czy kobieta?

Helene wzrusza ramionami, patrzy na długie rzędy stalowych półek, od podłogi do sufitu, na piętrzące się dokumenty, teczka obok teczki. Rozmyśla, co by

się stało, gdyby powiedziała, że nawet nie ma pewności, czy taka karta w ogóle istnieje. Że być może to wszystko jest tylko wytworem jej wyobraźni. Zagryza zęby. Hirsch istnieje. Musi istnieć, bo inaczej... inaczej... No właśnie, co? Pytanie odbija się echem od pustki w jej głowie. Bo jeśli nie istnieje, to będzie musiała uznać, że rzeczywiście postradła zmysły. Lekarz rusza zdecydowanym krokiem wzdłuż regałów, Helene idzie za nim, odwraca się, pielęgniarka i strażnik nadal stoją przy ścianie. Jednym spojrzeniem upewnia się, że nie zamierzają interweniować. Lekarz zatrzymuje się przed regałem, znajduje właściwą półkę, zaczyna ją przeszukiwać. Idzie mu to powoli, sprawdza każdą teczkę, przegląda wszystkie dokładnie. Helene bierze jedno z pudeł i robi to samo, po kolei przegląda wszystkie tecki, z kartami zaczynającymi się na litery „Hi”. Mozolnie odczytuje bazygroły opisujące najróżniejsze objawy chorobowe. W jednych teczkach znajdują się pojedyncze karty, inne tecki są grube, pełne kart z opisami przypadków syfilisu i gruźlicy, chorób typowych dla poprzedniego stulecia. Inne czasy. Helene przewraca je niecierpliwie, chociaż uważnie, wie, że nie może żadnej przeoczyć, czasem wraca do poprzednich. Hicks, Arne. Do tej karty wraca kilkakrotnie, zastanawia się, czy dobrze odczytała zapisane niewyraźnym pismem nazwisko. Może na karcie jest napisane Hirsch, nie Hicks? Sprawdza ponownie. Może rzeczywiście coś źle odczytała. Znowu sprawdza. Nie, Arne Hicks cierpiał na białaczkę, zmarł w latach czterdziestych. Biedak, wszystko poszło bardzo szybko. Helene szuka dalej, dotyka palcami cienkich kart, zacina się, zlizuje z palca kroplę krwi, wraca do papierów. Jest sfrustrowana, ma ochotę się rozpłakać. Jest tak blisko. Tak blisko, ale ciągle nie wie, czy na właściwym tropie. Z każdą kartą, na której nie widnieje nazwisko Hirsch, jej serce przyśpiesza. O jedną szansę mniej.

– Jest – odzywa się nagle lekarz. Zmęczony, poirytowany, upokorzony. Podaje jej cienką teczkę.

Helene upuszcza teczkę, którą akurat trzyma w ręce, papiery upadają na podłogę, rozsypują się. Niemal wyrzywa lekarzowi tekturową teczkę. Czyta napis na pierwszej stronie. Hirsch, William. Jej tętno przyspiesza. Otwiera teczkę. Czyta kartę pacjenta. Nareszcie dowie się, kim był Hirsch. Na górze widnieje rok urodzenia: 1918 rok. Obok adnotacja: Żyd. Trudno uwierzyć, że wtedy zapisywano takie rzeczy. Przyjęty do szpitala w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, zapalenie wyrostka robaczkowego, operacja przebiegła pomyślnie, pacjent został wypisany do domu. To wszystko. Helene przerzuca kolejne karty z danymi osobowymi. William Hirsch miał żonę. Rosę Hirsch. Czy coś jej to mówi? Zastanawia się i nagle na samym dole zauważa dopisek: Dyrektor firmy Söderberg-Hirsch Shipping. Söderberg-Hirsch Shipping? Patrzy z niedowierzaniem, czyta jeszcze raz.

– Znajdźcie teczkę Rosy Hirsch – nakazuje lekarzowi, który kuca przed nią i zbiera rozsypane papiery.

Helene nie odrywa wzroku od teczki, ale słyszy, że lekarz wykonuje jej polecenie. Po chwili podaje jej teczkę. Rosa Hirsch. Helene bierze dokumenty do ręki i przegląda. Rosa Hirsch urodziła córkę. Potem przechodziła zapalenie płuc. To wszystko. Helene trzyma w ręce dwie karty, patrzy jak zahipnotyzowana na słowa: Söderberg-Hirsch Shipping. Jak to możliwe? Dlaczego nic o tym nie wie? Edmund tyle jej mówił o firmie, chwalił jej ojca Aksela, który po wojnie zbudował firmę niemal z niczego, opowiadał historię jego i firmy. I nigdy nie wspominał o Williamie Hirschu, drugim właścicielu. Dlaczego? Po co ta tajemnica?

Lekarz stoi i czeka. Helene odwraca się w stronę dwojga ludzi pod ścianą. Wszyscy wykonują jej polecenia, ale ona wie, że to w każdej chwili może się zmienić. Zadzwoń do Edmunda. Odurzają ją lekami. Wie, że musi działać szybko. Musi opuścić to miejsce. To oczywiste. Tutaj wpływy Edmunda są zbyt duże. Musi znaleźć kogoś, kto nie pracuje już w firmie, ale może coś wiedzieć. I nagle kogoś sobie przypomina. Starszego pana. Jak on się nazywa? Szwedzkie nazwisko... Gudmundson! Członek honorowy, kiepsko słyszy, nie, ma kiepską pamięć, świetnie, więc jest nas dwoje, myśli Helene. Czy minus i minus daje plus?

– Muszę stąd wyjść – oznajmia lekarzowi. Przypomina sobie, że trzeba jeszcze odzyskać ubranie i torebkę, w której są kluczyki do samochodu.

Końska twarz lekarza zmieniła wyraz. Zniknęła nerwowość i czerwone plamy na szyi. Przygląda się jej, mruży oczy. Próbuje zrozumieć, co tu się dzieje.

– W jaki sposób mogę najszybciej niezauważona opuścić budynek? – pyta go Helene.

Budzi go ból. Ale ból stał się już jego przyjacielem, nie wyobraża sobie życia bez bólu. Natomiast ma nadzieję, że odzyska wzrok. Próbuje się podnieść. Zastanawia się, jak długo tu leży? Godzinę? Dzień? Rok? W furgonetce był przekonany, że go zabiją. Jazda trwała długo, jednak w końcu się zatrzymali. Nie musieli się trudzić i jeździć tyle czasu w kółko, Joachim był tak dezorientowany, że bardziej już chyba nie można. Wyciągnęli go z samochodu. Jeden z nich wyszeptał mu do ucha:

– Wiemy, kim jesteś, Joachimie.

Rzucili go na ziemię. Jak rzuca się skórkę banana z jadącego samochodu. Żadnych uczuć, żadnych wyrzutów sumienia. Ciało to surowiec biodegradowalny, więc czym się przejmować. Tak został potraktowany. Pewnego dnia stanie się pożywieniem dla robaków – możemy go spokojnie wyrzucić. A wcześniej jeszcze uderzyć w głowę. Cios w głowę.

– *Fuck.*

Pamięta cios, ten pierwszy, który sprawił, że zgasł jak świeczka, jak bohaterowie komiksu o Tintinie. Przez kilka sekund krzyczał i walczył o życie. Potem dostał chyba kolejny cios, bo nagle odpłynął. I dopiero teraz się obudził.

– *Fuck.*

Zdejmuje worek z głowy. Jest sam. Dokoła ciemno. Noc. Las. Dotyka głowy. Nie czuje pod palcami krwi. Tylko guz w miejscu, gdzie wcześniej uderzył go Gorm. Okazuje się, że czaszka jest w stanie dużo wytrzymać. Gorzej z sercem. Ono nie jest w stanie wytrzymać wiele. Dwie kobiety: jedna kochała go za bardzo, druga za mało, żeby z nim zostać. Boże drogi. Był przekonany, że sobie poradzi, ale nie, serce nie wytrzymuje wiele, co innego czaszka. Gdyby tak mogło być na odwrót, myśli Joachim. Silne serce i słaba czaszka. *Anytime.*

Idzie drogą, kierując się ku skrajowi lasu. Nagle dociera do niego, że tak naprawdę nic nie ma. Nie przybliżył się do rozwiązania zagadki, tropy okazały się fałszywe. Nigdy nie znajdzie Louise Andersen, nie opíše jej historii, nie odnajdzie miłości.

*

Dworzec kolejowy w Roskilde. Włącza komórkę, trzyma ją w dłoniach, jakby usiłował wycisnąć z niej resztki mocy, jak Egipcjanki, które wykrcęją bieliznę po praniu w Nilu. Patrzy na ekran. Zostało pięć procent baterii. Nie zamierza się tym przejmować. Wraca do domu. Do domu? Nie ma domu, ma

jedynie materac w mieszkaniu syna Gudrun. Jutro coś wymyśli. Wyjedzie z kraju. Pojedzie do Afryki. Tak zrobi. Popłynie w dół Nilem, z Suez do Kenii. Czy Nil kończy się w Kenii? Nie jest tego pewien. Wykąpie się w brudnej rzece, pójdzie na sawannę i zaoferuje swoje ciało hienom i lwom, łydki wystawi na ugryzienia węży, a krew podaruje komarom roznoszącym malarię. Może zwierzętom uda się to, co nie udało się ani Gormowi, ani wszystkim innym psychopatom nienawidzącym kobiet.

Nadjeżdża pociąg. Joachim wchodzi do wagonu, pasażerów jest niewielu, wszyscy mu się przyglądają.

– Przepraszam – szepcze. Mówi, że szuka przedziału dla palaczy, chociaż dobrze wie, że takiego nie ma.

W końcu siada, zamyka oczy. Pod powiekami przewijają się obrazy maltretowanych kobiet i dziewcząt. Upokarzanych w dzieciństwie i w dorosłym życiu. Maltretowanych. I mężczyzn. Równie źle traktowanych jak kobiety, tyle że mężczyznom trudniej jest współczuć. Mężczyznom, którzy wiążą kobiety, wieszają je na żelaznych kółkach...

– Amager... – szepcze Joachim i nagle urywa. Na ciężkich żelaznych kółkach było coś wyryte, ich przeznaczenie było kiedyś inne, mocowano na nich haki, na których wieszano poście mięsa, różne ciężkie rzeczy, na pewno nie kobiety. Fabryka Żelaza Amager, tak było wyryte na kółku. To jedyne, co zyskał. Nie widział innych twarzy poza twarzą dziewczyny. Nie ma pojęcia, gdzie był. Wie tylko, że kółko wyprodukowano w starej odlewni Amager. I co z tego? Czy to ma jakieś znaczenie? Żadnego. Po prostu jego mózg pisarza jak zwykle szuka szczegółów. Coś, co nada jego opowieści... Myśli kłębią się w głowie.

– Zaraz, zaraz – mówi sam do siebie. Próbuje sobie przypomnieć, co powiedziała Helene podczas ich ostatniej rozmowy. On stwierdził, że szczegóły tworzą narrację. A ona odpowiedziała mu, że w szczegółach tkwi diabeł. O czym wtedy rozmawiali? O jej plecaku. To znaczy o plecaku Louise, jedynym fizycznym dowodzie na istnienie Louise Andersen. Joachim znalazł go na strychu, dokładnie go przeszukał i znalazł śmieszna podstawkę, która zaprowadziła go donikąd.

– Żelazo – szepcze. Żelazo na dnie plecaka. Materiał niemal przerdzewiał. Uznał, że plecak musiał przez jakiś czas leżeć w wodzie. Odlewnia. Zużywa ostatnie trzy procent baterii na sprawdzenie w internecie Fabryki Żelaza Amager. Od dawna nie działa. Na zdjęciach zamieszczonych przez *urban adventurers* widać ruiny fabryki. Ogromne pomieszczenia, duże piece, architektura z czasów, kiedy powstawał świat, który znamy dzisiaj. Joachim wstaje. Zastanawia się, gdzie jest. Patrzy na mapkę stacji. Za dwadzieścia minut będą na dworcu głównym, przechodzi bliżej wyjścia, niecierpliwi się.

Na parkingu przed Söderberg Shipping jest tylko Helene. Na placu stoi kilka samochodów, w tym jej. Przyszła tu na piechotę prosto ze szpitala wraz z nastaniem świtu. Co mówiła sekretarka? Że zawsze zjawiała się pierwsza. To znaczy, że nie wstawiała z dziećmi, lecz wyjeżdżała, zanim dom się obudził. I pilnowała każdej pięciokoronówki w firmie, do czasu aż coś się wydarzyło.

Postanawia zaryzykować. Idzie spokojnie przez parking. Otwiera drzwi samochodu. Siada za kierownicą. Zerka w bok, widzi swoją komórkę, dokładnie tam, gdzie ją zostawiła, w ładowarce. Włącza telefon. Sprawdza listę kontaktów. Nie ma ich dużo. Edmund, Karen, sekretarka, Caroline, Christian. Sofie nie ma komórki, Edmund uznał, że córka jest jeszcze za mała. Helene wybiera numer.

– Pani Söderberg. – Karen wydaje się przestraszona.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

– Nie, nie. Nie obudziła mnie pani. Już wstałam – zapewnia, ale Helene słyszy, że nie mówi prawdy. Zastanawia się, dlaczego kobieta kłamie? Który szef ma prawo oczekiwać, że o wpół do szóstej rano pracownik będzie już na nogach?

– Karen. Tamtego dnia spotkałam w recepcji pewnego mężczyznę. Gudmundsona.

– Karla Gudmundsona – dodaje Karen pośpiesznie.

– Potrzebny mi jego adres.

*

Hvide Sande. Białe Piaski. Romantyczna nazwa. Kojarzy się z ludźmi wędrującymi wzdłuż brzegu, z kobietami w letnich sukniach, zerkającymi nieco frywolnie spod słomianych kapeluszy. Helene jedzie rankiem na zachód, pozwalając myślom błądzić. Przed jej oczami pojawiają się kobiety z obrazów Krøyer, ale i Joachim. Wspomina czas, który spędzili razem. Jego ciało, jego głos, jego oczy, gdy na nią patrzył. Wszystko to straciła. Hvide Sande 10 km – informuje ją tablica przy drodze. Zjeżdża na pobocze. Wysiada z samochodu, czuje łyzy, płacze za utraconą miłością. Czy to z powodu nazwy miasteczka. Hvide Sande. Białe Piaski. Czy wszyscy chodzą tu i oplakują straconą miłość? Patrzy na targany wiatrem krajobraz. Plantacje choinek, większość drzewek jest maleńka, upłynie wiele lat, zanim rodziny, trzymając się za ręce, będą wokół nich tańczyć. Nagle zaczyna krzyczeć. Daje upust złości, desperacji. Po chwili milknie. Krzyk pomógł. Dlatego znów krzyczy. Joachim. Jak mógł to zrobić, przekreślić wszystko, co wspólnie przeżyli. Naprawdę tak mało dla niego znaczyła? Sprzedał ją, zdradził jak

Judasz. Sprzedał wspomnienie o niej za milion koron. Krzyczy. Wszystko kręci się wokół pieniędzy.

W końcu przestaje. Czuje się lepiej. Przez resztę drogi do miasteczka zerka w tylne lusterko. Jest przekonana, że nikt nie widział, jak wyjeżdża z parkingu. A jednak w pewnej odległości jedzie za nią samochód, daleko, widzi tylko jego światła. Niezależnie od tego, czy zwalnia, czy przyspiesza, cały czas jest za nią. Helene zastanawia się, czy za kierownicą siedzi ten sam mężczyzna, który śledził ją, kiedy była na Himmelbjerget. Czyżby sekretarka na nią doniosła? Czy może Edmund kazał namierzyć jej komórkę?

Mija centrum miasteczka i po chwili dociera do domu opieki. Z widokiem na morze, na wieczność. Zatrzymuje się, parkuje. Żaden inny samochód się nie pojawia, stoi chwilę, czeka. Nagle ma ochotę na papierosa. Dziwne. Czyżby dawniej paliła?

*

Uderza ją charakterystyczny zapach. Starzy ludzie pachną inaczej niż młodzi. Tak po prostu jest. Zapach przypomina jej zaplecze kawiarni, przejrzałe owoce, skrzynki z brzoskwiniami. Zawsze miała brzoskwinie. Razem z Leną robiły z nich sorbet, ulubiony deser Joachima, prawdę mówiąc, jedyny, jaki jadał.

– Przepraszam, szukam Karla – zwraca się do jednej z opiekunek. Podaje tylko imię, chce stworzyć pozory bliskości.

– Mamy tu kilku Karlów.

– Gudmundsona.

– Ostatni pokój. Jedyny z balkonem – mówi kobieta i pokazuje ręką w głąb korytarza.

Helene idzie za strzałkami na linoleum. Do końca. Puka, żadnej odpowiedzi. Zerka przez ramię. Wchodzi do pokoju. Karl leży w łóżku. Helene podchodzi bliżej, patrzy na jego otwarte usta. Gdzieś z ciemności dochodzi ją jakiś dźwięk. Nieskończenie zmęczony oddech. Przypomina dźwięk starej harmonijki, zardzewiały, niski, lekko piszczący, jakby wydobywał się z oskrzeli.

– Gudmundson?

Helene dotyka delikatnie jego ręki i w tym momencie słyszy, jak otwierają się za nią drzwi.

– Przepraszam?

Helene się odwraca. Patrzy na stojącego w progu mężczyznę. Sądząc po jego wyglądzie, nie zamierza za nic przeproszać. Wręcz przeciwnie. Patrzy na nią oskarżycielskim wzrokiem.

– Co tu się dzieje?

– Co tu się dzieje? – powtarza Helene.

Wstaje. Podaje mu rękę, prastary gest powitalny. Ale mężczyzna kręci

głową.

– Jestem Helene Söderberg, przyjechałam, żeby...

– Wiem, kim jesteś – przerywa jej mężczyzna. – Nie myśl sobie, że skoro twój ojciec zapłacił za balkon dla Karla, daje ci to prawo wpadać tu, kiedy tylko najdzie cię ochota. To ja zarządzam tym miejscem.

– Ja... – zaczyna Helene. Przerywa, patrzy na balkon, który nie jest specjalnie ładny. Zimna stal. Czy to jej ojciec podarował go Karlowi? Za lata wiernej służby? I nagle znów go widzi. Na parkingu przed budynkiem. Samochód. Za kierownicą siedzi mężczyzna. Ten, który śledził ją na Himmelbjerget. Jest tego niemal pewna. To szczególny gatunek ludzi, wszyscy wyglądają tak samo, ubrani w wiatrówki, z przedziałkiem na boku, szczególna rasa. Każdy może ich kupić. Są gotowi zrobić wszystko: prowadzić księgowość, autobus, zainstalować oprogramowanie, śledzić ludzi.

– Jeśli chcesz odwiedzić Karla, musisz umówić się z rodziną.

– Zajmę mu tylko chwilę.

– Proszę opuścić pokój – mówi mężczyzna. Helene słyszy jego kopenhaski akcent. Może rodzina Söderbergów cieszy się większym szacunkiem wśród jutlandczyków? Tak czy inaczej, jej nazwisko nie robi na nim wrażenia. A może ktoś zdążył już powiadomić Edmunda?

– Rozmawiałam z córką Karla – oświadcza Helene i się uśmiecha.

– Ja... Nic mi o tym nie wiadomo.

– Możesz do niej zadzwonić – mówi Helene. – A teraz przepraszam, ale chcę chwilę porozmawiać z Karlem.

Helene podchodzi do mężczyzny. Musi pokazać, że ma władzę. Unosi brwi. Mężczyzna cofa się, wychodzi na korytarz. Mamrocze pod nosem, że zaraz zawiadomi córkę Gudmundsona, ale Helene już go nie słucha, zamknęła drzwi. Nie mają zamka. Blokuje je krzesłem. Chociaż wątpi, żeby to było skuteczne. Wraca do łóżka, do mężczyzny, który był przy powstawaniu firmy; nikt nie zna jej historii lepiej od niego. Gudmundson był prawą ręką ojca Helene. To słowa Edmunda.

– Karl – mówi Helene głośno.

Starzec otwiera oczy, patrzy na nią.

– Karl, pamiętasz mnie? – pyta Helene niepewnie.

Starszy pan nie odpowiada. Jego oczy łzawią, są wyblakłe. Usta zaczynają się poruszać, ale pozostają zamknięte. Tak samo jak wtedy, kiedy widziała go po raz pierwszy, na tarasie. O czym to świadczy? O niezaspokojonym głodzie? Jak usta niemowlaka odsuniętego nagle od piersi matki. Helene patrzy na ściany, wszędzie wiszą stare, poblakłe zdjęcia w ciemnych ramkach, miedzioryty przedstawiające obce jej sceny: pustynię, wielbłądy, cytadele z handlującymi Arabami, którzy kuszą przyprawami, orzechami i owocami wyłożonymi na wzorzystych materiałach, mozaika wzorów. Może Gudmundson w młodości dużo

żeglował? I zabrał kawałek tej szczęśliwej, słonecznej Arabii ze sobą na zimną Północ.

– Karl? – próbuje znów. Patrzy na niego. Usta starca się poruszają.

Helene rozgląda się po pokoju. Szuka pamiątek związanych z jego dawną pracą. Z firmą, dla której pracował przez całe swoje długie życie. Podchodzi do regału z książkami, przegląda je. Encyklopedie, słowniki. Na samym dole trzy książki bez tytułu na grzbiecie. Trzy albumy. Helene kuca, sięga po jeden z nich. Szybko go kartkuje. Wycinki z gazet, zdjęcia, wszystkie mają związek z Söderberg Shipping i na wszystkich jest Gudmundson. Pod każdym zdjęciem widnieje data i miejsce, napisane niebieskim atramentem. Ukośne pismo, czytelne. Poza tym imiona i nazwiska pozostałych osób uwiecznionych na zdjęciu. Helene przerzuca kolejne strony. Połowa jest pusta. Koniec historii Karla Gudmundsona. Sięga po kolejny album, zdjęcia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, brakuje tych z początków firmy. Otwiera ostatni, trzeci album, przegląda go niecierpliwie. Nic. Wzdycha. Uznaje, że to sprawa dla policji, sama nic nie działa.

– Nie – szepcze i wraca do zdjęć.

Pierwsze pochodzą sprzed wojny. Na zdjęciach widać barkę, obok stoi ojciec Helene i jeszcze jeden młody mężczyzna. William Hirsch? Nieco dalej, w głębi, młody chłopak. Gudmundson? Jest też wycinek prasowy. Pożółkły, cienki papier. Rozkłada go ostrożnie. Ogłoszenie o powstaniu firmy Söderberg-Hirsch Shipping. Zatem Söderberg-Hirsch funkcjonowali jako firma. Helene nie ma już żadnych wątpliwości. To nie był wymysł jej chorego umysłu. Przygląda się zdjęciu Williama Hirscha. Twarz mężczyzna wydaje się jej znajoma. Czyta o ludziach pracujących na barkach, o fabrykach torfu i cegielniach położonych wzdłuż rzeki Gudenå, o tym jak z czasem rozbudowywano drogę wodną, aż stała się głównym traktem transportowym, nie tylko dla towarów, ale i dla ludzi. Ogląda zdjęcia. Twarze o ostrych rysach, brudne, z czasem stają się nieco łagodniejsze, coraz częściej uśmiechnięte. Najtrudniejsze były początki.

Na kolejnej stronie kolejne zdjęcie. Dwóch mężczyzn przed skromnym budynkiem. Nieporównywalnym z dzisiejszą siedzibą firmy. Mężczyźni to jej założyciele. Aksel Söderberg, jej ojciec. Twarde spojrzenie i szeroki nos niepasujący do delikatnie zarysowanych brwi. Obok niego William Hirsch. Imiona i nazwiska zostały zapisane pod zdjęciem. Hirsch wydaje się nieco starszy od jej ojca, obaj patrzą na fotografa zdecydowanym spojrzeniem, niemal aroganckim. Helene przewraca stronę, kolejne wycinki, „Silkeborg Avis”, pożółkły papier, z jakiegoś powodu Gudmundson wkleił notatkę o amerykańskim samolocie, który uderzył w maszt wysokiego napięcia w Nowym Jorku. Wszyscy zginęli. Może wśród ofiar był ktoś, kogo Gudmundson znał? Na zdjęciu na następnej stronie jest Karl Gudmundson, został wspomniany w artykule poświęconym nowopowstałej, dobrze zapowiadającej się firmie. Helene przerzuca kolejne strony w coraz

większym napięciu. Dlaczego Edmund w ogóle nie wspomniał jej o drugim założycielu firmy? Dlaczego postać Hirscha owiana jest tajemnicą? Kolejne wycinki, kolejne artykuły o młodej, ambitnej firmie i jej idących jak burza właścicielach. I nagle – ze strony na stronę – William znika. Nazwisko Hirsch zostaje usunięte z nazwy firmy. Teraz jest już tylko jej ojciec i Karl Gudmundson. Söderberg Shipping. Helene cofa się do poprzednich stron. Jest William. Kilka stron później już go nie ma. Co się stało? Była wojna, sam środek wojny.

Helene znów podchodzi do łóżka, podnosi album, tak żeby Karl go widział.

– Karl, co stało się z Williamem?

Karl spogląda na album, na zdjęcia, bruzda między brwiami robi się głębsza. Helene przekłada strony, ma nadzieję, że uda jej się odświeżyć jego pamięć. Zdjęcia Williama, a potem brak Williama. Starszy pan patrzy na Helene z sympatią. Nie ma pojęcia, kim jest. Helene wie, że nie ma czasu. Jej amnezja i demencja Gudmunsona. Minus i minus. Z tego musi wyjść plus. Nagle słyszy ruch za drzwiami, ktoś szarpie za klamkę. Krzesło blokuje drzwi, ale nie na długo.

– Otwierać! – krzyczy mężczyzna z korytarza. Helene wstaje.

– Caroline? – odzywa się nagle Karl.

Wyciąga do niej rękę, gładzi ją palcem po policzku, niespodziewanie łagodnie.

– Caroline? – powtarza Helene szybko, gwałtownie. Bierze jego dłoń i ścisza mocno.

– William... – głos Karla brzmi słabo, urywa się. – Był Żydem – szepcze. W jego głosie pojawia się nowy, ostry ton.

– Wezwiemy policję, jeśli nie otworzysz! – krzyczy mężczyzna na zewnątrz.

Staruszek znów spogląda na zdjęcie. Helene nadal ścisza jego dłoń, przytrzymuje ją.

– William Hirsch był Żydem – powtarza. – Niemcy go zabrali?

Karl kiwa głową, ale Helene ma wrażenie, że o cokolwiek by go spytała, zareagowałby tak samo. Żeby tylko zostawiła go w spokoju. Szybko przerzuca strony, znajduje zdjęcie chyba z lat czterdziestych. Wygląda na to, że są na nim wszyscy pracownicy firmy. Wówczas było to tylko piętnaście osób. Obok Williama stoi kobieta. Wyprostowana, świadoma własnej urody. Elegancko ubrana, włosy związane w luźny węzeł, trzyma rękę na brzuchu, jest w ciąży.

– To Rosa? Żona Williama?

Karl przytakuje. Helene ma wątpliwości. Czy na każde pytanie by tak zareagował?

– Karl. Jesteśmy znów w Chinach?

Starszy pan zerka na nią zdezorientowany. Dobrze, myśli Helene. Jednak jest świadomy, chociaż nie do końca.

– Nie w Chinach. W Ameryce – mówi. – Uciekli...

– Do Ameryki?

Karl patrzy na nią, przekręca głowę.

– Rosa? – pyta.

Helene wzdycha. Widzi, że staruszek znów jest gdzieś daleko. Zerka na stronę w albumie, mruży coś niewyraźnie. Helene puszcza ostrożnie jego dłoń. Wstaje. Wzrok Karla wędruje za nią. Helene podnosi album, przygląda się rodzinnemu zdjęciu. Rozpoznaje ojca. W jego twarzy rozpoznaje siebie. Ponownie zerka na Williama. I na Rosę będącą w ciąży. Co się z nimi stało? Uciekli do Ameryki? W ich twarzach jest coś znajomego. Co, zastanawia się Helene. Jest pewna, że nigdy wcześniej nie widziała zdjęć rodziny Hirschów. W albumach w domu i w biurze ich nie ma. Przypomina sobie, że jedna ze stron została wyrwana. Ktoś, pewnie Edmund, postarał się, żeby usunąć wszystkie ślady. Więc dlaczego twarze wydają się jej znajome? Twarz Williama, ale przede wszystkim twarz Rose. Nie tylko twarz, także jej postawa, sylwetka. Zdecydowane spojrzenie. Caroline. Dlaczego Karl wymienił to imię? Sam z siebie.

Gudmundson ponownie zamknął się w swoim świecie, Helene kładzie dłoń na jego ramieniu, starszy pan uśmiecha się do niej przyjaźnie.

– Otwieraj! – dobiega ją głos z korytarza.

Podchodzi do drzwi, odsuwa krzesło, które okazało się skuteczną blokadą. Otwiera drzwi i widzi przed sobą rozwścieczonego mężczyznę.

– Wszystko w porządku – zapewnia go. – Drzwi się zacięły – mówi spokojnie.

Mężczyzna ma ochotę ją chwycić, zatrzymać, ale się boi. Wszystko w porządku. Nie, bynajmniej. Helene wie już, dlaczego twarz Rose wydała jej się znajoma. Kobieta prawdopodobnie już od dawna nie żyje. Ale Helene rozpoznaje jej rysy. Bardzo charakterystyczne, żydowskie. Wysokie kości policzkowe, ciemne włosy. Takie jakie ma kobieta, która opiekuje się dziećmi Helene. To imię. Ta twarz. Ta sylwetka. To Caroline Hirsch, która uciekła z matką do Stanów. Czy to ona mieszka teraz w domu Helene?

Tabliczka wisi krzywo. Brama jest zamknięta na gruby łańcuch okręcony kilka razy wokół słupków i spięty wielką kłódką. Ogrodzenie wokół budynku jest w wielu miejscach dziurawe, kilka słupków jest przewróconych. Widać, że odlewnia od dawna nie funkcjonuje. Joachim przechodzi przez dziurę w ogrodzeniu, jęczy. Boli go kręgosłup.

Z palcu Ratuszowego żaden autobus nie jechał na Amager, więc postawił kołnierz i szedł przemoczony i drżący z zimna przez całe Christianshavn, aż na Amager. Szedł wzdłuż starych torów kolejki, minął Kløvermarken i w końcu znalazł budynek, w którym kiedyś mieściła się Fabryka Żelaza Amager, a który teraz czeka na rozebranie albo na przerobienie na mieszkania bez historii.

Joachim stoi i nasłuchuje. Jest ranek. Jedyne, co słyszy, to deszcz. Dla pewności robi najpierw rundę wokół budynku. Teren jest zarośnięty, dokoła leżą zardzewiałe płyty i kawałki betonu. Wchodzi tylnym wejściem, trafia na kałużę. Czuje zimne krople we włosach, spływają mu po karku. Robi kilka kroków. Jego wzrok pada na schody w głębi, prowadzą do góry. Drzwi obok prowadzą do dużego pustego pomieszczenia. Dalej jest korytarz i kolejne otwarte drzwi.

Ostrożnie idzie korytarzem, zagląda do kolejnych pomieszczeń. Puste, czworokątne. Z dziurami tam, gdzie kiedyś były okna. Wszystkie pomieszczenia są puste, trudno zgadnąć, co się tu wcześniej mieściło. Warsztaty? Biura? Joachim się zatrzymuje. Czyżby słyszał jakiś dźwięk? Głuchy dźwięk, taki jaki wydaje metal upadający na beton. Czeką chwilę, cisza. Idzie dalej, zagląda do kolejnego pomieszczenia. Dziura po oknie jest zasłonięta. Ktoś tu mieszka. W rogu leży materac. Joachim wchodzi do środka, omija sterty śmieci, puste butelki, pety, kartony, opakowania po pizzy, zmięte gazety, stosy reklam, resztki ogniska. Kuca, kładzie rękę na materacu i szybko ją cofa. Materac aż klei się od brudu. Ale niedawno ktoś tu był. Pewno jakiś bezdomny, lepiej spać tutaj niż na ulicy czy w parku. Czy Louise też tu mieszka? Mieszkała? Tak to wygląda? Może razem z Helene po jej zniknięciu z Silkeborga? Joachimowi trudno sobie wyobrazić jego Louise w takim miejscu. Może trzy lata temu to miejsce wyglądało lepiej?

Idzie dalej, zawraca, chce iść na górę. I nagle widzi przed sobą parę ciemnych oczu. Przed nim stoi mężczyzna, ledwie dostrzega zarys sylwetki. Joachim cofa się, czuje coś pod nogami, schyla się. Chwyta rękami jakiś metalowy przedmiot, ciągnie go, traci równowagę i niemal się przewraca. Czuje coś ostrego, gwóźdź, śrubkę, coś kłuje go w dłoń, podnosi pręt nad głowę i krzyczy, wrzeszczy z całej siły. Postać przed nim cofa się, unosi ręce do góry.

– Co... ty robisz? – mówi postać.

Joachim opuszcza ręce. Mężczyzna wszedł w krąg słabego światła padającego przez jedno z okien. Jest wychudzony, stoi z otwartymi ustami, brakuje mu z przodu dwóch zębów, w bruzdach biegnących od nosa do ust widać grubą warstwę brudu. Włosy zwisają w tłustych strąkach, wystają spod niebieskiej czapki, którą naciągnął na czoło.

– Co ty tu robisz, do cholery? Dlaczego się skradasz? – pyta Joachim. Zerka na dłoń. Krwawi, ale lekko.

Mężczyzna opuszcza ręce, unosi kącik ust, grymas, którego Joachim nie potrafi odczytać.

– To nie jest twoje miejsce – odzywa się mężczyzna.

– Szukam kogoś. Louise Andersen. Znasz ją?

– Tyle kobiet tu było.

– Jest was tu więcej?

– Może. Nie ma tu recepcji, gdzie ludzie musieliby się meldować.

Mężczyzna sprawia wrażenie nieokrzesanego, ale ma w sobie coś chłopięcego. Dziwne połączenie. Joachim zastanawia się, ile może mieć lat.

– Co jest na górze? – pyta.

– Piece. Nie wchodź tam.

– Dlaczego?

– Tam cuchnie – odpowiada bezdomny.

– Cuchnie?

– Wrzucamy tam śmieci. Do pieców.

Joachim rozgląda się. Sądząc po odorze, piece nie są daleko.

– Masz forse? Jakies fajki?

Joachim sprawdza kieszenie, znajduje portfel, nie spuszcza wzroku z gotówki i kart. Może nie powinien był wypuszczać z rąk pręta? I nie pokazywać bezdomnemu zawartości portfela. Niech to szlag. Ma dość pieniędzy, właśnie podarował ćwierć miliona facetom, którzy zabijają kobiety. Daje mężczyźnie całą gotówkę, banknot stukoronowy i kilka monet.

– Nie palę – mówi.

Mężczyzna zwija banknot i zadowolony wkłada go do kieszeni, przy okazji wyjmując z niej paczkę papierosów, zapala jednego pozłacaną zapalniczką i rusza powoli w stronę następnego pomieszczenia. Joachim bierze głęboki wdech, próbuje uspokoić tętno. Wraca do schodów, idzie na górę. Poranne światło usiłuje przebić się przez szpary w pilśniowych płytach, którymi zabite są okna. Idzie ostrożnie, podchodzi do dziury, a właściwie krateru. Bezdomny miał rację, odór jest obrzydliwy. Idzie dalej, na najwyższe piętro, duże pomieszczenie oddzielone jedynie solidnymi betonowymi słupami, które sterczą w różnych miejscach.

Pośrodku widzi zamknięte drzwi. Nie jest w stanie się zorientować, dokąd

prowadzą. Chwyta za klamkę, szarpie za nią, zapiera się stopami, i nic. Potrzebuje jakiegoś narzędzia, żeby je otworzyć. Dotyka nogą stery śmieci, w końcu wyczuwa coś twardego. Schyla się, bierze do ręki półtorametrowy żelazny pręt. Tym razem działa ostrożniej. Patrzy na drzwi. Musi je otworzyć. To jego ostatnia szansa. Musi się przekonać, co jest w środku. Wraca, wkłada pręt w wąską szparę, naciska całym ciężarem ciała. Słyszy jęk, drzwi opierają się, ale w końcu ustępują. Zagląda do środka, czuje dziwny zapach: słodki, mdły, trudny do wytrzymania. Spogląda w dół. Szyb windy. Poranne promienie słońca oświetlają jego dno, pewno gdzieś tam w dole są otwarte drzwi. Poza tym nie ma nic, z wyjątkiem gołębi.

Joachim wychodzi na zewnątrz, oddycha chciwie świeżym powietrzem. Czuje ulgę. Ale i zawód. To koniec jego szalonej jazdy. Louise Andersen pozostanie duchem. Zrodzonym w jego wyobraźni. W końcu musi to zaakceptować. Może tak po prostu jest, miłość to przede wszystkim pojęcie, ideał, którego szukamy, który jednak nie istnieje w rzeczywistym świecie. Którego nie znajdziemy u drugiego człowieka. Joachim był przekonany, że znalazł miłość, ale wszystko okazało się kłamstwem, było możliwe tylko dlatego, że nie rozmawiali ze sobą ani o przeszłości, ani o przyszłości. Tak jest we wszystkich związkach. Należy unikać rzeczywistości. Pociągają cię inne, pragniesz ich, będziesz mnie kochać, nawet jeśli zachoruję? Na te pytania nie jesteśmy w stanie szczerze odpowiedzieć, jeśli chcemy podtrzymać naszą śmieszna wiarę w prawdziwą miłość. Takie myśli towarzyszą mu w drodze do miasta. Czuje ulgę. Jest wolny. Ma pieniądze na koncie, przez trzy lata doświadczał wielkiej miłości, to więcej niż jest dane większości ludzi. Może podróżować... Nagle się zatrzymuje, odwraca i spogląda na budynek fabryki. Potężny cień, który staje na drodze słońcu.

– Opuść sobie – szepcze sam do siebie. Ale jego ciało i jego wola wydają się walczyć ze sobą. Uświadamia sobie, że nie sprawdził porządnie pieca. Tego wielkiego tygła, gdzie kiedyś powstawały żelazne kółka, które teraz wiszą w odrażającym podziemnym pomieszczeniu tortur gdzieś na Zelandii.

Zawraca. Odnajduje bezdomnego. Mężczyzna leży na materacu i pali papierosa, spogląda przyjaźnie na Joachima.

– Zamierzasz tu zamieszkać? – pyta. – To jest mój pokój – oświadcza na wszelki wypadek.

– Pożycz mi zapalniczkę – mówi Joachim, niecierpliwi się.

Mężczyzna sięga do kieszeni, wyjmując zapalniczkę.

– Chcę ją z powrotem – zastrzega.

Joachim wraca na schody, po drodze bierze kilka gazet ze sterty na podłodze. Zatrzymuje się przed kraterem. Odór jest nie do wytrzymania, w środku muszą być nie tylko odpady. Zwija cztery strony gazety i podpala, trzyma płonąca kulę nad czarną dziurą. Papier pali się szybko, już po chwili musi go puścić. Kula rozpada się, tysiące iskerek leci w dół i opada na dno. Spada na coś, co kiedyś było

człowiekiem, który żył, oddychał. Jego serce biło, oczy widziały. Ręce rozpostarte na boki, kręgosłup skrzywiony, nogi wygięte pod nienaturalnym kątem, twarz zwrócona ku górze, skóry nie ma, z oczu zostały jedynie czarne dziury, właściwie sama czaszka. Gdyby nie długie czarne włosy, Joachim nie byłby w stanie stwierdzić, że to zwłoki kobiety.

Czy Caroline jest córką Williama Hirscha? Myśl nie daje Helene spokoju, kiedy wraca samochodem z Hvide Sande do Silkeborga. Dlaczego nic jej nie powiedziała? Dlaczego właśnie ta kobieta zdobyła serce jej rodziny? Miła, łagodna, niemal niewidoczna.

Helene zatrzymuje się przy drodze. Siedzi chwilę w samochodzie, czeka. Podjazd przed domem jest pusty, nie ma ani samochodu Edmunda, ani Caroline. Wokół panuje cisza, tylko od strony stajni dobiegają ją jakieś głosy. Wysiada z samochodu, wchodzi po schodach i po chwili jest w holu. Szybkim krokiem rusza długim korytarzem w stronę pokoi gościnnych, zatrzymuje się przed drzwiami Caroline. Wie, gdzie kobieta mieszka, była tu już kilka razy, przekazując jej jakieś wiadomości. Caroline nigdy nie zaprosiła jej do środka, zawsze tylko lekko uchylała drzwi. Co przed nią ukrywa? Drzwi są zamknięte. Zamknięte drzwi w domu Helene. Tajemnice, przemilczenia. To musi się skończyć. Napiera ramieniem na drzwi, pcha je. Drzwi się nie poddają. Ale zamek jest taki sam, jak w innych drzwiach w domu, więc po chwili Helene wraca z kluczem do jednej z łazienek. Pasuje. Tym razem drzwi otwierają się niemal bezszelestnie. Helene wchodzi do niewielkiego mieszkania, dwa pokoje w amfiladzie, sypialnia i łazienka z wanną. Caroline Hirsch. Czy tak się nazywa? Helene podchodzi stanowczym krokiem do komody, otwiera wszystkie szuflady, przegląda je systematycznie, dokładnie. Nic nie znajduje. Otwiera szafę, patrzy bezradnie na rzędy kostiumów na wieszakach, spogląda na półki. Ma to wszystko sprawdzić? Tak. Ma do tego prawo, stwierdza i wyrzuca wszystko na podłogę: bluzki, apaszki, ubrania starszej kobiety, takie, które nosi się, kiedy strona praktyczna bierze górę nad atrakcyjnością i modą.

Nagle coś łąduje na podłodze. Lekkie, głucho uderzenie. Szkatułka na biżuterię. Podnosi ją. Potrząsa. Coś w niej jest. Ale żeby otworzyć szkatułkę, musi mieć kluczyk. Wychodzi z pokoju, schodzi po schodach, idzie do kuchni. Najpierw próbuje podważyć wieczko nożem, wkłada ostrze między pokrywkę a skrzyneczkę. Nóż się wygina. Helene bołą palce. Jednak się nie poddaje. Coraz bardziej sfrustrowana uderza szkatułką o blat stołu, coraz mocniej, ze złością. Ma prawo żądać odpowiedzi.

- Przepraszam? Co pani robi z moją szkatułką?
- Masz kluczyk?
- Nie muszę...
- Daj mi kluczyk! – Helene niemal krzyczy.

Caroline nie reaguje. Helene dalej uderza szkatułką o blat stołu, po trzech kolejnych uderzeniach pojawia się wystarczająco duża szpara, żeby można było podważyć wieczko. Próbuje, lecz nie udaje jej się otworzyć szkatułki, zamek nadal trzyma. Potrząsa skrzyneczką, ma nadzieję, że może coś z niej wyleci. I rzeczywiście, po chwili w szparze pokazuje się łańcuszek.

– To mój łańcuszek – mówi Caroline. Stoi w drzwiach, ma łzy w oczach.

Helene pociąga łańcuszek, ale coś go przytrzymuje, pewnie jakiś wisiołek. Słyszy, że na dziedziniec wjeżdża samochód. Wygląda przez okno, dostrzega Edmunda. Nie przejmuje się nim, jest zdecydowana uzyskać odpowiedź na swoje pytania.

– Dostałam go od matki – mówi Caroline.

– Od Rosy? – rzuca Helene, patrząc jej w oczy.

Caroline się waha.

– Tak, od Rosy – odpowiada w końcu.

– Co robisz w moim domu, z moimi dziećmi, kim jesteś?

– Mam wrażenie, że wiesz, kim jestem – odpowiada kobieta. Odwraca się na dźwięk kroków, po chwili w drzwiach staje Edmund. Patrzy na obie kobiety.

– Tu jesteś, Helene. Szukaliśmy cię... Co tu się dzieje? – pyta zdziwiony. Spozstrzega szkatułkę, zerka na zniszczony stół kuchenny.

Ma cienie pod oczami, zmierzwił włosy, ubranie w nieładzie, zmięte. Najwyraźniej nie spał w nocy. Helene ma wyrzuty sumienia, spogląda czule na wysokiego przystojnego mężczyznę. Niesłusznie go podejrzewała. Okazuje się, że wcale nie chodziło o niego, chodziło o Caroline.

– Edmundzie, Caroline nie jest tą osobą, za którą się podaje.

Edmund podchodzi bliżej.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

Coś w jego głosie sprawia, że Helene czuje się dezorientowana. W jego głosie nie ma radości, jest za to ostrość, której dotąd nie było, jego oczy zamieniają się w szparki.

– Caroline jest córką Williama Hrischa, który założył firmę razem z moim ojcem. Był Żydem i został zabity przez Niemców. Rosa uciekła do Ameryki, była wtedy w ciąży, z Caroline... A teraz Caroline jest tutaj, w naszym domu. To ona, Caroline. Nie mam pojęcia, co zamierza, ale pewnie chodzi jej o pieniądze, może chce nas szantażować – mówi Helene, jej głos drży z podniecenia.

– Helene – odzywa się Edmund cicho.

Podchodzi do niej. Helene widzi, że stara się kontrolować, jednak pod chłodną fasadą wszystko w nim wrze. Jest zły. Wściekły. Dlaczego? Czyżby nie słyszał, co przed chwilą powiedziała? A może jej nie wierzy?

– Helene, nie jesteś sobą. Znów coś sobie wyobraziłaś – mówi Edmund i obejmuje ją.

– Puść mnie! Nie jestem chora. Słyszałaś, co powiedziałam? To oszustka.

Edmund otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale Caroline go uprzedza.

– Daj spokój, Edmundzie – mówi ostro. – Ona nie odpuści.

Edmund puszcza Helene, patrzy w podłogę, opiera rękę o stół.

– Caroline – odzywa się ostrzegawczym tonem.

Kobieta kręci głową.

– To tylko kwestia czasu, zanim się wszystkiego domyśli – mówi, teraz już spokojnie i łagodnie, jak wtedy, kiedy zwraca się do dzieci. – Mam nadzieję, że tym razem przyjmie to lepiej – dodaje i się uśmiecha.

Tym razem? O co jej chodzi? Helene stoi obok zlewu, w ręce nadal trzyma metalowy szpikulec.

– Od czego mam zacząć... – Caroline zerka na Helene, po czym wbija wzrok w trawę na zewnątrz. – Twój ojciec...

– Caroline – przerywa jej Edmund, jakby chciał ją ostrzec.

Caroline nie zwraca na niego uwagi, mówi dalej.

– Masz rację, Helene. Mój ojciec został zamordowany przez Niemców. To Aksel na niego doniósł. Twój ojciec, Helene, jest winny jego śmierci.

Helene trudno w to uwierzyć. Caroline kłamie.

– Twój ojciec chciał współpracować z Niemcami. Można było na tym sporo zarobić. Naziści potrzebowali statków, którymi mogliby przewozić towary do Niemiec. A oni byli młodymi mężczyznami, ledwie po dwudziestce, którzy przed wojną kupili barkę i stary, wysłużony prom. – Caroline milknie, waha się. Helene patrzy na nią. Po chwili kobieta wraca do przerwane go wątku: – Umowa z Niemcami otwierała wiele możliwości. Nikt inny nie chciał na to pójść. Mój ojciec też nie. Protestował, nie chciał współpracować z wrogiem, lecz Aksel był nie do powstrzymania. Miał swoje wizje, patrzył w przyszłość – mówi i nawet się uśmiecha. Jest zmęczona. Helene widzi, jak podpira plecy dłonią, kiedy siada na krześle. – Aksel wiedział, że wojna pewnego dnia się skończy. I że Niemcy wkrótce znów będą naszym najważniejszym partnerem handlowym. To było pod koniec wojny, mój ojciec zszedł do podziemia, ukrywał się, rozumiesz?

– Tak – odpowiada Helene cicho.

– Inaczej trafiłby do obozu koncentracyjnego. Twój ojciec wydał go Niemcom.

– Nie wierzę ci – szepcze Helene.

– Był świadek. Mężczyzna, który widział, jak Niemcy zabierają Williama i zabijają go. Aksel był z nimi, kiedy wypłynęli, żeby wrzucić ciało do jeziora.

Czy to możliwe? Jej ojciec był mordercą?

– Cały twój majątek, Helene, wszystko, co odziedziczyłaś... – Caroline znów milknie, znów się waha. – To niewiarygodne bogactwo ma swoje źródło w niepojętej zbrodni. Rozumiesz, co mówię, Helene?

– Nie wierzę ci.

Caroline nie słucha jej, mówi dalej:

– Po wojnie wróciliśmy, ja urodziłam się w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Mama próbowała przekonać Aksela, żeby zgodził się oddać jej część udziałów firmy. Firmy, którą mój ojciec założył razem z nim i która wzbogaciła się na współpracy z nazistami. Ale nazwisko Hirsch zostało już dawno usunięte z jej nazwy. Aksel chciał wymazać nas z historii. Groził mojej matce.

– Czym? – przerywa jej Helene.

– Groził, że wytoczy jej proces o zniesławienie, jeśli będzie wracała do sprawy, jeśli powie komuś, co usłyszała o śmierci mojego ojca od mężczyzny, który tamtej nocy był świadkiem wszystkiego i mógł wskazać Aksela jak współwinnego. Twój ojciec zaproponował jej pieniądze na podróż i bilet na statek, który płynął do Kapsztadu – mówi Caroline i wzrusza ramionami. – Aksel otworzył tam filię. Proponował mamie pracę. Kapsztad w latach pięćdziesiątych. To nie było miejsce dla samotnej matki. Mama stała się zgorzkniałą kobietą. To moje dziedzictwo. Zgorzknienie. Oszukano nas. Zabrano nam pieniądze. Pozbawiono sprawiedliwości.

Helene siada przy stole, przez chwilę współczuje Caroline. Widzi, że Edmund jest zdenerwowany, przestępuje z nogi na nogę. Co się z nim dzieje?

– Kiedy skończyłam naukę, wróciłam do Danii. Udałam się do twojego ojca. Byłam młodą kobietą. Zadurzył się we mnie, nie wiedział, kim jestem. Na tym polegał mój plan. Tylko przez małżeństwo mogliśmy odzyskać to, co nam się należało. Zawsze tak było: najlepszą bronią kobiety jest ciąża.

– Ciąża? – Helene kręci głową z niedowierzaniem. – Zaszłaś w ciążę z moim ojcem?

– Pieniądze nie były najważniejsze – mówi nagle Caroline. Odwraca się do Helene i powtarza: – Nie chodziło o pieniądze! Mój ojciec przyczynił się do powstania firmy, a twój usunął go z jej historii. Jakby nigdy nie istniał. Pomyślałam, że jeśli uda mi się zawrócić mu w głowie, jeśli okażę się dość atrakcyjna, to... – urywa. Milknie.

– I co się stało?

– W pewnym momencie przejrzał mnie. Twój ojciec nie był głupi. Był bardzo przebiegły. Coś wzbudziło jego podejrzenie. Może zauważył, że jestem podobna do Rosy? I domyślił się, że jestem jej córką. A może szperał w moich rzeczach i znalazł listy od mamy.

Caroline znów milknie, wzdycha. Helene jest zaskoczona, gotowa jej uwierzyć. Kobieta albo doskonale kłamie, albo mówi prawdę.

– Mów dalej.

Na twarzy Caroline pojawia się gorycz.

– Bardzo się zmienił. Był wściekły, szalał. Odesłał mnie do Kapsztadu,

zmusił do podpisania dokumentu stwierdzającego, że dziecko nie jest jego. Groził, że zamieni moje życie w piekło, jeśli jeszcze kiedykolwiek się do niego zbliżę.

Helene kuli się. Jest coraz bardziej przekonana, że Caroline mówi prawdę.

– Twój ojciec szybko ożenił się z jedną z młodych kobiet z księgowości – ciągnie Caroline. – Dwa lata później przyszedł na świat. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. – We wzroku Caroline pojawia się nienawiść. – Jakby chciał jak najszybciej wymazać z pamięci wspomnienie o mnie, o Williamie i Rose. Twój ojciec był bardzo stanowczym mężczyzną. Chciał mieć dziecko, które mogłoby odziedziczyć jego imperium, i zrobił wszystko, żeby tak się stało.

– Ale ty byłaś w ciąży – mówi Helene zdezorientowana. – Urodziłaś dziecko? Aksel był jego ojcem?

Caroline kiwa głową, wygląda na niewiarygodnie zmęczoną.

– To dziecko... Czy to znaczy, że mam przyrodnią siostrę? Przyrodniego brata? – pyta Helene.

– Urodziłam chłopca – odpowiada cicho Caroline.

Edmund nadal stoi za nią. Dziwnie się zachowuje.

– Żyje? – pyta Helene zaciekawiona. Czyżby miała brata?

Caroline wzdycha, na jej twarzy pojawia się wymuszony uśmiech. Wskazuje głową do tyłu. Helene nie rozumie, co chce jej powiedzieć. Edmund wydaje dziwny dźwięk. Nagle jakby zmałał, Helene niemal go nie poznaje.

– Ciekawe, czy znów zapomnisz – mówi Caroline, patrząc jej w oczy.

– Caroline, przestań! – krzyczy Edmund.

Helene patrzy na niego. Edmund?

– Czy ty...? – szepcze.

Edmund nie odpowiada, przygląda się czarno-białej podłodze, nie chce spotkać wzroku żony. Helene wstaje. Czuje mdłości, przetyka ślinę, zasłania usta dłońmi.

– Ale, ale... – zaczyna. Patrzy na nich oboje. I nagle widzi to wyraźnie. Podobieństwo między Caroline i Edmundem. A co z nią i Edmundem? Też są do siebie podobni? Oboje wysocy, szczupli. Nos. Czy Edmund ma jej nos?

– Przecież to kazirodztwo – mówi cicho. – Dzieci... Jeśli Edmund jest moim bratem...

Helene odwraca się, idzie, jakby nogi podjęły decyzję za nią.

– Pewnie znów ucieknie i o wszystkim zapomni – dochodzi ją głos Caroline.

Helene słyszy, jak Edmund woła coś do matki. Biegnie do toalety, zamyka drzwi, pada na kolana, otwiera usta i wymiotuje żółcią. Ma dzieci z własnym bratem. Z kazirodczego związku. Krzyczy, ile sił w płucach, zatyka uszy placami. Nie chce już niczego słuchać, niczego widzieć. Żałuje, że w ogóle zainteresowała się sprawą. Do łazienki wchodzi Edmund, nachyla się nad nią, obejmuje ją. Ma przekrwione oczy.

– Helene, kocham cię. Kocham cię – powtarza ledwie słyszalnym głosem.

Helene opada przy sedesie, jest jej wszystko jedno. Żadne miejsce nie jest jej straszne. Właśnie tak się czuła, kiedy znalazła Louise. Nagle wszystko sobie przypomina. Była w szoku, jechała przez las...

– Helene – mówi Edmund. – Kocham cię.

...przy potoku zeskoczyła z konia. Resztę drogi przebiegła, przedzierając się przez uschnięte gałęzie i igły, przedostała się na drugą stronę. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Musiała wszystko przemyśleć. Potrzebowała czasu. Nie chciała opuszczać dzieci, ale jej mózg jakby nagle się zamknął, pamięć zgasła. Przestała istnieć. A potem znalazł ją Edmund.

– To chore – szepcze.

– Tak to się zaczęło. Caroline, moja matka, powiedziała prawdę.

Edmund zerka nerwowo na matkę, która stoi na zewnątrz w korytarzu. Jest odprężona. Najwyraźniej wyznanie przyniosło jej ulgę. Wierzy, że teraz już wszystko będzie dobrze.

– Zostawisz nas na chwilę samych, mamó? – pyta Edmund cicho.

Caroline waha się, poprawia ubranie i odchodzi powoli.

– Moja matka nienawidziła twojego ojca. W takiej atmosferze zostałem wychowany – mówi Edmund i gładzi dłoń Helene.

Jego dotyk parzy jej skórę, przenika aż do kości.

– Kiedy się urodziłem, twój ojciec nie chciał mnie znać. Oświadczył, że to niemożliwe, żeby był moim ojcem, co tylko wzmocniło nienawiść mojej matki. To ona wpadła na ten pomysł. Miałem zatrudnić się w firmie i piąć się w górę, zdobyć zaufanie twojego ojca, podając się za kogoś innego. I w ten sposób zbliżyć się do ciebie. Byłaś córeczką tatusia, byłaś w niego wpatrzona. Żeby zdobyć twoje serce, musiałem najpierw zdobyć jego. Zacząłem pracować w firmie, mając dwadzieścia lat, w naszej filii w RPA. Skończyłem jako jego asystent, ktoś, komu ufał. Helene, ja też podziwiałem twojego ojca. Mimo że mama opowiedziała mi o wszystkim i nie kryła swojej nienawiści do niego, to jednak... Ja go podziwiałem. Był fantastycznym człowiekiem, charyzmatycznym, genialnym przedsiębiorcą.

– Twój ojciec – szepcze Helene.

– Co?

– Był też twoim ojcem.

Edmund waha się.

– Wiem – mówi po chwili. – Ale nigdy tego nie czułem. Zresztą on nie wiedział, kim jestem. Zostałem jego zięciem. Musisz mi uwierzyć, że naprawdę się w tobie zakochałem. To nie była gra z mojej strony. Zemsta była pomysłem matki. Jak tak nie czułem.

– Na czym polegał plan twojej matki? – pyta Helene. Zdażyła już wstać, rusza do drzwi, ale Edmund chwyta jej dłoń.

– Walczyła o honor rodziny. Jeślibyśmy się pobrali i mieli dzieci, rodzina Hirschów dostałaby przysługującą jej część firmy – mówi Edmund.

– Honor rodziny? – powtarza Helene z niedowierzaniem.

– Kocham cię, Helene. A dzieci są zdrowe, nic im nie dolega. Nikt nie musi się o tym dowiedzieć. To będzie nasza tajemnica, twoja i moja. Też kiedyś mnie kochałaś, może znów mnie pokochasz. Jestem gotów zrobić dla ciebie wszystko.

Helene wyswabada dłoń z jego uścisku, wychodzi z łazienki. Dokąd ma uciec tym razem? Słyszy, że Edmund mówi dalej, jego słowa zamieniają się w jej uszach w irytujący szum. Rusza na górę po schodach do sypialni. Edmund wciąż mówi. Opowiada, jak jej szukał, chociaż wiedział, że na pewno wszystkiego się domyśliła. Wtedy, kiedy zniknęła. Caroline pojawiła się na pogrzebie Aksela, nie mogła się powstrzymać. Zemsta się dokonała. Helene zauważyła, jak wymieniają spojrzenia i domyśliła się, że coś ich łączy. Jakaś tajemnica. I nie tylko. Rozpoznała Caroline, chociaż nie potrafiła powiedzieć, gdzie już ją widziała. Szukała w pamięci, aż pewnego dnia to do niej przyszło. Tak jak wszystko inne: bogactwo, mężczyźni, miłość, ale i zły los. Zdjęcie w albumie. Jedno z tych starych, z czasów młodości Aksela, jeszcze sprzed wojny. Czarno-biała fotografia przedstawiała kobietę, która stała nieco na uboczu podczas wodowania statku w porcie w Silkeborgu. Piękną kobietę podobną do Caroline. Spytała Edmunda, kim była starsza pani, która przyszła na pogrzeb, i jak to możliwe, że jest podobna do kobiety na starym zdjęciu w albumie? Edmund wyparł się znajomości z tą kobietą, więc Helene rozpoczęła własne dochodzenie. Zaczęła rozpytywać w hotelu, gdzie zatrzymała się większość gości. Wtedy też poznała nazwisko Hirsch. I szukała dalej, nie poddała się. Tak jak i tym razem dotarła do prawdy, której nie była w stanie unieść.

– Rzeczywiście tak to cię przeraża? – pyta Edmund. – Możemy dalej ze sobą żyć. Nikt nie musi się o niczym dowiedzieć. Usunąłem z albumu stronę ze zdjęciem. Hirsch nie istnieje. To wydarzenia, które nastąpiły, zanim my tu nastaliśmy. Teraz znów jesteśmy razem, wszystko będzie dobrze.

– Nigdy – szepcze Helene. Wchodzi do sypialni, przygląda się swoim ubraniom.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam. – Słyszy głos Caroline. Odwraca się i widzi ją w drzwiach. Nie słyszała, kiedy się tu pojawiła.

– Przyjechała policja.

– Policja? – Edmund jest wyraźnie zdziwiony.

Za plecami Caroline pojawia się dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

– Coś się stało z dziećmi? – pyta Helene.

– Nie – odpowiada starszy z policjantów.

– Więc o co chodzi?

– Helene Söderberg?

Helene robi krok do przodu. Jej pierwsza myśli dotyczy Joachima. Miał wypadek?

- Powtarzam: Helene Söderberg?
 - Wiesz, do cholery, że to moja żona – odzywa się Edmund zły.
 - Musimy zadać to pytanie – tłumaczy starszy policjant.
 - Na czyje polecenie?
 - Prokuratury. Helene Söderberg, jest pani aresztowana.
- Edmund staje przed policjantem.
- Aresztowana? Za co?
 - Za zabójstwo Louise Andersen.

Helene odczuwa ulgę. To cudowne uczucie. Jest z daleka od Edmunda, od tej strasznej prawdy, od dziennikarzy wystających pod komendą w Aarhus, którzy ciągle czekali na okazję, żeby zrobić jej kolejne zdjęcie. Najlepiej w kajdankach. Czy dopiero wtedy byliby zadowoleni?

Rozgląda się po niewielkiej celi. Gołe ściany, jasne światło, za jasne. Słyszy kroki na korytarzu. Znow po nią idą, czekają ją kolejne pytania, ma dosyć. Przecież przyznała się, powiedziała, że jest winna. Teraz jest jej już wszystko jedno. Niech ją zamkną i wyrzucą klucz. Jak długo tu jest? Dwa dni? Nie potrafi powiedzieć. Większą część czasu przespała. Przespała? Nie, zamknęła się w sobie, zniknęła. Gdyby siłą woli mogła nakazać sercu przestać bić, zrobiłaby to.

Policja pobrała jej krew do analizy, a potem odbyło się wstępne przesłuchanie. Edmund był obecny, ale starała się na niego nie patrzeć. Nie chciała też być reprezentowana przez adwokatów Edmunda. Nie słuchała uważnie, co mówił prokurator, a potem sędzia. Zrozumiała jednak, że znaleziono zwłoki Louise Andersen. Policja nadal czekała na ostateczną identyfikację na podstawie uzębienia zmarłej, ale w dziewięćdziesięciu pięciu procentach była to Louise Andersen. Fakt ten zdawał się też potwierdzać medalik na łańcuszku ze zdjęciem małej Louise. Dlatego policja chciała jak najszybciej zatrzymać Helene. Bo to Helene ukradła Louise jej tożsamość, jej dokumenty. To czyniło z niej główną podejrzaną, a ponieważ rodzinie Söderbergów nie brakowało ani pieniędzy, ani możliwości, żeby wpływać na dochodzenie, prokurator zażądał aresztu na czas wstępnego dochodzenia. Policja przeszukała również dom, chociaż Helene nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

Drzwi się otwierają.

– Pójdzie pani ze mną – oświadcza policjant i bierze ją pod rękę. Na zewnątrz czeka drugi policjant. Helene jest posłuszna. Nie ma siły się opierać. Niech robią, co chcą, zdaje się na los. Nie przeszkadzają jej ręce, które ją prowadzą. Najpierw te, ręce wymiaru sprawiedliwości, które poprowadzą ją z sądu do więzienia. Potem, kiedy się zestarzeje, przejmą ją inne ręce, ciepłe, łagodne, które będą przenosić ją z łóżka do kąpieli i z kąpieli do łóżka. I na koniec ręce, które ułożą ją w trumnie. Dopiero wtedy stanie się naprawdę wolna.

Policjanci prowadzą ją korytarzem, a ona myśli o rękach, o Edmundzie i o Caroline. O dzieciach. O wszystkim, co się wydarzyło, i o przerażającej prawdzie, którą poznała. To prawda jest powodem jej amnezji? Czy też utrata pamięci wynikała z tego, że podświadomość chciała chronić ją przed tym strasznym

faktem, że ma dzieci z bratem?

– Proszę usiąść, pani Söderberg – odzywa się policjant.

Helene siada, funkcjonariusz zajmuje miejsce naprzeciwko niej. Szary garnitur pasuje do jego wąsów.

– Możemy mówić sobie po imieniu? – pyta.

Helene wzrusza ramionami. Dziwne pytanie. W tej chwili nie myśli o grzecznościowych formułkach.

– Nazywam się Gregers Sperling – przedstawia się mężczyzna zmęczonym głosem. – Odrzuciłaś pomoc adwokata, Helene.

– Tak.

Gregers taksuje ją wzrokiem, bębni palcami w blat stołu, dźwięk odbija się od gołych ścian. Helene nic nie mówi, patrzy tępym wzrokiem na jego palce. Funkcjonariusz nachyla się nad stołem, ich twarze dzieli teraz zaledwie kilka centymetrów.

– Twierdzisz, że ją zabiłaś. Możesz powiedzieć coś więcej o sobie i o Louise? Jak się poznałyście? Co was łączyło? Dlaczego ją zabiłaś? Jak to się stało, że pojawiłaś się na Bornholmie z jej plecakiem i jej dokumentami?

Helene zastanawia się. Próbuje sobie coś przypomnieć. Nagle wraca wspomnienie. Wspomnienie zapachu. Wanilii?

– Louise używała słodkich perfum.

Tak, pamięta ich zapach. Waha się. Pamięta Louise. Znała ją. Pamięta jej głos, zawsze lekko schrypnięty, i jej śmiech.

– Mieszkałam tam, w tym miejscu – mówi niepewnie.

Przypomina sobie zapach. Wszystko pachniało ziemią. Oprócz Louise. Marzła, przyczołgała się do niej, a ona pozwoliła jej wejść pod swój koc.

– Zabrała mi pieniądze – mówi Helene głosem, który w ogóle nie przypomina jej głosu. – Nie miałam dużo pieniędzy, a ona mi je zabrała. Nazwała mnie rozpieszczoną pannicą z wyższych sfer...

Helene milknie zdziwiona swoją rozmownością. Skąd biorą się te słowa? Czy sobie to wszystko wymyśliła? Czy też są to jej prawdziwe wspomnienia? Nie potrafi powiedzieć. Wie tylko, że jej piękne niewinne dzieci są owocem kazirodczej miłości. Że jej małżeństwo, jej życie miłosne jest oparte na kłamstwie i tajemnicach. Pamięta, jak marzła razem z Louise. Pamięta pieniądze, które zniknęły. Pieniądze, które ukradła jej Louise, a które miały umożliwić jej ucieczkę. Ucieczkę razem z dziećmi? Tak to miało być? Tak. Zastanawiała się, jak sprowadzić do siebie dzieci, jak je chronić, jak zacząć wszystko od nowa w miejscu, gdzie nikt ich nie będzie znał.

– Zabiłam Louise – mówi cicho.

Zamyka oczy.

– Zabiłam Louise – powtarza.

Jest morderczynią. Oszustką, córką potwora, żoną chorego mężczyzny. Sama jest bestią, wydała na świat niewinne stworzenia, owoce chorego związku. Teraz okazało się, że jest też morderczynią. Nie ma już żadnych wątpliwości. Patrzy na swoje ręce, jakby jej życie dawało się wyczytać z jej spoconych dłoni. Z tego labiryntu linii. Która z nich pokazuje, że wkroczy na drogę przestępstwa?

– Tak twierdzisz, ale czy możesz opowiedzieć dokładniej, jak to się stało?

Helene ponownie zamyka oczy. Szuka w pamięci właściwego wspomnienia. Ciemność, desperacja. Wściekłość. Louise obiecała jej pomoc, a teraz...

– Znalazłam nóż pod materacem – mówi. – Zaczekałam, aż wróci. Wszystko zaplanowałam, wiedziałam, że wróci z mnóstwem gotówki, dobrze zarabiała. I wróciła, chciałam ją dźgnąć...

Helene szuka. Szuka obrazu, sceny. Gdzie czekała w ciemności? Stała tuż przy drzwiach. Gotowa wbić nóż w plecy Louise.

– Między łopatki a żebra – mówi. – Prosto w serce.

Obraz jest bardzo wyraźny. Ale co było potem? Jak długo czekała?

– Louise wróciła, a ja zadałam jej cios. Pchnęłam ją nożem, z całej siły. Trafiłam między żebra.

Ma przed oczami całą scenę. Nóż wszedł w ciało Louise, stał w ludzkim ciele. Wyjęła go i zadała kolejny cios, a potem jeszcze jeden.

– Potrzebowałam jej tożsamości i jej pieniędzy. Dlatego to zrobiłam.

Milknie, oddycha ciężko. Czuje się przytłoczona własnymi słowami. Słowami, które zamieniają się w obrazy. Tak, teraz wszystko sobie przypomina.

– Co zrobiłaś potem? – pyta Sperling spokojnie.

Helene też się uspokaja. Po raz pierwszy od tamtego feralnego dnia w kawiarni na Christiansø, gdzie Edmund ją rozpoznał, jest spokojna. Jest morderczynią. Pójdzie do więzienia. Wie, co zrobiła.

– Ukryłam zwłoki. Dobrze je ukryłam.

– Gdzie?

Znów szuka w pamięci, w najciemniejszych zakamarkach. Przerazające obrazy. Martwe ciało, krew, dużo krwi, tyle śladów po nożu. Gdzie ukryła zwłoki? Zaczyna płakać. Nie ma pojęcia, skąd te łzy.

– Bo widzisz, Louise nie umarła tak, jak to opisujesz – mówi policjant.

– Ale... – Helene patrzy na niego zagubiona.

– Louise Andersen nie została pchnięta nożem. Poza tym po śmierci zdjęto z niej skórę.

– Tak! – krzyczy Helene. – Już sobie przypominałam. Tak właśnie zrobiłam. Uderzyłam ją. Skóra. Wcześniej zdarłam z niej skórę – mówi Helene. Czuje nasilające się mdłości.

– Chciałaś, żeby nie można było jej zidentyfikować?

Helene nie rozumie pytania, ale kiwa głową.

- Tak.
- Żeby móc się za nią podać?
- Tak.

Sperling kręci głową.

– Co zrobiłaś z ciałem, Helene? Po tym jak zdjęłaś z Louise skórę.

– Nie mogę sobie przypomnieć, wszystko jest jakby za mgłą. Ale zrobiłam to. Musicie dać mi trochę czasu – mówi zdesperowana.

– Chcesz, żebym uwierzył, że to ty zabiłaś Louise? – pyta funkcjonariusz szczerze zdziwiony.

– Zrobiłam to. Zamordowałam Louise – powtarza Helene mocnym głosem. Jedno spojrzenie na policjanta wystarcza, żeby wiedziała, że jej nie wierzy.

W końcu światło w areszcie gaśnie i Helene zostaje sama. Bez Joachima. Jedyne, co jej się w życiu przytrafiło dobrego, to Joachim, a ona od niego odeszła. Teraz pozostaje jej tylko ciemność. Jak wtedy. Ciemność jest przyjacielem, tylko nikt tego nie rozumie. Nikt nie wie, jak to jest, kiedy ciemność jest jedynym przyjacielem.

– Pani Söderberg?

Czyjś głos. Z zewnątrz. I to nazwisko. Söderberg. Nie będzie na nie reagować.

– Przyszedł pani mąż.

– Chcę być sama. Nie chcę, żeby dzisiaj ktoś jeszcze mi przeszkadzał – mówi. Jest zła. Krzyczy. – Idźcie stąd!

Żadnej reakcji. A po chwili odgłos oddalających się kroków. Nareszcie. Sama. Nie chce nikogo widzieć. Już nigdy.

*

Zostaje wprowadzona do sali odwiedzin. Sperling nalegał i w końcu się zgodziła. Zagroził, że jeśli nie spotka się z rodziną, każe przenieść ją na zamknięty oddział psychiatryczny. A tego Helene nie chce. Chce być sądzona i zostać skazana, jak wszyscy. Chce ukryć się w więzieniu, na zawsze. Straciła poczucie czasu. Jest wieczór czy rano? Spogląda w okno, jasne światło poszatowane przez kraty wpada do pokoju jasnymi kreskami. Jak długo tu jest? Pamięta, że dwa, może trzy razy proponowano jej śniadanie. Pamięta, że odmówiła. Rozgląda się. W pomieszczeniu stoją małe kwadratowe stoliki. Podłoga jest przykryta szarym linoleum. Gdyby nie kraty w oknach i uzbrojone w alarm drzwi, można by pomyśleć, że to szkolna klasa.

– Usiądź – zwraca się do niej policjantka.

Po chwili drzwi się otwierają i do środka wchodzi Edmund. Za nim stoi Caroline. Uśmiecha się do niej niepewnie. Niemal z miłością. Dlaczego Edmund wziął ją ze sobą? Czy tak naprawdę to Caroline decyduje o wszystkim, co Edmund robi i mówi?

– Wyciągniemy cię stąd, Helene – odzywa się Edmund. Siada na krześle, wyciąga do niej rękę. – Nie musisz się martwić. Odwołaliśmy się od nakazu aresztu. Policja nie ma podstaw, żeby cię tu trzymać. Adwokatka też tak uważa.

– Adwokatka? – Helene patrzy zdezorientowana na bladą twarz Edmunda, szybko spuszcza wzrok, znów czuje mdłości, przybierają na sile. Mam dzieci ze

swoim bratem.

– Jest najlepszym obrońcą w kraju. Pracuje już nad sprawą. Właśnie rozmawia z policją, potem przyjdzie do ciebie. Niewiarygodne, że przesłuchiwali cię bez adwokata. To się już nie powtórzy – Edmund mówi głośno, jest zdenerwowany. – Sprawa wydaje się prosta. Nie ma świadków. Jedyne, co mają, to jej plecak, który ty znalazłaś. Ale wtedy nie byłaś sobą, nie mogą ukarać cię za to, że byłaś chora. Mogą co najwyżej skazać cię na leczenie, ale adwokatka nie sądzi, żeby do tego doszło.

– Edmundzie – przerywa mu Helene spokojnie. – Nie jestem chora umyślowo. Nigdy nie byłam. Wszystko pamiętam. Zabiłam Louise. Nie potrzebuję obrońcy. Pójdę do więzienia. A ty, proszę, idź już stąd.

– W tym, co mówisz, nie ma żadnej logiki – rzuca. Słysząc, że bardzo chce ją przekonać. – Nie jesteś sobą. To skutek szoku. Oczywiście, że nie pójdziesz do więzienia. Pomyśl o dzieciach, tęsknią za tobą.

Jego ręce nadal leżą na stoliku. Może je chwycić. I nagle pojawia się kolejne wspomnienie, bardzo wyraźne: wspomnienie letniego dnia. Ciepłe powietrze na jej skórze, leży na plecach w miękkiej trawie. Jest wczesny ranek, ziemia wciąż jeszcze jest wilgotna, paruje. To jej pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Dlaczego akurat teraz przypomniał się jej ten dzień? Edmund wstaje. Mówi coś o adwokatce, obiecuje, że wkrótce wróci. Drzwi otwierają się, żeby po chwili znów się zamknąć. Helene zostaje sama ze swoimi myślami. Wygląda przez okno. Do wieczora jeszcze daleko.

– Helene?

Podnosi głowę. Patrzy na Caroline i zastanawia się, jak długo ta kobieta tu siedzi.

– Nie mamy dużo czasu, Edmund na pewno zaraz wróci – odzywa się starsza pani. Siedzi wyprostowana, na kolanach trzyma torebkę, opiera na niej rękę.

– Czego chcesz?

– Chyba wiem, jak się czujesz.

– Nie, nie wiesz.

– Owszem, wiem – mówi Caroline i patrzy na nią ze współczuciem. – Pamiętam, kiedy byłam w ciąży. Ojcem mojego dziecka był potwór. Potwór, który zabił mojego ojca.

– Ale przecież nie zrobiłaś tego pod przymusem.

– Ty też nie. Bardzo kochałaś mojego syna.

– Jest różnica.

– Owszem, jest. Mój ojciec, William Hirsch, stworzył tę firmę. A twój ojciec zachowywał się tak, jakby to on był jej założycielem. Teraz mój syn, Edmund, ma zapewnione miejsce w jej zarządzie, co mu się zgodnie z prawem należy. Wasze dzieci są dowodem na to, że obie rodziny w końcu się pojednały. Wszystko jest

w porządku, Helene. Tak powinno być. Jedynym problemem jesteś ty.

Helene siedzi na krześle, czuje się zagubiona. Sekundy mijają, a ona nie wie, co powiedzieć.

– Słyszysz mnie? – Głos Caroline przywołuje ją do rzeczywistości.

– Co masz na myśli?

– Nigdy nie powinnaś się była urodzić. Wtedy nie byłoby problemu. Edmund jest pierworodnym synem twojego ojca. To wszystko jest nasze. Należy do Hirschów. Rozumiesz mnie?

– Więc co mam zrobić? – pyta Helene.

Caroline patrzy na nią, w jej spojrzeniu jest dziwna tkliwość.

– Jest coś, co możesz zrobić. Tylko ty – mówi powoli, zerka przez ramię, patrzy na drzwi. Po chwili pochyla się nad stolikiem, kładzie rękę na torebce.

– Kiedyś przechodziłam dokładnie to samo, co ty teraz – szepcze. – Byłam zrozpaczona, przekonana, że jedynie moje zniknięcie może rozwiązać problem. – Otwiera torebkę, wsuwa do niej rękę, potem ją wyjmuje, kładzie na stoliku. W zaciśniętej dłoni coś trzyma. – Miałam wtedy przyjaciela, lekarza. Doskonale rozumiał moją sytuację, tak jak ja rozumiem twoją.

Nagle jej głos cichnie. W pokoju zapada cisza. Twarz Caroline się zmieniła, jest bardziej wyrazista, wzrok ma bardziej skupiony. Dłoń nadal jest zaciśnięta. Dłoń starej kobiety. Delikatna, pomarszczona skóra. Caroline odchrząkuje i mówi dalej.

– Mój przyjaciel lekarz dał mi wtedy coś... Rozumiał mnie... Chowałam to przez wiele lat. Było moją gwarancją. Świadomość, że to mam, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Ale potem uznałam, że to jednak nie jest właściwe rozwiązanie. Bo przecież problem nie tkwił we mnie. Rozumiesz, Helene? To nie było rozwiązaniem mojego problemu. Nie ja miałam się tym posłużyć.

Caroline odwraca dłoń, prostuje palce. Helene wpatruje się w maleńką, jasną tabletkę, która leży na dłoni Caroline. Upuszcza tabletkę na stół. Szybko cofa rękę i zamyka torebkę.

– Był lekarzem, znał się na takich rzeczach. Zapewniał mnie, że wszystko odbędzie się bezboleśnie. Był dobrym człowiekiem, Helene. Kimś, komu można było powierzyć życie. Rozumiesz mnie?

Helene kiwa głową i zaczyna drżeć. Jak zahipnotyzowana wpatruje się w leżącą przed nią tabletkę. Słyszy, jak Caroline idzie do drzwi. Po chwili się odwraca.

– Wszystko zależy od ciebie – mówi. – Teraz masz szansę. Adwokatka będzie żądała zwolnienia za kaucją. A jest dobra. Najlepsza. Teraz jesteś sama, sama podejmujesz decyzje.

Wcisną guzik, drzwi się otwierają.

Rękę Helene puszczają blat stolika, jej dłoń unosi się nad nim, nad tabletką,

zamyka się na niej.

Joachim stoi w recepcji, policjant przygląda mu się niechętnym wzrokiem.

– Helene Söderberg nie życzy sobie wizyt – mówi.

– To bardzo ważne – nalega Joachim. – Muszę się z nią zobaczyć.

– Poza tym nie należy pan do rodziny, nie widzę nigdzie pana nazwiska.

– Ale to on zadzwonił i prosił, żebym przyszedł. Jak on się nazywa?

Gregor... jakoś tak. Z wydziału zabójstw. Na pewno go znasz. Przyjechał do Aarhus właśnie z powodu tej sprawy.

Policjant nie reaguje. Po sposobie, w jaki na niego patrzy, widać, że zwykł trzymać ludzi na dystans. Jest gotów sterczeć tu trzy dni, byle nie dopuścić do spotkania Joachima z Helene.

– Muszę się z nią zobaczyć – powtarza Joachim, tym razem nieco głośniej. Nie może się opanować. Od czasu znalezienia zwłok minęło już kilka dni, a on nadal ma przed oczami widok zmaltretowanej kobiety. Kiedy zasypia, śnią mu się koszmary, nawet we śnie widzi ciała. Został przesłuchany. Tłumaczył policji, co się stało. Mówił o podstawce z reklamą campari, o numerze telefonu, Gormie, prostytutkach, łaźni parowej i torturach w piwnicy pełnej dziwnych narzędzi i plam krwi. Powtarzał tę historię kilka razy, to samo od początku. Na pewno chodziło o campari? Spotkałeś się z nim w łaźni parowej? Skąd znasz Gorma? Te same pytania powtarzane tysiące razy. Był bliski szaleństwa. W pewnym momencie zrozumiał, że on też jest podejrzany.

Kiedy w końcu pozwolono mu iść, dowiedział się, że policja aresztowała Helene. Wiadomość tylko pogorszyła sytuację. Całe dni spędzał w swoim małym mieszkaniu, mając bezustannie przed oczami zwłoki na dnie pieca. Czuł dziwny smutek. Niemal żalobę. Nie znał jej, tej Louise Andersen, ale kiedy siedział w mieszkaniu i pił tanie wino, zdarzało się, że czasem nie był w stanie ich rozróżnić. Helene i Louise. Dla niego była to ta sama kobieta. Ciało, które znalazł, mogło równie dobrze być ciałem Helene. Może dlatego teraz krzyczy. Musi zobaczyć się z Helene. Chociażby po to, żeby upewnić się, że jego Helene żyje. Że oddycha, że jej skóra jest cała. Pragnie poczuć jej zapach.

– Dzwoniliście do mnie rano – tłumaczy, starając się nie okazywać niepokoju. – Dzwonił Sperling, czy jak mu tam. Powiedział, że mam natychmiast przyjść.

Myśli Joachima znów wędrują do Helene. Wyobraża sobie, jak siedzi sama w celi, nieszczęśliwa, przestraszona. Na pewno ucieszy się na jego widok. Pragnie jej pomóc. Wie, że jest niewinna. Wie, że go teraz potrzebuje, lecz policjant

w recepcji nie poddaje się. Nawet na niego nie patrzy. Skupiony wpatruje się w ekran komputera, najwyraźniej uznał rozmowę za skończoną. Próbuje ignorować Joachima, który nie rusza się z miejsca. Nagle Joachim zaczyna wrzeszczeć. Wykrzykuje cały swój smutek, złość, strach i poczucie winy. Ludzie wokół patrzą na niego przerażeni. Stojący obok drzwi strażnik rusza biegiem w jego stronę.

– Nie! – krzyczy Joachim.

Strażnik chwyta jego ręce od tyłu. Kładzie go na podłogę. Ale jemu jest wszystko jedno. W jego głowie kielkuje nowy plan. Postanawia zrobić wszystko, żeby trafić do więzienia. W ten sposób będzie bliżej Helene. Może dostanie sąsiednią celę? Wtedy będą mogli porozumiewać się przez ścianę. Jak w amerykańskich filmach.

– Puść go.

Joachim podnosi głowę. Widzi mężczyznę: stanowczy, z wąsami, w szarym garniturze. Szary to kolor powagi. Joachim przypomina sobie, że to właśnie ten mężczyzna przesłuchiwał go w Kopenhadze.

– To ja kazałem mu przyjść – mówi Sperling, kładąc rękę na ramieniu jednego z funkcjonariuszy.

*

Sperling rusza korytarzem, Joachim idzie za nim. Skręcają kilka razy, przechodzą przez drzwi, bramki, w końcu docierają do aresztu. Sperling odwraca się do Joachima.

– Możecie spędzić chwilę sami, ale potem chcę z tobą porozmawiać. Coś mi tu nie pasuje. Być może tobie uda się skłonić ją do mówienia.

Joachim kiwa głową. Widzi, jak otwierają się drzwi, czuje, jak powraca nadzieja. Powraca też tęsknota, która ostatnio go rozdziera. Nareszcie zobaczy Helene. Wchodzi do celi i się zatrzymuje. Helene leży na podłodze. Twarz na zwróconą do dołu, jej jasne włosy są rozsypane. Jedna ręka jest dziwnie wykręcona nad głową, druga przygnieciona ciałem, nogi ma podciągnięte.

– Helene?

Joachim klęka obok niej, dotyka jej ramienia, odwraca ją ostrożnie, chce zobaczyć jej twarz. Ciało Helene jest zimne. Unosi jej głowę, kładzie ją sobie na kolanach. Helene jest bezwładna, ciężka. Bez życia.

– Helene? Ratunku! – krzyczy i słyszy, jak Sperling wchodzi do celi.

– Co się dzieje?

– Nie oddycha! – krzyczy Joachim łamiącym się głosem. Pochyla się nad twarzą Helene, przykładą ucho do jej ust. Nie czuje, żeby oddychała. Sperling jest spokojny. Przykłada dwa palce do nadgarstka Helene, próbuje wyczuć tętno. Wstaje, wybiega na korytarz, woła o pomoc. Joachim kładzie bezwładne ciało Helene na podłodze, klęka obok niej. Helene nie może umrzeć. Nie wolno jej,

powtarza sobie w głowie. Pochyla się, przykładła usta do jej ust, próbuje dać jej swój oddech. Prostuje się, szuka miejsca na klatce piersiowej, uciska, mocno, regularnie, pięć razy, liczyi znów tłoczy powietrze, uciska klatkę piersiową. Tłoczy, uciska, tłoczy. I nic. Ciało pozostaje bezwładne. Ciało jego kochanej promiennej Louise. Helene. Louise. Helene. Nie wolno jej umrzeć. Wystarczy, że prawdziwa Louise nie żyje. Helene nie może umrzeć, nie wolno jej zniknąć. Wdmuchuje powietrze w jej usta, wdmuchuje życie, swoje nadzieje, swoją miłość. Nagle czuje, że ktoś chwyta go od tyłu, silne ręce odciągają go od niej, inne ręce wyciągają się nad jego głową, dotykają Helene. Białe fartuchy, nosze. Joachim krzyczy, walczy. To wszystko jego wina. To on znalazł zwłoki Louise, i zabił Helene. To on jest wszystkiemu winny, dawno powinien odpuścić sobie wszystko, zostawić Helene w spokoju. Patrzy na jej bezwładne, pozbawione życia ciało, które podskakuje za każdym razem, kiedy przechodzi przez nie prąd. Dwaj ratownicy układają Helene na noszach, przebiegają obok niego, poważni, milczący. Nosze znikają w głębi korytarza. Joachim osuwa się na podłogę, nogi nie chcą go nieść. Helene już nie ma.

Joachim nie może jechać z nią karetką. Słyszy, jak drzwi się zamykają, karetka odjeżdża, ale dźwięk syreny długo jeszcze dźwięczy mu w uszach. Podjeżdża taksówka, wsiada, kładzie rękę na klamce, ściska ją kurczowo przez całą drogę do szpitala. Podaje kierowcy kartę kredytową. Wyskakuje z wozu, wbiega głównym wejściem, zatrzymuje pierwszą osobę w białym fartuchu. Oddział nagłych wypadków? Jak to się nazywa? Traumatologia, oddział ratunkowy? Pielęgniarka próbuje go uspokoić, czuje jej dłoń na swoim ramieniu. przywykła do sytuacji, kiedy narzeczeni, mężowie, żony, rodzice i rodzeństwo wbiegają do holu. Ludzie, którzy za chwilę mogą stracić wszystko – szpital to katedra straty, kościół dla przegranych. Jeśli ma się szczęście, myśli Joachim – wbiega do windy, wciska na oślep guziki – jeśli ma się szczęście, strata nie jest wielka. Czasem traci się wyrostek, pierś, kilka uderzeń serca. Oby tak właśnie było w przypadku Helene. Niech straci kilka uderzeń serca, niech poświęci kilka oddechów, ale nie za dużo. Nie za dużo, szepcze Joachim i wciska guzik. Wie, że niczego w ten sposób nie przyspieszy, ale nie potrafi się powstrzymać, wciska ponownie, aż w końcu drzwi się zamykają. Nagle zerka na swoje paznokcie. Są brudne. Wracają wspomnienia, okropne sceny nie dają mu spokoju. Zastygła krew, podłoga w pokoju tortur.

– Zaczekaj!

Ktoś wkłada nogę między drzwi, zatrzymuje je. Do windy wsiada mężczyzna, ma ziemistą cerę, ciężkie, spuchnięte powieki, przekrwione oczy. Wygląda, jakby od kilku dni nie spał. Koszula, którą ma na sobie, jest pognieciona i krzywo zapięta. Gdyby nie to, że wzdryga się na widok Joachima, Joachim pewnie by go nie rozpoznał. Tego mężczyzny. Edmunda.

– Wejdz, do cholery, żeby drzwi mogły się zamknąć – syczy Joachim i wciska jakiś guzik.

To oczywiste, że Edmund tu jest. Nikt nie może mu tego zabronić. Nawet jeśli Joachimowi bardzo się to nie podoba, Helene jest żoną Edmunda. Joachim zaciska pięści, szybko jednak odzyskuje nad sobą kontrolę. Patrzy na cyfry, które wyświetlają się nad drzwiami windy, zmieniają się wraz z piętrami. Nareszcie. Szybko wychodzi z windy, podchodzi do okienka w szklanej ścianie, próbuje zignorować odgłos kroków Edmunda. Nieco dalej, w głębi, obok sali operacyjnej, spostrzega funkcjonariusza. Stoi na straży?

– Słucham? – Pielęgniarka jest miła, zwraca się do niego spokojnym głosem.

– Helene Söderberg – mówi Joachim głośno. – Właśnie została tu przywieziona.

Za nim stoi Edmund, odchrząkuje, ale nie odzywa się. Pielęgniarka sprawdza coś na ekranie komputera, marszczy brwi, czyta w skupieniu. Co takiego zdążyli tam zapisać w ciągu piętnastu, może dwudziestu minut, zastanawia się Joachim.

– Pan jest jej mężem? – pyta pielęgniarka, nie podnosząc głowy znad komputera.

Joachim się kuli. Edmund podchodzi bliżej, przepycha się przed niego.

– Edmund Söderberg, to ja jestem mężem Helene – mówi, próbując zachować spokój.

Pielęgniarka wychyla się na bok, patrzy Joachimowi w oczy.

– A pan, kim pan jest dla pacjentki?

– To ją znalazłem – informuje Joachim.

Ma ochotę dodać coś więcej. Że znalazł ją dwa lata temu, zobaczył, jak stała w głębi zatłoczonej kawiarni, uchwycił jej spojrzenie, i odkrył miłość.

Teraz nie wie, co ze sobą zrobić. Nie chce siadać obok Edmunda. Staje pod ścianą kilka metrów dalej. Czas mija powoli. Długie, bolesne minuty. W końcu drzwi się otwierają, wychodzi lekarz. Chudy, poważny mężczyzna w zielonym fartuchu, na szyi ma zawieszoną maseczkę. Przedstawia się. Doktor Ramussen. Ordynator. Podaje rękę Edmundowi, kiwa głową w stronę Joachima, który nadal stoi pod ścianą.

– Wyjdzie z tego. Ma mocny organizm, przeżyje.

Joachim czuje ulgę, ukrywa twarz w dłoniach, słyszy, jak lekarz tłumaczy Edmundowi, że Helene przeszła płukanie żołądka, wspomina coś o zatruciu, mówi, że dostała zastrzyk adrenaliny w serce i że rzadko dochodzi do zmian w mózgu, jeśli akcja ratunkowa zostanie podjęta szybko. Tętno wróciło już w karetce... Joachim przestaje słuchać. Siada, musi to wszystko przetrwać. Najważniejsze, że Helene żyje.

– Mogę ją zobaczyć? – odzywa się Edmund.

– Są z nią lekarze, wykonujemy różne badania. Ale nie ma zagrożenia życia, to w tej chwili najważniejsze – uspokaja ordynator.

– Co jej się stało? – pyta Joachim schrypnięty.

Edmund reaguje na dźwięk jego głosu, najwyraźniej zapomniał o jego obecności. Lekarz patrzy to na jednego, to na drugiego, waha się, w końcu odpowiada:

– Oddamy krew do analizy, ale sądząc po źrenicach, pewnie wzięła jakąś truciznę. A może przedawkowała paracetamol. Za wcześnie o tym mówić.

– Samobójstwo? – Joachim jest zdziwiony.

– Jak już powiedziałem, na razie nie wypowiadam się na ten temat – ucina szorstko lekarz.

– Tylko skąd miała tabletki? – dziwi jest Joachim. – Była w areszcie. Od kogo je dostała?

Edmund odwraca się, patrzy na niego wściekły.

– Nie wtrącaj się – warczy. – A w ogóle to co ty tu robisz? – pyta, po czym znów zwraca się do lekarza: – Przepraszam. Kiedy będziecie wiedzieć coś więcej i kiedy będę mógł zobaczyć żonę?

– Myślę, że wkrótce. Musimy ją ustabilizować i przeprowadzić jeszcze kilka badań. Proszę tu poczekać. Ktoś po pana przyjdzie.

Lekarz ściska Edmundowi dłoń, Joachim musi się zadowolić skinieniem głowy, tak jak przy powitaniu. Po chwili lekarz odchodzi, wzywają go obowiązki. W Joachimie narasta fala gniewu, którego nie jest w stanie opanować. Czuje go już od jakiegoś czasu, ale do tej pory gniew przyćmiewał uczucie niepokoju o zdrowie Helene, teraz jednak nie może już nad nim zapanować.

– Co tu się dzieje? Dlaczego Helene wzięła te tabletki, skąd je miała? – wyrzuca z siebie.

Edmund odwraca się w jego stronę, stoją teraz naprzeciwko siebie. Edmund jest spokojny, Joachim coraz bardziej wściekły.

– Co jej zrobiłeś? – cedzi przez zęby. Walczy ze sobą, chociaż najchętniej rzuciłby się na Edmunda i roztrzaskał mu głowę. Tak od wieków załatwiali sprawy mężczyźni rywalizujący o względy kobiety.

– To ty znalazłeś zwłoki Louise – mówi Edmund. – Gdybyś trzymał się z daleka, nigdy by do tego nie doszło. Dlaczego nie zostawisz Helene w spokoju?

Joachim patrzy na wysokiego mężczyznę o ciemnych włosach. Słucha jego spokojnego, wyważonego głosu. Cofa się, stoi chwilę, czuje ciężar porażki. Edmund ma rację. Ale Joachim nie jest już panem siebie, nie potrafi się powstrzymać, zamachuje się i trafia Edmunda w głowę, tuż nad skronią. Jeden silny cios. Cios, który nosił w sobie już od dawna, od chwili, kiedy spotkał się z Gormem w Hareskoven, a nawet wcześniej, od dnia, kiedy Edmund wkroczył do kawiarni na Christiansø i zniszczył mu życie. Kolejny cios, który wymierza Edmundowi, nosił w sobie niemal równie długo, od dnia, w którym znalazł się w dusznym pokoju Miss Daisy. Wciąż pamięta tamten ból i upokorzenie.

– Przestań! – krzyczy Edmund, ale Joachim nie potrafi, teraz już nic nie jest w stanie go powstrzymać. Celuje głową w twarz Edmunda, trafia go w szczękę, słyszy, jak dolne zęby Edmunda uderzają o górne. Edmund mu oddaje, trafia go pięścią w ucho. Przez moment Joachim słyszy jedynie buczenie telewizora, dźwięk, który pamięta z dawnych czasów, kiedy kończył się program, a on nie wyłączył odbiornika. Próbuje skupić się na dźwięku, ale nagle spogląda na Edmunda. Krew. Dobrze. W tym momencie ktoś chwyta go mocno od tyłu, niemal podnosi do góry.

– Co tu się dzieje! – woła mężczyzna, który trzyma go za ramię. Lekarz. Lekarz Helene. Rasmussen? Milczenie. Joachim patrzy na Edmunda. Widzi jego zakrwawioną wargę.

– Zajmiesz się nim? – zwraca się lekarz do jednej z pielęgniarek, wskazując

głową na zakrwawionego Edmunda.

Podchodzą strażnicy, silni, potężnie zbudowani mężczyźni, gotowi w każdej chwili interweniować.

– Uspokoił się panowie? – W głosie lekarza słychać gniew. – Tu jest szpital. Dwadzieścia metrów dalej leżą dzieci, które umierają na raka! – mówi, pozwala słowom zawisnąć w powietrzu. Joachim spuszcza wzrok, mija kilka długich wstydliwych sekund.

– Helene odzyskała przytomność – odzywa się lekarz po chwili, kiedy wszyscy już nieco ochłonęli. – Chce rozmawiać z tobą – patrzy na Joachima.

Tylko na niego.

– Przecież to ja jestem jej mężem – odzywa się Edmund.

– Wiem, ale podkreśliła to bardzo stanowczo.

Lekarz puszcza Joachima, idzie do drzwi, otwiera je i przytrzymuje.

Wygląda, jakby wracał z wojny. To pierwsze, co przychodzi jej na myśl, kiedy Joachim staje w drzwiach. Krew na ubraniu, na twarzy. Nigdy nie widziała, żeby miał włosy w takim nieładzie. Są brudne, sterczą na wszystkie strony. To naprawdę on? Helene śledzi wzrokiem jego kroki, widzi, jak ostrożnie zbliża się do łóżka, staje obok, przesuwa dłonią po kołdrze. Namiastka dotyku, jej twarz się rozluźnia.

– Zaczęłeś pisać? – szepcze. Joachim uśmiecha się. Teraz go poznaje. Po uśmiechu.

– Żyjesz – mówi Joachim i siada na krześle przy łóżku.

– Wolałabym, żebyś mnie nie znalazł.

– Nie wolno ci tak mówić.

– Chciałabym nie żyć.

Joachim wstaje, bierze jej twarz w swoje dłonie. Całuje ją. Ma łzy w oczach. Wraca na krzesło. Milczenie między nimi wypełniają szpitalne dźwięki. Szum maszyn podtrzymujących ludzkie życie. Ilu z nich wolałoby umrzeć, zastanawia się Helene. Tak jak ona.

– Sprzedałeś naszą historię – mówi. Nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego właśnie teraz o tym pomyślała, ale czuje, jak łzy napływają jej do oczu. Jedyne w jej życiu, co było naprawdę piękne i czyste.

– Co?

– Edmund pokazał mi umowę...

Joachim przerywa jej.

– Przestań. To nie tak.

Przysuwa się bliżej i zaczyna mówić. Tak szybko, że Helene z trudem za nim nadąża. Opowiada, jak znalazł Louise. I o nieszczęsnych młodych dziewczynach, prostytutkach, które ryzykują życie, o piwnicy, o tym, do czego były mu potrzebne pieniądze, o żelaznych kółkach na ścianie, hakach, torebce, piecu. O Louise.

– Dlaczego? – pyta Helene.

– Co dlaczego?

– Dlaczego to wszystko robisz?

– Bo cię kocham – odpowiada Joachim, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie, jakby spytała go, ile jest dwa plus dwa. – Poza tym wiem, że jej nie zabiłaś – dodaje. – Ty nie potrafiłabyś skrzywdzić nawet muchy. Więc dlaczego się przyznałaś? – Patrzy na nią i czeka.

Helene milczy. Ale on się upiera. Może powinna mu powiedzieć? Prawdę,

nawet tę najstraszniejszą. Bierze oddech. Początkowo mówi z wahaniem, powoli, kilka razy przerywa. Potem słowa płyną swobodnie. Opowiada o wszystkich okropnych rzeczach związanych z Edmundem i Caroline, i dziećmi. O kazirodztwie, wstydlivych tajemnicach rodu Söderbergów. Kiedy dociera do końca, waha się. Mimo to postanawia wyznać mu wszystko. Joachim powinien wiedzieć. Powinien wiedzieć, że kobieta, którą – jak sądził – zna, okazała się morderczynią. Helene wie, że to zapewne oznacza koniec ich związku. A jednak mówi mu to. Mówi, że pamięta Louise i że to ona ją zabiła. Co prawda, nie pamięta szczegółów, ale to tylko kwestia czasu.

– Wraca mi pamięć. Powoli, po kawałku, ale w końcu wróci wszystko, jestem tego pewna – dodaje cicho.

Joachim przygląda się jej. Kiedy mówiła, wsunął rękę pod kołdrę, teraz ściska delikatnie jej dłoń. Helene jest zdezorientowana. Dlaczego nie odszedł? Czekaj na jego reakcję: pogardę, obrzydzenie. Ale Joachim wygląda, jakby po prostu się zamyślił. I to wszystko. W końcu się odzywa:

– Od dwudziestu pięciu lat wymyślam najróżniejsze historie, żyję z tego, jednak nic nie może równać się kłamstwom i przemilczeniom, które rodziny niekiedy ukrywają przez wieki.

Helene patrzy na niego, jest zmieszana. Joachim milknie, jego oczy robią się ciemne, ściska jej dłoń.

– Nie jesteś morderczynią – mówi. – Nie zabiłaś Louise Andersen.

Helene próbuje wyswobodzić rękę.

– Wiem, że jesteś tym wszystkim przytłoczony, ale Louise nie żyje i to ja ją zabiłam. Nie jestem taka, jak myślałeś. Nigdy mnie naprawdę nie poznałeś. Nikt mnie naprawdę nie poznał. Wszystko było kłamstwem.

– Jedyne, co nie było kłamstwem, to my. Ty i ja – mówi Joachim. – W całej tej historii tylko nasze uczucie jest prawdziwe. Znam cię, wiem, że nikogo nie zabiłaś. Nie mogłabyś, jesteś najbardziej wrażliwym człowiekiem, jakiego znam. Czujesz ból innych, współczujesz nawet pajakowi. Nie zabijasz go, nie rozcierasz na miazgę, jak inni, tylko bierzesz kieliszek, chwytasz go w niego i wystawiasz ostrożnie na zewnątrz, a zanim znów zamkniesz okno, sprawdzasz, czy jest już bezpieczny. Nie jesteś morderczynią, Helene. Znam cię, więc wiem.

– Nie – mówi Helene.

– Co: nie?

– Pracownicy, ludzie w firmie.

– Co z nimi?

– Nienawidzą mnie. Helene Söderberg to zimna suka, której ludzie się boją. Nie jestem taka, jak myślisz.

Joachim się uśmiecha.

– Z ludźmi jest podobnie jak z kwiatami – mówi po chwili, ale Helene nie

chce go już słuchać. Chce spać, przestać o wszystkim myśleć, zasłania uszy dłońmi.

– Helene, posłuchaj mnie, proszę – szepcze Joachim. Bierze jej dłonie, zmusza, żeby go wysłuchała. – Ludzie tak samo jak kwiaty muszą znaleźć miejsce, w którym będą mogły rosnąć. Musimy szukać towarzystwa ludzi, którzy wydobędą z nas to, co w nas najlepsze – szepcze jej tuż przy uchu.

– Nie. – Helene zaczyna płakać.

– Tak – powtarza Joachim łagodnie, jakby odmawiał pacierz. – Trzeba znaleźć sobie miejsce, które pozwoli nam się rozwinąć, i ludzi, którzy będą nas wspierać. – Helene czuje jego dłoń, słyszy, jak mówi, że zanim ją spotkał, był okropnym człowiekiem.

– Sami jesteśmy niczym. Tworzymy siebie dopiero, kiedy jesteśmy z drugim człowiekiem – ciągnie. Twierdzi, że dotyczy to wszystkich procesów życiowych, wdaje się w długi wywód o tym, jak na przykład gliceryna sama w sobie nie jest szkodliwa, jest rodzajem alkoholu o słodkim smaku, który dodaje się do produktów spożywczych, ale kiedy połączy się ją z kwasem solnym, zamienia się w dynamit. Bum! – dodaje na wszelki wypadek, jakby Helene nie wiedziała, co to jest dynamit, a ona uśmiecha się, po raz pierwszy od tysiąca lat. Już niemal zapomniała, jak funkcjonują mięśnie twarzy odpowiedzialne za uśmiech. Nagle płacze, nie wie dlaczego, ale płacze tak, że nie może przestać. A Joachim wciąż mówi, jego wiara w moc słowa jest niezniszczalna. Tylko że Helene pamięta Louise. Pamięta, jaka była zła, kiedy zniknęły pieniądze.

– Jest tyle rzeczy, o których nie wiesz.

– Nie ja, ty – stwierdza Joachim stanowczo. – To ja znalazłem zwłoki Louise. Prawdę mówiąc, to moja wina, że zostałaś aresztowana, bo to ja podążyłem tropem, który według policji prowadzi do ciebie. Ale ja znalazłem coś więcej. W tej historii dzieją się straszne rzeczy. Louise należała do pewnego środowiska, bardzo brutalnego, przerażającego. Jestem przekonany, że to właśnie z niego wywodzi się morderca. Ty nim nie jesteś. Słyszysz mnie, Helene?

Helene próbuje zrozumieć, co Joachim mówi.

– Ale przecież pamiętam – mówi niepewnie.

– Pamiętasz, że ją zabiłaś, czy że ją znałaś? To dwie różne rzeczy. Zabiłaś ją? Policja twierdzi, że Louise została obdarta ze skóry. Ktoś chciał ukryć jej tożsamość, usunąć wszystko, co pozwoliłoby ją rozpoznać. Dlaczego miałabyś to robić?

– Ukradłam jej tożsamość.

– Nie zdjęłaś z niej skóry. To śmieszne, co mówisz.

Helene patrzy na niego. Czuje... nadzieję? I nagle znów się kuli. Edmund. Caroline. Jej ojciec. To wszystko jest straszne, brudne. Już nigdy nie będzie dobrze. Joachim potrząsa nią.

– Posłuchaj mnie, Helene. Nie zamordowałaś Louise.

– Ale... – Helene jest zrozpaczona. – Jest tyle innych strasznych rzeczy. Wszystko jest nie tak, moje dzieci... Mój ojciec był potworem, nigdy nie powinnam się urodzić. – Ostatnie zdanie mówi ledwie słyszalnym szeptem, znowu płacze. Oboje płaczą.

– To nie był twój wybór. Zostałaś okłamana, byłaś jedynie pionkiem w grze chorych ludzi.

Joachim prostuje się, odsuwa ją nieco od siebie, patrzy na nią.

– Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. I nic tego nie zmieni. Twoja rodzina... twój mąż, jego matka, wyrządzili ci krzywdę, ale to nie jest twoja wina, rozumiesz? To nie ty jesteś winna.

Joachim waha się, pogrąża w myślach.

– Przedstawili ci swoją wersję – odzywa się po chwili. – Kto powiedział, że ona jest prawdziwa?

– Dlaczego mieliby mnie tak okrutnie okłamywać? Ludzie kłamią, żeby upiększyć prawdę, nie żeby przedstawić coś w jeszcze gorszym świetle.

Joachim wzrusza ramionami.

– Na razie nic nie wiemy. Masz jakieś dowody?

– Joachimie...

– Nie – protestuje Joachim. – Dotąd ty decydowałaś – mówi. – Ty postanowiłaś, że wrócisz...

– Mam dzieci – wchodzi mu w słowo Helene. I w tym momencie zdaje sobie z tego sprawę. Ma dzieci i je kocha. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie na nie spojrzeć? Czy dlatego wtedy, trzy lata temu uznała, że najlepiej będzie, jeśli zniknie? Żeby je chronić? Utratę rodzica można przeżyć. Nawet utratę obojga rodziców. Ale nie kazirodztwo. Jej rozmyślania przerywa Joachim. Pochyliła się nad nią, bierze jej twarz w swoje dłonie.

– Możemy zawrzeć pewną umowę?

– Co?

– Umrzeć zawsze zdążysz.

– Co masz na myśli?

– Spróbujmy dotrzeć do prawdy. Tej jednej jedynej. Żadnych półprawd, żadnego zgadywania. Umrzeć zawsze zdążysz – powtarza.

Helene domyśla się, o co mu chodzi. I nie jest zainteresowana. Nie jest w stanie myśleć pozytywnie.

– Tym razem musimy mieć dowody.

Helene patrzy na Joachima, który nagle milknie. Siedzi i intensywnie przygląda się swoim paznokciom. Jakby dopiero teraz odkrył, że są brudne.

– Dowody – szepcze.

Kiedy Joachim opuszcza hotel, jest wczesny ranek. Dzień po tym, jak Helene próbowała odebrać sobie życie. Dzień po tym, jak jego życie odzyskało sens. Jest jedynym człowiekiem na parkingu przed hotelem Blicher. Blicher. Miejscowa wyrocznia. Każda okolica ma swojego historycznego celebrytę. Steen Steensen Blicher napisał pierwszą powieść kryminalną na świecie i przyczynił się do wprowadzenia w Danii demokracji. Joachim pamięta, jak w młodości dwa razy podchodził do lektury *Księdza w Vejlbjergu*. Ale zabrakło mu cierpliwości. Przeczytał cztery linijki i już miał pięć pomysłów na to, co sam chciałby napisać. Dopiero na Christiansø zebrał się i przeczytał powieść do końca. To stara sprawa, tłumaczył Helene w nocy, którą spędzili razem w hotelowym łóżku. Z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Helene została wypisana ze szpitala. Gregers Sperling, policjant z Kopenhagi, zgodził się na zwolnienie jej za kaucją. Edmund był obecny w sądzie. Był przekonany, że pieniądze Söderbergów pozwolą mu odzyskać Helene. Jednak to Joachim towarzyszył jej, kiedy opuszczała budynek sądu, to on trzymał rękę na jej ramieniu i pomógł uniknąć miejscowej prasy, wyprowadzając ją tylnym wyjściem. Chociaż jedna potyczka, z której wyszedł zwycięsko w tej starożytnej walce o piękną Helene. Smutne oczy Edmunda mówiły wszystko: Joachim wygrał. Przynajmniej tym razem.

– Nie wolno ci się poddać – szepcze Joachim sam do siebie.

Kiedy wsiada do wynajętego samochodu, jego oddech miesza się z chłodnym porannym powietrzem. Wie, że to jeszcze nie koniec. Na razie kupili sobie trochę czasu. Podobnie jak oskarżony o morderstwo ksiądz w powieści Blichera, twierdząc, że czyn popełnił ktoś inny, że zbrodnia jest dziełem szatana. Ale nikt mu nie wierzy, tak samo jak nikt nie wierzy, że Helene jest niewinna.

– Po co opowiadasz mi te stare historie? – spytała go w nocy Helene. Była wykończona i marzyła, żeby jak najszybciej zasnąć.

– Chcę, abyś mnie wysłuchała, bo w tej opowieści kryje się prawda – odpowiedział i poczuł się jak belfer. – Jest w niej morał, pewna nauka, którą Blicher chciał nam przekazać. A mianowicie, że nic nie jest takie, jak nam się wydaje, że prawda zawsze jest inna i że należy ostrożnie przyjmować to, co mówią inni. Narrator często bywa niewiarygodny.

*

Silnik wynajętego samochodu pracuje niemal bezgłośnie, Joachim jedzie

zdecydowanie za szybko. Musi, boi się, że inaczej się rozmyśli i wróci. Z powrotem do Helene. Wspólnie spędzona noc nadal w nim tkwi, wciąż czuje zapach jej ciała. Jest przekonany, że postępują słusznie. Helene musi dociec prawdy o swoim ojcu. A on musi dociec prawdy o morderstwie Louise Andersen. Musi oczyścić Helene z wszelkich podejrzeń. Posprzątać bałagan, do którego sam się przyczynił. Tylko od czego ma zacząć? Co wie? Nic. Po prostu nic. Sfrustrowany uderza dłonią o kierownicę i trafia w klakson. Kierowca jadącego przed nim samochodu zwalnia przestraszony i macha przeproszająco ręką. Gregers Sperling, śledczy z Kopenhagi, nadal nie jest do końca przekonany, że Helene jest niewinna. Joachim musiał stoczyć walkę, żeby policja zbadała krew, którą miał pod paznokciami. Zastygła krew z piwnicy tortur. Joachim opowiedział Sperlingowi o wszystkim – o spotkaniu z mężczyznami i o nieszczęsnej dziewczynie, którą tam spotkał. Niestety nie potrafił wskazać, gdzie znajduje się piwnica. Mógł jedynie opowiedzieć o Stelli, która знаła numer do mężczyzn, i o łaźni parowej na pływalni w Frederiksbergu. Ale o tym mówił policji już wielokrotnie. Mimo to Sperling ciągle miał wątpliwości, łagodnie mówiąc. Joachim argumentował, że jeśliby kłamał, to jak w takim razie znalazłby zwłoki Louise? Wtedy Sperling się uśmiechnął i wzruszył ramionami, stwierdzając, że najbardziej logiczne jest, że to Helene mu o wszystkim powiedziała.

Książka w Vejlbjergu. Powieść prześladowuje Joachima w drodze na most. Nie ufajcie opowieściom innych. Gregers nie ufa jemu, a Joachim nie ufa opowieściom Helene i jej rodziny.

– To ja opowiem tę historię – szepcze do siebie. To przecież przywilej pisarza. Tylko od czego ma zacząć? Od początku? Ma znów udać się do Stelli? Jest na środku mostu, kiedy jego rozmyślania przerywa dzwonek komórki.

– Joachim? – Po głosie słychać, że Sperling jest zmęczony.

– Zbadaliście krew? – pyta Joachim i niemal wstrzymuje oddech.

– Można tak powiedzieć, tyle że pod paznokciami nie miałeś krwi, tylko farbę – odpowiada Sperling sucho.

– Farbę? – Joachim nic z tego nie rozumie.

– Technicy zbadali to, co miałeś pod paznokciami. I to nie była krew. Wiem, co myślisz, ale to naprawdę nie jest trop, który moglibyśmy podjąć.

Joachim włącza kierunkowskaz i zjeżdża na pobocze, nie wyłącza silnika. Nic nie rozumie. Znów ma przed oczami piwnicę tortur. I zastygła masę, którą usiłował zderzeć, plamy na podłodze.

– Nie możecie zbadać tego jeszcze raz? Może to krew wymieszana z farbą? To musi być krew, nie rozumiem, skąd miałaby się tam wziąć farba?

Sperling wzdycha.

– Technicy znają się na swoim fachu. To jest farba...– urywa, a Joachim słyszy szelest przewracanych kartek – ...w kolorze karminowej czerwieni.

Z klejem kostnym – mówi śledczy, literuje kolor: k-a-r-m-i-n-o-w-a czerwień. – Leży przede mną raport, nie ma mowy o pomyłce. To tylko farba, bez żadnych domieszek. Na pewno nie jest to krew – powtarza Sperling stanowczo.

Joachim przetyka ślinę, czuje zawód. Naprawdę mógł się aż tak pomylić? A więc nie ma już żadnego tropu. Ma ochotę poprosić śledczego, żeby technicy jeszcze raz zbadali próbki. Ale to na nic. Na pewno się nie mylą. Skoro twierdzą, że to nie jest krew, to tak jest.

– A co ze Stellą? Próbowaliście ją znaleźć?

– Tak, bez powodzenia.

– Bez powodzenia? Gdzieś jest piwnica, istna izba tortur, w której zabija się kobiety.

– W czasie drogi miałeś na głowie worek?

– Może parking ma monitoring?! – krzyczy Joachim. – Znajdźcie właściciela furgonetki. Czy tylko ja jeden potrafię myśleć?!

– Nie oczekuj, że zacznę opowiadać ci o naszej pracy.

– To ja znalazłem zwłoki. Gdzie byście teraz byli, gdyby nie ja?

– Gdyby nie ty, nie byłoby sprawy przeciwko Helene – odpowiada Sperling.

– Coś jednak znaleźliśmy. Na miejscu zbrodni. Nie powinienem ci tego mówić, ale skoro... Nie wiem, jak to powiedzieć po jutlandzku?

– Więc powiedz po duńsku.

– Mam wrażenie, że się pogubiłeś. Obserwujemy czasem, jak ludzie prowadzą własne dochodzenie. Nigdy nic dobrego z tego nie wynika. Dzisiaj wiele rzeczy można zrobić samemu, ale dochodzenie należy zostawiać zawodowcom.

– Jeszcze raz spytam: kto znalazł Louise? – mówi Joachim. Nie dostaje odpowiedzi. Może Sperling zapala fajkę? Arogancki palant. – Powiedziałeś, że coś znaleźliście.

– Znaleźliśmy włos. DNA zgadza się z DNA Helene Söderberg.

– To jeszcze niczego nie dowodzi.

Przez moment obaj mężczyźni milczą, słysząc, jak Sperling uderza fajką o brzeg popielniczki. W końcu Joachim się rozłącza. Jeszcze przez jakiś czas stoi na poboczu. Patrzy na morze, czuje, że właśnie coś stracił. Szansę, żeby dowieść niewinności Helene. W zamian dostał karmin i klej kostny.

Nadal czuje w sobie śmierć. Towarzyszy jej niczym cień, kiedy idzie aleją w stronę domu. Dom. Wszystko, o co walczył jej ojciec. Bogactwo i władza. Patrzy na biały pałac. Tam, w środku, jest prawda. Wie to i wie też, że najwyższa pora, żeby do niej dotrzeć. Zerka na fontannę, na kamienne delfiny, dowód na to, że jej ojciec zdobył wody świata. Promienie słońca odbijają się od białych ścian, padają na krzaki róż, czerwonych, białych, pomarańczowych i różowych. Obfitość kwiatów. Bujność roślin. Helene chłonie słodki zapach, wciąga powietrze do płuc. Ten dom już zawsze będzie się jej tak kojarzył. Z mdłościami, chorobą, tajemnicą.

*

Staje pośrodku pustego holu. Z jednego z pokoi dobiegają ją głosy, między innymi głos Caroline. Musi z nią porozmawiać. Stanie przed nią i zażąda odpowiedzi. Kto był świadkiem, kiedy William Hirsch został zamordowany? Musi się tego dowiedzieć. Zmusi Caroline, żeby jej to powiedziała, patrząc Helene prosto w oczy. Jest normalny dzień. Dzieci mają szkołę. Dzieci... Czy kiedykolwiek będzie mogła powiedzieć im prawdę? Nie powinna teraz o tym myśleć. Obiecała Joachimowi, że spróbuje odkryć skrzętnie ukrywaną tajemnicę. Znowu słyszy głos Caroline, idzie za nim, kieruje się w stronę salonu, który wychodzi na taras. Tego z trzema zielonymi kanapami i szklanymi drzwiami z widokiem na ogród. To jej ulubiony pokój, z czasów, kiedy myślała, że tu zostanie. Z czasów, kiedy była przekonana, że to z nią coś jest nie tak. Podchodzi bliżej i słyszy też Edmunda. Odgłosy kłótni. Słowa odbijają się echem od ścian: dzieci, pieniądze, morderstwo, tabletki.

– Chcemy tylko tego, co jest nasze – mówi Caroline. Ma za złe Edmundowi, że odnalazł Helene. Nie rozumie, że przysparza im problemów? Dlaczego nie pozwolił jej zostać, tam na drugim krańcu Danii?

Edmund coś odpowiada, Helene słyszy w jego głosie wściekłość, ale też słabość. Przez moment nawet mu współczuje. Bierze się w garść i otwiera drzwi. Edmund i Caroline patrzą na nią zaskoczeni.

– Gdzie są dzieci? – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Edmund robi krok w jej stronę. Ma w sobie determinację, która ją przeraża.

– Gdzie są dzieci? – pyta ponownie.

– W Londynie – odpowiada Edmund spokojnie.

– W Londynie?

– Doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli na jakiś czas wyjadą. Nie

rozumieją, co się dzieje. Prasa nie daje nam spokoju. Bez przerwy pytały o ciebie. Chcemy oszczędzić im nagłówków prasowych i plotek w szkole.

– Chcemy? My? Czyli kto? – mówi Helene cicho i spogląda na Caroline. Wie, że kobieta jest babcią dzieci, ale nie potrafi się pogodzić z tym, że ma o nich decydować. O jej dzieciach. O dzieciach Helene.

– I dlaczego w Londynie? – Helene patrzy zdezorientowana to na Edmunda, to na Caroline. – Z kim pojechały? – pyta.

– Z Katinką – uspokaja ją Edmund.

– Z Katinką? – Helene zastanawia się nerwowo, czy to imię coś jej mówi.

– Katinka jest instruktorką Sofie, uczy ją jeździć konno – wyjaśnia Edmund.

Helene ma przed oczami młodą naburmuszoną dziewczynę, która nawet się z nią nie przywitała. Ale przypomina sobie, jaki Katinka miała wyraz twarzy, kiedy pewnego dnia Helene przypatrywała się jej przez okno. Była spokojna, pogodna. Helene wie, że dzieci są z nią bezpieczne.

– Już raz była z dziećmi w Londynie, na zawodach jeździeckich. Jest z nami od kilku lat, dzieci ją uwielbiają. Lepiej, że ich tu nie ma, kiedy to wszystko trwa – mówi Edmund.

Helene wzdycha. Edmund ma rację. Czuje, że ucisk w żołądku powoli odpuszcza. Chwilowo ubywa jej jeden problem. Dzieci są w dobrych rękach. Teraz nie ma już usprawiedliwienia. Musi zrobić to, po co tu przyszła. Spogląda na Caroline.

– Powiedziałaś, że mój ojciec zamordował Williama.

– Tak, kochanie. Tak było, zamordował go – mówi Caroline i kiwa głową. Ale to Helene wiedziała już wcześniej. Wie też, że Caroline nie kłamie.

– Musimy znaleźć ciało – oświadcza spokojnie. – Nie chcę budować życia na kłamstwie. Czyny mojego ojca muszą ujrzeć światło dzienne.

Caroline przygląda się jej z niedowierzaniem. Otwiera usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Po chwili odzyskuje spokój.

– To nie jest potrzebne – mówi.

– Nie jest potrzebne? Tu chodzi o sprawiedliwość.

Caroline kręci głową, patrzy na Edmunda.

– Jeśli zaczniesz grzebać w tej starej sprawie, będzie to ze stratą dla firmy, nie rozumiesz tego? Wyjdzie na jaw, że majątek firmy jest wynikiem współpracy z nazistami, a jakby tego było mało, to jeden z dyrektorów padł ofiarą swojego firmowego partnera, żeby ta współpraca mogła dojść do skutku. Nie sądzę, żeby takie informacje umocniły naszą pozycję na giełdzie – stwierdza Edmund.

Odzywa się w nim biznesmen.

– Powiedziałaś, że ciało Williama zostało wrzucone do jeziora i że ktoś to widział – ciągnie Helene, patrząc na Caroline. – Kto był tym świadkiem?

Kobieta spuszcza wzrok, ale tylko na chwilę. Czyżby się przestraszyła?

– Nie wiem, o czym mówisz. Nigdy nie wspominałam o żadnym jeziorze, a tym bardziej o jakimś świadku.

Helene marszczy brwi, pamięć nadal pozostaje jej słabą stroną. Stara się przypomnieć sobie rozmowę w sali widzeń. Jest przekonana, że Caroline wspominała wówczas o świadku. Powiedziała też, że ciało Williama zostało wrzucone do jeziora. Tak było, jest tego pewna. Pamięta nawet triumfującą minę Caroline, kiedy o tym mówiła. Kiedy w końcu przekonała ją, że jej ojciec był mordercą. Dlaczego teraz temu zaprzecza?

– I tak się tego dowiem, więc równie dobrze możesz mi to powiedzieć.

Caroline jest zdziwiona ostrymi słowami Helene, ale próbuje nie dać nic po sobie poznać.

– Chyba rozumiesz, że tak tego nie zostawię?

– Dlaczego chcesz wszystko zniszczyć – odzywa się nagle Edmund.

Jego głos dochodzi z głębi pokoju. Helene odwraca się. Edmund siedzi przy tym samym biurku, przy którym siedział tego ranka, kiedy mu się oddała.

– Dlaczego nie możesz tego zostawić w spokoju? – pyta.

– Jak mogłabym to zrobić? Pomyśl o dzieciach...

– Sofie i Christian są spadkobiercami obu naszych rodów – wchodzi jej w słowo Edmund. – Dlaczego nie możesz sobie odpuścić? Wróć do domu i będzie jak dawniej. Jeszcze wszystko da się naprawić.

Helene patrzy na niego i nie wierzy własnym uszom. On naprawdę jest o tym przekonany. Naprawdę wyobraża sobie, że będzie w stanie z nim żyć? Biedny, biedny Edmund. Caroline go zniszczyła. Poświęciła własnego syna dla zemsty. To nieludzkie. Helene nie wie, co robić. Odwraca się i wychodzi z salonu. W holu znajduje kluczyki do samochodu, bierze je i opuszcza dom. Wie, że jeśli ma iść dalej, musi to zrobić. Znaleźć ciało. I świadka. I dotrzeć do prawdy.

Joachim stoi w sklepie z farbami i się rozgląda. Wszystko wydaje mu się z jednej strony obce, a z drugiej dobrze znane. Wszystko wokół przypomina mu o jego byłej żonie Ellen. To jej świat: sztuka, Kopenhaga, elita. Pamięta te kilka razy, kiedy odwiedził ją w akademii. Pamięta, że właśnie tak tam pachniało. Terpentyną, farbami, klejem. Czeka niecierpliwie, aż sprzedawca skończy obsługiwać klienta, który trzyma w ręce cienki pędzelek i wykonuje nim zamaszyste ruchy. Farba z klejem kostnym, w kolorze karminowym. Joachim sprawdził wszystko w internecie. Wie już, że nie jest to farba, którą maluje się ściany. Używają jej artyści.

Sprzedawca uwalnia się w końcu od niezdecydowanego klienta i zwraca nalaną twarz w stronę Joachima, poprawiając jednocześnie starannie wyprasowaną koszulę. Joachim boi się pomyśleć, jak sam wygląda.

– Czym mogę panu służyć?

– Potrzebuję farby w kolorze karminowej czerwieni z klejem kostnym – mówi Joachim. Słowa same wypływają z jego ust.

Sprzedawca taksuje go wzrokiem, ale nie zdradza, co myśli ani o jego ubiorze, ani o jego ignorancji.

– Karminowa czerwień to wyjątkowy kolor. Otrzymuje się go z pluskwiaków o łacińskiej nazwie *Dactylopius coccus*. Karmin to naturalny ciemnoczerwony barwnik pozyskiwany z tych właśnie owadów. To Aztekowie wpadli na pomysł, żeby użyć ich jako barwnika – mówi sprzedawca i sięga po niewielką puszkę. Stawia ją na ladzie. – Pierwotnie pluskwiaki te występowały jedynie w Ameryce Południowej, gdzie żyły na kaktusach. Europejczycy przywieźli na Stary Kontynent zarówno owady, jak i technikę barwienia.

Joachim potakuje, od czasu do czasu mruczy: „ach tak” i „no proszę”, jakby rzeczywiście słuchał z zainteresowaniem. Jednak nic z tego, co mówi sprzedawca, nie posuwa do przodu jego prywatnego dochodzenia. Dlaczego w piwnicy była czerwona farba?

– A klej kostny? – pyta.

– Został wynaleziony w średniowieczu – ciągnie sprzedawca. – Wytwarza się go z kości zwierzęcych. To skomplikowany proces. Śrut kostny poddaje się działaniu kwasu solnego, żeby pozbyć się soli wapniowych, a następnie ogrzewa w odpowiedniej temperaturze dla osiągnięcia właściwej lepkości.

Sprzedawca milknie, patrzy na Joachima, który stoi zamyślony.

– Często się go używa?

– Zdecydowanie nie. Został wyparty z rynku przez spoiwa nowego typu, o podobnej konsystencji, ale niewymagające wysokich temperatur przy produkcji. Klej kostny musi mieć odpowiednią temperaturę, żeby można było nim gruntować. Utrzymanie jej bywa kłopotliwe i wiąże się ze sporym ryzykiem.

– Dlaczego?

– Malarze często używają szmat do wycierania pędzli. Potem rzucają szmaty na podłogę, zdarza się, że się spiją i zasną. Wpadające przez wysokie okna pracowni promienie słońca nagrzewają szmaty, co może prowadzić do samozapłonu.

– Jacy artyści używają dzisiaj tego rodzaju farb?

Sprzedawca marszczy brwi, zastanawia się.

– Wiem, że używa jej Tal R, poza tym nie przypominam sobie nikogo innego. Proszę mi wybaczyć, ale bardziej zajmują mnie materiały niż artyści. Chociaż przyznaję, że ostatnio zainteresowanie tym rodzajem farb wzrasta. Mam zamówić? – pyta sprzedawca i patrzy na Joachima.

– Nie, nie jestem malarzem, ale dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

– Drobiazg – odpowiada sprzedawca grzecznie i wraca za ladę, gdzie już czeka kolejny klient. Najwyraźniej stary bywalec, który wie, że przychodząc do tego sklepu, trzeba uzbroić się w cierpliwość.

Joachim rozgląda się po raz ostatni, chłonie ostry, chemiczny zapach. Ellen. Znów ma ją przed oczami, chociaż jest ostatnią osobą, którą chciałby teraz zobaczyć. Przypomina sobie niezliczone wernisaże, na które zabierała go ze sobą. Pokazywała mu znanych ludzi: artystów, handlarzy sztuką, kolekcjonerów sztuki. Wiedziała wszystko o wszystkich, była w tym znakomita. Znała środowisko, jak to określała. To właśnie od tego uciekł. Od świata, w którym obowiązywały reguły gry, jakich on nie pojmował. A może po prostu był za głupi? Albo nie miał dość talentu. Na przyjęciach i wernisażach radził sobie, zwykle wygłaszając banalne, ale inteligentne komentarze, i upijając się w szybkim tempie. A teraz musi wrócić do tego świata, na ten krzyż, bo jeśli jest ktoś, kto może udzielić mu informacji, które pozwolą na zrozumienie, dlaczego w piwnicy były ślady tej rzadkiej farby, to tym kimś jest Ellen.

Helene czeka, aż ostatni uczniowie opuszczą szkołę nurkowania. Widzi Martina, stoi kawałek od niej. Pakuje ekwipunek. Helene siada na pomoście, czuje ciepłe, nagrzane słońcem drewno. Spogląda na głęboką ciemną wodę. Zamyka oczy, napawa się jej zapachem, zapachem jeziora. Dociera do jej płuc, które rozszerzają się, żeby wchłonąć go jak najwięcej. Bierze wdech i powoli wypuszcza powietrze. Patrzy na Martina, który jeszcze jej nie zauważył. Wcale nie jest przekonana, że to właśnie od niego powinna zacząć, ale nikogo innego nie ma. Zerka przez ramię, nie wie, czy ktoś ją śledzi, ale nie sądzi, żeby tak było. Przez niemal godzinę jeździła po drogach wokół Silkeborga, chcąc się upewnić, że nie ma za sobą ogona. Spogląda na duże jezioro, powierzchnia jest ciemna jaka plama ropy. Znow słyzy głos Caroline, jak nagle zaprzecza, jakoby zwłoki Williama miały leżeć w jeziorze. Że właśnie tu Helene może znaleźć prawdę.

Martin idzie w jej stronę. Podchodzi do niej, prostuje się.

– Cześć – mówi Helene i wyciąga do niego rękę. Martin wyciera dłoń o białe szorty i się wita. – Pamiętasz mnie? – pyta go, chociaż po jego oczach widzi, że ją rozpoznaje.

– Oczywiście.

– Potrzebuję twojej pomocy – zaczyna Helene i urywa. Od czego ma zacząć? Jak dużo odważy się mu powiedzieć? – Trudno jest nauczyć się nurkować?

Martin patrzy na nią zdziwiony.

– Chcesz nauczyć się nurkować?

– To trudne?

– Nie, mam grupę początkujących, zaczynamy w przyszłym miesiącu.

W przyszłym miesiącu, myśli Helene. W przyszłym miesiącu może już trafić do więzienia i spędzić tam resztę życia.

– Myślałam o jakimś wcześniejszym terminie – mówi i się uśmiecha. Nie potrafi powiedzieć dlaczego, ale jest zadowolona. Śmiech pasuje do panującego tu nastroju, do wody, słońca – święta trójca.

*

Poczucie swobody. Helene trzyma mocno uchwyt pontonu. Strój opina jej ciało. Patrzy na Martina, który siedzi po drugiej stronie. Dorosły mężczyzna, ale też chłopak. Z tych, których fascynuje prędkość, sprzęt, gadzety. Widziała jego podekscytowanie, kiedy niecałe dwie godziny temu uczył ją podstaw nurkowania, jeszcze na płytkiej wodzie. Kiedy tłumaczył, jak posługiwać się ustnikiem, i że nie

wolno zatrzymywać powietrza. Wdech, wydech, wdech, wydech i tak cały czas, a wtedy na pewno jej się uda. Jeśli chce nurkować na płytkiej wodzie, wystarczy kurs jednodniowy. Jeśli natomiast chce schodzić na głębokość kilku metrów, wtedy musi mieć licencję. Powiedział też, że zanim wypłyną, musi jeszcze nauczyć się jednej rzeczy – przedmuchania maski pod wodą. Udało się jej to dopiero za piątym razem. Trzeba przycisnąć mocno górną krawędź maski dwoma palcami i wydmuchać powietrze nosem. Woda wypiera wodę. Zadziwiająco, pomyślała Helene.

– Cierpisz na chorobę morską? – pyta Martin.

– Nie sędzę – odpowiada, a po chwili krzyczy: – Cudowne uczucie.

Czuje krople wody na twarzy, na wargach. Zlizuje je. Smak czasu.

– Możemy zanurkować przy moim domu? – pyta.

– Co?

Martin zwalnia. Helene odkasłuje. Nie zdradziła Martinowi powodu swojego nagłego zainteresowania nurkowaniem.

– Pomyślałam, że moglibyśmy nurkować przy moim domu.

– Tam jest dość głęboko.

– No to gdzieś w pobliżu?

Martin przygląda się jej. Domyśla się czegoś. Chociaż nie tego, że Helene szuka ciała ojca Caroline. Wie jednak, że na pewno nie zamierza podglądać szczupaków i okoni.

– Zatrzymamy się po drugiej stronie punktu widokowego, jakieś sto metrów od wschodniej strony jeziora. Blisko twojego domu. Ale tam jest głęboko, ze dwadzieścia metrów, to pozostałość lodu martwego. No i widoczność jest tam fatalna – dodaje i zaczyna tłumaczyć jej, co to jest martwy lód. Kiedy ogromne bryły lodu topniały, wdzierały się w głąb ziemi, tworząc bezdenne głębie. Idealne miejsce, żeby ukryć zwłoki, myśli Helene. Martin wyłącza silnik, rzuca kotwicę. Helene patrzy na znikający w wodzie łańcuch. Fale uderzają o burtę, brzmią jak muzyka. Kusząca, przyciągająca.

– Czego szukamy? – pyta Martin. Nie podnosi głowy, jest zajęty, przygotowuje zbiornik z tlenem.

– Mojej przeszłości.

– Jeśli zdradzisz coś więcej, może mógłbym ci pomóc. Dużo nurkuję, znam wiele miejsc w tym jeziorze.

Helene się zastanawia. Ma go wtajemniczyć? Gdyby kiedyś znalazł zwłoki, na pewno by jej powiedział. Uznaje, że nie ma sensu mu mówić.

– Jesteś gotowa?

– Tak.

– Pamiętaj, że nie wolno ci oddalać ode mnie na odległość większą niż metr.

*

Czuje ból w uszach. Dotyka ich ręką. Martin kiwa głową, pokazuje jej, jak wyrównać ciśnienie: musi ścisnąć nos dwoma palcami. Helene robi to i schodzi niżej, w ciemność. Przez pierwsze kilka minut wpatruje się w Martina, zbyt przestraszona, żeby się rozglądać. Dopiero kiedy Martin się uśmiecha, odważa się oderwać wzrok od liny bezpieczeństwa, od mężczyzny, który ma pilnować, żeby wróciła cała i zdrowa. Patrzy do góry. Promienie słońca zatrzymują się na powierzchni wody, widzi jedynie dno łódki, ale widoki są niewiarygodnie piękne, ma wrażenie, jakby stała po drugiej stronie lustra, lustra życia, i była świadkiem stworzenia. Patrzy na światło, które przychodzi z tak daleka i tu kończy swoją podróż. Martin chwyta ją za rękę, a ona stara się naśladować jego ruchy. Pokazuje jej gestami, że ma nie używać rąk, przypomina sobie, co jej mówił: ryby nie mają rąk, bo ręce w wodzie są niepotrzebne, ma używać stóp. Próbuje, ale odwraca się w złą stronę i ląduje z nosem do góry, okazuje się, że nurkowanie na takiej głębokości nie jest proste. Martin patrzy na nią i uśmiecha się pobłaźliwie. Pewnie przypomina niemowlaka, wielkiego niemowlaka, który nie bardzo wie, co i jak. W końcu udaje jej się odzyskać równowagę. Podąża za Martinem w ciemność. Widzi ławice ryb, nie ma pojęcia, jak się nazywają. Ryby nie boją się ich. Podpływają do niej, patrzą jej w oczy. Musi jednak pamiętać, że ma do wykonania pewne zadanie. Ma znaleźć coś, co leży na dnie. Tylko że nie widzi dna. Tam, na dole, rośnie jakby las. Jej plan okazuje się beznadziejny, żaden nurek amator nie jest w stanie sprostać zadaniu, które sobie postawiła. Po chwili Martin sięga po jej komputer nurkowy, sprawdza jakieś dane i unosi kciuk w górę, wkrótce będą musieli się wynurzyć. Za pięć minut. Helene kiwa głową. Nadal trzyma się blisko niego, ale próbuje zejść niżej, dotrzeć do zmierzwionego lasu na dnie. Czy tam coś jest? Na dole, między wodorostami falującymi niczym zboże na wietrze. Niewykłuczone. Spostrzega, że coś błyszczy. Podpływa bliżej i nagle czuje mocne szarpnięcie. Martin chwyta jej rękę. Jest zły. Znów unosi kciuk. Muszą wracać. Helene odwraca się i wpatruje błyszczący przedmiot, wodorosty rozdzielają się na chwilę, odsłaniając dno. I butelkę. Starą butelkę. Nic poza tym.

*

– Dlaczego zeszłaś niżej? – pyta Martin. Wrócili już na powierzchnię, unoszą się na wodzie uczeplieni burty. Jest urażony.

– Przepraszam.

– Trzymaj się, zdejmę z ciebie wodorosty.

– Dobrze.

Pozwala Martinowi zająć się nią, patrzy na jego spokojne profesjonalne ruchy. Pierwszy wskakuje do łodzi i pomaga jej wejść na pokład.

– To było fantastycznie piękne – mówi Helene.

Martin wskazuje na tył łodzi, Helene siada na ułożonej w poprzek desce. Chwyta się mocno burty. Martin uruchamia silnik.

– Nie powinnaś była odpływać ode mnie – mówi. Silnik zaskakuje, ruszają do domu. Helene wyciąga rękę, sunie nią po wodzie. Siedzi tak dłuższą chwilę, chłodna woda obmywa jej palce. Uświadamia sobie, jak beznadziejny wymyśliła plan. Woda jest ciemna, mętna, na dodatek w tym miejscu jezioro jest głębokie. Jak mogła przyjąć, że uda jej się na własną rękę znaleźć tu zwłoki? Przypomina sobie przestraszoną twarz Caroline, jej słowa. Zwłoki, jezioro, świadek. Zamyka oczy, jest bliska poddania się. Najchętniej zniknęłaby w ciemnej otchłani. Nagle... Zaraz, zaraz, co to było?

– Możesz zawrócić? Tylko kawałek.

– Co takiego? – Martin patrzy na nią poirytowany. Widać, że czuje się wykorzystany.

– Tylko kilka metrów – błaga Helene.

Martin wzrusza ramionami. Zawraca tak szybko, że niewiele brakuje, a Helene by wypadła. Najwyraźniej go to bawi. Helene też się uśmiecha. Nastrój się poprawia. I wtedy Martin widzi, co zwróciło jej uwagę. Stary drewniany budynek. Julsø Kro, jest wypisane dużymi, białymi literami na tablicy.

– Znasz to miejsce? – pyta.

Martin odwraca się, znów wzrusza ramionami.

– To gospoda. W okolicy jest wiele restauracji.

Julsø Kro? Helene przygląda się budynkowi, patrzy na taras z widokiem na jezioro. Skąd zna tę nazwę? Nagle sobie przypomina. Ten straszny dzień w siedzibie Söderberg Shipping. Rozmawiała wówczas z sekretarką, z Karen. Jediną osobą, która zachowywała się wobec niej normalnie. Pamięta, że spytała ją, czym zajmowała się przed zniknięciem, i właśnie wtedy padła nazwa Julsø Kro. Sprawdzała roczną wpłatę na konto Julsø Kro. Nie mogła znaleźć umowy. Co odpowiedziała jej Karen? Że suma nie jest duża. Ale ona postanowiła to sprawdzić. Z chciwości? Czy może był jakiś inny powód?

– Dlaczego chciałaś, żebyśmy tu przyплыnęli? – Słyszy głos Martina. Odwraca się, widzi jego uśmiech. Nie jest już zły. Podoba jej się, że chociaż potrafi się wściec, to dobry humor szybko mu wraca.

Znów patrzy na stary budynek na brzegu. Świadek? Ciało, jezioro i świadek. Zastanawia się, czy jest tam ktoś, komu firma nadal płaci za dochowanie tajemnicy?

Ellen właśnie kończy zajęcia. Kiedy dostrzega Joachima, unosi brwi, ale nie wydaje się szczególnie zdziwiona. Joachim wkłada ręce do kieszeni, opiera się o futrynę. Ma nadzieję, że nie widać, jak bardzo się denerwuje. Mijają go studenci, w sali zostaje już tylko dwóch młodych ludzi. Stoją przy biurku Ellen. Coś jej mówią, nieprzerwany strumień słów. Ellen pakuje swoją elegancką skórzaną teczkę. Skóra zebry? Joachim zauważa drobne białe i czarne prążki. Zauważa też, że Ellen jest opalona, przychodzi mu na myśl, że może była w Afryce. Nigdy nie widział jej tak opalonej. Odpowiada na pytania studentów. To właśnie tu, w tej sali, usiłuje się wmówić młodym ludziom, że jeśli tylko mają dość samozaparcia, by przejść całą drogę, to mogą zdobyć sławę. Całą drogę? Co to niby znaczy? W końcu studenci wychodzą, a za nimi wychodzi Ellen.

– Do jutra – mówi jeden ze studentów, niemal z tęsknotą w głosie.

Ellen uśmiecha się i kieruje przenikliwy wzrok na Joachima. Przykuwa jego uwagę, jak to ona potrafi.

– Nie odebrałam twojego telefonu – mówi krótko, ale bez wrogości. – Pomyślałam, że jeśli masz coś ważnego, to wiesz, gdzie mnie szukać. A więc to poważna sprawa?

Joachim bał się tego spotkania. Cały dzień zbierał się na odwagę, dyskutował sprawę sam ze sobą. Ważył koszty, wiedział jednak, że tylko Ellen może odpowiedzieć na pytanie, które w tym momencie wydawało mu się najważniejsze. Dlatego gotów był zapłacić wysoką cenę. Pamiętał ich ostatnie spięcie. Stali naprzeciwko siebie. Ellen wściekła, z pianą na ustach, rzuciła się na niego. Musiał ją przytrzymać, pamięta, że chwycił ją mocno za nadgarstki. Podrapała go. Przypomniał sobie jej zawsze zadbane, długie paznokcie. To była jedna z najgorszych chwil w ich związku. Potem Ellen wykupiła podróż na zgodę. Do San Sebastian. A może do Paryża? Umówili się na lotnisku. Czekala na niego, lecz on się nie pojawił. To było ponad cztery lata temu. Formalności związane z rozwodem załatwiali adwokaci. Zachował się jak tchórz, nie chciał z nią rozmawiać. Dlatego teraz spodziewał się, że będzie zła. Mimo to był gotów znieść jej złość, wysłuchać jej oskarżeń, nawet ją przeprosić. Był nawet przygotowany na to, że go uderzy. A ona stoi i uśmiecha się do niego i wcale nie przypomina zgorzkniałej kobiety, którą sobie wyobrażał.

– Pytanie brzmi, dlaczego tu jesteś – mówi po prostu.

– Potrzebuję twojej pomocy, Ellen.

Jest zdziwiony, że nadal czuje bliskość, kiedy z nią rozmawia, kiedy

wymawia jej imię. Tyle lat spędzili razem. Przęłyka ślinę, wzruszył się. Spotkanie nie przebiega tak, jak to sobie wyobrażał. Ellen stoi, przynajmniej pozornie, nieporuszona.

– Jesteś mi potrzebna – mówi Joachim.

*

Wchodzą do kawiarni, Ellen prowadzi, wskazuje stolik. Joachim siada, słyszy hałas dochodzący z placu budowy po drugiej stronie. Dźwięki miasta. Ellen przynosi butelkę Pellegrino i dwa kieliszki czerwonego wina. Stukają się kieliszkami, nie patrząc na siebie. Joachim czuje, jak łagodne francuskie wino splywa mu do żołądka i miesza się z hektolitrami kawy, którą zdążył już dzisiaj wypić. Zastanawia się, czy miał czas coś zjeść?

– Co u ciebie? – zaczyna.

– W porządku – odpowiada Ellen. – Jadę do Bostonu w przyszłym miesiącu.

Joachim się waha. Spodziewał się, że Ellen nawiąże do czasu tuż po rozwodzie. Ale ona opowiada o swojej pracy, jest rozluźniona, niemal radosna. To wynik tych kilku lat, które minęły? To takie proste? A może Ellen się zmieniła? Nadal jest drobna, pamięta, że miał obsesję na punkcie jej ciała, tak innego od ciała Helene. Helene ma kształty, krągłości. Piersi Ellen są niemal jedynie szkicem, nadal pamięta jej ciało, bez piegów, znamion, białe jak mleko, jak papier, niezapisany papier.

Wtedy ją kochał. Na pewno? A może kochał jedynie to, co dostrzegał w jej oczach? Jej wiarę w niego. Nadzieję, że zostanie kimś wielkim, że będzie największy. Kiedy zaczęła w to wątpić, pojawiły się problemy. On nie pozostał jej dłużny, szukał innych kobiet, chciał, żeby była o niego zazdrosna. Może to on sprawił, że Ellen się zmieniła. Potem się załamała. O tym chyba próbował przekonać Helene, kiedy leżała w szpitalu. Że człowiek jest wytworem miejsca, w którym żyje, że każdy powinien znaleźć sobie miejsce, które będzie dla niego najlepsze, i ludzi, którzy pozwolą mu pokazać się z najlepszej strony. Teraz widzi, że dla Ellen był trucizną.

Nagle uświadamia sobie, że Ellen przestała już mówić. Siedzi i czeka, aż wytłumaczy jej, dlaczego tu są. Tylko od czego ma zacząć? Szuka słów, oblizuje wargi. Opowiada o tym, jak znalazł zwłoki Louise, ale szybko dochodzi do wniosku, że musi zacząć opowieść od Helene. Ellen zna historię z prasy, słyszała o dziedzicze, która odnalazła się po kilku latach. Joachim ciągnie swoją opowieść, cały czas bacznie obserwując twarz Ellen. Boi się gwałtownej reakcji, ataku, załamania. To wszystko nadal w nim tkwi. Ale ona nie wydaje się zszokowana. Ani tym, że poznał inną kobietę, ani opowieścią o amnezji Helene, nawet oskarżeniem o morderstwo, czy wynikami badań DNA i wnioskiem, jaki wyciągnął z nich ten dupek Sperling. Joachim odpręża się, słowa płyną swobodniej, w końcu

zdradza jej powód spotkania.

– Chodzi o farbę w kolorze karminu, z klejem kostnym. Tę z piwnicy i izby tortur.

– Farba z klejem kostnym – powtarza Ellen. Czyżby kręciła głową?

– Karminowa – dodaje Joachim pośpiesznie. Wypija ostatni łyk wina, daje znak kelnerowi, żeby przyniósł im jeszcze po kieliszku.

– Ja już dziękuję – mówi Ellen. Odsuwa krzesło, Joachim patrzy na nią. Teraz się zacznie, atak, wściekłość. Poznaje ją. Ellen wypija do końca wino i sięga po szklankę z wodą. Dawniej nie piła wina. I niemal nic nie jadła. Często źle się czuła, narzekała na różne bóle. Czy to naprawdę ta sama kobieta?

– Nic ci to nie mówi? Nie odzywa się żaden dzwonek?

– Co? Pytasz, czy znam sadystycznego malarza, który zdejmuje skórę z kobiet i maluje je na czerwono?

Joachim wzrusza ramionami.

– Może trochę upraszczasz, ale tak. O to mi chodzi – odpowiada i nadal na nią patrzy. Widzi, jak się uśmiecha, mówiąc „nie”. Lecz robi to w sposób, który Joachim doskonale zna. Powoli, lekko się ociągając. Tak mówi, kiedy kłamie. Zawsze tak było. Jest niezwykle błyskotliwa, inteligentna, bardziej niż Joachim, na większość pytań odpowiada szybko, konkretnie, bez zastanowienia, słowa padają jak seria z karabinu maszynowego. Tylko kiedy kłamie, potrzebuje czasu do namysłu.

– Jesteś pewna?

– To chyba oczywiste, że nie znam twojego mordercy – szepcze.

– Ellen, naprawdę nikt nie przychodzi ci do głowy?

– Może Tøger Saxild – odpowiada spokojnie i bardzo powoli. Joachim się waha. Czyżby kolejne kłamstwo?

– Znasz go? – pyta Ellen. – Używa farb z klejem kostnym, ale nie tylko o to chodzi. Maluje kobiety, ich ból, to szalenie poruszające obrazy. Widać na nich cierpienie. Saxild przekracza granice, jego dzieła często mają podtekst seksualny.

Ellen urywa, milknie. Joachim nadal ma wątpliwości. Znalazł się w sytuacji, w której nie wie, co i jak. Czy to kolejny mylny trop? Nie ma pewności, że mordercy Louise należy szukać w kręgu malarzy. Chociaż dlaczego ta droga, rzadko używana farba znalazła się akurat w tej piwnicy?

– Oczywiście nie jestem pewna, ale muszę przyznać, że w jego obrazach jest coś, nie wiem, jak to określić. Nie jest to tylko ból fizyczny, to coś więcej...

Elen szuka słów, Joachim czeka.

– Namalował zawalenie się wież World Trade Center. Malował fikcyjne obrazy z obozów koncentracyjnych. Prawdę mówiąc, jest na granicy... – milknie, znów szuka właściwego słowa.

– Tøger Saxild – powtarza Joachim. – Dziękuję za... – urywa, robi

wymowny gest dłonią, wie, że Ellen go rozumie. Jest jej wdzięczny nie tylko za to, że chciała mu pomóc, ale też za to, że mogli spokojnie porozmawiać. I to po tym wszystkim, co przeszli. Na kieliszku zostaje wyraźny czerwony ślad szminki. Czy dawniej też używała szminki? Nie, żadnych kosmetyków, perfum. Joachim zauważa, że zmieniła fryzurę, jej włosy wydają się mocniejsze, bardziej puszyste.

– Jest szansa, że będę dzisiaj się z nim widziała – mówi nagle Ellen. – Na kolacji z udziałem członków zarządu akademii. Należy do nich, chociaż rzadko bierze udział w takich imprezach. Ale jeśli się zjawi, mogę go spytać, czy zamordował bezdomną prostytutkę w jakieś piwnicy, a potem ukrył ciało w starej odlewni – śmieje się Ellen. Joachim też się uśmiecha.

– Mogę się z nim spotkać? – pyta podniecony. – Zaczekam na zewnątrz, aż skończy się kolacja...

– Nie, nie możesz. To nie jest dobry pomysł – stwierdza Ellen i wzdycha. Nagle sprawia wrażenie zmęczonej. Odstawia szklankę z wodą, wyjmuje z torby komórkę i sprawdza godzinę. – Muszę już iść – oświadcza i wstaje gwałtownie.

– Po prostu tam będę. Nie musi wiedzieć, że się znamy.

Ellen kręci głową.

– To niemożliwe, naprawdę. Nie widzisz, że to niedorzeczny pomysł? Nie powinnam ci wspominać o tej kolacji – dodaje. Znowu mówi szybko, jak to ma w zwyczaju.

Joachim podnosi się, staje naprzeciwko niej. Znowu jest odległa, zamknięta w sobie. Taką ją pamięta. Zmiany nastrojów, nagły chłód. Nachodzi go smutek. Nadal ją lubi. Życzy jej jak najlepiej, spędzili przyjemnie czas.

– Miło było spotkać się z tobą, mam nadzieję, że się czegoś dowiesz – odzywa się Ellen pogodnym, neutralnym głosem.

– Dziękuję za pomoc. To naprawdę dużo dla mnie znaczy – mówi Joachim szczerze.

Ellen odwraca się i rusza przed siebie. Idzie pewnym krokiem, Joachim jeszcze przez chwilę patrzy za jej drobną sylwetką w drogim ubraniu. Nagle Ellen zwalnia, jakby się wahała. Zatrzymuje się, odwraca do niego.

– Coś się stało? – pyta Joachim, podchodząc do niej.

– Właściwie możesz przyjść na tę kolację – mówi lekko speszona.

– Tak?

– Zaproszenie jest na dwie osoby, możesz mi towarzyszyć.

Coś w jej głosie sprawia, że Joachim spuszcza wzrok, patrzy na jej małe piersi. Ellen zauważa to, Joachim nie podnosi oczu, patrzy teraz na jej nogi, na białe sandały z cienkimi paskami, które podkreślają jej kształtne stopy i opaloną na złoty kolor skórę.

– Tylko musielibyśmy przez kilka godzin udawać, że znowu jesteśmy razem – dodaje Ellen ledwie słyszalnie.

Joachim zastanawia się. Czuje opór. Ale obraz Helene w więzieniu też wywołuje w nim opór.

– Co ty na to, staruszkę? – pyta Ellen.

Helene nie jest pewna, czy to podróż łódką, czy pobyt pod wodą sprawił, że ma wrażenie, że cały świat się kołysze, nawet teraz, kiedy siedzi w samochodzie. Odczekuje chwilę, zerka w tylne lusterko. Może i jest paranoiczką, ale na wszelki wypadek zostawiła samochód kawałek dalej, na leśnej drodze, zamiast na zwirowym parkingu przed Julsø Kro.

Rozgląda się ostatni raz, po czym wchodzi do starego budynku z muru pruskiego. Na zewnątrz stoi kilka samochodów, w środku jest przyjemnie ciepło i gwarno. Zapach kawy przypomina jej, że dawno nic nie jadła ani nie piła. Młody mężczyzna w białej koszuli i kamizelce rusza w jej stronę.

– Zamówiła pani stolik? – pyta uprzejmie.

Helene zastanawia się, czy coś zjeść, ale zauważa zaciekawione spojrzenia gości. Widzi, jak jedna z kobiet wskazuje na nią ręką i szepcze coś do swojego męża.

– Chciałam porozmawiać z właścicielem – mówi.

Powinna była włożyć kapelusz. A przynajmniej okulary przeciwsłoneczne. Ciągłe zapomina, że nie jest anonimową osobą. Na szczęście kelner zauważa, że obecność Helene wzbudza powszechne zainteresowanie i daje jej dyskretnie znać, żeby poszła za nim. Idą korytarzem. W pewnym momencie kelner zatrzymuje się przed jakimiś drzwiami, puka.

– Otwarte – odpowiada męski głos.

Kelner otwiera drzwi, Helene bierze głęboki wdech.

– Przyszła pani Helene Söderberg, chce z tobą rozmawiać.

Następuje cisza, potem jakiś mężczyzna mówi cicho:

– Söderberg... czy ona nie...

Więcej nie słyszy, drzwi zostają zamknięte. Mija dłuższa chwila. W końcu kelner wraca.

– Proszę wejść.

Helene wchodzi, kelner zamyka za nią drzwi. Przed nią stoi mężczyzna. Wysoki, szeroki w ramionach, o robiącym wrażenie orlim nosie, dojrzały, pewnie po siedemdziesiątce. Patrzy na Helen zdezorientowany, ale już po chwili uśmiecha się i wyciąga do niej rękę.

– Marius Flint – przedstawia się.

Biurko jest zasypane papierami. Helene przypomina sobie, że kiedy prowadziła kawiarnię na wyspie, jej biurko nigdy tak nie wyglądało. Czuje ukłucie bólu, brakuje jej wyspy, kawiarni. Kuchni, ziół w donicach, okna, które wychodziło

na starą część portu, świetnych noży. Drobiazgów. Tęskni za nimi, za drobiazgami.

– Proszę, niech pani usiądzie – mówi Flint i wskazuje ręką na fotel z wysokim oparciem, który stoi po drugiej stronie biurka. Tapicerowane oparcie jest miękkie, przynosi ulgę jej obolałym mięśniom. Marius Flint odchyła się w fotelu, spleta ręce za głową, patrzy na nią przyjaźnie.

– Czym sobie zasłużyłem na wizytę tak szacownego gościa? – pyta.

Helene wie, że ostatnio prasa dużo o niej pisała. Czyżby mężczyzna się domyślał, po co tu przyszła? Odchrząkuje i postanawia od razu przejść do rzeczy.

– Z konta Söderberg Shipping przelewane są pieniądze na konto Julsø Kro. Co roku. Wie pan coś o tym?

Stara się, by jej głos brzmiał obojętnie, ale sama słyszy, że jednak lekko drży.

– To stara umowa – odpowiada mężczyzna.

Tylko tyle. Ma kamienną twarz.

– Dlaczego została zawarta?

Marius wzrusza ramionami, nie spuszcza wzroku.

– To stało się, zanim ja tu nastąpiłem. Mój ojciec pracował dla pani ojca, nie znam szczegółów.

– Ale pana ojciec chyba już nie pracuje dla Söderberg Shipping?

– Mój ojciec nie żyje – mówi Marius Flint, już nieco poirytowany.

– To dość niezwykle, że po czyjejś śmierci nadal wypłaca mu się pensję.

Mężczyzna przypatruje się jej uważnie. Pod maską uprzejmości coś się kryje. Helene obserwuje go równie uważnie, jak on ją. Dwoje rywali, którzy tylko czekają na to, kto z nich pierwszy wyciągnie broń. Dziwne, ale właśnie to sprawia, że Helene nagle się odpręża. Jej ręce są spokojne, głos nabiera mocy. Jest na właściwym tropie.

– Hirsch. I pana ojciec.

– O co pani chodzi?

– Hirsch – powtarza Helene spokojnie.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odpowiada mężczyzna i ponownie wzrusza ramionami.

– Powiedział pan „o nim”. Skąd pan wie, że chodzi o mężczyznę?

Jej pytanie odnosi większy skutek, niż się spodziewała. Mężczyzna wstaje, teraz dopiero widać, jak potężnie jest zbudowany. Helene też wstaje. Patrzy mu w oczy. I nagle to czuje. Znowu jest suką, której wszyscy się boją i nienawidzą. Stoi przed nim i żąda odpowiedzi.

Flint siada. Bierze się w garść. Nakłada na twarz swoją uprzejmą maskę.

– Byłem wtedy dzieckiem, ale słyszałem, że zginął podczas wojny. Podobno Niemcy go zabrali.

Helene kręci głową.

– Pieniądze nadal są przelewane, pański ojciec wyświadczył mojemu ojcu przysługę... – urywa, pozwala słowom zawisnąć w powietrzu.

Czeka, czuje narastające napięcie. Właściwie jest już pewna, ale chce potwierdzenia. Chce usłyszeć, jak mężczyzna się przyznaje. Jednak pierwsze zaskoczenie minęło, Flint przygląda się jej spokojnie.

– Proszę posłuchać, mój ojciec był świetnym przedsiębiorcą. Podpisał korzystną umowę, z której ja do dzisiaj czerpię zyski. To wszystko. Umowa i wypłaty mają obowiązywać do mojej śmierci. Myślę, że nie musimy tego dalej drażnić.

Helene czuje, że mężczyzna nie zamierza jej nic więcej powiedzieć. Mimo to nie daje za wygraną.

– Umowa nie została zawarta na papierze. Mogę w każdej chwili wstrzymać przelewy – mówi cicho.

Oczy mężczyzny zamieniają się w dwie wąskie szparki.

– Mam wrażenie, że nasze spotkanie dobiegło końca. Miło było panią poznać, pani Söderberg.

– Wie pan, że w każdej chwili mogę wstrzymać wypłaty – powtarza Helene, udając, że nie widzi jego wyciągniętej ręki. – I tak zrobię. Wstrzymam wypłaty, aż zdecyduje się pan powiedzieć mi, co wie. Wtedy zastanowimy się, czy praca, którą wykonał pana ojciec, rzeczywiście jest warta tytułu pieniędzy – stwierdza rezolutnie.

– Nie może pani wstrzymać wypłat. Jest umowa, na papierze.

– Chętnie ją zobaczę.

– Jestem przekonany, że nie. Zresztą nie zamierzam do tego dopuścić – mówi mężczyzna cicho. – Chyba że rzeczywiście wstrzyma pani wypłaty. Wtedy upublicznię umowę i będzie pani mogła przeczytać o niej w gazetach. Będzie pani miała na to mnóstwo czasu – dodaje i uśmiecha się, chociaż Helene odnosi wrażenie, że się boi. Słyszy to w jego głosie. – Ta umowa zniszczy Söderberg Shipping. Tysiące ludzi straci pracę, a pani straci wszystko. To dlatego pani ojciec zawarł tę umowę, chociaż nie był człowiekiem słynącym ze szczodrości.

*

Helene opuszcza restaurację, próbowała się skontaktować z Joachimem, żeby chociaż usłyszeć jego głos, ale Joachim nie odbiera. Oby tylko nie zmienił zdania, martwi się Helene. Może zrozumiał, jak skomplikowane i brudne jest to wszystko. Całe jej życie, wszystko, co jej dotyczy.

Jest już wieczór, ale latem zmrok zapada późno. Wzdłuż drogi rosną drzewa, między nimi od czasu do czasu przebłyскуje jezioro. Helene czuje gonitwę myśli. Umowa. Flint twierdzi, że jest umowa na piśmie. Przecież szukała, w biurze nie ma żadnego dokumentu, tak powiedziała Karen. Czyżby Edmund i Caroline coś z nią zrobili? Może powinna szukać gdzie indziej? Zacząć wszystko od początku. Od

ojca Mariusa Flinta. Czy był mimowolnym świadkiem, czy może chodziło o coś jeszcze? Widzi za sobą duży czarny samochód, zbliża się z dużą prędkością. Helene przyspiesza, ale samochód nadal jedzie za nią, więc zwalnia i daje znać kierunkowskazem, żeby ją wyprzedził. W końcu tak się dzieje. Kretyn. Helene marszczy brwi, znów pogrąża się w myślach. Musi dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu Mariusa Flinta. To pierwsze, co powinna zrobić. W mieście na pewno jest jakieś archiwum, podobne do tego w Gudhjem, w którym Joachim kiedyś spędził cały tydzień, przeglądając stare wycinki prasowe. Helene szykowała mu rano drugie śniadanie, kanapki z żytniego chleba z klopsikami rybnymi, do tego mały pojemnik z domowym sosem remoulade. Wypływał porannym promem, wracał dopiero wieczorem, pracował bardzo intensywnie, aż pewnego dnia stało się jasne, że historia, nad którą pracował, okazała się niewypałem. Helene nigdy nie widziała go tak przygnębionego. Po kilku dniach miał już inny temat, ale i ten pomysł okazał się chybiony. Powiedział jej, że tak czasem bywa, dał przykład ryb, które płyną w górę pod prąd, ale nie poddają się. Za każdym razem, kiedy wyskakują w powietrze, wierzą, że tym razem uda im się pokonać skalny załomek stojący na ich dalszej drodze. Potem chwycił ją za pośladki i przyciągnął do siebie... Wtedy była jeszcze Louise. „Tylko zdechłe ryby płyną z prądem. Życie to wieczna wspinaczka, za każdym razem, kiedy decydujemy się na skok, musimy wierzyć, że nam się uda”.

Dlaczego teraz o tym myśli? Miejscowe archiwum. Do przechowywanych tam dokumentów jej szalona rodzina na pewno nie miała dostępu. Nie mogła ich niszczyć czy usuwać według własnego widzimisię. Jej rozmyślania przerywa czarny samochód, jedzie teraz przed nią, bardzo powoli. Kiedy go wyprzedza, samochód przyspiesza. Rozlega się ostry dźwięk metalu, zgrzyt karoserii w zderzeniu z drugim samochodem. To on. Skrywa się za ciemnymi okularami i czapką z daszkiem. Helene podnosi głowę, dostrzega nadjeżdżającą ciężarówkę, kierowca czarnego auta nie chce jej ustąpić, przytrzymuje ją na lewym pasie. Helene zjeżdża na pobocze. Ciężarówka mija ją, kierowca kładzie się na klaksonie, trąbi długo, wściekle. Na miękkim podłożu przednie koła tracą kontakt z nawierzchnią. Helene kręci kierownicą, próbuje ratować sytuację. Czarny samochód nadal stoi na drodze. Tylne koła jej auta buksują, dociska hamulec, szarpie kierownicę, ale samochód nie reaguje, siła ciężenia wygrywa i auto zsuwa się w coraz szybszym tempie. Gałęzie uderzają o szyby. Samochód koziółkuje, ląduje na dachu, Helene czuje ucisk pasa na klatce piersiowej, poduszka powietrzna trafia ją w twarz, przez chwilę widzi za szybą poszycie lasu.

I nagle wszystko się zatrzymuje.

*

Otwiera oczy. Nie wie, jak długo miała je zamknięte. Sekundę? Dłużej?

Otacza ją coś jasnorożowego. Porusza się, z poduszki uchodzi powietrze. Słyszy kroki. Wygląda przez przednią szybę, wszystko stoi na głowie. Widzi skarpe i drogę na górze. Widzi nogi. Kierują się w jej stronę. Czarne nogawki spodni, ciemne buty. Spanikowana próbuje wcisnąć guzik, żeby wyzwolić się z pasów. Mężczyzna z drugiego samochodu jest coraz bliżej. Chce ją zabić i zaaranżować wypadek? Musi uciekać. Jak najszybciej. Uderza w miejsce, które trzyma pas, mocniej i mocniej. Kiedy pas w końcu puszcza, Helene upada ciężko i wali głową w sufit samochodu. Usiłuje otworzyć zniszczone drzwi, ale nie może się pozbyć jasnorożowej poduszki powietrznej. Jest unieruchomiona w fotelu. Próbuje opuścić szybę, co udaje jej się tylko częściowo. Chwyta torebkę i wyslizguje się na zewnątrz. Wysuwa ręce do przodu, potem głowę, przeciska tułów i biodra. Chwyta się trawy, gałęzi, wreszcie jest na zewnątrz. Zdyszana obraca się i wstaje. Biegnie. Biegnie tak szybko, jak nigdy dotąd. Słyszy wołanie mężczyzny. Jest wściekły. Rusza za nią, słyszy jego ciężkie kroki. Boi się zatrzymać, żeby sprawdzić, jaka dzieli ich odległość, czy w ogóle ma szansę. Jej stopy odbijają się od nierównego podłoża. Miękki mech poddaje się, chroni ją przed ukrytymi korzeniami. Gałęzie biją ją po twarzy, podnosi ręce, próbuje się chronić. Słyszy go, jest coraz bliżej, w każdej chwili spodziewa się, że chwyci ją za szyję, pociągnie w dół, udusi i porzuci ciało. Jak Louise. Nie potrafi powiedzieć dlaczego, ale myśl o Louise dodaje jej siły.

Próbuje wydłużyć krok, torebka uderza o udo, każdy oddech rani płuca. Nie chce umierać. Nagle słyszy krzyk, krzyk bólu. Ogląda się za siebie, nie może się powstrzymać. Przedziałek na włosach, wiatrówka, grymas bólu na twarzy – to wszystko, co widzi. Biegnie dalej. Słyszy, jak mężczyzna wstaje, przyśpiesza. Ale jego kroki są nieregularne. Może utyka? Helene upada i dopiero kiedy leży na ziemi, odkrywa powód upadku. Niewielka skarpa okazała się krawędzią lasu i początkiem brzegu. Siedzi na żółtym piasku, rozgląda się. Spostrzega przed sobą jamę, obraca się i niewiele myśląc, wciska się w otwór, nogami do przodu, zaciera rękami ślady na piasku. Zamyka oczy, wstrzymuje oddech. Czuje chłód piasku na nogach, łydkach, udach, klatce piersiowej. Nie słyszy żadnego ruchu, ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Leży otoczona ziemią i piaskiem. Zastanawia się, czy to nora lisa. Jej ciało dopasowuje się do ścian jamy, wygina się lekko. Ręce ma złożone przy twarzy. Gęsta sieć splecionych korzeni opada na swoje miejsce, przez chwilę kołyszą się lekko, ale zaraz się uspokajają. Cisza. I wtedy znów go słyszy. Idzie, kieruje się w stronę jej kryjówki. Nie przewraca się, idzie najpierw spokojnie, dopiero po chwili biegnie, potyka się, ale biegnie dalej. Helene długo jeszcze słyszy odgłos jego kroków. Potem następuje cisza. Później mężczyzna wraca. Helene leży bez ruchu. Prawie nie oddycha. Kroki zbliżają się, są ciężkie. Mężczyzna już nie biegnie. Idzie, słyhać, że kuleje, jeden długi krok, jeden krótki. Jest teraz dokładnie naprzeciwko jamy. Helene widzi jego buty. Jest w nich coś

złego. Są ciężkie, ciemne, jakby drwiły sobie z lata, z życia. Teraz pewnie ją zobaczy. Helene wstrzymuje oddech. Jeśli mężczyzna ją znajdzie... Nawet nie chce o tym myśleć. Nie chce umierać. Widzi przed sobą jasną, ufną twarz Sofie i ciemne oczy Christiana. Joachima. Słyszy jego głos. Mruży oczy, zaciska usta, oddycha przez nos, niemal bezgłośnie.

– Co za nieoczekiwane spotkanie – odzywa się kobieta tuż obok niego.

Joachim wzdryga się. Stał i przyglądał się zdjęciom w holu pałacu w Charlottenborg i nie zauważył, że ktoś wszedł. Kobieta w sukience koloru butelkowej zieleni, z ciemnorudymi włosami pojawiła się obok niego, niosąc ze sobą zapach perfum, które przypominają mu Helene.

– Nieoczekiwane? – pyta zmieszany.

– Nie spodziewałam się ciebie tu zobaczyć.

– Przykro mi. Nie przypominam sobie ciebie.

Kobieta śmieje się głośno.

– Nic się nie zmieniłeś – mówi, robi krok do tyłu, kręci głową. Joachim czerwieni się, nie wie, co powiedzieć. Nie pamięta kobiety w zielonej sukience, która twierdzi, że ma na imię Majse i że spotykali na niezliczonych przyjęciach, kiedy jeszcze był z Ellen. Zebranie zarządu nadal trwa, Joachim i pozostali goście czekają w holu. Małżonkowie, narzeczone, on ma udawać, że też należy do tej kategorii. Tylko na jeden wieczór, powtarza sobie. Robi to dla Helene. To dla niej udaje, że znów jest z Ellen.

– Chyba niedługo powinni skończyć, jestem okropnie głodna – odzywa się jedna z kobiet. Nikt jej nie odpowiada. Joachim zwraca uwagę, że najwyraźniej jest spoza środowiska, nie zna kodów obowiązujących w świecie, do którego Joachim teraz wraca. To świat dla wtajemniczonych. W szkole dzieci oprócz języka ojczystego uczą się dwóch języków obcych. Powinni uczyć się jeszcze jednego. Jego nauka zajmuje niektórym pół życia. Nie wystarczy bowiem znać właściwe słowa, trzeba znać właściwe odniesienia, mieć swoje zdanie na temat najbliższych kwestii. Joachim czuje gulę w gardle.

Drzwi się otwierają, wszyscy w holu odwracają się w ich stronę. Z sali wychodzą członkowie zarządu akademii i kierują się do swoich partnerów. Wśród gości krążą młode kelnerki z okrągłymi tacami w rękach, roznoszą smukłe kieliszki z perlistymi bąbelkami. Joachim bierze kieliszek i opróżnia go niemal jednym haustem. Ellen podchodzi do niego, ma ułożone włosy, podkreślone oczy, jej spojrzenie go parzy.

– Mam nadzieję, że dzielnie zniosłeś oczekiwanie – mówi głośno.

Dotyka jego dłoni i całuje go lekko. To część ich umowy. Wprawnym gestem bierze go pod rękę, opiera się o niego i szepcze:

– To on, tam. Ten z brodą, rozmawia z kobietą w białej sukience.

Joachim się odwraca. Teraz go widzi. Artystę, który maluje ból,

zniekształcone kobiece ciała, sceny z obozów koncentracyjnych. Farba z klejem ze zwierzęcych kości. Tøger Saxild.

– Kim jest to dziecko? – pyta Joachim i natychmiast czuje, jak Ellen go szturcha.

– To nie dziecko. To młoda Japonka – szepcze Ellen. – Gdybyś śledził jego prace, rozpoznałbyś ją.

Joachim nie może oderwać oczu od narzeczonej Saxilda, czy może jego muzy? Dziewczyna nie ma więcej niż osiemnaście lat. W innych kręgach ich związek pewnie wywołałby oburzenie, ale nie w świecie sztuki. Joachimowi nie przychodzi do głowy żaden mężczyzna w średnim wieku z brzuszkiem, którego Ellen broniłaby, gdyby zjawił się na prozowanej kolacji z dzieckiem pod rękę. Saxild musi być dobrze po czterdziestce. Ogolony niemal na łyso, z długą, ale zadbaną brodą, której koniec spleciony jest w warkocz sięgający mu do piersi. Joachim przenosi wzrok na młodą Japonkę. Patrzy na nią i zastanawia się, czy wygląda na kobietę, która pragnie być upokarzana? Saxild wydaje się spokojny, pewny siebie, jak wszyscy tu obecni. Japonka w niemal przezroczystej sukience szepcze mu coś do ucha. Saxild słucha, unosi brwi i kręci głową. Rozkłada ręce, wyraźnie jej się sprzeciwia. Jakim jest człowiekiem? Takim, który torturuje prostytutki? Joachim postanawia zbliżyć się do niego, chociaż jeszcze nie wie jak. Może zada mu niewinne pytanie o farbę? I zobaczy jego reakcję. Może Saxild go rozpozna? Nie byłego męża Ellen, tylko faceta, którego widział przez lustro. To niewykluczone. Saxild mógł być za lustrem w dniu, kiedy Joachim znalazł się w piwnicy.

*

Joachim już zapomniał, jak dobrze jada się w kulturalnej Danii. Pięć dań, mają za sobą dopiero dwa – risotto z kaszy perłowej i carpaccio z wędzonej flądry, cieniutkie, lekko kwaśne, solone kawałki morza z parmezanem i kaparami. Tak jada się w kręgach, w których dobre jedzenie koreluje z pogardą dla kobiet. Joachim cały czas obserwuje Japonkę. Widzi, że dziewczyna prawie nie je. Widzi jej piersi pod prześwitującym materiałem sukienki. I jeszcze coś: dziewczyna ani na moment nie zamyka ust, jej wargi pozostają lekko rozchylone. Joachim widzi, jak łapie spojrzenie Saxilda, otwiera usta nieco szerzej, jakby to on nakazał jej, żeby jej górna i dolna warga się nie dotykały. Joachim chciał usiąść obok malarza, ale Ellen powstrzymała go, tłumacząc, że każdy ma wyznaczone miejsce. Siedzi więc daleko od Saxilda i nie słyszy, co tamten mówi. Może go tylko obserwować. Twarz, ruchy rąk. Sposób, w jaki przeżuwa jedzenie. Przygląda mu się, kiedy mówi. I kiedy słucha. I wie, że to do niczego go nie zaprowadzi.

Ellen siedzi obok Joachima, jest w wyśmienitym humorze. Cały czas o krok przed innymi, konwersuje elegancko, ze swadą. Joachim próbuje uczestniczyć w rozmowach, ale przychodzi mu to z trudem. Kelnerzy podają kolejne dania,

strumień dań, wszystkie wyglądają jak małe dzieła sztuki. Do każdego doskonale dobrane wino. Ellen cały czas próbuje wciągnąć go do rozmowy. Kiedy w pewnym momencie bierze go za rękę, on odbiera to jako coś naturalnego, nie czuje się speszony. Sytuacja zaczyna go nawet bawić. Nie przewidział takiego biegu wydarzeń. Nie sądził, że będzie tak zdesperowany, że pogodzi się z kobietą, której – był przekonany – nienawidził najbardziej na świecie. Wie, że Ellen chciała walczyć o ich związek. Na moment wraca myślami do tamtych czasów. Do czasów, które jeszcze niedawno pragnął wyprzeć z pamięci. Złych czasów. Kiedy ostatecznie ją odrzucił, zostawił samą na lotnisku, małą, zagubioną. Umówili się, że przyjedzie prosto po wykładzie. Pamięta, jak jeździł w kółko swoim zakurczonym, starym volvem. W końcu dotarł do lotniska i wtedy nagle postanowił zawrócić. Już sama myśl o czekających go dniach spędzonych jedynie w towarzystwie Ellen wydała mu się nie do zniesienia. Nie chciał dobrowolnie zamknąć się w więzieniu, odrzucił więc wszystkie pozory przyzwoitości i uciekł. Na Bornholm. Chciał zacząć życie od nowa. Sam. Dotarł do Gudhjem, wsiadł na prom, a potem ruszył dalej, jak najdalej. Na niewielkiej wysepce znalazł pensjonat i wkrótce został dziewięćdziesiątym drugim mieszkańcem wyspy. Dni spędzał w łóżku, patrząc w sufit. Ma wrażenie, że tak było, aż pewnego dnia podczas prelekcji w kawiarni po raz pierwszy zobaczył Helene. Chociaż to oczywiście nieprawda. Nie leżał cały czas w łóżku. Jadł, oddawał mocz, brał prysznic. Niezbyt często, co prawda, dopiero kiedy już sam nie mógł wytrzymać smrodu. I pisał. Zapełniał stronę po stronie słowami, coraz bardziej beznadziejnymi.

Ellen mówi coś do niego, szarpie go za rękę. Joachim wraca do rzeczywistości.

– Co takiego? – pyta zdezorientowany.

– Chodź, w salonie obok jest kawa i *avec* – mówi Ellen i wstaje.

Joachim patrzy na nią. *Avec?*

Idą, ręka Ellen muska jego tyłek. Może to przypadek? Ale nie, ręka się zatrzymuje. Nieco za długo. To też przypadek? Po chwili Ellen idzie dalej, mija go. Joachim stoi w miejscu, potrzebuje chwili, żeby dojść do siebie. Wypija szklanekę wody. Musi wziąć się w garść.

*

Joachim długo zbiera się w sobie i być może właśnie dlatego rozmowa z Saxildem zaczyna się nieco niefortunnie.

– Malujesz farbami z klejem kostnym? – pyta wyzywająco.

Malarz spogląda na niego poirytowany. Joachim przerwał mu rozmowę. Obie kobiety, ta w białej sukience i Japonka, patrzą na Joachima jak na gburę.

– Tak – odpowiada krótko Saxild.

I tyle. Odwraca się do kobiet, Japonka usiłuje stłumić chichot.

– Dlaczego właśnie takimi, jeśli wolno spytać – ciągnie Joachim niezrażony.

Saxild wypuszcza powietrze przez szparę w przednich zębach, nagle sprawia wrażenie zmęczonego.

– Przerwałeś mi – mówi i bierze Joachima za rękę, spokojnie, ale stanowczo.

– Może napiłbyś się kawy?

– Przepraszam, wiem, że przerwałem ci rozmowę – odzywa się Joachim. Uświadamia sobie, że jest pijany.

Ellen przychodzi mu na ratunek. Obejmuje go, opiera się o niego i się śmieje.

– Tøger, przepraszam, że cię napadł, to moja wina – mówi. – Zbyt szczerze dolewałam mu do kieliszka. Joachim pracuje nad nową książką, powiedziałam mu, że pewnie będziesz mógł mu pomóc w sprawie farb, chodzi mu o farby z klejem kosztym. Powinnam była najpierw was sobie przedstawić. Joachim może niekiedy sprawiać wrażenie nieco nachalnego, ale jest w porządku.

Ellen śmieje się, Joachim przyciąga ją do siebie, chłonie dyskretny zapach mydła. Ale i czegoś jeszcze. Czuje łagodny zapach kwiatów. Perfumy? Czyżby Ellen zaczęła używać perfum? Saxild opowiada więc o farbach, których używa, ale zwraca się przede wszystkim do Ellen.

– A co z bólem? – pyta nagle Joachim. Sam jest zdziwiony, dlaczego to robi. Obserwuje reakcję malarza.

– Nie rozumiem?

– Dlaczego te kobiety wyglądają, jakby cierpiały.

– Sugerujesz, że to moja wina, że cierpią?

– A nie? – Joachim pilnie wypatruje reakcji Saxilda. Ten tylko wzrusza ramionami.

– Tę dyskusję już przerabialiśmy. Nie mam ochoty do niej wracać.

– A właściwie dlaczego nie? – odzywa się Ellen. Można odnieść wrażenie, że chce się z nim drażnić. Ale Ellen zna reguły gry, należy do środowiska, więc Saxild łagodnieje.

– Pokazuję świat taki, jakim go widzę. Przekazuję własne odczucia. Agresję, gwałty, brutalność. Trzymam to wszystko w sobie, aż przebierze się miarka. Wtedy zacznę malować.

Odpowiedź najwyraźniej zadowala Ellen. Banalne słowa, które brzmiałyby dobrze w wywiadzie do gazety czy do katalogu z wystawy. Joachim czuje, że się pomylił. Nie potrafi powiedzieć, jak wygląda morderca, jednak teraz jest już pewien, że to nie Tøger Saxild zabił Louise. Próbuje skupić się na rozmowie, lecz co chwilę coś go rozprasza. Jeśli to nie jest Saxild, on zostaje z pustymi rękami. Zastanawia się nad DNA. W odlewni znaleziono włos Helene. Potem Helene pojawiła się na Bornholmie z rzeczami Louise. Z jej portfelem, plecakiem. Czy to wystarczający dowód? Wystarczający, żeby Sperlin wsadził ją za kratki? Ellen

bierze go za rękę i ciągnie za sobą. Ludzie przyglądają się im z ciekawości, ale Joachim pamięta imprezy, które miały znacznie bardziej dramatyczny przebieg. Zdarzało im się kłócić, bywało też, że Ellen płakała. Jednak z jakiegoś powodu w tych kręgach takie rzeczy zdają się nie mieć większego znaczenia. Tu uchodzą rzeczy, które normalnie wywołałyby skandal: można nasikać na dywan, wyrzygać się na firanki, przelecieć żonę gospodarza czy przeciąć kable ogrodowym sekatorem. Wszystko to będzie jedynie dowodem na to, że jest się człowiekiem wolnym od mieszczańskich zahamowań.

– Zanim wyjdziemy, chcę ci jeszcze coś pokazać – mówi Ellen podniecona.

Wracają do holu, kierują się w stronę jej gabinetu, ale mijają go, Ellen ciągnie go ku schodom.

– Muszę wziąć kurtkę – protestuje Joachim.

– Będziemy tędy wracać, wtedy ją weźmiesz – stwierdza Ellen i nie zwalnia kroku. – Chcę ci pokazać obraz, który mieliśmy ostatnio na wystawie. Jest wyjątkowy. Jutro wraca do Brukseli, więc to ostatnia szansa. Nie mogłam od niego oderwać oczu. Gdybym mogła, zamieszkałabym w jego pobliżu, a najchętniej w nim, jak w tym filmie Kurosawy.

Ellen mówi dalej, opowiada o mężczyźnie, który wszedł w obraz i stał się jego częścią. Niemal biegnie po schodach, Joachim idzie za nią z pewnym oporem, ale też z ciekawością. Chociaż Ellen kocha sztukę, nigdy nie słyszał, żeby tak ciepło wypowiadała się o jakimkolwiek dziele. Docierają na strych, Ellen otwiera drzwi. Przed nimi znajduje się magazyn, światło z klatki schodowej wślizguje się do środka. Uderza ich ciepłe powietrze pełne kurzu. Obrazy są złożone na regałach ciągnących się do sufitu. Część zabezpieczona jest stalowymi ramami, inne spakowano w skrzynie z płyty wiórowej. Regały są oddzielone od siebie korytarzami. Joachim znajduje włącznik światła, lampy zapalają się po kolei, oświetlają duże pomieszczenie. Ellen gasi światło, zanim zdąży zapalić się ostatnia lampa na końcu korytarza. Staje przed nim, kładzie ręce na jego klatce piersiowej. W mroku widać tylko jej oczy pałające pożądaniem.

– Joachim...

Jej schrypnięty głos trafia go niczym cios. Odbiera go niemal jak coś fizycznego, jak jej ręce na jego ciele. Stoi nieruchomo, czuje jej dłonie coraz niżej, dotykają jego paska do spodni, odpinają go. Zamyka oczy. Szumi mu w uszach, opiera się o ścianę, chwieje się na nogach. Jakby był na łodzi. Odpręża się. I nagle widzi przed oczyma hak z piwnicy tortur. Jak grom z jasnego nieba. Światło, które na chwilę rozbłysło, coś oświetliło. Coś zobaczył. Przed chwilą, zanim zgasło. Hak? Prostuje się, odsuwa ręce Ellen, włącza światło.

– Co się stało? – Ellen jest wyraźnie zraniona.

Mówi cicho, jej głos się łamie. Odtrącił ją. Po raz kolejny. Coś ściska ją za gardło. Co on jej robi? Jak w ogóle doszło do tego, że znaleźli się w tej sytuacji?

Światła znów się włączają, jedna lampa po drugiej. Wtedy Joachim zauważa obraz. Jest duży, większy od niego. Stoi na podłodze oparty o jeden z regałów, odwrócony do góry nogami. Proporcje wydają się zakłócone, ale twarz jest wyraźna. Twarz kobiety. Jest też hak. I ściana z lustrem, widać na nim jakąś postać. Charakter obrazu przywołuje na myśl sceny z Wenecji, z czasów zarazy. Ale to wypukłe lustro zniekształcające rzeczywistość Joachim widział na własne oczy. Widział też kostium, ścianę, stół. Jest tego pewien.

– Co to jest? – Wskazuje drżącą ręką na obraz.

Ellen się odwraca.

– To obrazy, które jadą na wystawę do Szwecji.

– Kto jest autorem tego obrazu? Tego pierwszego – pyta Joachim, nie mogąc ukryć wzburzenia.

Ellen kręci głową.

– Jeśli myślisz, że to ma coś wspólnego z morderstwem, to się mylisz – mówi i krzyżuje ręce na piersiach. – Malarz nazywa się Pierre Kollisander. To na pewno nie on. Należy do naszych najwybitniejszych twórców.

Mija kilka godzin, zanim Helene odważa się wyjść z nory, zanim uznaje, że jej prześladowca sobie poszedł. Zastanawia się, kim on jest. Odpowiedź na to pytanie otrzyma tylko, jeśli będzie kontynuowała swoje poszukiwania. Musi się dowiedzieć, kim był ojciec Mariusa Flinta. I dlaczego był tak ważną osobą dla Aksela. Dlaczego firma wciąż płaci mu pieniądze, tyle lat po wydarzeniach. To musiało być coś ważnego.

Przyspiesza kroku, idzie w stronę kolorowych lampek, które rozświetlają wieczór nad brzegiem jeziora. Oddycha swobodniej. Podjęła już decyzję, zostawiła wiadomość Joachimowi na poczcie głosowej, że będzie nieuchwytna, ale że odezwie się do niego, więc żeby się nie denerwował. Chwilę potem wrzuciła komórkę do jeziora, nie chcąc, by „oni” ją namierzyli. Nie pozwoli „im” wygrać. Musi dotrzeć do prawdy, ale najpierw musi jeszcze coś zrobić. Chce mieć pewność, że nie zostanie rozpoznana.

*

Helene stoi w niewielkim markecie na kempingu, trzyma w ręce koszyk. Starła się strzepać piasek z ubrania, jest pomięte i brudne. Chociaż zauważa, że wcale nie wygląda gorzej niż większość turystów z kempingu Sea Camp. Co najmniej setka przyczep nad brzegiem jeziora, świetne miejsce dla kogoś, kto chce zmienić wygląd. Zapadający zmrok sprzyja jej, chociaż to jeden z tych letnich wieczorów, kiedy ciemność nigdy nie nadchodzi. Jutro pójdzie do miasta i znajdzie archiwum. Na kempingu panuje leniwy nastrój, wszędzie pełno mężczyzn w klapkach i kobiet z czerwonymi od słońca ramionami. Większość klientów marketu przyszła kupić wino i piwo. Helene zastanawia się nad kolorem farby do włosów. Najpierw sięga po płomienny rudy, ale ostatecznie wkłada do koszyka jasny brąz, do tego nożyczki, paczkę herbatników i jabłka. Niechętny wyraz twarzy młodej kasjerki przypomina jej twarz Bjørk, leniwej kelnerki, którą kiedyś zatrudniła w kawiarni.

– Coś jeszcze? – pyta dziewczyna skwaszona.

– Nie, to wszystko – odpowiada Helene, wkłada kartę do terminala, wstukuje PIN. Odmowa. Dźwięk, który wydaje terminal, sprawia, że mężczyzna za nią zaczyna jej się przyglądać.

– Mogę spróbować ponownie? Może wstukałam zły PIN? – pyta Helene grzecznie.

Dziewczyna podnosi głowę, patrzy na Helene. Ma lekkiego zęza, nagle

wydaje się bardziej ożywiona.

– Kod 43. To znaczy, że karta jest kradziona – mówi i znów patrzy na Helene.

– To jakaś pomyłka – upiera się Helene. – Za chwilę przyjdzie mój mąż. Zapłacimy jego kartą.

Helene wycofuje się na koniec kolejki. Kasjerka waha się, Helene dostrzega to w jej oczach. Pewnie myśli, czy powinna coś z tym zrobić. A jeśli karta naprawdę została skradziona? W końcu wraca do obsługiwania kolejnych klientów. Następni wchodzi do środka. Helene czuje, jak mocno bije jej serce, stoi na końcu kolejki w jakimś kretyńskim sklepie zaopatrującym turystów z kempingu. Czekają. Uśmiecha się, kiedy kasjerka znów podnosi głowę. Wie, że musi jakoś stąd wyjść. I wziąć ze sobą rzeczy. Przesuwa się do drzwi. W momencie, gdy dziewczyna odwraca się do niej plecami, sięgając na półkę po butelkę taniej wódki, postanawia zaryzykować. Wybiega, omija bariery przy kasie, i dopiero po chwili słyszy, jak kasjerka woła:

– Zatrzymać ją!

Biegnie dalej, ogląda się. Widzi za sobą mężczyznę. Tym razem jest to na szczęście grubas w plażowych klapkach, poza tym chyba nie bardzo mu zależy, żeby ją dogonić. Helene wbiega między przyczepy, znika z pola widzenia biegnącego za nią mężczyzny. Zwalnia, idzie powoli, nie chce się wyróżniać z tłumu turystów. Czuje, jak ogarnia ją panika. Co teraz? Czy uda jej się wyjść z kempingu tak, żeby nikt jej nie zauważył? Kieruje się w stronę łazienki. Zmusza się, żeby nie przyspieszyć. Łazienka znajduje się bardzo blisko sklepu, ale postanawia zaryzykować. Musi zmienić fryzurę. I ubranie. Mija jakąś przyczepę, na zewnątrz na sznurku wisi pranie. Mieszkańców nie ma, pewnie są w miasteczku albo kąpią się jeziorze. Wyciąga rękę, zdejmując ze sznura beżowe szorty i biały T-shirt. I idzie dalej w stronę łazienki. Na zewnątrz sklepu stoi trzech mężczyzn. Rozmawiają podnieceni, jeden z nich wskazuje ręką w stronę, gdzie Helene zniknęła, nie na miejsce, gdzie stoi w tej chwili. Zatoczyła łuk, mężczyznom nie przychodzi do głowy, żeby rozejrzeć się wokół siebie. Wchodzi do łazienki, spuszcza wzrok, nie patrzy na nikogo. Szlag! Okazuje się, że kąpiel kosztuje. Pięć koron za pięć minut. A ona nie ma nawet jednego øre. Słyszy głosy na zewnątrz. Wchodzi do toalety. Włosy. Nimi musi zająć się w pierwszej kolejności. Wieszka torbę z marketu na haczyku na drzwiach, wyjmując nożyczki i szybko obcina włosy. Kosmyki lądują na podłodze wokół jej stóp, sterta jasnych włosów. Obcina je równo, tak żeby zakrywały ucho. Jeszcze grzywka. Tak. Zwykła, przeciętna fryzura. Potem klęka przed muszlą klozetową. Czuje odór moczu, spuszcza wodę, wkłada obie ręce do miski i płucze włosy, sięga po farbę. Szybkimi ruchami wciera ją we włosy. Odczeka kilka minut, w tym czasie sprząta obcięte włosy i spuszcza w klozecie. Słyszy, jak kobiety na zewnątrz mówią, że została wezwana policja.

Szybko zdejmuje swoje brudne ubranie, splukuje z włosów farbę. Przeciąga palcami po mokrych włosach, potrząsa głową. Wychodzi z kabiny, myje dokładnie ręce w umywalce. Przygląda się sobie w lustrze. Kim jest? Kobieta w toalecie na kempingu. Uciekającą kobietą. Złodziejką. Czuje, że jej włosy cuchną moczem. Jest sama. Tęskni za Joachimem. Musi się z nim skontaktować. W Silkeborgu musi znaleźć telefon i zadzwonić do niego. Powiedzieć, że potrzebuje pomocy. Wszystko ją przerosło, nie poradzi sobie sama.

*

Ukrywa się w lesie, ale trzyma się blisko kempingu. Dopiero po kilku godzinach odważa się wrócić. Jest noc, wszyscy śpią. Poszukiwania złodziejki zostały odwołane, radiowóz odjechał. Na trawie przed jedną z przyczep znajduje porzucony nadmuchiwany materac, zabiera go ze sobą. Bierze też ręcznik z pustego leżaka. Jej gesty są pewne, spokojne. Jakby zawsze kradła, ukrywała się. Jest zdziwiona. Wraca do lasu, znajduje polankę, kładzie się na materacu. Zasypia, ale co chwila się budzi. Noc się dłuży.

Kiedy nastaje ranek, pojawiają się komary, musi wstać. Krąży po polance, macha rękami, broniąc się przed owadami, i zastanawia się, co wie. Wie, że z konta Söderberg Shipping przelewane są pieniądze na konto Julsø Kro. Marius Flint twierdzi, że istnieje pisemna umowa. Nawet jeśli to prawda, na pewno nie jest to formalna urzędowa umowa. I na pewno nie ma jej w siedzibie firmy. Dawna Helene, ta która uciekła od wszystkiego i o wszystkim zapomniała, próbowała znaleźć tę umowę, ale bez powodzenia. Nowa Helene, ta która teraz pragnie wszystko sobie przypomnieć, sądzi, że jest jakiś związek między Hirschem a wypłatami. Podejrzewa, że w ten sposób kupiono czyjeś milczenie. W sprawie, która mogłaby zniszczyć firmę Söderberg Shipping. Tak powiedział Marius Flint. Kim był jego ojciec? Czy jest jakieś inne wytłumaczenie tej zagadki? Wstaje słońce, promienie ogrzewają wilgotne leśne powietrze. Helene siada na dmuchanym materacu, niemal płaskim. Nadal jest wczesny ranek, ale teraz przynajmniej wie, gdzie ma zacząć swoje poszukiwania. Poczekaj jeszcze kilka godzin i pójdzie do miasta, do Silkeborgu.

Pierre Kollisander. Joachim zna nazwisko od zawsze, od kiedy pisze książki. Ellen była nim zafascynowana. Zafascynowana mężczyzną, jego geniuszem. Joachim wchodzi do galerii Lundtoft, która znajduje się przy ulicy Bredgade, podobnie jak wiele innych znanych galerii. Ból z tyłu głowy przypomina mu, że poprzedniego dnia zdecydowanie za dużo wypił. Galeria tonie w łagodnym, ciepłym świetle. Na ścianach wiszą obrazy. Dość mierne krajobrazy, dochodzi do wniosku Joachim. Nie ma porównania z Turnerem. Chociaż, zaraz. Podchodzi bliżej. Brzozowy zagajnik. Na obrazie obok gałęzie dębu. Kolory. Tak, zdecydowanie mają coś w sobie. Żałuje, że nie ma przy nim Ellen. Chociaż po tym, co się wczoraj stało, jest to niemożliwe. Nie rozumie, że pozwolił, aby sprawy zaszły tak daleko. Upił się. Ellen, co prawda, twierdziła, że nic się nie stało, ale zna ją. Odtrącić Ellen to grzech śmiertelny. Zawsze przychodziło mu za to zapłacić.

– Jeśli ma pan jakieś pytania, to już podchodzę. – Słyszy za sobą męski głos. Odwraca się, przygląda się mężczyźnie. Jest niski, przypomina nieco pudła, tylko chyba nie jest aż tak agresywny, nawet się uśmiecha.

– Dlaczego te dzieła uznawane są za wyjątkowe? – pyta Joachim, wskazując ręką na obrazy.

Mężczyzna wydaje się szczerze zdziwiony, niemal wstrząśnięty jego pytaniem.

– Wie pan cokolwiek o metodzie pracy tego artysty? – pyta.

– Nic.

– To seria dzieł zatytułowana *Istnienie*. Każde z nich to metonimia.

Joachim próbuje sobie przypomnieć znaczenie tego słowa. Powinien to wiedzieć, jest pewien, że kiedyś to wiedział, często spotykał się z tym określeniem w młodości, kiedy pochłaniał grube książki z teorii literatury. Teraz już nic z tego nie pamięta. Na szczęście mężczyzna kontynuuje wywód, tłumaczy, na czym polega metoda artysty. Maluje materiałami zaczerpniętymi z motywu obrazu. Brzozy są namalowane zwęglonym drewnem z ich pnia, pigment pochodzi z liści. Z żółtych soków drzewa i z jesiennych liści. Tę samą metodę artysta zastosował, malując dąb i różę. Drzewo przeszło w obraz, pień został ścięty, a potem nadpalony, żeby powstał węgiel drzewny, którym artysta namalował obraz. W ten sposób utrwalił naturalny przedmiot, przełamał barierę między motywem a materiałem, między formą a treścią.

– Może byłby pan zainteresowany książką, która bardziej szczegółowo omawia tę metodę? – pyta mężczyzna.

Joachim wzdycha. Książki. Szlag. Chce odzyskać Helene. Oczywiście nie mówi tego głośno, tylko pyta grzecznie, jak może skontaktować się z artystą.

Na twarzy mężczyzny pojawia się wymowny grymas.

– Nie ma go w kraju – informuje.

Joachim uśmiecha się, ma nadzieję, że rozbrajająco.

– Na pewno wiele osób o niego pyta, ale ja mam poważne zamiary. Jestem pisarzem – mówi, i dziwi się dlaczego brzmi to tak dziwnie w jego ustach. Dlatego, że od dawna niczego nie napisał? – Jeśli zostawię swoje nazwisko, przekaże mu pan moją wiadomość? Piszę książkę, której bohaterem jest malarz, dlatego chciałbym przeprowadzić z nim wywiad – kontynuuje Joachim i czuje, że się rumieni. Szybko dodaje kilka słów o tym, jakie to ważne dla jego pracy.

– Niestety. Kollisandera naprawdę nie ma w kraju, poza tym niezwykle rzadko udziela wywiadów.

Twarz mężczyzny pozostaje niewzruszona. Joachim wie, że nic więcej nie uzyska, wychodzi z galerii i rusza w kierunku Kongens Nytorv.

Co teraz? Ma bardzo niewiele. W zasadzie nic. Przeczucia, niejasne podejrzenia, to wszystko. Kiedy zbliża się do hotelu d'Angleterre, przypomina sobie Stellę. Jej twarz, kiedy mówiła mu o środowisku, w którym obracała się Louise. Strach w jej oczach. Wie, że sprawa jest poważna. Morderca Louise nadal jest na wolności, człowiek, który zdejmuje skórę z kobiet, tak jak zdejmuje się skórę z szynszyli. A jedyną podejrzaną jest Helene. Tylko on jest na tropie prawdziwego mordercy. Rano przekazał informację Sperlingowi. Poinformował go o haku, który widział na obrazie Kollisandera. Niestety zdaje sobie sprawę, że pewnie nie zabrzmiało to zbyt poważnie. Mierny pisarz oskarża wielkiego artystę o morderstwo. Wyjmuje z kieszeni komórkę, dzwoni do Helene. Chociaż powinien poczekać, aż ona zadzwoni do niego. Stoi z komórką w ręce i przygląda się jej zagubiony. Postanawia sprawdzić w internecie adres malarza. Zdziwiony stwierdza, że adres jest w sieci. Każdy może dowiedzieć się, gdzie mieszka słynny artysta. Na Amaliegade. Snobistyczny adres. Blisko galerii. Blisko wszystkiego. Mężczyzna w galerii twierdził, co prawda, że Kollisander wyjechał, ale Joachim postanawia to sprawdzić.

*

Dopiero kiedy jest już na klatce, uświadamia sobie, że nie ma żadnego planu. Co on sobie wyobrażał? Nie może pojawić się ot tak znikąd i zadawać pytań. Może powinien posłużyć się tym samym kłamstwem, które sprzedał mężczyźnie w galerii? Powiedzieć, że pisze książkę. Tak, nic lepszego nie wymyśli. Ma tylko nadzieję, że tym razem zabrzmiał bardziej przekonująco. Przy przycisku domofonu widzi dwie litery: PK. Wciska guzik. Nic się nie dzieje. Może Kollisander rzeczywiście wyjechał? Joachim wciska guzik do mieszkania piętro

nżej, czeka.

– Halo? – Słyszy roześmiany głos kobiety.

– Szukam pana Kollisandera.

– Słucham?

– Pierre Kollisander – mówi głośno Joachim.

Żadnej odpowiedzi, ale po chwili rozlega się ciche brzęczenie.

Idzie na górę szerokimi, błyszczącymi schodami. Pięknie rzeźbiona poręcz, zadbane rośliny w oknach. Tak mieszkają ludzie bogaci, myśli Joachim i nagle uświadamia sobie swój niechlujny wygląd. Przeciąga palcami po włosach, chociaż wie, że niewiele to pomoże. Drzwi sąsiadki z piętra niżej są otwarte, na progu stoi starsza kobieta. Ma spuszczone niemal na czubek nosa okulary, siwe włosy gładko zaczesane do tyłu.

– Pierre wyjechał, ale ja odbieram jego pocztę – mówi.

Joachim wyciąga przed siebie puste dłonie.

– Nie roznoszę poczty, jestem pisarzem. Piszę o nim książkę. Wie pani, gdzie on jest?

Twarz kobiety natychmiast się zmienia, staje się niedostępna, tak samo jak twarz mężczyzny w galerii.

– Jeśli nie roznosi pan poczty, to bardzo proszę stąd wyjść – mówi stanowczo.

Joachim rozważa różne możliwości. Mieszkanie malarza jest piętro wyżej. Jest już na klatce schodowej, może pójść dalej. I co? Włamać się?

Kobieta unosi brwi.

– Coś jeszcze? – pyta chłodno.

Nie zamierza wrócić do mieszkania, zanim Joachim nie opuści klatki schodowej. Poza tym widziała go. Jeśli ktoś zgłosi włamanie, na pewno będzie w stanie go dokładnie opisać. Może nawet go rozpozna. Joachim kręci głową, odwraca się, jest zły na siebie. Postępuje idiotycznie. Bawi się w detektywa. Zastanawia się, czy włamać się do obcego mieszkania. Co mówił Sperling? Że w dzisiejszych czasach wiele rzeczy można zrobić samemu, ale śledztwo należy zostawić zawodowcom.

Jego przypuszczenia okazują się słuszne: kobieta wychyla się przez poręcz i cały czas bacznie na niego patrzy.

Ellen. Tak, Ellen wie wszystko o wszystkich. Zna świat sztuki. Na pewno mogłaby mu dużo powiedzieć o Kollisanderze. Mogłaby mu pomóc, tylko czy w ogóle będzie chciała z nim rozmawiać?

*

Coś w twarzy Ellen mówi mu, że wiedziała, że się tu zjawi. Może wręcz na niego czekała? Wygląda pięknie, kiedy tak stoi w drzwiach. Gładkie brązowe

włosy zebrała w luźny węzeł, ma na sobie szarą sukienkę do kolan, bosa stopy. Joachim jest pewien, że pod sukienką nic nie ma.

– Dzień dobry – wita go.

– Przepraszam za wczoraj – duka Joachim.

Podaje jej niezdarnie rękę, czuje, że nagle kac wrócił, ma mdłości, odbija mu się kwaśno. Ellen kręci głową, przewraca oczami, unosi ręce i po prostu go obejmuje.

– Odpręż się, ja nie gryzę – mówi. – A przynajmniej już nie – dodaje i mruga do niego porozumiewawczo. Odwraca się i wchodzi do mieszkania, Joachim idzie za nią zmieszany.

Dziwnie się czuje, wchodząc do swojego dawnego mieszkania. Jego pierwsza myśl, to że nic się tu nie zmieniło. Nie dostrzega nic nowego w minimalistycznym wystroju, meble są te same, nawet ustawione tak samo. Ellen ma dobry gust, lubi piękne rzeczy, i na wskroś duńskie. Tylko czy Joachim kiedykolwiek czuł się tu jak u siebie? Ellen siada z wdziękiem na końcu kanapy, podciąga kolana, wygląda na rozluźnioną. Joachim siada na krawędzi kanapy, opiera dłonie o kolana. Okno wychodzące na duże wspólny dziedziniec jest uchylone, dobiegają przez nie głosy bawiących się dzieci. Dzieci, których oni nigdy nie mieli.

– I co, staruszku? Co dalej?

– Próbowałem skontaktować się z Kollisanderem, ale wyjechał.

– Ma pracownię na Sycylii – mówi Ellen i lekko odwraca głowę.

Joachim czuje dyskretny zapach jej nowych słodkich perfum. Przygląda się jej twarzy. Jest zawiedziona? Myślała, że przychodzi w innym celu? Nawet jeśli, to nie daje tego po sobie poznać.

– To jakieś szaleństwo. Kilka razy pracowałam z nim, zawsze odbierałam go jako osobę bardzo ciepłą... Jest wykształcony, inteligentny. Naprawdę wielki artysta i człowiek – mówi, a Joachim natychmiast wyczuwa jej intencje. Nie musi dodawać: w przeciwieństwie do ciebie.

Ellen zapada się na chwilę w siebie, wciąga powietrze ustami, przesuwa palcem po czerwonym skórzanym obiciu kanapy. Drobny ruch, ledwie zauważalny gest, ale Joachim zastanawia się, czy Ellen miała romans z Kollisanderem. Myśl, że Ellen była z innym mężczyzną... Dziwnie się z tym czuje, chociaż oczywiście wie, że miewała innych mężczyzn. Więc dlaczego jednym z nich nie mógł być Kollisander?

– Jak dobrze go znasz? – pyta ostrożnie.

Ellen natychmiast zaciska dłoń, domyśla się, do czego Joachim zmierza.

– To nie tak, jak myślisz. Po prostu pracowaliśmy razem.

Z dziedzińca dochodzi dźwięk piłki uderzającej o mur i głos matki wołającej dziecko.

– Ellen – mówi Joachim i odwraca się w jej stronę. Opowiada o lustrze, wypukłym lustrze weneckim, o żelaznych kółkach, haku, o innych szczegółach. O krwi pod paznokciami, która okazała się nie krwią, tylko barwnikiem wytwarzanym z owadów. Ellen słucha. Joachim mówił jej o tym wczoraj, ale teraz stoi przed nią, krąży po pokoju, stąpa po deskach, po których stąpał tyle razy wcześniej. I opowiada. Jakby to była jedna z jego własnych historii.

Ellen przerywa mu.

– To geniusz – mówi spokojnie. – Jest jednym z naszych największych artystów. Słyszę o nim od lat. Być może właśnie to jest w nim najbardziej godne podziwu. Od razu został „młodym i obiecującym” – mówi. – Wiesz, jak to jest, prawda?

Joachim wzdycha, spuszcza wzrok.

– Tylko w przeciwieństwie do wielu innych on z czasem stawał się coraz większy. W jego dziełach jest głębia, którą rzadko można znaleźć we współczesnej sztuce. Ludzie nie mogą oderwać oczu od jego obrazów.

– Bo posługuje się metonimiami?

– Słyszę, że odrobiłeś lekcję – mówi Ellen i śmieje się. – Tak, jego dzieła tworzą jedność z motywem. Jeszcze kiedy studiował na akademii... – zaczyna i nagle urywa. Na moment w jej oczach pojawia się strach.

– Co już wtedy?

– Nic.

– Chciałaś coś powiedzieć. Co się stało, kiedy jeszcze był studentem?

– Już wtedy było widać, że ma wielki talent – mówi Ellen wolno. Zbyt wolno.

– Nie to chciałaś powiedzieć.

Ellen się uśmiecha.

– Chciałam powiedzieć, że przyćmiewał innych. – Wciąż się uśmiecha, ale Joachim wie, że kłamie. Wie też, że nic więcej od niej nie wyciągnie.

– Jest pewne dzieło, które stało się już niemal mityczne. Mówił o nim w wielu wywiadach. Twierdzi, że przekracza w nim wszelkie granice obowiązujące dotąd w sztuce. Wszyscy oczywiście umierają z ciekawości, ale on postawił jasny warunek: dzieło zostanie wystawione na pokaz dopiero po jego śmierci.

Joachim siada. Ellen nawet nie próbuje skrywać swojego podziwu dla Kollisandera. Joachim podejrzewa, że chyba jednak nie mieli romansu, choć ona pewnie by tego pragnęła.

Wraca myślami do Louise. Jej ciało zostało wyrzucone jak wyrzuca się śmieci. Hak na obrazie. I dziwnie wykrzywiona twarz kobiety. Z bólu, ze strachu. Ale było w niej coś jeszcze. Granice. Przekraczanie granic. Gdyby tylko Joachim mógł poznać Kollisandera bliżej. Ellen najwyraźniej wie, gdzie on jest. Może mogłaby go z nim umówić? Gdyby chciała. Joachim wie, że Ellen jest pod

wrażeniem Kollisandera i postanawia to wykorzystać.

– Sperling uważa mnie za durnia – mówi nagle.

– Obawiam się, że ma rację.

– Znaleźli na miejscu zbrodni DNA Helene i uczepili się tego. Dlatego muszę znaleźć Kollisandera. Wiesz, gdzie on jest?

Ellen się waha.

– Podejrzewam, że w swojej pracowni na Sycylii. W Syrakuzach.

– Przecież go znasz.

Joachim pochyla się, kładzie rękę na jej kolanie i mówi dalej.

– Mógłbym do niego pojechać, ty mogłabyś pojechać tam ze mną. Być może moje podejrzenia są fałszywe, co nie zmienia faktu, że chciałbym się z nim spotkać, kto wie, co z takiego spotkania mogłoby wyniknąć...

– Chyba przesadzasz – wchodzi mu w słowo Ellen.

– Możesz po prostu powiedzieć, że przyjechałaś studiować sztukę etruską.

A ja ci towarzyszę. O resztę już zadbam. Obiecałem, że nie będę włączał cię w swoje dochodzenie.

– Fenicką. Miałaś zapewne na myśli sztukę fenicką – mówi Ellen. Bierze jego dłoń, zdejmuje ją z kolan. – Miałabym znów stać na lotnisku? I czekać? Na ciebie?

Joachim czuje, jak krew odpływa mu z głowy. Boi się jej. Zawsze się jej bał.

– Przepraszam, zachowałem się wtedy okropnie.

Na twarzy Ellen pokazuje się uśmiech triumfu.

– Myślałam, że miałaś wypadek, skoro nie pojawiłeś się na lotnisku. Zadzwoiłam na policję, ale przyjmują zgłoszenie dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach od zaginięcia. I nagle zrozumiałam, że jestem kretynką. Stałam na lotnisku i krzyczałam do komórki.

Ellen śmieje się, kręci głową.

– Więc wyłączyłam komórkę i pojechałam na wakacje. Sama. I odnalazłam siebie.

Unosi brwi, ściąga usta, wygląda jak zadowolona kotka, która właśnie pożała mysz. Joachim patrzy na nią, czeka na burzę.

– Nie potrafię wytłumaczyć, jak to się stało, ale nagle odpuściłam sobie, wyrzuciłam wszystko, co było złe. Ciebie. Nasz okropny związek. Każdego ranka, kiedy się budzę, jestem wdzięczna za to, co się wtedy stało.

Ellen ściska jego dłoń, gdzieś na dziedzińcu płacze dziecko. Joachim nadal jej się przypatruje, czeka na finał.

– Pojadę z tobą do Syrakuz – mówi w końcu Ellen i kiwa głową. – Nie sądzę, żeby Kollisander zrobił to, o co go oskarżasz... To śmieszne, ale pomogę ci wyjaśnić sprawę. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Bez wątplenia kierują mną różne motywy, pewnie niektórych nawet sobie nie uświadamiam. W każdym razie

zostałeś ostrzeżony. – Uśmiecha się.

Nie nadaje się na detektywa. Zaczyna od miejskiego muzeum, chodzi po starym budynku razem z innymi turystami, którzy wstali rano, i emerytami, którzy starają się zapełnić czymś dzień. Długo stoi i przygląda się znalezionemu na torfowiskach zmumifikowanemu ciału człowieka z Tollund. Widziała go już wcześniej, pamięta. Dziwi się swojej pamięci. Amnezja wsteczna. Człowiek zapomina wszystko, co dotyczy jego życia, ale inne rzeczy pamięta: wydarzenia historyczne, Waterloo, druga wojna światowa, człowiek z torfowisk. Przygląda się twarzy mężczyzny sprzed dwóch tysięcy lat, a nadal tak żywej, że nie zdziwiłaby się, gdyby nagle otworzył oczy i przemówił do niej. Wygląda, jakby się uśmiechał, promienieje spokojem. Podobnie jak inni zwiedzający, Helene nie może oderwać od niego oczu. Śmierć mężczyzny nastąpiła przez powieszenie. Skąd ten spokój na jego twarzy, skoro śmierć była tak brutalna? Czy Helene też tak skończy? Czy zazna spokoju dopiero po śmierci? Czy dopiero wtedy przestanie cierpieć, a na jej twarzy pojawi się ulga? Człowiek z Tollund został powieszony, a jego ciało wrzucone do jednego z licznych torfowisk w okolicy. Widocznie taki jest tutejszy obyczaj, od tysięcy lat. Jej ojciec postąpił zgodnie z tradycją: jeśli kogoś nie lubisz, zabij go i wrzuć ciało do bagna albo do jeziora.

W końcu odrywa oczy od mężczyzny, pyta kogoś z personelu muzeum o zdarzenia z nowszej historii, o gazety z okresu ostatniej wojny. Okazuje się, że źle trafiła. Zamiast do muzeum powinna się udać do biblioteki.

*

Miejskie archiwum znajduje się na tyłach biblioteki. Panują tu spokój i cisza. Całe pomieszczenie, od podłogi do sufitu, zastawione jest regałami z książkami i skoroszytami. Są też stoły do czytania, komputery. Przy jednym ze stolików pochylony nad pożółkniętą stroną gazety siedzi starszy, siwy mężczyzna. Joachim na pewno dobrze by się tu czuł. Na pewno mógłby się tu skupić. Helene ma wyrzuty sumienia. Problemy Joachima z pisaniem zaczęły się, kiedy zamieszkali razem. Oczywiście, że to zauważyła. Nieraz się zastanawiała, czy może to z nią jest coś nie tak, może to ona zatruwa ich miłość.

Kiedy Helene wchodzi, jeden z współpracowników, młody chłopak, podnosi głowę znad biurka. Ma okrągłe dziecięce policzki, ale już łysieje.

– W czym mogę pomóc? – pyta.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś o poprzednim właścicielu Julsø Kro – mówi zdenerwowana.

– Znasz nasz system?

Helene kręci głową. Tej chwili się obawiała. Nie wie, co zrobi, jeśli chłopak zażąda okazania dowodu osobistego. Ma tylko nieprzydatną kartę kredytową. Poza tym nie ma ochoty zdradzać swojego nazwiska. Na szczęście chłopak nie pyta o nic, wskazuje po prostu miejsce przy stole, na którym stoi wolny komputer, i mówi, co ma zrobić, żeby skorzystać z systemu.

– Duża część materiałów jest dostępna online, pozostałe można sprawdzić w archiwum papierowym. Proponuję zacząć od wpisania Julsø Kro i nazwiska właściciela. Daj znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy.

Chłopak uśmiecha się do niej, dołeczki w policzkach sprawiają, że wygląda jeszcze młodziej. Jest miły i chętny do pomocy. A jednak Helene obserwuje go bacznie, kiedy wraca do swojego biurka. Co robi, jeśli ją rozpozna? Może Edmund i Caroline wszczęli już poszukiwania? Nie, zmieniła wygląd, nie sądzi, żeby ktoś ją rozpoznał. Wpisuje Julsø Kro w wyszukiwarkę. Natychmiast wyskakuje mnóstwo informacji, gospoda jest wiekowa, ma ponad sto pięćdziesiąt lat. Ogląda stare zdjęcia, dokumenty, czyta o czasach, kiedy Julsø Kro była przydrożną gospodą z prawem wyszynku nadanym przez króla. Ale te informacje nie mają dla niej znaczenia. Trochę czasu zajmuje jej przejście do późniejszego okresu. W końcu udaje jej się znaleźć imię i nazwisko poprzedniego właściciela gospody. Okazuje się, że ojciec Mariusa nazywał się Reinholdt Flint. Wpisuje imię i nazwisko w wyszukiwarkę. Na ekranie pojawiają się różne dokumenty. Głównie zeskanowane wycinki prasowe. Reinholdt najwyraźniej kolaborował z nazistami. Znajduje link do dłuższego artykułu prasowego, czyta. Podczas wojny Niemcy byli mile widzianymi gośćmi w Julsø Kro. Fakt, że Reinholdt Flint współpracował z okupantem, był najwyraźniej powszechnie znany. Choć pojawiały się też plotki, że współpracował z ruchem oporu. Helene jest zdezorientowana. Jak jedno ma się do drugiego? Przegląda inny artykuł, w którym wspomina się o Reinholdcie, ale który przede wszystkim dotyczy motywów, jakimi kierowali się kapusie. Najwyraźniej często były niejasne. Dla jednych najważniejsza była adrenalina. Inni donosili ze względów finansowych. Jeszcze inni byli po prostu nazistami i robili wszystko, żeby pomóc okupantowi. Reinholdt Flint wymieniony został jako jeden z tych, których motywy pozostały niewytłumaczone. Niektórzy twierdzili, że jego współpraca z nazistami była jedynie pokrywką dla jego działań w ruchu oporu. Inni wspominali coś o długach karcianych, ale to nigdy nie zostało dowiedzione. Helene próbuje otworzyć kolejny plik z dokumentami. Klika raz, drugi, niecierpliwi się, aż wreszcie dociera do niej, że więcej materiałów może znaleźć w archiwum papierowym. Z pewnym wahaniem spogląda na młodego pracownika archiwum. Wolałaby uniknąć kontaktu z nim, lecz chłopak natychmiast podnosi głowę, ich spojrzenia się spotykają. Czyżby jednak ją obserwował?

– Potrzebujesz pomocy?

– Tak – przytakuje Helene.

Chłopak podchodzi do niej, zerka na ekran komputera.

– Kliknij tutaj, wtedy zamówienie pokaże się u mnie w systemie, i będę mógł zejść po materiały do archiwum. Tylko najpierw musisz się zalogować. A może masz już u nas konto?

Helene natychmiast się spina. Teraz poprosi ją o nazwisko. Może nawet o dowód. Czy wtedy Edmund dowie się, gdzie jest? Edmund, a może Caroline?

– Nie – odpowiada cicho.

– To żaden problem, zajmie ci chwilę. Musisz tylko wypełnić to pole: wpisz imię i nazwisko, adres e-mail i PESEL. Hasło wybierasz sama – mówi chłopak i wciska jakiś klawisz.

Helene wpatruje się w puste pole. Zastanawia się, co się stanie, jeśli poda swój PESEL? Gdzie pojawi się informacja o tym? Postanawia zaryzykować. Wpisuje imię, nazwisko i PESEL, który nadal wydaje jej się obcy. Teraz brakuje tylko hasła. Waha się chwilę, po czym wstukuje: Joachim. Uspokaja się. Czuje ulgę. Przypomina sobie, że powinna znaleźć jakiś telefon i odezwać się do niego, wytłumaczyć mu, co się stało.

– No i gotowe – mówi chłopak. – Wygląda na to, że wszystkie materiały są obecnie dostępne. Mamy dokumenty związane z przebudową gospody, i dokumenty z Więzienia Krajowego w Møgelkær. I jeszcze dotyczące jakiejś sprawy sądowej, która odbyła się tuż po wojnie.

Ostatnia informacja wydaje jej się szczególnie ciekawa.

– Chcesz, żebyśmy je wyszukali? Te materiały?

Helene spogląda zdziwiona na chłopaka. Ma iść z nim do archiwum?

Po chwili schodzą po schodach do piwnicy. Chłopak mówi, że budynek, w którym mieści się archiwum, to tak naprawdę stary bunkier, schron z okresu zimnej wojny. Otwiera ciężkie drzwi przeciwpożarowe i wchodzi do niskiego pomieszczenia ze ścianami z surowego betonu, pod którymi od podłogi do sufitu stoją regały. Można tu znaleźć informacje o wszystkim, co kiedykolwiek wydarzyło się w okolicy. Artykuły z gazet, pamflety, pisma z urzędu miasta. Chłopak wskazuje jej miejsce przy niewielkim stoliku.

– Powinnaś tu znaleźć wszystko, co cię interesuje – mówi i tłumaczy, jak ma szukać materiałów w komputerze.

Helene odnosi wrażenie, że jest tutaj pierwszym gościem od dawna, chłopak jest wyraźnie zadowolony, że może jej pomóc.

– Daj znać, kiedy skończysz albo kiedy będziesz miała jakiś problem. Z dokumentami z więzienia czy z sądu różnie bywa. Chętnie ci pomogę.

– Dziękuję.

Helene przegląda dokumenty. Zaczyna od lokalnej gazety z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. Nie znajduje nic ciekawego, chociaż

stare zdjęcia robią na niej wrażenie. Ludzie, którzy zostali na nich uwiecznieni, przypominają jej o dzieciństwie Aksela. Przegląda kolejne artykuły: o miejscowym przytułku, sierocińcu i zakładzie poprawczym. W takim świecie dorastał. Aksel, jej ojciec. I William. W biedzie, bez poczucia bezpieczeństwa. To zapewne tłumaczy późniejszą pazerność Caroline. To była walka o przetrwanie. Helene wzdycha, odkłada gazetę. Szybko przegląda dokumenty dotyczące remontu gospody. Zatwierdzenie projektu przebudowy, nic szczególnie ciekawego. Otwiera teczkę z dokumentami ze sprawy sądowej. Na pierwszej stronie widzi przypięte spinaczem czarno-białe zdjęcie. Reinholdt Flint. Mężczyzna w średnim wieku, o nieco posępnym wyglądzie. Jedno zdjęcie en face, drugie z profilu. Helene czyta sprawozdania z przesłuchań. Jednak Reinholdt nie mówi nic, co mogłoby rzucić światło na jego dwuznaczny stosunek do niemieckich władz okupacyjnych. Niczemu nie zaprzecza. Nie próbuje się zaprezentować z bardziej sympatycznej strony. Nie ulega wątpliwości, że przyczynił się do aresztowania co najmniej trzydziestu działaczy ruchu oporu i ponad dwudziestu Żydów. Wielu z nich naziści zamordowali. Plotki, że ponoć pomagał Żydom w uciezkach i przechowywał broń dla ruchu oporu, niewiele mu dały. Reinholdt Flint został oskarżony o morderstwo i zdradę kraju i skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano ósmego października tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku o godzinie 00.33 na terenie plantacji Undallslund na obrzeżach Viborga. Helene wraca do monitora, szuka wykazu osób straconych po wojnie. Znajduje stronę, na której opisane są sprawy przeciwko donosicielom i kolaborantom, które prowadzono w Danii w okresie powojennym. Wyroki wykonywano też na Jutlandii, w lasach, pod osłoną nocy. W Kopenhadze zbudowano nawet specjalną szopę, gdzie dokonywano egzekucji, także tam odbywały się one nocą. Helene zatrzymuje się przy zdjęciu wnętrza niewielkiej drewnianej szopy. Na ścianie widać skórzane rzemienie z klamrami, którymi krępowano ręce i nogi skazanych.

Podczas trwania rozprawy Reinholdt siedział w więzieniu. W Więzieniu Krajowym w Møgelkær. Ale dokumentów z więzienia brakuje. Młody pracownik archiwum nadal ich szuka. Helene zerka na drzwi, są zamknięte. Zastanawia się nad tym, czego się dowiedziała i jaki to może mieć związek z tym, co zrobił jej ojciec. Z morderstwem Williama Hirscha. Żyda. Handlowego partnera ojca. Jego przyjaciela. Helene nie wyobraża sobie, jak można było żyć w takich warunkach. W warunkach wojny. Nie obowiązywały żadne prawa, żadne normalne zasady współżycia. Po dłuższej chwili zjawia się chłopak. Rozkłada bezradnie ręce.

– Nie rozumiem – mówi. – Powinny tu być, a nic nie ma.

– Zniknęły?

– Gdzieś tu są. Stąd nic nie ginie – odpowiada lekko urażony.

Helene prostuje plecy. Ma wątpliwości, ale nic nie mówi. Tak czy inaczej, zyskała pewność, że dokumenty istnieją, że nie są jedynie wynikiem jej paranoi.

Najwyraźniej ktoś usunął je z archiwum. Bierze głęboki wdech. Rozumie, że w takim razie muszą być dla kogoś bardzo ważne. Bo dlaczego inaczej by je usuwano?

– Spróbuję je znaleźć i wyślę ci e-mailem.

Helene kręci głową.

– To nie takie ważne – mówi i wstaje.

– Na pewno? – Chłopak wydaje się zawiedziony.

– Bardzo dziękuję za pomoc.

Nie czekając na jego odpowiedź, Helene odwraca się do niego plecami i szybko opuszcza budynek z czerwonej cegły, wychodzi na tętniącą życiem ulicę.

*

Helene przesiada się na stacji w Skanderborgu. W pociągu, którym jechała z Silkeborga, nie było konduktora, może i tym razem będzie miała szczęście. Zajmuje miejsce blisko toalety. Jest zmęczona, gdyby tylko mogła chwilę odpocząć, zamyka oczy. Ale otwiera je, kiedy naprzeciwko niej siada jakiś mężczyzna. Patrzy na ekran, w dolnym rogu widnieje godzina. Już chce znów zamknąć oczy, kiedy nagle na ekranie widzi swoją twarz. Podrywa się zbyt gwałtownie, mężczyzna patrzy na nią przestraszony.

– Chciałaś wysiąść w Skanderborgu? – pyta. Helene ignoruje go. Wychodzi na korytarz, ponownie zerka na ekran, na którym teraz jest prognoza pogody. Nadchodzi deszcz. I wtedy na ekranie pojawia się komunikat. Helene Söderberg, wszelkie informacje prosimy przekazywać...

Helene się odwraca. Widzi zbliżającego się konduktora. Wie, że nie zdąży już ukryć się w toalecie. Jeśli konduktor ją zatrzyma, okaże się, że podróżuje bez biletu. Wtedy zażąda jej dowodu. A Helene nie ma dowodu. Będzie musiała podać mu PESEL. Zastanawia się chwilę i rusza korytarzem w stronę czoła pociągu. Jest poszukiwana? Policję na pewno zaniepokoiło jej zniknięcie. Jest podejrzana w sprawie o morderstwo. Jeśli teraz zostanie zatrzymana, prawda wyjdzie na jaw. W jednym z pierwszych przedziałów siedzi grupa kobiet w jej wieku. Siedzą tu już od jakiegoś czasu, niektóre zdjęły buty. Częstują się herbatnikami, na fotelach leżą tubki z kremem do rąk, czasopisma, batonik marcepanowy.

– Znajdzie się tu jeszcze miejsce dla mnie? – pyta Helene i uśmiecha się.

– Jasne – odpowiada jedna z kobiet. Zdejmuje nogi z fotela. Helene siada. Głos konduktora słychać coraz bliżej.

– Nowi pasażerowie?

Helene zamyka oczy, zdejmuje buty jak inne kobiety. To nauczycielki, wracają z kursu, rozmawiają o szkolnictwie zawodowym. Helene przysłuchuje się ich rozmowom. Zjawia się konduktor.

– Nowi pasażerowie? Ktoś przybył? – pyta.

Kobiety nie przerywają rozmowy. Konduktor odchodzi, ale Helene nie ma odwagi otworzyć oczu. Nowi pasażerowie to ona. Wkracza do krainy kłamstwa. Której nie opuści, dopóki ktoś jej nie rozpozna.

Nerwowe międzylądowanie we Frankfurcie, biegną z jednego terminala do drugiego, w ostatniej chwili zdążają na swoje połączenie. Podróże stały się zbyt łatwe, myśli Joachim, gdy lecą nad Apeninami, do Sycylii. Kiedy uciekał od Ellen, dotarcie na Christiansø zajęło mu dwa dni. Popłynął nocnym promem na Bornholm. W Gudhjem nie zdążył na prom na Christiansø, kolejny miał dopiero następnego dnia. A na Sycylię można dotrzeć w kilka godzin.

Ładują w Katanii, na lotnisku pośrodku wyspy, jak najbliżej Syrakuz. Ellen od razu kieruje się do punktu wynajmu samochodów. To ona zorganizowała wyjazd i Joachim jest jej za to bardzo wdzięczny, chociaż nadal nie wie, dlaczego to robi, dlaczego mu pomaga? Wydawało mu się, że ją zna, ale jak się okazało, nie do końca. Ellen zawsze go zaskakiwała. Kręci głową, nie zamierza się więcej nad tym zastanawiać, włącza komórkę. Nadal żadnej wiadomości od Helene.

– Coś się stało? – pyta Ellen, kiedy wraca z punktu Avisy.

Joachim rozmyśla, czy powiedzieć jej o Helene. Że nie ma od niej wiadomości, podzielić się z nią swoim niepokojem.

– Wszystko w porządku – mówi.

Ellen się uśmiecha.

– Idziemy?

– Tak.

– Odpręż się, staruszkule – szepcze do niego. Joachim widzi drobne perełki potu nad jej górną wargą. – To nasza podróż. Powinniśmy byli się na nią wybrać – mówi. – *Closure* – dodaje po angielsku. Zamknięcie.

Ellen wynajęła samochód, czarny, sportowy volkswagen kabriolet. Otwiera drzwi i siada za kierownicą. Wyciąga rękę i otwiera drzwi od strony pasażera.

– Wskakuj.

Joachim jest zdziwiony. Dawniej zawsze on prowadził. Ellen długo wzbraniała się przed zrobieniem prawa jazdy. Nie wierzyła, że zda egzamin. Nowa Ellen najwyraźniej nie ma takich wątpliwości. Joachim siada na miejscu pasażera, Ellen włącza silnik i sprawnie cofa samochód. Szybko znajduje drogę prowadzącą na południe. Jadą w prażącym słońcu, termometr wskazuje trzydzieści stopni, chociaż jest już prawie wieczór. Do Syrakuz mają około godziny jazdy. Kiedy zajdzie słońce, szybko zapadnie zmrok, pochłoną ich ciemności. Joachim przygląda się spalonej, pokrytej kurzem ziemi. Ellen włącza muzykę, pogłównia, pozwala, by wiatr rozwiewał jej włosy, przyspiesza. Stacja radiowa jest włoska, dużo słów, muzyka głównie z lat osiemdziesiątych. *You're my heart, you're my soul...*

– Utrzymujesz jakieś kontakty z Kollisanderem?! – Joachim próbuje przekrzyczeć hałas.

– Co?

– Z Kollisanderem – powtarza.

Ellen wyciąga rękę, wyłącza radio, sięga po komórkę. Nie odrywając wzroku od drogi, wybiera numer.

– Halo? Pierre? Cześć, mówi Ellen Lütken, tak wiem, że... – urywa, milknie, przez dłuższy czas słucha głosu po drugiej stronie. Potem wybucha perlistym śmiechem, którego Joachim rzadko miał okazję słuchać.

– Posłuchaj, dzwonię, bo właśnie jestem w drodze do Syrakuz. Zdaje się, że gdzieś tam w okolicy masz pracownię? – rzuca niewinnie.

Joachim nachyla się w jej stronę, ale nie słyszy jej rozmówcy. Ellen spogląda na niego i mówi:

– Uprzedzam, że nie jestem sama. Podróżuję z kolegą. A ściślej mówiąc, z moim byłym. Tym razem połączyła nas praca.

Kolejna przerwa, Ellen znów śmieje się głośno.

– Okej, a więc do zobaczenia – mówi i spokojnym ruchem kładzie komórkę na kolanach Joachima.

– Zaprasza nas na kolację, jutro wieczorem – dodaje zadowolona.

– Jutro wieczorem? Dopiero?

Ellen klepie go lekko po udzie.

– Może raczej powinienes powiedzieć: „Bardzo ci dziękuję, Ellen. Jestem ci wdzięczny, że umożliwiasz mi spotkanie ze sławnym, a jednocześnie jednym z najbardziej niedostępnych malarzy na świecie” – stwierdza ironicznie.

Joachim kiwa głową, Ellen ma rację. Odchyła się w fotelu, czuje niepokój. Jutro wieczorem. Ellen znów kładzie dłoń na jego udzie, jakby od niechcienia.

– To znaczy, że mamy wieczór dla siebie – mówi.

Helene zmierza drogą w kierunku starego budynku z żółtej cegły, w którym mieści się więzienie krajowe. Wie, że każdy może ją zobaczyć. Wie też, że jest poszukiwana. Znów. Helene Söderberg, kobieta, której zawsze ktoś szuka, która nie może zaznać spokoju. Rozgląda się. Rozległe trawniki otaczające Møgelkær są zadbane, przypominają pole golfowe. Helene zatrzymuje się na parkingu. Szuka najdroższego samochodu wśród skód i citroënów, zakłada, że właśnie takim autem jeździ naczelnik więzienia. Znowu zachowuje się jak kiedyś, skupia się na pieniądzach, na koronach i øre. To ją przeraża. Może Joachim miał rację, gdy chcąc ją pocieszyć, opowiadał jej różne rzeczy, na przykład, że każdy powinien znaleźć sobie miejsce, które będzie dla niego najlepsze, i szukać towarzystwa ludzi, którzy będą potrafili wydobyć jego najlepsze cechy. Söderbergowie jej nie służą, ani firma, ani rodzina. Wręcz przeciwnie. Wszystko kręci się wokół pieniędzy, władzy. Kiedy jej ojciec, jeszcze przed wojną, zakładał firmę, robił to, żeby przeżyć. Był to czas wielkiej biedy i braku poczucia bezpieczeństwa. Ludzie byli zdesperowani. Ale później, gdy już zdobył majątek, nie poprzestał na tym. Chciał więcej. Caroline i Edmund też. Helene zastanawia się, czy przed śmiercią zdał sobie sprawę z tego, co robił. Zrozumiał, że jedyne co ma, to pieniądze.

Przez całą drogę do Horsens Helene słuchała rozmów nauczycielek na temat kształcenia zawodowego i jednocześnie rozmyślała, jak może zyskać dostęp do archiwum więzienia. Nie może przecież po prostu wejść i powiedzieć, że chce przejrzeć zgromadzone tam dokumenty. Nikt by jej na to nie pozwolił. Jako osoba poszukiwana nie może też złożyć oficjalnego podania, poza tym zajęłoby to zbyt dużo czasu. Musi znaleźć inny sposób. Znów spogląda na samochody. Żaden niczym specjalnym się nie wyróżnia. Nagle spostrzega, że jedno miejsce, najbliższej wejścia, jest specjalnie oznakowane. Stoi na nim czarny zakurzony ford mondeo. Teraz pozostaje jej tylko czekać. Zmęczona długą wędrówką ze stacji siada między czarnym fordem mondeo a stojącym obok srebrnoszarym fiatem. Słyszy kroki, jakiś mężczyzna idzie parkingiem, na szczęście nie patrzy w jej stronę. Helene nie ma zegarka, przypuszcza jednak, że jest już późne popołudnie. Zastanawia się, o której godzinie dyrektor więzienia kończy pracę? Opiera się o bok samochodu. Czeki, myśli o Joachimie, o tym, czy nadal ją kocha. Kilka razy mijają ją różni ludzie, nikt jednak jej nie zwraca na nią uwagi. I wtedy go zauważa. Mężczyznę w garniturze ze skórzaną teczką w ręce. Idąc, zmęczonym ruchem zdejmuje krawat. Helene wstaje, mężczyzna się zatrzymuje. Jest czujny.

– Nazywam się Helene Söderberg – zaczyna Helene. Wyciąga do niego rękę

lekkim, eleganckim gestem, próbuje czarować go swoim wrodzonym wdziękiem klasy wyższej.

Już wcześniej zauważyła, jaki skutek jej nazwisko wywiera na rozmówcach. Ma nadzieję, że tym razem będzie podobnie. Mężczyzna stoi. Jej wyciągnięta dłoń zawisa w powietrzu.

– Söderberg? – powtarza, marszcząc brwi z niedowierzaniem.

Helene podaje mu swoją kartę kredytową, wzrusza obojętnie ramionami, próbuje wyglądać na odprężoną. Stoi wyprostowana i emanuje godnością. Mężczyzna taksuje ją wzrokiem. Spotyka jego spojrzenie, otwarcie, nawet nie mrugnie.

– Helene Söderberg jest poszukiwana. Rodzina twierdzi, że ponownie straciła pamięć.

– Nie zaskakuje mnie to, bo właśnie przed tymi ludźmi uciekam – mówi Helene spokojnie, chociaż cała drży. A więc tak to tłumacza.

– Dlaczego miałbym pani wierzyć? – pyta naczelnik więzienia.

– Powszechnie wiadomo, że rodzina Söderbergów ma potężną władzę. Obraca dużymi pieniędzmi. Stałam się dla nich zagrożeniem, ponieważ usiłuję dociec prawdy o pewnym morderstwie, które wiele lat temu popełnił mój ojciec.

Milknie. Obserwuje mężczyznę, czeka. W jego oczach pojawia się wątpliwość. Ale i ciekawość. Zainteresowała go. To już coś.

– Byłam w miejscowym archiwum w Silkeborgu. Jedna z teczek dotycząca sprawy zaginęła. Chodzi o kapusia, który został skazany na karę śmierci po zakończeniu drugiej wojny światowej. Siedział w tym więzieniu. Podejrzewam, że był świadkiem zbrodni popełnionej przez mojego ojca. Dlatego nie sądzę, żeby zniknięcie dokumentów było czystym przypadkiem.

Naczelnik mruży oczy. Patrzy na nią w sposób charakterystyczny dla ludzi, których praca polega na tym, że muszą szybko ocenić, czy ktoś kłamie, czy nie. Helene robi wszystko, żeby zachować spokój. Znowu podejmuje wątek. Tłumaczy, że Hirsch został zamordowany, próbuje znaleźć coś, jakiś szczegół, który może przekonać mężczyznę. Każda opowieść opiera się na szczegółach, jak twierdzi Joachim. Być może w tym przypadku takim szczegółem okaże się Marius Flint i Julsø Kro? Opowiada więc o umowie, która zaginęła, ale wyczuwa, że to za mało. Nadal drży. Nie wie, co jeszcze ma powiedzieć, zdaje sobie sprawę, że jej historia nie brzmi zbyt wiarygodnie. Robi krok do tyłu, czuje mdłości. Zmęczenie i napięcie robią swoje. Bez przerwy trafia na mur. Jak mogła uwierzyć, że go przekona? Mężczyzna otwiera drzwi samochodu, ale nie wsiada do niego.

– Kiedyś, może jakieś dziesięć lat temu, podczas przyjęcia w ratuszu, siedziałem przy stole obok Helene Söderberg.

Helene wzdryga się. Patrzy na niego, przygląda się jego twarzy. Ciężkie powieki, upór w oczach. Desperacko szuka w pamięci. Nie pamięta go. Kręci

głową zawiedziona.

– Moja pamięć nie jest niestety najlepsza – mówi.

– Helene Söderberg nie była miłym towarzystwem – mówi sucho naczelnik.

Patrzy jej w oczy i ciągnie: – Nie jest tajemnicą, że nie należę do zwolenników ani rodziny królewskiej, ani arystokracji czy rodzinnych imperiów finansowych, do których należy rodzina Söderbergów. Wychowałem się w domu o sympatiach lewicowych. Wiem, że moje wypowiedzi mogą niektórych razić, jednak spotkanie z Helene Söderberg należało do wyjątkowo nieprzyjemnych. Jeśli to rzeczywiście pani, to dlaczego miałbym pani pomóc?

– Przepraszam, jeśli pana uraziłam – mówi Helene cicho.

– Pani mnie ośmieszyła.

Następuje długa przerwa, Helene nie jest w stanie przypomnieć sobie mężczyzny, który przed nią stoi. Nie wie, co powiedzieć. Musi dowieść, że jest kobietą, którą on gardzi – trudne zadanie.

– Wiem, że to pani. Poznają panią – odzywa się w końcu mężczyzna. – Ma pani inną fryzurę, ale oczy pozostały takie same...

Helene wstrzymuje oddech, czuje napięcie, jak ukłucia szpilek.

– Kobieta, którą pan wtedy spotkał... Nie wiem, kim ona była. Ale to nie byłam ja. A teraz to ja potrzebuję pana pomocy. Papiery, które zniknęły z archiwum... Ktoś próbuje ukryć przestępstwo popełnione przez mojego ojca – wyrzuca z siebie jednym tchem, zaciska dłonie.

– Każdy wielki majątek powstał na czyjejs krzywdzie. Tak mówił mój ojciec, kiedy byłem chłopcem. Potem niejednokrotnie miałem okazję przekonać się, że miał rację – mówi naczelnik i zerka na więzienie.

– Dziękuję, że mi pan wierzy.

Mężczyzna wzrusza ramionami, odwraca się i bez słowa idzie w kierunku budynku z żółtej cegły.

– Nie mogę pokazać pani nic, co jest chronione prawem administracyjnym.

– Oczywiście, to zrozumiałe – mówi Helene, chociaż nie bardzo wie, co on ma na myśli. Idzie za nim. Strażnik przy drzwiach kiwa głową. Nie zadaje żadnych pytań. Drzwi się otwierają, rozlega się charakterystyczne brzęczenie automatycznego zamka. Naczelnik więzienia i Helene wchodzą do środka. Dopiero kiedy Helene jest już w środku, dociera do niej, że to może być pułapka.

*

Więzienie jest stare, po obu stronach szerokiego korytarza znajdują się cele, które cały czas pozostają pod baczna obserwacją strażników. Więźniowie są na zewnątrz, niektórzy stoją w grupach, spoglądają na naczelnika i Helene zza ogrodzenia z siatki. Ktoś gwiżdże, pewnie dlatego, że uznał, że sytuacja tego wymaga. Helene nie może się powstrzymać, żeby nie patrzeć na ich twarze. Ma

wrażenie, że niedawno widziała je wszystkie. W archiwum. W gazecie z lat dwudziestych. Mężczyźni z przeszłości ożyli. Może jej ojciec bał się skończyć tak jak oni? Ale to niczego nie usprawiedliwia. A może jednak? Naczelnik zaprasza ją do gabinetu. Pokój jest czysty, można nawet powiedzieć, że przyjemny. Na ścianie wisi plakat. *Złodzieje rowerów*. Nic jej to nie mówi. Boi się, że została oszukana. Że mężczyzna zwabił ją tu, aby ją aresztować. Aby móc mieć na nią oko. A jeśli naprawdę skończy w więzieniu? Co powiedziałby na to jej ojciec? Tak bardzo chciał wyjść z nędzy, tak bardzo, że był skłonny zabić. Byleby tylko nie skończyć w przytułku. A teraz ona, jego własna córka, trafiła do miejsca, którego najbardziej się obawiał.

– Moja sekretarka już wyszła, ale może napije się pani kawy?

– Chętnie.

Stoi pośrodku pokoju, przez okno wpada prażące popołudniowe słońce, na parapecie brzęczy sennie mucha. Helene siada w miękkim fotelu stojącym naprzeciwko fotela naczelnika, który poszedł do archiwum na drugim końcu korytarza. Helene słyszy, jak otwiera i zamyka ciężkie drzwi szaf. Oby tylko się nie poddał, nie uznał, że sprawa jest zbyt skomplikowana. Wzrok Helene łąduje na stercie papierów na biurku. Czyta pierwszy z wierzchu dokument. Jeden z więźniów ma jutro zostać zwolniony z więzienia. Jens Brink. Skazany z paragrafu 28 Kodeksu karnego za popełnienie przestępstwa przeciwko mieniu. Czyta dalej. Nie może pozbyć się wrażenia, że to też dotyczy jej. Tych, którzy mają wszystko, i tych, którzy nie mają nic. Myśli o Louise Andersen, o tym, co mówił Joachim. O tym, co robiła, żeby zarobić na życie. Pozwalała, żeby ją bito, pozwoliła zniszczyć sobie życie. Edmund i Caroline. I Hirsch, który został zamordowany. Różne myśli kłębią się w głowie Helene. Powraca do Jensa Brinka. Dorastał w rodzinie zastępczej. Pierwszy raz został skazany, kiedy miał piętnaście lat. Potem wielokrotnie odpowiadał przed sądem. Ostatni raz za włamanie do domu piłkarza. Ukradł dzieła sztuki i dwa krzesła zaprojektowane przez Borge Mogensa. Wpadł na granicy z Niemcami tylko dlatego, że przepaliła mu się żarówka tylnego światła, został zatrzymany podczas rutynowej kontroli. Miał pecha. Helene ma nadzieję, że kiedy jutro wyjdzie, będzie potrafił lepiej ułożyć sobie życie.

– Zobaczmy, co tu mamy – mówi naczelnik.

Siada po swojej stronie biurka, podniecony przegląda papiery.

Helene wyciąga szyję, chciałaby wziąć je ręki, ale na razie on nimi zawładnął. Czyta, marszczy brwi, mruży coś pod nosem, przewraca kolejne kartki.

– Może chodzi o to – stwierdza i podaje jej jakiś dokument. Helene szybko przelatuje go wzrokiem. Nie znajduje nic, co mogłoby mieć jakieś znaczenie. Nagle dostrzega nazwisko. Söderberg. Aksel Söderberg. Jej ojciec odwiedził Reinholdta w więzieniu. Dwa razy tego samego dnia, piątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Kilka dni potem Reinholdt został

rozstrzelany. Podczas ostatniej wizyty ojciec nie był sam. Obok jego nazwiska widnieje jeszcze inne nazwisko. Robert Lundquist, adwokat.

Jadą powoli przez Syrakuzy. Joachim spogląda na mapę, kieruje się do mostu prowadzącego na małą wysepkę, turystyczne centrum miasta. Prawo wjazdu mają jedynie kierowcy posiadający specjalne pozwolenia. Zostawiają więc samochód, biorą torby i przechodzą przez most. Chociaż mrok zapadł już dawno, ulice tętnią życiem. Są tu głównie turyści. Ci kulturalni, majątni, co natychmiast budzi irytację Joachima.

– Może najpierw znajdziemy hotel? – proponuje Ellen. – Chętnie zmyłabym z siebie ten kurz.

Chodzą od hotelu do hotelu, wszędzie spotykają się z odmową. *No, no.* Sytuacja wygląda beznadziejnie. Jest szczyt sezonu, wszystkie pokoje są zajęte. W końcu znajdują niewielki hotelik z jednym wolnym pokojem. Nawet przez moment nie przychodzi im do głowy zastanawiać się, że będą musieli dzielić łóżko, są zbyt zmęczeni, poza tym boją się, że nie znajdą niczego innego i będą musieli spać na plaży albo na ławce w parku.

W maleńkim pokoiku pachnie stęchlizną. Niemal całą powierzchnię zajmuje podwójne łóżko z zapadniętym materacem. Tapeta w złote i czerwone paski odchodzi w kilka miejscach, ale pokój ma swój urok, Ellen nie narzeka, otwiera przeszkolone drzwi i wychodzi na mikroskopijny balkon, opiera się o żelazną balustradę. Joachim podchodzi i staje za nią. Przed nimi rozciąga się zniewalająco piękne turkusowe morze. Nigdy nie widział tak nasyconych barw. Fale uderzają rytmicznie o skały na brzegu. Budynek od morza dzieli jedynie wąska uliczka. Nagle Joachim czuje, jak spływa na niego spokój. Przez moment istnieje tylko morze, dźwięki, zapachy. Chciałby, żeby Helene była tu z nim. Zostaje na balkonie, podczas gdy Ellen wychodzi na korytarz poszukać łazienki. Kiedy wraca, opowiada podniecona o karaluchach, które schowały się w odpływie, jak odkręciła prysznic. Czesze włosy, Joachim stoi i się jej przygląda. Naprawdę nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi? Zastanawia się, do czego Ellen zmierza. Czego chce, o czym marzy? Nagle prostuje się, zarzuca głową, włosy układają się, tworząc przedziałek, który sprawia, że wygląda... Jak? Jak kusicielka? Ma na sobie czarną, obcisłą sukienkę, na nogach płaskie ciemnobrązowe skórzane sandały, właściwie klapki, ozdobione maleńkimi perełkami w różnych jasnych kolorach.

– Pójdziemy coś zjeść? – pyta.

*

Kolacja w dziwny sposób staje się powtórzeniem dobrze mu znanego

rytuału, a jednocześnie odkrywa przed nim nowe strony Ellen. Rozmawiają. Dość powierzchownie, o wszystkim i o niczym. Ani słowem nie wspominają wspólnej przeszłości ani Kollisandera, morderstwa czy Helene. Joachim nie ma siły do tego wracać. Przyjemnie jest choć na chwilę się odprężyć, pozwolić, by wino zrobiło swoje, odsunąć od siebie zmartwienia. Do diabła z nimi. Napawa się spokojem. Jednak nie do końca, bo kilka razy podczas kolacji zastanawia się, co skłoniło Ellen, żeby tu z nim przyjechać. Przypomina sobie ich spotkanie w kawiarni, pamięta, że coś wtedy powiedziała...

– Staruszkę?

Joachim podnosi głowę.

– Daj sobie już dzisiaj spokój z tym zamartwianiem się.

Po kolacji wracają pod rękę do hotelu. Ellen opiera się o niego, mruczy coś pod nosem. Kiedy wchodzi na górę do pokoju, sięga po papierosa, wychodzi na balkon, zapala, zaciąga się powoli, widać, że sprawia jej to przyjemność.

– Zapalisz? – Uśmiecha się.

Joachim kręci głową. Siedzi na brzegu łóżka. Ogarnia go dziwnie błogi nastrój. Naprawdę wolno mu tak się czuć? Ma wrażenie, że robi coś złego, odzywają się wyrzuty sumienia. Ellen gasi papierosa, przeciąga się błogo.

– Na mnie chyba już pora – oświadcza lekko schrypniętym głosem.

Jej głos porusza w nim coś, o czym sądził, że już zapomniał. Siedzi w milczeniu, czuje, jak po drugiej stronie materac poddaje się, kiedy ona się kładzie. Po chwili Joachim słyszy jej spokojny, głęboki oddech. Kładzie się na boku, przygląda się Ellen. Jej schrypnięty głos. Pamięta, kiedy pierwszy raz się kochali. Oczywiście byli na jakiejś imprezie. Byli młodzi. A on był głupi. Napompowany niespodziewanym sukcesem, jaki odniosła jego debiutancka powieść. Ellen cały wieczór trzymała się blisko niego, próbując wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę. Ale nie była w jego typie. Za niska, za chuda, za poważna. Wolał takie z dużymi piersiami. I wtedy Ellen coś powiedziała, a on po raz pierwszy usłyszał jej schrypnięty, seksowny głos. Od razu na niego podziałał. Po imprezie zabrała go do domu, do swojego pokoju, tak różnego od jego nory na parterze nowo wybudowanego akademika, w którym zawsze pachniało farbą. Wynajmowała pokój w starej kamienicy tuż za Teatrem Królewskim. W domu, w którym kiedyś mieszkał Hans Christian Andersen. Na białej ścianie kamienicy była mosiężna pamiątkowa tablica. Ellen miała własną łazienkę z dużą wanną na lwich łapach. Niedawno zaczęła studia na Akademii Sztuk Pięknych, lekko zawstydzona pokazała mu swoje kolaże. Siedział na jej łóżku, zasłanym grubą kapą, którą przywiozła z Damaszku. Szybko odkrył, że niemal wszystkie jej rzeczy mają swoją historię. Kapę kupiła od sufickiej rodziny zamieszkałej na Wzgórzach Golan i została wtajemniczona w duchowe sprawy ich wiary. Joachim do tej pory pamięta, jak pewnego dnia odkrył stare pudła na

kapelusze od Lock&Co, najstarszego londyńskiego producenta męskich kapeluszy. Pamięta też, że w kącie pokoju stał szezlong z ciemnego bambusu obity czerwoną skórą, Ellen twardo upierała się, że kiedyś należał do Sarah Bernhardt. Jednak o takich sprawach rozmawiali później, tego pierwszego wieczora Joachim siedział na łóżku i nie wiedział, co powiedzieć. Kiedy milczenie stało się zbyt krępujące, Ellen włączyła muzykę. Spod cienkiej bluzki, którą miała na sobie, wystawały chude, kanciaste łopatki. Nagle odwróciła się do niego i szybkimi ruchami zaczęła się rozbierać.

– Tak wyglądam – oświadczyła.

Tym swoim schrypniętym głosem. A on siedział i się jej przyglądał. Bezwstydnie wszystko chłonał. Jej szczupłe, silne uda i ciemną kępkę między nimi. Jej ledwie zaznaczone piersi, z idealnie okrągłą ciemną otoczką wokół brodawek. I nadal nie wiedział, co robić. Ona najwyraźniej to zauważyła, bo zamiast uznać jego milczenie za odmowę, podeszła do niego i go pocałowała. Usiadła mu na kolanach, wzięła jego dłoń i pokierowała między swoje uda.

– Dotknij mnie – powiedziała zdyszczanym, schrypniętym głosem.

Wtedy przyłożył dłoń do jej wilgotnego, gorącego łona i poczuł, jak jego członek boleśnie sztywnieje. Ellen przywarła do niego, jęcząc niecierpliwie. Zrozumiał, że nie ma się czego bać. Ogarnęło ich pożądanie. Pragnęła go równie silnie jak on jej. Ta nowo nabyta wiedza sprawiła, że nagle poczuł się pewny siebie i wolny, mógł dać upust swojej żądzy. Położył dłoń na karku Ellen, przyciągnął do siebie jej twarz i zaczął całować ją z nowym... przekonaniem? Włożył palec w jej szparkę, najpierw jeden, potem drugi. Ellen wysunęła łono do przodu, ścisnęła mięśniami jego palce. Puścił jej kark, a ona go objęła. Ich pocałunki nie miały ani początku, ani końca. Jej brodawki musnęły jego klatkę piersiową, dotyk sprawił, że oboje jęknęli. Położył rękę na jej biodrze, wczuł się w jej ruchy, kołysał się w przód i w tył, w górę i w dół. Jęczała głośno, nie puszczając jego warg. Stęknął prosto w jej usta. Jego sztywny członek napierał na materiał dzinsów. Desperacko chciał się uwolnić, wejść w nią, a ona przesunęła rękę, włożyła ją między uda i zaczęła się dotykać. Jej biodra znieruchomiały, próbował poruszyć palcami, ale zaprotestowała, miała otwarte usta, jej wargi tuż przy jego wargach. Siedział więc nieruchomo, czuł swój sztywny członek. Widział, jak napinają się mięśnie jej ud, jej palce na jego dłoni między jej udami. Czekał. Chociaż nie wiedział, na co. Nagle Ellen jakby odpuściła. Mięśnie ud rozluźniły się, znów zaczęła poruszać biodrami i jęczeć coraz głośniej w jego usta, a potem nagle odrzuciła głowę do tyłu i westchnęła cicho, niemal bezgłośnie. Wtedy on też doszedł. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która była w stanie go zadowolić, niemal go nie dotykając.

Ellen wyprała jego dzinsy w łazience i powiesiła na kaloryferze do wyschnięcia, więc miał pretekst, żeby zostać na noc, i następny dzień. Kochali się

wiele razy, jakby nie mogli przestać. Jednak teraz Joachim wraca myślami do ich pierwszego razu. Dlaczego? Bo znów jest coś, co ich dzieli. I tym razem nie są to jego dzinsy, tylko czas. Dzieli ich czas. Chociaż Ellen nadal go pociąga. Czuje to, czuje pożądanie. Mógłby ją obudzić, pocałować. Na pewno by się nie opierała. Helene nigdy by się nie dowiedziała. Może to zrobić. Ostatni raz. Pojednanie i pożegnanie. Obraca się na bok, patrzy na sufit, z którego schodzi farba. Wszystko stanęło na głowie. Joachim też. Wzdycha. Czuje pożądanie, fizyczność domaga się swego. Nie może znaleźć sobie miejsca.

Helene siedzi w taksówce przed budynkiem więzienia. Poranna mgła jeszcze nie ustąpiła, chociaż ranek już dawno minął. Czuje się wypoczęta. Spędziła noc na kanapie u Karen Schultz. Nie ma w Silkeborgu wielu kobiet o takim imieniu i nazwisku. Kiedy sekretarka otworzyła drzwi, wyglądała na przestraszoną, ale wpuściła ją, a wtedy Helene zaczęła opowiadać. Mówiła, że potrzebuje gdzieś przenocować, że sprawa dotyczy przyszłości firmy i że Karen jest jedyną osobą, której może zaufać. Jej słowa podziały na Karen jak balsam. Nagle jakby urosła kilka centymetrów w oczach Helene, w swojej własnej kuchni, gdzie właśnie przyrządzała tosty z chleba pszennego z ziarnami i parzyła zieloną herbatę. A Helene uświadomiła sobie, że pewnie nigdy dotąd nie powiedziała Karen niczego miłego. Nie ona, tylko ta dawna Helene.

Teraz siedzi w taksówce i niecierpliwie spogląda na zamknięte drzwi więzienia. Jak dotąd nikt się nie pojawił, żeby powitać Jensa Brinka na wolności. Taksówkarz szeleści gazetą, wyłączył silnik, ale licznik bije. Karen zaopatrzyła Helene w gotówkę. Nie miała z tym problemu, nikt z pracowników nie dostał żadnych instrukcji odnośnie do jej osoby. Nikomu nie zakazano wypłacać jej pieniędzy. Pracownicy nie zostali o niczym poinformowani, wiedzieli jedynie to, co sami mogli przeczytać w sieci.

Helene znów spogląda na budynek więzienia. Analizuje w głowie swój plan. Wie, że nie jest doskonały, ale innego nie ma. Jej plan to Jens Brink. Wkrótce brama się otworzy i wyjdzie przez nią Brink, po sześciu miesiącach spędzonych za kratkami. To przypadek sprawił, że kiedy wczoraj była w gabinecie naczelnika więzienia, właśnie jego papiery wpadły jej w oko. Cóż, niekiedy możemy liczyć tylko na przypadek.

W końcu brama się otwiera i wychodzi przez nią mężczyzna. Niski, krępy, rzadkie włosy. W ręce trzyma sportową torbę, jest ubrany w dres – luźne spodnie i sprana bluza z kapturem. Helene rozpoznaje jego twarz ze zdjęcia w dokumentach. Na schodach więzienia stoi Jens Brink. Nie wydaje się tryskać radością. Rozgląda się niepewnie po parkingu. Może na kogoś czeka? Helene szybko wysiada z taksówki i rusza w jego stronę.

– Jens?

– Jesteś z opieki społecznej? Mówiłem, że nie potrzebuję transportu – odzywa się szorstko. Wciąż się rozgląda. Czyżby kogoś szukał? Kogoś, z kim miał się tu spotkać? Może on lub ona są w drodze? A może ten ktoś dał sobie spokój. Helene nie ma czasu się zastanawiać, robi krok do przodu.

– Nie jestem z opieki społecznej, ale przyjechałam cię odebrać – mówi.

– Kim jesteś? – pyta chłopak podejrzliwie.

W tym momencie Helene uświadamia sobie, że ma przed sobą przestępcę. Z kilkoma wyrokami na koncie. Może być niebezpieczny. Czy naprawdę wie, co robi? Może polegać jedynie na własnej intuicji? Przygląda mu się. Nie, nie wydaje się groźny.

– Nie znasz mnie. Jestem tutaj, bo potrzebuję twojej pomocy. Mam dla ciebie zadanie do wykonania.

– To jakiś żart?

– Wiem, że to wygląda dziwnie, ale jeśli zgodzisz się, żebym cię podwiozła, wszystko ci opowiem. – Helene mówi cicho, nalega.

Chłopak stoi chwilę, znów patrzy na parking, jednak osoba, na którą liczył, najwyraźniej się nie pojawiła. Na szczęście dla Helene.

– Możesz zawieźć mnie do Horsens? – rzuca i wzrusza ramionami.

– Najpierw jedźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Sam zdecyduj gdzie. Daj mi szansę przedstawić ci moją propozycję. Potem odwiozę cię do Horsens.

Chłopak się waha. W końcu ustępuje, kręci głową, podnosi z ziemi torbę i rusza w kierunku taksówki.

– Przy zjeździe z autostrady jest knajpa – mruczy pod nosem i wsiada do auta. – Mają całkiem niezłe żarcie, podsmażane ziemniaki z mięsem i cebulą – mówi.

Kiedy jadą taksówką, Helene jeszcze raz analizuje swój plan. Całą noc spędziła na wymyślaniu go. Zaczęła od szukania Roberta Lundqvista, adwokata, który towarzyszył jej ojcu podczas wizyty w więzieniu u Reinholdta Flinta. Okazało się, że adwokat już nie żyje, ale jego kancelaria nadal działa. Pod nazwą Lundqvist i Syn. Ma siedzibę w Silkeborgu. Helene powiedziała Karen, żeby zadzwoniła tam i w jej imieniu poprosiła o wydanie umowy, na mocy której Söderberg Shipping co roku wypłaca pieniądze Mariusowi Flintowi. Wiedziała, jakiej odpowiedzi może się spodziewać. Niestety, umowa zawarta przez nieżyjącego już pana Söderberga została opatrzona klauzulą tajności. Jest to zgodne z prawem, istnieją tysiące takich umów. Dostęp do nich mają jedynie adwokaci.

Taksówka dojeżdża do zjazdu z autostrady, przy którym rzeczywiście znajduje się niewielki lokal. Wchodzą do środka. Helene międli nerwowo w palcach róg przybrudzonego obrusu w biało-czerwoną kratkę. Jens Brink zjada gorące frytki i trzema kęsami pochłania niezbyt apetycznie wyglądającego burgera. Podsmażanych ziemniaków z mięsem i cebulą nie było. Helene sący napój pomarańczowy, jest tak zdenerwowana, że ma mdłości. Nie mówi Jensowi wszystkiego. Tylko to, co najważniejsze. Informuje go, że interesuje ją pewna umowa przechowywana w biurze kancelarii adwokackiej. Jest objęta specjalną

klauzulą i nikt nie ma do niej dostępu. Nawet ona, chociaż to jej ojciec ją podpisał. Dodaje, że jedyna możliwość to ukraść dokument.

– Dlaczego ta umowa jest dla ciebie taka ważna? – pyta Jens z ustami pełnymi jedzenia. Nawet nie podnosi głowy.

Helene wzrusza ramionami.

– Tego nie musisz wiedzieć – mówi nieco niepewnie. – Ale jeśli mi ją przyniesiesz, zapłacę. To ci nie wystarcza?

– Skąd mogę wiedzieć, że zapłacisz taką kasę, jaką obiecałeś? Nie potrafisz udowodnić, że jesteś z tych Söderbergów – mówi nieprzekonany.

– Dam ci zaliczkę. Po prostu musisz mi zaufać.

Helene kładzie na stoliku, po czym przykrywa dłonią nowe, jeszcze pachnące banknoty tysiąckoronowe.

– A ja muszę zaufać tobie – dodaje. – Możesz przecież zgarnąć kasę i zniknąć. Jaką mam pewność, że dotrzymasz umowy?

Milczenie. Przyglądają się sobie. Czekają, które z nich pierwsze spuści wzrok.

– Jasne, że dotrzymam – mówi w końcu Jens niemal obrażony.

Helene unosi dłoń, a chłopak błyskawicznie zgarnia pieniądze. Zawarli umowę.

*

Jens przejmuje dowodzenie, na co Helene przystaje z ulgą. Chłopak okazuje się zawodowcem, widać, że wie, co robi. Helene musi tylko kupić komórkę na kartę i wysłać mu swój numer. Nie wolno jej używać komórki do innych połączeń, przestrzega Jens. Ma czekać, aż zawiadomi ją, kiedy się spotkają.

Helene spaceruje po Silkeborgu. Od czasu do czasu przysiada na jakiejś ławce, stara się unikać wzroku ludzi, serce bije jej mocniej na samą myśl, że ktoś mógłby ją rozpoznać. Wtedy wyszłoby na jaw, że planuje włamanie. Siedząc w kawiarni, widzi na pierwszej stronie gazety artykuł o sobie. O bogatej kobiecie, która miała wszystko, i postradała zmysły. Dziennikarz cytuje Edmunda. Zatraskany mąż, pogrążony w smutku, obok stare zdjęcie dzieci. Wyglądają na nim tak bezradnie. Helene ma łzy w oczach. Teraz przebywają w Londynie z przypadkową młodą dziewczyną. A powinny być z nią. Ze swoją matką.

Nareszcie przychodzi SMS. O wpół do jedenastej wieczorem ma stawić się przed budynkiem, w którym mieści się kancelaria adwokacka. Helene zamyka oczy. Czuje, że kręci się jej w głowie. Wszystko wydaje jej się takie nierzeczywiste, a jednocześnie jest przekonana, że postępuje słusznie. Musi działać. Nie może pozwolić, żeby tajemnica Aksela Söderberga została pogrzebana na zawsze.

Mijają kolejne godziny, zapada zmrok. Rusza przed siebie, chociaż do

spotkania zostało jeszcze sporo czasu. Ulica jest pusta. Zwalnia. Gdzie ma na niego czekać? Nagle słyszy za sobą kroki Jensa. Chwyta ją za rękę, wciąga w podwórze, w jakiś ciemny kąt. Podaje jej czarną kominiarkę. Helene patrzy na niego zdezorientowana.

– Słuchaj uważnie – szepcze chłopak. – Kancelaria ma alarm, co było do przewidzenia. Możemy wejść do budynku głównego, a nawet podejść do drzwi kancelarii, ale jak tylko przekroczymy próg, włączy się alarm i po góra dziesięciu minutach zjawi się ochrona.

– Przekroczymy? My? – Helene jest zdziwiona.

– Tak. Jedna osoba wchodzi, druga stoi na czatach. Mój brat będzie czekał na nas przy rzece. Tam uciekniemy.

– Naprawdę mam z tobą wejść?

Helene spodziewała się, że będzie czekać na zewnątrz i po prostu przejmie od niego dokument. Miałyby się włamywać?

– Im więcej osób jest w to zamieszanych, tym większe ryzyko, że coś pójdzie nie tak. Nie chcę angażować nikogo więcej. Brat jest jedyną osobą, której ufam, dlatego pomoże nam w ucieczce. Jeśli nie pójdziesz ze mną, nic z tego nie będzie, jasne?

Helene zastanawia się chwilę, po czym kiwa głową.

– W porządku – mówi Jens. – Tak jak mówiłem: alarmu nie ominiemy. Nawet jeśli przetnę kable, to alarm ma rezerwowe źródło zasilania na dwadzieścia cztery godziny. Czyli musimy wejść do środka i szybko załatwić to, co trzeba. Kumasz?

Helene ponownie kiwa głową, oszołomiona rozwojem sytuacji.

– Kancelaria mieści się na piątym piętrze, plusem są schody od podwórza. Budynek ochrania tylko jeden strażnik. Kiedy dotrze na górę, będzie miał do wyboru albo schody główne, albo te od podwórza. Zobaczymy, które wybierze, i zejdziemy tymi drugimi.

Jens wygląda na zadowolonego. Spogląda na zegarek i daje jej znak ręką. Helene, nadal oszołomiona, idzie za nim. Przechodzą przez pustą o tej godzinie ulicę. Kilka dni temu okradła sklep, teraz będzie miała na sumieniu włamanie. Czy podobnie było z jej ojcem? Wszystko działo się stopniowo, powoli. Ewolucja przestępstwa: zaczyna się od jabłek i farby do włosów, potem włamanie, a na końcu morderstwo.

Jens wkłada kominiarkę podobną do tej, którą Helene trzyma w ręce. Chwilę potem idzie za jego przykładem. Kominiarka drapie i pachnie nieprzyjemnie. Helene woli się nie zastanawiać się, kto miał ją na sobie przed nią. Jens zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami do budynku, rozgląda się na boki, bierze rozbieg i kopie w drzwi. Helene cofa się przestraszona. Jens kopie po raz drugi. Nie przejmując się hałasem. Może dlatego ma tyle wyroków? Helene zastanawia się, czy

nie powinna się wycofać, ale kiedy Jens kopie po raz czwarty, drzwi się otwierają. Jens wpada do środka. Helene biegnie za nim. Ruszają na górę po schodach. Jens trzyma w ręce latarkę, oświetla klatkę schodową trochę po omacku. Helene z trudem łapie powietrze, chociaż są dopiero na drugim piętrze. Ledwie za nim nadaża, szybko zostaje w tyle. Dogania go dopiero przy drzwiach. Kancelaria adwokacka Lundqvist i Syn, głosi napis na mosiężnej tabliczce.

– Pamiętaj, że mamy tylko dziesięć minut. Wiesz, gdzie jest umowa? – pyta Jens poważnie.

– Nie. Ale...

– Ty szukasz, ja stoję na straży – wchodzi jej w słowo. – W końcu ty wiesz, czego szukasz. – Po czym dodaje: – Dziesięć minut, pamiętaj!

Helene otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Jens już bierze rozbieg i jednym silnym kopnięciem otwiera drzwi.

Natychmiast rozlega się charakterystyczne wycie alarmu.

– Wchodź, szybciej, do cholery – ponagla ją.

Popycha Helene, ona potyka się o próg. Słyszy bicie własnego serca, krople potu spływają po twarzy, trudno jej się zorientować w ciemnym pomieszczeniu. Nagle rozbłyska światło. Odwraca się do Jensa, który tylko kiwa głową.

– Możemy równie dobrze zapalić światło, to już nie ma znaczenia. Alarm się uruchomił, najważniejsze, żeby nikt nas nie rozpoznał, no i musimy działać szybko. Zaczynaj!

Staje w oknie, odwrócony plecami do Helene, która wydaje się bezradna, ale po chwili bierze się w garść, wie, że każda sekunda jest cenna. Patrzy na niskie szafki z dokumentami stojące wzdłuż jednej ze ścian. Otwiera jedną z nich, próbuje rozeznaczyć się w systemie. Akta ułożone są w szufladach w porządku alfabetycznym? Może chronologicznie? Szybko przegląda zawartość szuflady. Znajduje listę numerów, które nic jej nie mówią. Zdesperowana wyciąga drugą szufladę, zerka na dokumenty, nazwiska, daty. Nie potrafi dostrzec związku. Stoi chwilę, czuje, że trzęsą się jej ręce. Wycie alarmu rani jej uszy. Nie może się skupić, nie może myśleć.

– Pośpiesz się! – krzyczy Jens.

Otwiera kolejną szufladę, i kolejną, przerzuca papiery. Sytuacja jest beznadziejna. I nagle już wie. W jednej z szafek umieszczonej nieco z boku, tuż za biurkiem, dostrzega zamkniętą na klucz szufladę.

– Potrafisz ją otworzyć?! – woła do Jensa.

Jens robi trzy kroki i jest przy szafce. Podobnie jak poprzednio, kopie w szafkę, wściekle, najpierw z boku, potem z przodu, szafka się otwiera. Jens wraca do okna, wygląda na ulicę.

– Szlag, już są! – woła.

Helene wyciąga szufladę, nerwowo przerzuca dokumenty. Wszystkie mają

czerwony nadruk: Tajne.

– Już, do cholery! Zmywamy się! Strażnik idzie schodami, bierzemy te od podwórza.

– Muszę znaleźć umowę – mówi błagalnym głosem Helene.

– Spadamy!

– Ja zostaję. Muszę ją znaleźć.

Mija kolejna sekunda. Która dla nich jest bezcenna. Helene czuje, jak krew szybciej w niej krążyć, wycie alarmu miesza się ze strachem. Zagryza zęby. Jest już tak blisko. Nie może teraz wszystkiego rzucić.

– Idź sam – szepcze. – Ja zostanę. Muszę znaleźć tę umowę. Obiecuję, że cię nie zdradzę. Biegnij, tak jak było w planie. Wezmę całą winę na siebie. Obiecuję, że dostaniesz pieniądze.

Jens się waha. Helene niemal widzi, jak myśli w ekspresowym tempie przelatują mu przez głowę. Ale to trwa tylko chwilę, po chwili zbiega ze schodów. Helene zostaje sama. Słyszy odgłosy jego kroków, po chwili milkną, ale zaraz rozlegają się inne. Strażnik. Ma coraz mniej czasu. Pochyliła się nad szufladą, szybko przegląda teczki. Wyjmuje jedną z nich, sprawdza nazwisko, odrzuca teczkę, bierze następną. Jest. Umowa, której szukała. Są na niej oba nazwiska. Reinholdt Flint i Aksel Söderberg. Strażnik jest coraz bliżej. Helene wie, że gdyby teraz wyszła, wpadłaby prosto w jego ręce. Za wszelką cenę chce przeczytać umowę. Rozgląda się. Toaleta. Wbiega do środka, zatrzaskuje drzwi. Niech przyjdą. Niech ją aresztują. Jest gotowa się poświęcić, byle tylko poznać prawdę. Ogarnia ją błogi spokój. Siada na sedesie, otwiera teczkę. Słyszy walenie w drzwi, strażnik wpada do pokoju. Helene słyszy, jak biega po biurze, zdezorientowany. Szarpie za klamkę drzwi do łazienki. Przez moment Helene boi się, że strażnik zastosuje metodę Jensa, ale na szczęście po chwili wszystko się uspokoja. Wstrzymuje oddech.

– Zaraz będzie tu policja! – woła strażnik po drugiej stronie drzwi.

Helene słyszy, jak jego oddech się uspokoja. Najwyraźniej postanowił zaczekać. Nie chce sam podejmować żadnych działań. Helene czyta, wręcz chłonie prawdę. Nareszcie. Pięć tysięcy koron miesięcznie, dopóki żyje syn Reinholdta. Pięć tysięcy koron. Tyle zaraz po wojnie była warta prawda. Ale Reinholdt był przezorny, zadbał, żeby suma była waloryzowana. Helene czyta dalej. Do umowy dołączony jest list napisany przez Reinholdta. Jeśli wypłata pieniędzy zostanie wstrzymana, list ma zostać przekazany duńskiej prasie. Kopia listu jest w posiadaniu syna Reinholdta. Ma prawo zrobić z niej użytek, jeśli zajdzie taka konieczność. Umowa nie pozostawia żadnych wątpliwości. Głos policyjnych syren przybiera na sile. Nagle zapada cisza. Alarm przestaje wyć. Helene zdaje sobie sprawę, że nie ma zbyt dużo czasu. Rozdziera kopertę i czyta list. Z zewnątrz dobiega ją hałas. Coraz więcej kroków, coraz więcej mężczyzn. Idą po nią. Wraca

do lektury. Większości domyślała się już wcześniej. Reinholdt był obecny podczas aresztowania Williama Hrischa. Dania stała się dla Żydów niebezpiecznym miejscem, dlatego William razem ze swoją ciężarną żoną Rosą zamierzał uciec do Szwecji. Jednak Aksel miał inne plany. William już od dłuższego czasu odmawiał współpracy z Niemcami, chociaż była ona dla nich niezwykle lukratywna. Aksel pochodził do tego bardziej pragmatycznie. Firma miała zarabiać pieniądze. Ojciec Helene miał wówczas zaledwie dwadzieścia parę lat, a stosunki między nim a jego wspólnikiem nie układały się dobrze. Tak więc Aksel chętnie pozbyłby się Williama. Udał się do Reinholdta, o którym było powszechnie wiadomo, że ma kontakty z Niemcami. Reinholdt natomiast skontaktował się z gestapo. Opowiedział o Żydzie Hirschu i planowanej przez niego ucieczce. Zarówno Reinholdt, jak i Aksel byli obecni, kiedy William został zatrzymany. W liście Reinholdt podkreśla, że to, co się stało, było winą Aksela. Niemcy mieli swoje interesy w firmie i chcieli współpracować. Dlatego Akselowi udało się ich uprosić, żeby oszczędzili Rosę. Potem wysłał ją za granicę. Ale to także on zdecydował o śmierci Williama. Miał zniknąć. Bez śladu. Niemcy wypłynęli z nim na jezioro. Reinholdt dokładnie opisał miejsce. Najgłębszy punkt jeziora, gdzie martwy lód wyłobił niemal dwudziestometrową jamę, na południowy zachód od kasztanowca rosnącego na granicy działki należącej do Julsø Kro. To właśnie tam William został zastrzelony, a jego ciało wrzucone do wody. Aksel stał na brzegu i wszystko widział. Niemcy działali na jego zamówienie. Helene nie jest w stanie oddychać, ma wrażenie, że to jej ciało zostaje wrzucone do jeziora. Kręci jej się w głowie, a kiedy drzwi zostają wyważone i policjanci ruszają do niej, widzi ich jak przez mgłę.

– Jesteś pewna, że to tutaj? – pyta Joachim nieprzekonany.

Budynek przypomina inne domy leżące przy tej samej wąskiej brukowanej ulicy. Trzypiętrowe kamienice opierają się o siebie, jakby nie były w stanie samodzielnie dźwigać historycznego ciężaru. Hotel, w którym mieszkają, znajduje się na drugim krańcu miasta. Joachim wędruje wzrokiem po budynku. Jedyne, co wyróżnia go od innych, to ciemne okna. Okiennice są pozamykane, wszystkie. To tu mieszka Kollisander? Ellen wzdryga się, ma na ramionach cienki tiulowy szal. Teraz, kiedy słońce skryło się za dachami, a od morza wieje wiatr, zrobiło się chłodno. Jest zdenerwowana. Joachim to czuje. Przebierając się w hotelu, wiele razy zmieniała sukienkę, zanim włożyła tę pomarańczową. Joachim też się denerwuje, tyle że z zupełnie innego powodu.

– Taki podał adres – mówi Ellen i zdecydowanym krokiem rusza do drzwi. – Powiedział, że mamy przejść przez budynek.

– Przejść przez budynek? – powtarza Joachim.

Przy drzwiach jest dzwonek, ale nie ma przy nim nazwiska. Ellen waha się chwilę, zanim wciska zaśnieżony przycisk. Dobia ich dźwięk dzwonka, a po jakimś czasie rozlega się charakterystyczne brzęczenie. Ellen pcha ciężkie drewniane drzwi. Klatka schodowa jest jasno oświetlona, schody wyłożone zieloną wykładziną. Ellen omija schody i kieruje się ku drzwiom prowadzącym na podwórze. Odwraca się do Joachima.

– Idziesz?

Joachim podąża za nią, a kiedy jego oczom ukazuje się podwórze, zaczyna lepiej rozumieć, dlaczego artysta wybrał akurat to miejsce. Podwórze ma podłużny kształt, prowadzi obok niewielkiego ogródka warzywnego i starej studni. Kollisander mieszka z daleka od miejskiego ruchu w dużym, starym budynku, odrestaurowanym według wszelkich zasad sztuki, mając widok na dachy innych domów i na morze.

– I co teraz powiesz? – szepcze Ellen i się uśmiecha.

– Przypomina stary klasztor – odpowiada cicho Joachim i też się uśmiecha.

Ellen poprawia nerwowo włosy, wyjmuje z torebki lusterko, sprawdza szminkę na ustach. Joachim czytał gdzieś, że Sycylia jest tym miejscem na świecie, które w historii było najczęściej najeżdżane przez wrogów. Na tej suchej ziemi różne ludy toczyły ze sobą walki. Czy widać to w stylu budynków? Nie, zabudowa sprawia nad wyraz harmonijne wrażenie. Białe ściany, dachówki, balkony z żelaznymi balustradami, trzy piętra, okiennice. Proste budownictwo. Musiało

takie być, jeśli po każdym przejściu niszczącej i plądrującej wszystko armii trzeba było odbudowywać je na nowo. Przed nimi w drzwiach stoi Kollisander. Wysoki, szeroki w barach. Joachim jest zdziwiony. Nie potrafi powiedzieć, jak go sobie wyobrażał, ale na pewno nie tak.

Twarz mężczyzny jest przyjazna, inteligentna, ma ciemnoniebieskie oczy, skórę spaloną słońcem i wyraźny zarost. Przyprószone siwizną włosy sięgają mu do ramion, teraz targa nimi wiatr.

– Ellen – mówi i rozkłada ręce w serdecznym geście.

Ellen wchodzi po schodach i niemal ginie w jego objęciach. Po chwili, kiedy ją puszcza, Ellen staje obok niego. Fala ciepła ogarnia jej ciało, dociera do twarzy. Joachim zerka na kwiaty w doniczkach, po jednej na każdym z dziesięciu stopni prowadzących do drzwi wejściowych.

– Co ja słyszę, były mąż, który nie może się z tym pogodzić? Doskonale to rozumiem – mówi Kollisander, śmiejąc się.

Joachim zamierza protestować, jednak nie bardzo wie, co powiedzieć, więc tylko wzrusza ramionami i wybucha śmiechem.

– Jesteście pierwsi, ale zaprosiłem jeszcze parę osób. Pomyślałem, że użyję waszej wizyty jako pretekstu do zorganizowania małego przyjęcia – mówi Kollisander i prowadzi ich do mieszkania.

Nie ma holu, z drzwi wchodzi się bezpośrednio do ogromnego pomieszczenia – kuchni połączonej z salonem, książki i garnki, regał z winami i biurko. Potężne drewniane belki podtrzymują górne piętro. Pośrodku pokoju stoi podłużny stół zrobiony z desek pokładowych, wokół stoją kanapy przykryte pięknymi wzorzystymi narzutami i poduszkami. W głębi, w kącie, stoi duże, rozesłane łóżko.

– Tu pracujesz? – pyta Ellen zaciekawiona.

Kollisander znów wybucha śmiechem, równie zaraźliwym jak ziewanie. Nie sposób mu nie wtórować.

– Wszędzie pracuję – odpowiada. – No proszę, to ja naiwnie myślałem, że przyjechałaś odwiedzić samotnego starszego pana, a ciebie interesuje tylko moja sztuka.

Joachim obserwuje malarza. Ma wrażenie, że pod lekkim tonem kryje się coś jeszcze. Może Kollisander rzeczywiście jest wrażliwy?

– Obiecuję, że jutro będziesz mogła zajrzeć do mojej świątyni. Zawsze uważałem, że należy oddzielać pracę od reszty. Dzisiaj wieczorem zajmiemy się tą resztą, zgoda?

– Oczywiście, przepraszam. Po prostu byłam ciekawa – mówi Ellen.

– Uzyskanie pozwolenia na zamontowanie okien połączeniowych zajęło mi pięć lat i wymagało mnóstwa zachodu, więc oczywiście chętnie was oprowadzę. Obiecuję.

Joachim przygląda się mężczyźnie, kiedy ten opowiada o swojej charakterystycznej metodzie malowania polegającej na tym, że pigment uzyskuje z przedmiotu, który zamierza malować. Mówi, że dzisiaj wyciskał sok z kwiatów kamelii. Pokazuje Ellen dłonie, całe w kolorowych plamach, jasnoróżowy miesza się z czernią i bielą. Joachim musi przyznać, że jest w nim coś wyjątkowego. Szczególnie kiedy ktoś tak potężnie zbudowany opowiada o wyciskaniu soku z kwiatów. Kollisander bierze Ellen pod rękę i prowadzi do stołu, który czeka już nakryty. Gliniane półmiski pełne są miejscowych specjałów, miski z czarnymi oliwkami, bochny chleba posypane płatkami soli. Napelnia kieliszki, wznoszą toast, chwila ciszy, kiedy patrzą sobie w oczy nad szkłem. Wino ma lekko słodkawy smak, łagodny, przyjemny.

– Pochodzi z za rogu – mówi Kollisander. – Jest tłoczone z miejscowych winogron – dodaje.

Joachim rozgląda się, podczas gdy malarz opisuje podróż winogron od stoku górskiego, na którym rosną, do butelki. Opowiada, jak chłopci wieszają winne kiście pod sufitem i pozwalają im wisieć tam miesiącami. A kiście powoli – w ciepłe łagodnej sycylijskiej jesieni – zamieniają się w rodzynki, nabierają smaku wzmacnianego przez morską bryzę, przez sirocco, który wieje z Sahary nad Morze Śródziemne, niosąc ze sobą piasek z Afryki. Ten piasek odkłada się na ziemi i nadaje gronom korzenny smak daktyli, kardamonu i wielbłądziego łajna. Śmieją się.

– Co was sprowadza na to zadupie Europy?

– Tu jest pięknie – mówi Ellen oburzona.

– Sami złodzieje. Mafia, oszuści, łapówki, ale ludzi przyciąga dobre jedzenie i fantastyczna pogoda. Włosi to naród pełen paradoksów – mówi Kollisander. – Nigdy ich nie zrozumieję. Oni zresztą sami siebie nie rozumieją. Pozostają dla siebie tajemnicą. Dlatego nigdy nigdzie się nie ruszają.

– Nie podróżują? – pyta Joachim. Mówi tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Nie wiem, czy wiecie, ale tylko niecałe pięć procent mieszkańców Sycylii ma paszport – mówi Kollisander. Ellen śmieje się, chłonie każde jego słowo, jakby przemawiał sam Bóg.

Do Joachima dociera, że nie podoba mu się, że Ellen podziwia mężczyznę, który zrealizował to, co jemu się nie udało. Poświęcił miłość i drobnomieszczańskie marzenia, stawiając na sztukę. I to przyniosło owoce. Joachim wypija duży łyk chłodnego czerwonego wina, próbuje wyczuć w nim smak wielbłądziego łajna.

Pojawiają się pozostali goście. Trzy kobiety, jedna z nich jest bardzo młoda, i młody mężczyzna, właściwie jeszcze chłopak, który wygląda na bardzo zmęczonego. Dwie z kobiet prowadzą sklep z papierusem. Każde miasto na Sycylii ma coś, co je wyróżnia: dzbanki, musztardę, porcelanę, lalki. Wszyscy turyści

wracają do domów z którąś z tych rzeczy. Nie są w stanie im się oprzeć, kupują więc kawałek *la dolce vita*, słodkiego życia. A potem zostają z tym papirusem i innymi bzdetami w swoich domach w Hvidovre czy Haderslev. Joachim wypytuje kobiety o produkcję papieru. Okazuje się, że sklep ma własny warsztat, w którym jedna z nich zajmuje się wytwarzaniem papieru. Joachimowi nie udaje się dopytać, czym zajmuje się trzecia, najmłodsza z kobiet. Ani też czy są siostrami. Może po prostu wszystkie Sycylijki tak wyglądają. Są niskie, Ellen wygląda przy nich na wysoką kobietę. Wszystkie mają też kruczoczarne włosy, które sięgają im do pasa. Jasny lakier na paznokciach współgra z jasną szminką na ich delikatnych wargach. I podobnie jak Ellen, wszystkie są zafascynowane Kollisanderem i całkowicie niezainteresowane Joachimem, który spokojnie obserwuje całe towarzystwo z boku. Młody mężczyzna ma na imię Billy, ale oczywiście nie jest to jego prawdziwe imię. Ellen śmieje się, Joachim nie bardzo wie, o co chodzi. Domyśla się, że Billy jest zagubionym młodym człowiekiem, którego Kollisander wziął pod swoje skrzydła. Chłopak szybko się upija i bełkocze. W pewnym momencie zaczyna śpiewać. Słaby, wysoki głos sprawia, że wszyscy milkną. Kobiety słuchają go z rozczuleniem. Joachim je obserwuje. Być może jego dawne wyobrażenia o sobie jako Odyseusza, uczestniku wojny o piękną Helenę, sprawiają, że przychodzą mu na myśl syreny. Greckie syreny na Morzu Egejskim, które kusily żeglarzy pięknymi pieśniami i prowadziły ich na śmierć. Joachim przygląda się milczącym syrenom, które siedzą i słuchają Billy'ego. A może odbywają się tu eliminacje do chóru? Czyżby Ellen była syreną Joachima? Bzdura, za dużo wypił. Mimo to wypija kolejny łyk. Przygląda się Kollisanderowi, próbuje dojrzeć, co kryje się pod maską światowca i wielkiego artysty. Czy to Kollisander był w piwnicy? To on zabił Louise? Trudno mu w to uwierzyć... Nagle ich spojrzenia się spotykają. We wzroku malarza jest jakiś błysk. Czego? Zaciekawienia? A może podejrzliwości?

– Rozumiem, że Billy zamieszka u ciebie? – mówi Joachim, chcąc zmienić temat.

– Nie, odeślę go do rodziców do Aberdeen, ale najpierw chcę się upewnić, że jest na właściwej drodze. Byłoby niedobrze, gdybym wsadził go na pokład samolotu, a on wysiadłby w najbliższym dużym mieście i natychmiast ściągnął na siebie wszystkie nieszczęścia świata – mówi Kollisander wyraźnie zatroskany.

– Ale teraz mieszka tutaj? – dopytuje Joachim, zerkając na rozesłane łóżko w głębi.

Nawet jeśli pozwala sobie na nieco za dużo, jest to lepsze, niż gdyby to Kollisander go wypytował.

– Nie, Billy nie mieszka ze mną. Ulokowałem go u swojej gospodyni. Jestem dość nudnym człowiekiem, nudniejszym, niż sobie wyobrażasz. Dużo pracuję, właściwie cały czas, a wtedy muszę mieć całkowity spokój. Inaczej nie potrafię się

skupić. Dlatego mieszkam sam. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym prowadzić sąsiedzkie pogawędki w pracowni.

– Cały dom należy do ciebie? – Joachim jest autentycznie zdziwiony.

– Stać mnie na to, więc dlaczego miałbym się ograniczać. Jesteś zgorzony? Duńczycy zawsze się gorszą, kiedy dowiadują się, że dysponuję tak dużym domem i nie wykorzystuję całej powierzchni. Ale czemu nie? Moje życie jest idealne. Wszystko, czego potrzebuję, mam przy sobie, w jednym pokoju. Moja gospodyni dba o dom, toteż mogę skupić się wyłącznie na sztuce. Jeśli chcę spotkać się z ludźmi, to zapraszam ich do siebie. Chyba że sami się wproszą – dodaje i zerka na Ellen, która natychmiast uśmiecha się do niego rozpromieniona.

Kobiety milczą, słuchają jego słów z nabożeństwem. Niemal niezauważalnie Kollisander przechodzi na angielski, żeby wszyscy go rozumieli. Wkrótce przy stole toczy się ożywiona dyskusja. Dotyczy oczekiwań, jakie ludzie miewają wobec innych. Czy powinni podporządkować się normom, zapomnieć o marzeniach i dążyć do normalności. Nakładać na siebie ograniczenia.

– Uważam, że mam prawo żyć tak jak chcę, ponieważ moja sztuka osiągnęła sukces – stwierdza Kollisander. Patrzy Joachimowi w oczy i mówi dalej: – Tak wygląda ta straszna prawda, przyjacielu. Dopóki nie odniesiesz sukcesu, jesteś niewolnikiem pomysłów, którzy inni mają na twoje życie. Na to, jak masz się zachowywać. Jak masz żyć.

Billy bełkocze, że to prawda, mamrocze bez ładu i składu o świecie, w którym wszyscy żyją ze sobą w zgodzie. Malarz klepie go lekko po głowie i zerkając w stronę kobiet, unosi pobłażliwie brwi. Kobiety zaciskają wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Rozmowa toczy się dalej, kolacja trwa, ale słowa Kollisandera nie dają Joachimowi spokoju. Czy zamieniłby czas spędzony z Helene na sukces?

Ellen wraca z łazienki. To jedyne miejsce w całym domu, które ma drzwi. Joachim odchyła głowę, patrzy na sufit. Stare belki sufitowe są odsłonięte, ciemne drewno dobrze się prezentuje na tle kamiennych bloków, z których zbudowane są ściany. W drugim końcu pomieszczenia, w pobliżu łóżka, stoi duża wanna z błyszczącego mosiądzu. Wzdłuż środkowej belki mniej więcej w metrowych odstępach wisi kilka żelaznych haków. Joachimowi kojarzą się hakami z piwnicy. Cały czas szuka śladów. Ale być może Ellen ma rację, może teraz wszystko kojarzy mu się z jednym. Haki zwisające z belki mogą równie dobrze pochodzić z czasów, kiedy ten pokój miał zupełnie inne przeznaczenie. Może był tu magazyn? Może służyły do wciągania na górę ciężkich worków? A może na hakach suszyło się mięso? To wcale nie jest wykluczone. Joachim wzdycha, czuje się pokonany.

Ellen już się upiła. Joachim widzi, jak Kollisander taksuje ją wzrokiem. A ona wcale nie ucieka od jego spojrzeń, przeciwnie, traktuje je jak wyzwanie. Joachim podnosi się, zbyt gwałtownie, krzesło się chwieje, gdyby nie złapał go

w ostatniej chwili, pewnie by się przewróciło.

– Pora się pożegnać – mówi głośno.

– Już? – Ellen jest zaskoczona.

– Czekaj nas jeszcze praca – ciągnie Joachim.

Ellen wzrusza ramionami, robi niezadowoloną minę.

– Aż tak nam się chyba nie śpieszy – mówi i lekko się zataczając, wraca na miejsce obok Kollisandera.

Joachim idzie za nią i bierze ją pod rękę, zanim ona zdąży usiąść.

– Owszem, mamy kilka rzeczy do skończenia, no i pamiętaj, że musisz jeszcze znaleźć czas na jutrzejsze oprowadzanie po pracowni – dodaje i się uśmiecha. Po czym nachyla się nad nią i cedzi przez zęby: – Chodź już, Ellen, ja nie żartuję.

Ellen rzuca ostatnie spojrzenie Kollisanderowi i wzdycha głęboko.

– Pokażesz mi jutro swoje mityczne dzieło? – pyta, a w jej głosie słychać źle skrywane pożądanie.

Malarz patrzy na Joachima, a następnie odpowiada:

– Nikt go widział. Nikt nie widział *Tajemniczej kobiety*. – Bierze rękę Ellen i całuje delikatnie, ale nie wstaje.

– Tajemnicza kobieta – powtarza Ellen. – Potrafisz budować odpowiedni nastrój.

Trzy kobiety wstają, podchodzą do Ellen, całują ją w policzki. Kiwiają chłodno głowami Joachimowi, najwyraźniej nie zrobił na nich dobrego wrażenia.

W końcu wychodzą. Kiedy zamykają się za nimi drzwi, Ellen znów zaczyna protestować.

– Naprawdę musimy już iść?

– Wiesz, po co tu przyjechaliśmy – przypomina jej Joachim.

– Co? Jeszcze sobie nie odpuściłeś? Przecież to nonsens. Wiesz, że Helene poradzi sobie bez... – urywa. Zazdrość daje o sobie znać. Wraca dawna Ellen. – Helene nic się nie stanie. Jest bogata. Bogaci zawsze trzymają się razem – szepcze. Joachim słyszy, że jest pijana.

– Wracaj do domu – mówi. – Ja zajrzę do jego pracowni. Obiecuję się pośpieszyć.

– Nie rozumiem... Co spodziewasz się tam znaleźć?

– Nie wiem. Być może rzeczywiście nic nie znajdę – odpowiada Joachim i czuje, jak narasta w nim rozpacz. – Ale jeśli kogoś się podejrzewa, jeśli policja kogoś podejrzewa, to przeszukuje...

Ellen mu przerywa.

– Policja? Bawisz się w policję?

Joachim patrzy na nią. Narzuca jej szal na ramiona.

– Trafisz sama do hotelu?

– Chrzań się.

– Co?

– Nie wyobrażaj sobie, że będziesz jedyny, który zobaczy jego wielkie tajemnicze dzieło.

Joachim zastanawia się przez moment. Najchętniej poszedłby sam. Ellen jest pijana, zbyt głośno się zachowuje. Chociaż hałas z parteru pewno ją zagłusza. Joachim słyszy, że chłopak znów śpiewa; kobiety rozmawiają, wchodząc sobie w słowo. Ruszają więc oboje na górę po schodach prowadzących po zewnętrznej stronie ściany.

– Zdejmij buty – szepcze Joachim. Ellen posłusznie zdejmuje szpilki.

Joachim waha się, otwiera drzwi. Mimo że w ostatnich dniach robił gorsze rzeczy, tym razem czuje się inaczej. Przez duże okna w dachu wpada światło księżycy i oświetla pracownię. Ellen milczy. Joachim doskonale to rozumie. To dla niej wielka chwila. Wyobraża sobie, że to trochę tak, jakby on umówił się na spotkanie z Hemingwayem.

Wszędzie są obrazy. Niektóre stoją na sztalugach, inne leżą złożone pod ścianami. Jedne są gotowe, drugie nie, ale każdy ma w sobie coś, co odróżnia go od innych. Sprawia to sposób, w jaki artysta wykorzystuje przyrodę. Używa węgla drzewnego, naturalnych barwników, wyciągu z kwiatów. Joachim wręcz czuje ich zapach. Chodzi od obrazu do obrazu jak w hipnozie, zapomina o wszystkim. Słyszy kroki Ellen. Nie reaguje na nie. Dziwnie się czuje. Ma wrażenie, że jego ciało staje się ciężkie, czyżby farby były trujące? Może w pomieszczeniu unoszą się trujące opary miejscowych roślin?

Obraz stoi na sztaludze pośrodku pokoju, tyłem do nich. Podchodzą bliżej, Ellen bierze Joachima za rękę, a on czuje, jak jej dłoń drży. Obraz nie jest duży. Ellen odwraca go ostrożnie.

– Tajemnicza kobieta – szepcze.

Malowidło przedstawia jedynie twarz kobiety, która patrzy przez ramię. Jej usta... Czyżby się uśmiechała? W jej oczach jest jakaś łagodność. Niebo wokół niej jest czerwone, może sprawia to wieczorne słońce, w głębi widać lekko zaznaczony horyzont. Joachim nie potrafi wyrazić słowami tego, co czuje. Obraz jest banalny, ale jest w nim coś... niezwykłego.

Ellen próbuje coś powiedzieć, głos jej się łamie.

– Jest taki mały – mówi Joachim.

Ellen ściska jego dłoń, ale on odczuwa pustkę. To naprawdę wszystko? A więc jednak się pomylił. Obraz nie ma nic wspólnego z zabójstwem Louise. Zawiedziony puszcza rękę Ellen, patrzy na nią, widzi łzy w jej oczach. Naprawdę to dla niej aż takie przeżycie? Nie potrafi dzielić z nią jej zachwyty, świat sztuki nie jest jego światem. Znów patrzy na *Tajemniczą kobietę*. Musi jednak przyznać, że obraz ma coś w sobie. Można niemal odnieść wrażenie, że w przedstawionej

postaci jest więcej życia niż w żywym człowieku. Co czyni go tak wyjątkowym? Farby? Czerwone wieczorne słońce? Ledwie muśnięcia pędzlem? Nie tylko to, również samo płótno ma coś w sobie. Joachim podchodzi bliżej, wyciąga rękę.

– Joachimie – szepcze Ellen.

– Co?

– Nie widzisz tego? – Ellen kręci głową.

Czego nie widzi? Przeciąga delikatnie dłonią po rozpiętym na blejtramic płótnie. Wydaje się suche, cienkie. Porowate. To nie jest zwykłe płótno. Może papirus? Pochyla się jeszcze bardziej, mruży oczy, przygląda się dokładnie. Nie, to nie są sprasowane włókna roślin. Materiał jest miękki. Może skóra zwierzęcia? Wyciąga palec.

– Chodźmy stąd – szepcze Ellen. Ciągnie go za rękę.

Joachim nie słucha jej, przeciąga palcem po płótnie. Czuje się coraz bardziej ociężały. Jakby jego mózg nie był w stanie pracować dostatecznie szybko, boi się, że coś przeoczył. Wodzi palcem po obrazie. Nagle zatrzymuje się przy niewielkiej dziurce, przy ustach kobiety. Wargi. Spozstrzega kolejną dziurkę, w źrenicy oka. I trzecią, przy uchu. Trójkąt.

– Joachimie...

Ellen woła go, ale nie zbliża się do obrazu. Dziwi go to. Jakby nie chciała przekroczyć jakiegoś niewidocznego kręgu, jakby nie chciała naruszyć prywatności namalowanej na obrazie kobiety. Trzy niewielkie dziurki. Ucho, usta, oczy. Trójkąt. Joachim ponownie dotyka dziurek, każdej po kolei. Są maleńkie. Maleńkie miejsca bez życia. Zresztą jakie to ma znaczenie. Skoro niczego nie znalazł.

– Chodź. – Ellen ciągnie Joachima do drzwi. Słyszą, że Kollisander żegna się z gośćmi. Odczekują chwilę, aż kobiety i Billy znikną. Ruszają szybko w stronę schodów, tym razem Ellen idzie pierwsza.

– Ellen! – Dochodzi ich z tyłu głos Kollisandera. – Myślałem, że poszliście.

– Wypaliliśmy jeszcze po papierosie pod gwiazdami – mówi Ellen. Stara się brzmieć bez troski, a Joachim musi przyznać, że dobrze jej to wychodzi.

Kollisander schodzi ze schodów, podnosi głowę, patrzy na nocne niebo.

– Rzeczywiście, niezwykle wieczór. A może po prostu jestem pijany? – Śmieje się. – Wiecie, o czym zapomniałem? Zapomniałem poczęstować was swoim limoncello – dodaje podniecony.

Joachim patrzy na niego.

– Teraz już naprawdę musimy wracać – mówi.

– Chyba nie odmówicie mi tego zaszczytu – ciągnie Kollisander. – Poczujesz, jak tysiące cytryn w jednej sekundzie eksplodują na twoim ślicznym języczku – zwraca się do Ellen. Strzela palcami. – To jak narodziny wszechświata stworzonego na nowo przez cytrynę. Chodźcie! To zajmie nam dwie minuty. – Wchodzi do środka. Ellen patrzy na Joachima. Wygląda na przerażoną.

– Myślisz, że powinniśmy? – pyta.

– Chodźmy.

Ellen rusza przodem, Joachim się waha. Nie potrafi zrozumieć, co wydarzyło się w pracowni. Co tak poruszyło Ellen.

Na dole w salonie Kollisander zdążył już wyjąć kieliszki i teraz nalewa do nich alkohol.

– Własna robota od początku do końca – mówi. – W przyszłym życiu będę plantatorem.

Ellen bierze kieliszek, jej dłonie lekko drżą.

– A to dla ciebie, Joachimie – mówi Kollisander i podaje mu trunek. Piją w milczeniu. Likier jest lodowato zimny, dojrzałe cytryny mają słodki, ostry smak. Smak tysiąca cytryn. Tak jak malarz obiecywał.

– Smaczne, prawda? Jeszcze trochę?

Joachim zerka na Ellen. W półmroku wydaje mu się, że kręci głową, on jednak przyjmuje kieliszek.

– Tym razem to już naprawdę ostatni – stwierdza. – Inaczej jutro nie wstanę – dodaje. Wypija do dna, równie szybko jak poprzednim razem. I natychmiast czuje, że przekroczył granicę. Wypił o jeden kieliszek za dużo i świat przyspiesza. Siada. Musi. Tylko na chwilę.

– Mogę prosić o szklanek wody? – szepcze.

Ellen też wygląda na zmęczoną. Kollisander nie przestaje mówić, stoi nad zlewem w kuchni i opowiada, śmieje się, dalej mówi. Joachim zamyka powieki i ma przed oczyma trójzębny haczyk. Widział już go w piwnicy. Zostawił dokładnie takie same ślady na ciele kobiety, którą kupił za grube tysiące, by móc zrobić z nią wszystko, nawet zabić. Kiedy haczykiem umieszczonym na końcu pejcza trafił ją w udo, na ciele zostały identyczne ślady.

– Ellen... – zaczyna, wstaje, robi mu się ciemno przed oczami, ale czuje też ulgę. Nie mylił się, teraz to zrozumiał. Ciało Louise zostało pozbawione skóry. Tak powiedziała policja. Podejrzewali, że Helene zdjęła z niej skórę, żeby ukryć tożsamość kobiety. Ale nie zrobiła tego Helene, tylko Kollisander. To Louise jest *Tajemniczą kobietą*. To jej skóra. To ją Kollisander pozbawił skóry.

– Ellen... – Joachim próbuje do niej podejść, lecz nogi nie chcą go słuchać. Podnosi głowę. Kollisander stoi przed nim. Jest spokojny. Już się nie uśmiecha. Napawa się chwilą, kiedy prawda dociera do Joachima. Joachim widzi to wyraźnie. Dolał im czegoś... Czego?

– Ellen! – woła i znów próbuje do niej podejść, ale Kollisander go zatrzymuje. Łagodnie, choć stanowczo. Chwyta Joachima i kładzie na podłodze. Czy teraz przyjdzie mu umrzeć? Pochłania go ciemność. Chce krzyczeć, stara się wstać, czuje się jak foka, która dociera do przerębla, żeby zaczerpnąć powietrza, nie wiedząc, że na górze czyha na nią niedźwiedź albo myśliwy. Joachim ma

wrażenie, że coś sunie w jego stronę. Szybko. Coś ciemnego. Zanim zdąży zareagować, dostaje cios w głowę. Ciężki cios. Myśliwy, łowca, przychodzi mu do głowy bez sensu. Podnosi rękę do głowy, ale nie znajduje jej, upada na wznak.

Policja zawozi Helene do komisariatu w Viborgu. W radiowozie wszyscy milczą. Bo też co tu jest do powiedzenia. Dopuściła się włamania, została złapana na gorącym uczynku. Nie zdjęli jej kajdanek. Chociaż kajdanki jej nie przeszkadzają. Nie potrafi powiedzieć dlaczego. Czuje się bardziej wolna niż kiedykolwiek wcześniej. Naprawdę? Zastanawia się, czy na wyspie czuła się wolna? Wtedy kiedy była razem z Joachimem? W pewnym sensie tak. Ma jednak wrażenie, że cały czas gdzieś z tyłu głowy czaiło się jakieś niebezpieczeństwo. Coś czarnego, groźnego. Rzeczywistość.

Komisariat mieści się w niskim ciemnobrązowym budynku. Nawet szklana ściana przy wejściu jest w tym odcieniu. Helene zostaje umieszczona w celi w piwnicy, twarda prycza, nagie ściany, umywalka – to wszystko. Właściwie już przywykła.

– Jak długo tu zostanę?

Policjant zatrzymuje się w drzwiach.

– Stanie pani przed sędzią w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tak stanowi prawo.

– A więc dobie?

– Przesłuchania zawsze odbywają się rano.

– Jestem głodna.

Policjant patrzy na nią i kręci głową.

– Trzeba nacisnąć przycisk – informuje i ruchem głowy wskazuje jakiś guzik. – Wtedy zjawi się roomservice. O tej porze zwykle podajemy kawior i szampana.

Helene podnosi głowę, patrzy na niego. Widzi pogardę w jego oczach. Słynna pani Söderberg. Pieniądze. Zazdrość. Kręci głową, ledwie zauważalnie. Gdyby wiedział, z jaką chęcią by z tego wszystkiego zrezygnowała.

*

Kiedy zbliża się pora przesłuchania, zjawia się inny policjant i prowadzi ją do budynku sądu. Kolejny nieciekawy budynek. Wchodzą na górę, mężczyzna wskazuje jej niskie, jasno oświetlone pomieszczenie. Na sali znajdują się jacyś ludzie. Helene jest zdziwiona. Czyżby mieli być świadkami jej upokorzenia? Dwie młode Chinki i trzech mężczyzn. Imigranci. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że to rezultat minionej nocy. Wszyscy mają coś na sumieniu. Mężczyźni najwyraźniej przemycali papierosy z Rumunii. Chinki – mają po dziewiętnaście,

może dwadzieścia lat – pewnie szukają lepszego miejsca do życia, miejsca, gdzie będą mogły się rozwijać, znajdą ludzi, którzy wydobędą z nich to, co najlepsze. Jest też tłumacz, ale okazuje się w zasadzie niepotrzebny, bo młode kobiety niewiele mówią, głównie płaczą. Ich rozdzierający szloch wydaje się dostatecznym dowodem. Helene słucha opowieści o ucieczce, o tym, jak przeszły przez granicę. Sprawa jest raczej skomplikowana – Helene w pewnym momencie przestaje słuchać – lecz zarówno prokurator, jak i obrońca są zaskakująco zgodni. Kobiety zostają wyprowadzone. Sędzia uśmiecha się do nich. Jedno jest dla Helene jasne. Zawsze w grę wchodzi pieniądze. Aksel, Hirsch, Chinki, rumuńskie papierosy, przemytnicy. Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Kiedy staje przed sędzią, czuje narastającą złość. To pieniądze sprawiły, że jest twardym człowiekiem, kimś, kogo wszyscy się boją. Nie chce taka być, ale teraz musi, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Musi wcielić się w dawną Helene, inaczej przegra. Na sali jest też Edmund. Niemal go nie poznała. Błady, wychudzony, ma pomarszczoną twarz. Spuścił głowę, nie patrzy jej w oczy. Obok niego stoi mężczyzna w garniturze w prążki. Sprawia wrażenie tak idealnego, że wręcz ją to śmieszy. Mężczyzna poprawia okulary i patrzy na Helene z miną, która chyba ma ją podnieść na duchu. Po chwili wstaje, odchrząkuje, spogląda na zmęczoną panią sędzię.

– U pani Söderberg zdiagnozowano amnezję wsteczną – mówi.

Podaje jakieś dokumenty, sędzia spogląda na nie znad okularów. Padają słowa: choroba psychiczna, nieobliczalność, obietnica, że Söderberg Shipping pokryje wszelkie koszty, jakie w związku z włamaniem poniosła kancelaria Lundqvist i Syn. Helene słucha oniemiała. Czy to szaleństwo nigdy się nie skończy? Naprawdę chcą ją umieścić w zakładzie i w ten sposób zamknąć jej usta? Podawać jej leki, żeby już nigdy nie mogła obnażyć ich kłamstw? Patrzy na Edmunda, który wyraźnie unika jej wzroku. Spogląda więc na sędzię, krótko ostrzyżoną, starszą kobietę emanującą spokojem. Musi ją przekonać.

– Nie jestem szalona – zaczyna, wykorzystując przerwę w wywodzie adwokata. – Jestem w pełni świadoma faktu, że popełniłam przestępstwo. Czy mogę wytłumaczyć, dlaczego się go dopuściłam?

Pani sędzia poprawia okulary, przekrzywia nieco głowę.

– Mogę kontynuować? – pyta adwokat.

– Chcę wysłuchać zatrzymanej.

Adwokat stoi, nie wraca na swoje miejsce. Helene bierze głęboki wdech.

– Adwokat nie reprezentuje mnie – stwierdza. – Reprezentuje moją rodzinę.

Tłumaczy skomplikowane okoliczności zdarzenia. Opowiada o zbrodni popełnionej podczas wojny. Mówi, że kierownictwo firmy cały czas wszystko ukrywało, i nadal to robi. Spogląda za siebie, na salę. Nie zauważa dziennikarzy i postanawia to wykorzystać.

– Mój ojciec zlecił morderstwo swojego współnika Williama Hirscha,

współzałożyciela Söderberg Shipping. Dowód na to był w archiwum kancelarii, do której się włamałam.

Okazuje się jednak, że na sali jest dziennikarz. Młody mężczyzna w jasnobrązowej wiatrówce pośpiesznie wszystko notuje. Helene spogląda na Edmunda, widzi, że ma zaciśnięte dłonie, niemal białe knykcie. Helene wstrzymuje oddech, czeka na reakcję sędzi. Zapada milczenie. Po długiej przerwie sędzia zaczyna zadawać pytania. Dużo pytań. Chce dokładnie ustalić okoliczności włamania. Helene odpowiada, ale nie wspomina o udziale Jensa Brinka. Wyjawienie wszystkiego przynosi jej ulgę. Mówi też o tym, że ktoś próbował ją zabić. Opowiada o czarnym samochodzie, który zmusił ją do zjechania na pobocze, i o mężczyźnie, który szedł za nią. Przesłuchanie ciągnie się w nieskończoność, Helene odpowiada na pytania, a Edmund coraz bardziej kuli się w sobie. Adwokat kręci głową, bez przerwy coś zapisuje, czeka, aż będzie mógł znów zabrać głos. Ale sędzia nie daje mu szansy.

– Proszę usiąść, pani Söderberg – mówi w końcu i spogląda na papiery.

Pyta prokuratora, czy jest jakiś powód, dla którego pani Söderberg nie mogłaby zostać zwolniona. Prokurator kręci głową. Nie, nie ma takiego powodu. Wyznaczony zostaje termin rozprawy. Tak odległy, że równie dobrze mogłoby to być za sto lat, myśli Helene. Sprawa pani Söderberg nie jest aż tak ważna, włamanie to drobiazg, tutaj widuje się gorsze rzeczy.

*

Powietrze nadal jest przyjemnie ciepłe, niebo jest ciemnoniebieskie, jak zwykle tuż przed nadejściem zmroku. Ma problemy z namówieniem Martina na wyprawę. Martin uważa, że Helene ma za małe doświadczenie, żeby schodzić poniżej pięciu metrów. Ale ona jest uparta, wciela się w dawną Helene, która miała dar przekonywania i której wszyscy się boją. Musi tylko obiecać, że nie oddali się na więcej niż półtora metra. Mimo to Martin nadal nie jest przekonany. Naprawdę ma poszukiwać ciała razem z nurkiem amatorem? Płyną łódką w kierunku miejsca, które wskazała mu Helene. Na południe, a dokładniej na południowy zachód. Na sam środek jeziora, tam gdzie z łodzi widać koronę kasztanowca w ogrodzie gospody. Martin siedzi przy sterze, w ręce trzyma kompas. Helene czuje się przy nim bezpieczna.

– Tam – mówi, kiedy za ciemnymi świerkami pojawia się jasna korona drzewa.

Martin wyłącza silnik. Powietrze wypełnia cisza.

– Nigdy tu nie nurkuję – odzywa się. – To zbyt niebezpieczne – powtarza po raz kolejny.

Patrzy w głąbię. Helene widzi, że jest blady. Jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy. Kredowa biel twarzy kontrastuje z ciemnością otchłani. Martwy lód,

wielka sprasowana bryła lodu, wieczność zachowana na dnie, którego nikt nie jest w stanie dotknąć.

– Kiedyś utonął tu nurek – mówi Martin.

Helene się waha. Może rzeczywiście całe przedsięwzięcie jest zbyt niebezpieczne?

– Znałeś go? – pyta.

– To była kobieta. Nie znałem jej, to zdarzyło się, zanim zacząłem nurkować. Nie byłoby lepiej, gdybyś zostawiła to policyjnym nurkom?

– Jeśli nie zrobimy tego teraz, zrobi to za nas ktoś inny. Ktoś gotów na wszystko, byle tylko zatrzeć ślady tej zbrodni.

Martin dalej siedzi w łodzi. W końcu wstaje i chociaż ciągle nie wydaje się przekonany, rzuca kotwicę. Pomaga Helene przygotować sprzęt. Ona zapina pas, wkłada na plecy zbiornik z tlenem, w sumie dobre trzydzieści kilogramów. Z trudem utrzymuje się na nogach.

– Pamiętasz wszystko?

– Kciuk do góry znaczy, że się wynurzamy. Płaska dłoń nad głową, że w pobliżu jest rekin. – Śmieje się. Martin też się uśmiecha.

– To nie jest miejsce dla początkującego nurka – przypomina jej zaniepokojony.

– Będę uważać – uspokaja go Helene.

Na koniec wkłada płetwy. Martin schodzi pierwszy. Helene podąża za nim. Woda rozstępuje się przed nią, jakby ją zapraszała. Tak to przynajmniej odbiera. Tym razem nurkowanie sprawia jej większą przyjemność niż poprzednio. Zatrzymuje się obok Martina, niemal równocześnie wkładają ustniki i na jego sygnał się zanurzają. Ręce wzdłuż ciała, odpręża się, stopy, spokojne ruchy. Martin nadaje tempo, wskazuje kierunek. Świeci latarką, oświetla falujące łany wodorostów, świat pod powierzchnią prawdziwego świata. W krąg światła wpada niewielka rybka, szybko umyka.

W dół.

Ciemność zamyka się wokół nich. Światła latarek mieszają się w ciemności, rozpraszają małe ławice ryb, lekkie jak bąbelki wokół jej twarzy. Powoli schodzą coraz głębiej. Ma wrażenie, jakby spadała, kierując się w stronę pustki. Czuje ucisk w uszach. Przerazona podnosi rękę do ucha przysłoniętego obcisłym kapturem kombinezonu. Martin natychmiast dostrzega jej ruch i zwalnia tempo. Zastygają w bezruchu, po chwili znów schodzą w dół. Stopniowo organizm przyzwyczaja się do wyższego ciśnienia. Ból mija, Helene znów może skupić się na tym, co widzi. Są już głęboko, wokół panuje ciemność. Nie ma żadnych roślin. Jest tylko woda, bezruch. I tak przez dłuższą chwilę. Schodzą coraz głębiej. Nagle czują za sobą jakiś ruch. Helene wzdyga się. Węgorz. Prześlizguje się obok niej. Po chwili pojawia się drugi, tym razem nadpływa z przodu. Należy do innego świata. Do

którego ona teraz postanowiła wtargnąć. Na Martinie węgorze nie robią żadnego wrażenia. Wskazuje w dół, Helene widzi, że dotarli do dna. Ale tu nie ma piasku, jest muł. Wystarcza lekkie muśnięcie płetwą, a natychmiast pojawia się dziwny czerwony wir, faluje, by po chwili znów zalec na dnie. Tworzy nowy wzór, nową powierzchnię. Pod pierwszą warstwą jest następna, i tak w nieskończoność. Helene traci nadzieję. Tyle lat minęło od dnia, kiedy wrzucono tu ciało Williama. Niewykluczone, że leży gdzieś pokryte mułem, może nawet kilkoma metrami mułu. Helene porusza się bez celu, nie spuszcza wzroku z Martina, który działa bardziej celowo. Kieruje latarkę ku dnu, zataczając coraz większe kręgi. Helene próbuje go naśladować, ale nie potrafi ustalić środka, wokół którego ma krążyć. Od czasu do czasu spotykają węgorze. Ryby wymijają ich, świadome celu, do którego dążą.

Helene czuje zmęczenie w nogach. Radosne podniecenie minęło. Znalezienie czegokolwiek w tym podwodnym świecie, wśród wielu warstw mułu, wydaje się jej nagle beznadziejnym zadaniem. Brakuje jej Joachima. Nie ma pojęcia ani gdzie jest, ani co robi. Nadal jest oskarżona o morderstwo Louise Andersen. Nadal może skończyć w więzieniu. Taka jest prawda. Pojemnik uwiera ją, ma zmęczone, suche oczy. Mruga kilka razy, musi się wysilić, żeby się skupić. Martin daje znać, że zostało im mało tlenu, powinni zacząć się wynurzać. Za cztery minuty, pokazuje. Helene z trudem porusza ciężkimi, sztywnymi nogami. Schodzi jeszcze niżej, ale nie spuszcza wzroku z Martina. Wie, że nie wolno jej oddalić się za bardzo. Dwie minuty. Martin znów daje jej znak, porusza się coraz szybciej. Helene zmusza się, żeby mu dorównać, pomaga sobie rękami, widzi, że Martin cały czas spogląda na komputer nurkowy. Sama czuje, że zeszli naprawdę głęboko. Czuje chłód. Tutaj nie ma już życia, żadnych ryb, niemal żadnych roślin. Dno wydaje się ciągnąć bez końca, bezgranicznie wielka dziura wyżłobiona przez lodowiec. A jednak okazuje się, że dno istnieje. Nagle Helene spostrzega betonowy blok. Martin płynie tuż za nią, też go widzi, wymija ją i wtedy oboje widzą, co jest przed nimi. Ciało. Przywiązane do betonowego bloku grubą, poszarpaną liną. Buty, ubranie, wszystko świetnie zachowane. W pierwszej chwili Helene jest przekonana, że ciało jest tu od niedawna, może zostało wrzucone wczoraj? Martin próbuje rękami oczyścić tors mężczyzny z mułu. Ubranie jest w zadziwiająco dobrym stanie: męski garnitur, staromodny krój. Helene spostrzega, że twarz mężczyzny nie jest tak spokojna jak twarz człowieka z Tollund. Martin oświetla ciało latarką. Puste oczodoły, ale reszta twarzy wydaje się dość dobrze zachowana. Maluje się na niej strach, Helene rozpoznaje twarz ze zdjęć. I nagle czuje wielki smutek. Do tej pory były to jedynie plotki, lecz teraz... Jej własny ojciec. Morderca, człowiek o czarnej duszy. Martin daje jej znak, że muszą się wynurzyć. Natychmiast. Helene sygnalizuje, że jest gotowa. Znalazła ciało Williama. Teraz ma dowód. Nawet Caroline tego nie zmieni. Kiedy wypłyną na powierzchnię, od razu zawiadomią policję. Zostaną na

łodzi do jej przyjazdu. Nie chce ryzykować. Poprawia sprzęt, szykuje się do wypłynięcia na powierzchnię. Martin bierze ją za rękę. Wynurzają się w równym tempie, powoli, chociaż wszystko w niej krzyczy i się niecierpliwi. Ustawia się pionowo, ale porusza płetwami za mocno i natychmiast jej ciało spowijają drobinki czerwonego mułu. Martin znika. Helene walczy dalej, byle dalej od mułu. W końcu udaje jej się, odbija się i wypływa do góry. Wtedy dociera do niej, że nie dotknęła miękkiego dna, tylko czegoś twardego. Puszczą rękę Martina i schodzi w dół, świeci latarką. Muł zasłania wszystko, Helene sięga ostrożnie dłonią. Nagle czuje wyraźnie, że na dnie coś jest. Martin pojawia się obok niej, próbuje chwycić ją za rękę, ale ona nadal grzebie w mule. Po chwili grzebią już oboje. Człowiek. Jeszcze jedno ciało? Przestają, muł powoli osiada. Ich spojrzenia się spotykają, widzi panikę w oczach Martina, rozumie, że muszą natychmiast się wynurzyć. Może znaleźli zwłoki kobiety, o której opowiadał Martin? Teraz widzą je wyraźnie. Ale to nie jest kobieta, to nie jest nurek. Nie ma na sobie kombinezonu ani pasa. Tors jest teraz dobrze widoczny. Mężczyzna leży na plecach, ma na sobie mundur. Stary wojskowy mundur. Martin chwyta jej dłoń. Helene rzuca ostatnie spojrzenie na zwłoki. Mężczyzna jest w mundurze? Był żołnierzem? Ma odwróconą głowę, coś błyszczy mu przy szyi. Łańcuszek z metalową tabliczką z imieniem i nazwiskiem unosi się w wodzie. Helene czuje, że Martin ciągnie ją do góry, ale nie zamierza mu ustąpić. Wyciąga rękę w stronę mężczyzny, najdalej, jak może, sięga do jego szyi, maca, jej zimne palce są sztywne, dotyka łańcuszka, pociąga za niego. Zaciska dłoń na prostokątnej metalowej blaszce, wyraźnie czuje wygrawerowane litery. Imię i nazwisko żołnierza.

Joachim mruga, widzi wszystko jak za mgłą, znów mruga. Otwiera oczy. W pokoju jest jasno, przez moment jest zdezorientowany. Nagle widzi przed sobą obraz. Tajemnicza kobieta. Krwistoczerwona twarz. Louise. Kollisander zawlókł ich na górę do pracowni. Obok obrazu leży koszula Joachima. Uświadamia sobie, że ma nagi tors. I szeroko rozłożone ręce. Bolą go. Chce je opuścić, lecz okazuje się, że są przywiązane. Mocno. Szarpie się. Bez skutku. Przełyka z trudem ślinę, czuje, że ma coś w ustach, coś miękkiego. Szmata przesiąkniętą jego własną śliną. Próbuje wypluć knebel, ale nie może. Kawałek materiału uniemożliwia mu zamknięcie ust, stoi więc z otwartymi ustami i milczy. Odwraca głowę, widzi, że obok stoi Ellen, unieruchomiona w ten sam sposób. Nadgarstki ma owinięte kawałkami materiału, przywiązanymi do sznura, który zwisa z haka u belki. Nad nimi jest niebo. Jest rano. Jak to się stało... drink, który podał im Kollisander... „smaczne, prawda? Jeszcze trochę?”. „Ale to już naprawdę ostatni”, powiedział Joachim. Rohypnol... Nie ma smaku, jest bezbarwny, najpopularniejszy na rynku. Córce przyjaciela Joachima dosypano go kiedyś do drinka w klubie. Patrzy na Ellen. Ma zamknięte oczy, jej ciało zwisa bezwładnie. Ogarnia go panika, ale po chwili dostrzega, że jej klatka piersiowa unosi się i opada. Ellen żyje. Dzięki Bogu. Joachim nasłuchuje. Gdzie jest Kollisander? Z oddali dochodzą słabe odgłosy miasta. W którymś z niezliczonych tutejszych kościołów biją dzwony. Joachim odchyła głowę. Przez ośmiokątne okienko widzi niebo. Jasne i niebieskie, bez jednej chmury. Skoro jest ranek, czy to znaczy, że całą noc był nieprzytomny? Próbuje poruszyć nogami. Niestety są związane w kostkach. Wisi tak wysoko, że pięty nie sięgają podłogi. Cały ciężar ciała opiera się na palcach u nóg. Kiedy próbuje się ruszyć, traci równowagę. Przez moment wisi na ramionach. Ma wrażenie, że ktoś wyrywa mu ręce ze stawów. Szybko wraca do poprzedniej pozycji.

– Nie ruszaj się. – Słyszy za sobą.

Ktoś przesuwa krzesło, odgłos kroków. Pod chwili staje przed nim Kollisander. Joachim czuje na sobie jego oddech: pachnie czosnkiem i mięsem.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że czujesz się wypoczęty, Joachimie.

Kollisander trzyma w ręce pędzel, wyciera go w kawałek płótna.

– Uznałem, że powinniście mieć przed oczami coś ładnego, kiedy ja pracuję – mówi i wskazuje głową na obraz. – Podoba ci się?

Joachim porusza rękami, z całej siły. Materiał wrzyna mu się w nadgarstki, zdarta skóra piecze.

– To bez sensu, tracisz tylko siły. Rozluźnij się i rozkoszuj widokiem.

Kollisander znika na plecami Joachima, który zrozpaczony unosi się na palcach tak wysoko jak tylko jest w stanie, kołysze się na boki, zwisa na rękach, próbuje oswobodzić się z krępujących szmat. Nagle czuje coś na plecach, łagodne, lekkie muśnięcie. I wtedy dociera do niego, co się dzieje: Kollisander maluje... na jego plecach. Joachim walczy, próbuje się uwolnić.

– Niepotrzebnie tracisz siły – powtarza cierpliwie malarz.

Joachim uspokaja się, serce mu wali, pot wypływa wszystkimi porami. Zdesperowany odwraca głowę najdalej jak może, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Ellen wydaje z siebie jakiś dźwięk, unosi głowę, rozgląda się. Jest zaspana. Raptem prostuje się, szarpie. Nadaremnie. Potem staje na palcach, tak jak wcześniej Joachim. Patrzy na niego. Joachim zastanawia się, dlaczego nie sprawia wrażenia zdziwionej. I wtedy dociera do niego. Ellen wiedziała. Może nie wszystko, ale wiedziała. Dlatego teraz nie jest zdziwiona.

– Dzień dobry, Ellen – wita ją Kollisander.

Ellen odwraca głowę, patrzy na niego. Widzi, co robi.

– Cieszę się, że odnaleźliście Louise. Muszę przyznać, że było mi smutno, że tylko ja mogę podziwiać jej urodę.

Joachim czuje delikatne, lekkie jak piórko muśnięcia. Powolne, dokładne ruchy. Od czasu do czasu Kollisander wyciera ostrożnie pot z jego pleców, po czym wraca do malowania. Szmata w ustach wywołuje u Joachima odruch wymiotny. Niespodziewanie czuje jakieś ciepło na nodze – oddaje mocz i nie jest w stanie nic zrobić.

– Cóż, tego się spodziewałem – mówi Kollisander i wstaje. – To ze strachu – dodaje i odkasłuje. – Prawdę mówiąc, jest to genialnie pomyślane. Kiedy zaczynamy się bać i rzucamy się do ucieczki, pozbywamy się zbędnego balastu. Jaszczurka zrzuca ogon, ludzie oddają mocz, kał.

Joachim słyszy za plecami jakiś hałas, odwraca głowę najbardziej jak może. Widzi, jak Kollisander podnosi ostrożnie metalowy stolik i stawia go obok Ellen. Na stoliku stoi emaliowany biały pojemnik z zamontowanym na spodzie termostatem. Pojemnik wypełnia gęsta masa. Czerwona. W takim samym odcieniu, jak na obrazie przed nimi. Klatka piersiowa Joachima porusza się gwałtownie. Kollisander ustawia taboret za plecami Ellen, siada na nim, tak żeby znaleźć się w polu widzenia Joachima. Nachyla się, spokojnie dotyka zamka błyskawicznego jej sukienki, rozpina go prawie do końca. Delikatnie, niemal z miłością, odsuwa na bok cienki materiał sukienki i obnaża jej plecy. Gwałtownym ruchem rozdziera materiał. Drobne ciało Ellen wydaje się teraz jeszcze bardziej drobne. Kollisander zdziera z niej sukienkę, do pasa, obnaża jej piersi. Następnie sam zdejmuje koszulę, zostaje w białym podkoszulku. Ma potężne ręce, jak słupy, umięśnioną klatkę piersiową. Bierze pędzel, zanurza w gęstej masie, skupia się na gruntowaniu. Ellen

patrzy na Joachima. Przepraszająco?

– Louise była dla mnie bardzo dobra – mówi Kollisander. – Rozumiała, o co mi chodzi. Ty tego nie rozumiesz. Ale Ellen chyba tak. Będę dla niej tak samo dobry, jak Louise dla mnie.

Joachim nareszcie pozbierał się na tyle, że zaczyna myśleć, w jaki sposób mogą się uwolnić.

– Płaciłem Louise, kiedy na niej ćwiczyłem. Wielokrotnie malowałem na jej skórze, zanim... Próbowałem różnych metod, aż w końcu znalazłem tę właściwą. Najważniejsze, żeby powierzchnia nie przypominała skóry. Trudno jest otrzymać tak delikatną powłokę, jaka jest mi potrzebna.

Dotyka niezadowolony skóry Ellen, szczypie ją. Ellen jęczy. Gdyby mogła, pewnie by krzyczała, lecz szmata w ustach tłumi wszelkie dźwięki.

– Prawdę mówiąc, jesteś za bardzo opalona, skóra Joachima jest lepsza. Ale cóż, muszę się zadowolić tym, co mam. Wiele osób myśli, że wszystko dokładnie planuję. Przyznaję, że lubię być panem sytuacji, ale największą kontrolę ma się wtedy, kiedy się odpuszcza. Kiedy bierzemy to, co samo do nas przychodzi.

Kollisander drapie się po brodzi i ciągnie:

– Na przykład nagle zjawiliście się wy, więc postanowiłem wykorzystać szansę. Nie sądziłem, że będę mógł posunąć się dalej, niż zrobiłem to z Louise. Byłem przekonany, że to szczyt moich osiągnięć, a tu proszę, okazuje, że to był dopiero początek.

Macza pędzel w farbie, reguluje termostat, maluje dalej. Nagle wzdycha.

– Płaciłem Louise. Dobrze jej płaciłem, ale jej to nie wystarczało – mówi, a Joachim po raz pierwszy słyszy w jego głosie jakąś nową nutę. Dotąd przemawiał z poczuciem wyższości. Teraz, kiedy opowiada, jak Louise nagrała film komórką, jego głos zniża się do szeptu. Kollisander ją biczował, krzyczał na nią i wszystko to zostało uwiecznione na nagraniu. Straszliwe sceny, które mogły zniszczyć jego karierę artysty.

– Potem Louise już się nie pojawiła, ale ja ją znalazłem. W starej odlewni, gdzie mieszkała razem z tą zwariowaną kobietą. Tą, która uciekła, i nikt nie mógł pojąć dlaczego – kontynuuje z twarzą tuż przy twarzy Joachima. – To była twoja Helene, prawda?

Joachim patrzy na niego zaskoczony. Skąd on to wie? Malarz tylko się uśmiecha.

– Sam nam o tym opowiedziałeś. Tam, w piwnicy – mówi i klepie Joachima po policzku. Wielka ręka, potężnie zbudowany mężczyzna, którego Joachim widział wtedy, przez moment... To był Kollisander.

– Zaskoczyła mnie, kiedy zdejmowałem skórę z Louise. Przez chwilę myślałem, że będę miał dwa płótna do malowania, ale ta wariatka zaczęła stawiać opór. Uderzyłem jej głową o podłogę – ciągnie, a Joachim widzi przed sobą

Helene, czuje jej ból, kiedy tamten wali jej głową o zimną betonową posadzkę. To było tuż po tym, jak przeżyła własny rodzinny horror. Uciekła, ukrywała się i zastanawiała, jak ratować to, co jeszcze było do uratowania. Za wszelką cenę chciała odebrać dzieci Edmundowi i Caroline. I właśnie wtedy pojawia się Kollisander. Zabija Louise. Rzuca się na Helene. Ona się broni, kopie go. Kollisander ją puszcza. Być może wtedy Helene sięga po jeden z leżących na podłodze żelaznych pogrzebaczy i zamachuje się nim na Kollisandera i trafia. Wstaje, chce uciekać, zostawia faceta skręcającego się z bólu na podłodze. Nic nie ma. Nagle przy wyjściu dostrzega plecak Louise, podnosi go. Poraniona, z plecakiem martwej kobiety w ręce, ucieka. Tak jak Joachim po zerwaniu z Ellen. Wpada na prom, niemal w transie. Udaje jej się przetrwać noc, następnego ranka schodzi na ląd w Rønne, odwodniona i obolała. Na trapie prowadzącym z promu na nabrzeże traci przytomność. Budzi się w szpitalu. I wtedy okazuje się, że nic nie pamięta. Nie pamięta rodziny, swojego kazirodczego związku, morderstwa, Kollisandera – wszystko zapomniała.

Joachim zerka kątem oka na Kollisandera. Malarz trzyma w dłoni pędzel i zamyślony przygląda się Ellen. Czyżby na jej plecach malował jej portret? Joachim zastanawia się, czy na jego plecach widnieje jego twarz? I czy pisana jest im śmierć. Umrą i staną się niemymi świadkami szaleństwa malarza? Joachim ma sucho w ustach, ból w klatce piersiowej nasila się. Nigdy wcześniej nie czuł takiego bólu.

– Najpierw trzeba zagruntować – mamrocze Kollisander pod nosem. – Tak, najpierw grunt, musi dobrze wyschnąć, teraz już wiem. To techniczne szczegóły, nic, co mogłoby was zainteresować – mruczy.

Ciało Ellen zwisa bezwładnie, jakby straciła już wszelką nadzieję. Joachim, zdesperowany, próbuje wymyślić jakiś plan ratunku.

– Zdziwiłaś mnie, Ellen – odzywa się nagle Kollisander. – Znałaś mnie. Jeszcze ze studiów na akademii. Jeśli ktoś powinien się domyślić, to właśnie ty. – Staje przed nią. Joachim widzi, że Ellen patrzy na niego. Kiwa głową? Joachim nie jest pewien.

– Jak można z własnej woli wejść do jaskini lwa? – szepcze Kollisander. Podnosi jej głowę, chłonie jej zapach. – Z powodu niego? – Zerka pogardliwie na Joachima. – Chciałaś umrzeć razem z nim? O to chodziło?

Stoi przed Ellen, ale ona nie patrzy na niego. Unosi jej głowę. Na jej twarzy pojawia się zawzięty grymas, dolna warga drży.

– Piękna, śliczna Ellen. To było żałosne patrzeć, jak próbowałaś wykorzystać mnie, żeby on zwrócił na ciebie uwagę. Nie rozumiesz, że on już ciebie nie widzi? Jest ślepy jak kret. Skazany na pozostanie w mroku.

Puszcza jej twarz, Ellen zamyka oczy, jej nozdrza drgają. Joachim czuje, jak krew odpływa mu z głowy, drętwieją ręce. Czy Ellen wciąż go kocha? Dlatego

zgodziła się z nim pojechać? Kiedy mówiła, że do pewnych rzeczy nie należy wracać, że trzeba sobie odpuścić, to kłamała? Wiedziała, że to Kollisander zabił Louise?

Malarz krąży po pracowni, przygląda się ich plecom z zadowoloną miną. Odchyła głowę. Słońce stoi wysoko na niebie.

– Jesteście spragnieni? – pyta. – Niestety, nie mogę zaproponować wam wody, to zakłóciłoby postępujący proces odwodnienia. Na waszych plecach klej pozyskany z martwych zwierząt wchodzi teraz w reakcję z waszą skórą. Przenika do waszych organizmów. Można powiedzieć, że martwe zwierzęta zagnieżdżają się w waszych ciałach. To musi odbywać się we właściwym tempie, farba musi wsiąknąć w skórę, gdy w organizmie postępuje dehydratacja.

Wyciera ręką spocone ciało. Powoli zamyka oczy, oddycha, zaczerpuje powietrza, wypuszcza je. Unosi ręce nad głowę. Zwiera nogi. Stoi tak chwilę, po czym znów otwiera oczy. Wykonuje ruch tułowiem, kłania się elegancko.

– Teraz się oddalę i pozwolę słońcu działać. Nie będę ukrywać, że to będzie bolesne. Pewnie niejeden raz pomyślicie, że chcielibyście, żeby ktoś położył temu kres, ale nie łudźcie się. To powolne wysychanie organizmu jest konieczne. To w waszym interesie, żeby wasza skóra została zachowana w możliwie najlepszym stanie. Pamiętajcie o tym, kiedy ból stanie się nie do wytrzymania. Ból też ma znaczenie, jest konieczny. Oddajcie się mu. Jesteście w stanie?

Kollisander znika z pola widzenia Joachima. Starannie zamyka za sobą drzwi. Joachim patrzy na rozgrzaną kulę wprost nad nimi.

Policja pracowała całą noc. Nad ranem zjawił się szef wydziału kryminalnego, szeroki w ramionach, przygarbiony mężczyzna, z zatroskanym spojrzeniem, jakby dźwigał na ramionach wszystkie problemy świata. Szybko uścisnął Helene dłoń i zniknął za taśmą wygradzającą teren nad jeziorem. Po wodzie pływają policyjne łodzie patrolowe, krążą wokół miejsca, w którym jezioro jest najgłębsze. Martin i Helene siedzą w radiowozie i przyglądają się rozgrywającemu się na ich oczach cyrkowi. Martin trzyma ją za rękę, Helene ściska jego dłoń. Jest mu wdzięczna, że nie musi siedzieć tu sama. Niepokój nie daje jej spokoju. Czy na dnie na pewno jest ciało Williama? To musi być on. Ale kim jest ten drugi mężczyzna? Chciałaby podzielić się wszystkim z Joachimem, ale on nie odbiera. Helene siedzi z komórką Martina w ręce i po raz kolejny wybiera numer. Joachim pewnie wyłączył telefon. A może go zgubił?

Jeden z policjantów otwiera drzwi radiowozu od strony kierowcy, wsiada, odwraca się w ich stronę.

– Na nieśmiertelniku wygrawerowane jest: Henry Louis Miller. Mówi to pani coś?

Helene kręci głową.

– Amerykański żołnierz, który stacjonował w koszarach w Katterbach w Niemczech. Sprawdziliśmy w międzynarodowej bazie danych osób zaginionych – mówi funkcjonariusz i przegląda papiery, które zdążył już wydrukować. – W czasie urlopu wybrał się na wyprawę na motorze przez Niemcy do Danii. I zaginął bez śladu. Rodzina szukała go przez wiele lat.

– Kiedy to było? – pyta Helene, zdziwiona skutecznością policji. W ciągu tak krótkiego czasu udało im się naprawdę wiele dowiedzieć.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku – odpowiada mężczyzna i wygląda przez szybę radiowozu.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym? Był niezwykle dobrze...

– ...zachowany – wchodzi jej w słowo Martin. – Oba ciała są w doskonałym stanie.

Policjant mówi o okolicznych bagnach i bezdennych jamach w dnie jeziora, w środowisku pozbawionym tlenu w połączeniu z piachem i mułem wytwarza się kwas, który nie pozwala bakteriom na rozkład związków organicznych. O tym wszystkim Helene słyszała już wcześniej w muzeum. Teraz zastanawia się, jak połączyć to, czego przed chwilą się dowiedziała, z ojcem i z morderstwem Williama. Żołnierz, który zaginął dwadzieścia lat później. Nie pojmuje, co może

łączyć obie śmierci. Nagle na brzegu robi się ruch, ze środka jeziora płynie łódź, policjanci szykują się do przejścia zwłok. Helene wychyla się do przodu, próbuje dojrzeć, co się dzieje.

– Wydobyli je? – pyta Martin.

– Na to wygląda – odpowiada policjant i otwiera drzwi radiowozu.

Martin i Helene też wysiadają, podchodzą bliżej brzegu. Wszyscy stoją i wypatrują łodzi, z ręką nad czołem, chroniąc oczy przed pierwszymi promieniami słońca. Helene znów się niepokoi, czy aby na pewno jest to ciało Williama. A jeśli jezioro po prostu okaże się wygodnym miejscem dla przestępców do pozbywania się ciał ofiar? Wtedy zostanie bez żadnego dowodu. Nurkowie w czarnych kombinezonach dobijają do brzegu, wynoszą ostrożnie dwa ciała. Twarze wyglądają jak żywe, a jednocześnie maluje się na nich śmierć. Zwłoki zostają starannie ułożone na rozciągniętej na trawie plastikowej płachcie. Wokół gromadzą się zaciekawieni ludzie. Technicy apelują o zrobienie miejsca. Zaczynają oględziny od ciała w staromodnym garniturze. Zawsze pierwsze badanie odbywa się na miejscu, przed zabraniem zwłok do prosektorium, informuje jeden ze starszych policjantów. Czasami okazuje się, że ciało nie jest kompletne, może brakować palca czy innej części ciała. Wtedy wszczyna się poszukiwania brakującej części.

– Czy właśnie dlatego nurkowie znów wypływają na jezioro? – pyta Helene. Spogląda na policyjnych nurków, którzy siedzą w pontonie.

– Nie. Teraz będą szukać broni.

Helene przepycha się do przodu, uważa, że ma prawo uczestniczyć w oględzinach. Technicy przeszukują garnitur Williama. Sprawdzają kieszenie. Nic nie znajdują. Bardziej szczegółowe badania, badanie uzębienia i inne, zostaną przeprowadzone później. Technicy przechodzą do drugiego ciała. Mężczyzny w mundurze. Jego twarz nadal jest pokryta mułem i błotem. Helene słyszy, jak ktoś mówi, że to mundur, jaki amerykańscy żołnierze wkładali, wychodząc na przepustki. Już w pierwszej kieszeni coś znajdują. Jeden z techników wyjmuje ostrożnie dobrze zachowany portfel, otwiera go i wyklada zawartość. Kilka monet amerykańskich, i duńskich o nominale pięć i dziesięć øre. Sprawdza następną kieszeń. Jest pusta. Ale znajduje coś w kieszeni spodni. Niewielki czarny pojemniczek. Trzyma go w ręce, waha się.

– Co to może być? – pyta drugiego technika, który kręci głową.

– W środku coś jest – mówi ten pierwszy i podnosi rękę, żeby zdjąć wieczko.

– Nie! – woła Helene.

Wszyscy odwracają się zdziwieni, Helene przepycha się bliżej.

– To negatywy. Z czasów, kiedy używano taśmy celuloidowej. Zostaną prześwietlone, jeśli otworzycie pojemnik – dodaje szybko.

Technik przygląda się pojemnikowi i przyznaje Helene rację. Czerwieni się lekko. Powinien się domyślić. Szybko wkłada pojemnik do małej plastikowej

torebki i coś na niej pisze. „Do laboratorium”. Trzeba wywołać zdjęcia.

*

Policja podejrzewa, że oba ciała coś łączy. Dlatego poproszono Helene, żeby udała się do laboratorium fotograficznego w Aarhus. Kierujący śledztwem inspektor uważa, że może być pomocna. W końcu to ona znalazła oba ciała i to ona zna twarze osób dramatu sprzed lat. Żegna się z Martinem, obejmują się. Dziwne uczucie. W zasadzie są dla siebie obcymi ludźmi, ale Helene czuje się przy nim bardziej bezpiecznie niż kiedykolwiek się czuła przy Edmundzie.

– Dziękuję, Martinie. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś – szepcze i obejmuje chłopaka.

Siada na miejscu pasażera, obok inspektora, który czeka, aż Helene zapnie pasy, dopiero wtedy włącza silnik. Jadą w milczeniu, szybko docierają do autostrady, Helene wygląda przez okno, słucha jednym uchem rozmów inspektora przez komórkę.

– Technicy porównali zdjęcia Hirscha ze zdjęciami ciała. Wszystko wskazuje na to, że to William Hirsch – mówi inspektor, ale podkreśla, że to jeszcze nic pewnego. Trzeba zrobić badanie DNA i przeprowadzić szereg badań technicznych. Helene wie, od kogo należy pobrać próbki DNA. Edmund i Caroline nie będą już dłużej mogli ukrywać prawdy. Nie będą mogli twierdzić, że zwariowała, i zamknąć jej w zakładzie.

– Drugie ciało to Henry Louis Miller. Żołnierz. Tylko nie bardzo wiemy, co on ma z tym wszystkim wspólnego – ciągnie inspektor.

– Jest pan pewien, że te dwa ciała coś łączy?

– Dwa ciała leżące tuż obok siebie? Moje całkiem spore doświadczenie mówi mi, że takie przypadki raczej się nie zdarzają.

– Ale te morderstwa dzieli ponad dwadzieścia lat.

Parkują radiowóz przed niewielkim domem. Helene przygląda się zdziwiona niezbyt ładnemu budynkowi z czerwonej cegły, z płaskim dachem i podwójnym miejscem parkingowym.

– Udało nam się znaleźć prawdziwego fanatyka fotografii, co przyznaję, wcale nie było łatwe – mówi inspektor.

Podchodzą do drzwi. Starszy pan już na nich czeka. W domu roznosi się zapach smażeniny zmieszany z zapachem psiej sierści. Idą za nim do piwnicy, wchodzi do niskiego pomieszczenia ze szczelnie zamkniętymi drzwiami. Helene cały czas przygląda mu się uważnie. Starszy pan ma na imię Søren, jest szczupły, ale ma zaskakująco duży brzuch. Helene zastanawia się, czy jest chory. Mężczyzna zamyka za nimi drzwi, gasi światło i przyciska jakiś guzik. Pomieszczenie rozświetla łagodna czerwona poświata. Mija chwila, zanim oczy Helene się do niej przyzwyczajają. Mężczyzna porusza się wprawnie w wąskim przejściu między

dwoma stołami, na których stoją plastikowe tacki i pojemniki na płyny. Helene nie przestaje myśleć, co może łączyć oba ciała. Amerykański żołnierz. Co robił w Danii? I dlaczego skończył w jeziorze obok Williama?

– Za chwilę zgaszę światło – oświadcza starszy pan. – Zaczekacie państwo tutaj czy na dworze?

*

Zarówno Helene, jak i inspektor postanawiają zaczekać na zewnątrz. Niczego nie przyspieszą, jeśli będą stać nad głową mężczyzny i chuchać mu w kark. Czas dłuży się w nieskończoność. Helene spaceruje po ulicy. Spogląda na młode matki bawiące się z dziećmi, na fachowców od montowania pralek, a może od naprawiania rynien. Przypomina sobie, co powiedział jej Joachim, kiedy jeszcze mieszkali razem na wyspie. Zacytował ojca Robinsona Crusoe, który przed wyprawą syna oznajmił mu, że stan średni jest najwłaściwszy do uszczęśliwienia człowieka. Coś w tym rodzaju. Nie chciał, żeby Robinson szukał bogactwa i sławy. Uważał, że należy zadowolić się zwykłym, normalnym życiem.

– Klasa średnia – szepcze Helene i zagląda przez okno jednego z domków z żółtej cegły.

Ojciec Robinsona mówił o klasie średniej. O tym, że najbardziej pożądanym jest stan średni, że należy szukać szczęścia w relacjach z bliskimi, wykonywać swoją pracę, korzystać z czasu wolnego, mieć hobby, jak starszy pan, fotograf amator. Ale słowa ojca Robinsona trafiały w próżnię, bo i Robinson, i Aksel, ojciec Helene, chcieli więcej. Dużo więcej. Za dużo.

– Pani Söderbeg?

Helene odwraca się. Patrzy na inspektora.

– Zdjęcia są już wywołane. Wejdziemy do środka?

Helene towarzyszy mężczyznom, schodzą razem do piwnicy, do ciemni.

– Negatywy przetrwały – odzywa się starszy pan. – Pytanie, co na nich jest.

Helen mija ostrożnie stół i staje obok starszego pana, przygląda się, jak pracuje. Każdy arkusz podnosi za pomocą długich plastikowych szczypców i wkłada do jednego z płaskich pojemników. Zostawia go tam na chwilę, po czym przenosi do następnego pojemnika. Jego ruchy są pewne, spokojne. Pracuje nad kilkoma arkuszami jednocześnie. Wskazuje na jeden z nich.

– Wygląda na to, że coś mamy – mówi.

Helene patrzy na arkusz w pojemniku. Początkowo nic się nie dzieje, ale powoli odślaniają się zarysy. Cienie stają się ostrzejsze, motyw wyraźniejszy. Grządki truskawek, młodzi ludzie pracują pochyleni. Kolory są z innej epoki. Kodak. Na swój sposób wszystko wyglądało wówczas bardziej niewinnie, chociaż to zapewne iluzja. Nowe zdjęcie, w dalszym ciągu pole truskawek. Trzech mężczyzn stoi obok siebie, ramię w ramię, obejmują się. Szorty, T-shirty, są

spoceni, młodzi, radośni. Helene przygląda się ich twarzom. Może któryś z nich to Henry? Ale tak naprawdę nie wie, czego szuka. Fotograf podnosi zdjęcie szczypcami, wkłada na kilka sekund do kolejnego roztworu, potem wieszka na sznurze, który prowadzi przez cały pokój. W czerwonym świetle trudno jest coś zobaczyć.

– Chwileczkę – mówi Helene. Policjant patrzy na nią, a ona patrzy na Henry'ego, młodego amerykańskiego żołnierza.

– Wszystko w porządku? – pyta funkcjonariusz.

– Wiem, kto to jest – oświadcza Helene. – Ten martwy żołnierz. – Odwraca się, patrzy na funkcjonariusza. – Wiem, kto to jest – powtarza.

Słońce jak to słońce, zmierza powoli do najwyższego punktu. Jeszcze nie ma południa, więc będzie jeszcze gorzej. Joachim patrzy na Ellen, próbuje coś powiedzieć, przez szmatę w ustach wydobywa się jedynie dziwny, charczący dźwięk. Ellen mruga, ma przekrwione oczy, spływa potem. Czy Kollisander jest gdzieś w pobliżu? Może zaraz za drzwiami? Siedzi w chłodzie i czeka, aż słońce zrobi swoje.

Obraz przedstawiający tajemniczą kobietę nadal stoi przed nimi. Coś w twarzy kobiety sprawia, że Joachim nie może oderwać od niej oczu. Kiedyś oddychała, myślała, jadła i kochała. Przez moment Joachim próbuje to sobie wyobrazić. Widzi jej twarz, widzi, jak odwraca się przez ramię i patrzy prosto w oczy temu, kto się jej przygląda. W jej spojrzeniu jest coś dobrotliwego. Oczy Louise namalowane na martwej skórze. Jest w nich współczucie i dla Joachima, i dla Kollisandera, dla wszystkich. Wybaczają im ich bezgraniczną nienawiść do kobiet, która kosztowała ją życie. Nienawiść będącą siłą sprawczą dla artystów takich jak Kollisander. I wielu innych. Także dla Joachima? Tkwiące w nim palące uczucie, że jest się niedostrzeganym, niekochanym. Brak miłości sprawia, że albo idzie się na dno, albo zostaje kimś wielkim. Artystą, pisarzem. Jeśli nie otrzymamy dość miłości od tej jedynej osoby, która dla nas naprawdę coś znaczy, wtedy chcemy, żeby kochały nas tysiące, miliony. Ale z każdym nowym wielbicielem, z każdym egzemplarzem sprzedanej książki, z każdym obrazem, który trafia do galerii, rośnie wściekłość. Wtedy artysta zaczyna posuwać młode dziewczyny. To nie pomaga. Więc zaczyna je bić, poniżać. Lecz to też nie pomaga, złości trudno się pozbyć. W końcu Kollisander postanowił doprowadzić sprawę do końca. Zabił Louise i zdjął z niej skórę. W ten sposób powstała na nowo, przed Joachimem. Patrzy teraz na niego, przez ramię, a na jej wąskich, czerwonych wargach igra niemal niezauważalny uśmiech. Nie ma wątpliwości: wybaczają mężczyznom ich nienawiść do kobiet, ale mówi też: Moja śmierć was zabiła, wy straciliście wszystko, ja żyję nadal.

Tak. Joachim zabił siebie. Teraz to rozumie. Rozumie, jak stworzył Ellen. Swoimi uwagami, swoją tyranią stworzył potwora. Może sobie podziękować. A Ellen mu się odwdzięczyła. Kiedy nadarzyła się okazja, kiedy Joachim poprosił ją o pomoc. Zgodziła się, by razem wkroczyli do piekła i trzymając się za ręce, poszli na dno.

Ellen ma zamknięte oczy, oddycha ciężko, kołysze się lekko. Joachim unosi wzrok, zrozpaczony, oślepią go słońce. Pochyla głowę, opiera brodę o klatkę

piersiową, zamyka oczy. Ciemność za powiekami daje poczucie chłodu. Na moment. Potem pojawia się twarz Helene. Jej jasne włosy, oczy, patrzy na niego. Powraca ból. Myśl, że nigdy już jej nie zobaczy, jest nie do zniesienia. Nikt nie wie, gdzie są, on i Ellen. Kiedyś policja zacznie ich szukać, to oczywiste. Ale Kollisander ma dość pieniędzy, żeby sprawić, że ich ciała znikną. Tym razem będzie mądrzejszy, upewni się, że naprawdę zniknęli. Nikt, nawet Helene nie będzie podejrzewać, że ich zniknięcie ma cokolwiek wspólnego z nowymi dziełami artysty. A skoro tak, to Helene nadal pozostanie podejrzaną o zamordowanie Louise. I trafi do więzienia. Na zwłokach Louise znaleziono DNA Helene. To wystarczy. Joachim próbuje zdesperowany poruszać rękami. Wszystko na nic. Szarpie, ale materiał się nie poddaje. Znow szarpie, boli go skóra na nadgarstkach, piecze. Ellen otwiera oczy, patrzy na niego wzrokiem pełnym smutku. Poddała się. On jednak nie zamierza. Zgina nogi w kolanach, wisi teraz na rękach, czuje naciągnięte mięśnie ramion, bolą go stawy, kręgosłup. Materiał wciąż się nie poddaje. Joachim odbija się od podłogi, zawisa całym ciężarem ciała. Raz, drugi. Wszystko na nic. Znow staje na nogach. Myśli. Słońce stoi już wysoko. Parzy. Pot ścieka po twarzy, spływa drobnymi strumieniami wzdłuż kręgosłupa. Gdyby tylko mógł się napić. Chłodna woda. Oplukać twarz. Rozjaśnić myśli. Ma wrażenie, że wraz z potem wyparowuje z niego wszelki umysł. Jak długo można przeżyć w saunie? Jego ciało woła o wodę. Słońce praży niemiłosiernie, na niebie nie ma ani jednej chmury. Jest tylko głęboko niebieskie niebo, żadnej ochrony. Joachim zastanawia się, jaka może być temperatura w pracowni. Pięćdziesiąt stopni? Więcej? Spuszcza głowę, pieką go oczy. Czy ciało może ogrzać się tak bardzo, że się zapali? Samo z siebie? Cały czas ma wrażenie, że coś przeoczył. Tylko co? Im bardziej o tym myśli, tym bardziej czuje się zagubiony. Przecież musi być jakieś wyjście, zawsze jest. Nagle dostrzega coś na podłodze. Zmiętą szmatę. Białe płótno w czerwone paski. Krwistoczerwone. Szmata, którą Kollisander wycierał pędzel. Co mówiła Ellen, opowiadając o właściwościach kleju kostnego. Nie, nie Ellen, sprzedawca w sklepie. Podkreślał, że trzeba bardzo uważać. Farba z klejem kostnym jest niebezpieczna w użyciu. Niejedna pracownia spłonęła właśnie z tego powodu. Szmaty z zaschniętymi resztkami farby mogą się zapalić. Samozapłon. Kollisander bardzo dokładnie przykrył emaliowany pojemnik z farbą i zabrał go ze sobą. Pewnie dlatego, że jest tak łatwopalna. Ale o szmatach zapomniał. Leżą na stole, chociaż nie na słońcu. Gdyby Joachimowi udało się przeciągnąć stół w miejsce, gdzie jest słońce, gdzieś między nim a Ellen? Podnosi głowę. Sznury są przywiązane do belki nad ich głowami. Joachim wyciąga jedną nogę, próbuje dosięgnąć stołu. Nie jest ciężki, Kollisander przesuwając go w zależności od miejsca, w którym maluje. Gdyby udało mu się go choć trochę przesunąć. Sam przyznaje, że pomysł jest szalony. Podpalić pomieszczenie, w który jest się uwięzionym, z rozpostartymi rękami, jak człowiek witrufiański Leonarda da Vinci. Może

jednak... Gdyby Ellen udało się choć odrobinę przesunąć stolik w jego stronę, tak niewiele potrzeba. Gdyby płomienie dosięgły belki. Belka zajmie się pierwsza, ogień zawsze pnie się do góry. Jest jakaś nadzieja. O ile wcześniej nie zaczną od dymu. Joachim otwiera usta i wydaje jakiś dźwięk. Ellen z trudem unosi głowę, patrzy na niego mglistym wzrokiem. Joachim kiwa głową w stronę stojącego za nią stolika, porusza nogą w jego stronę. Ellen odwraca głowę, nie rozumie, o co mu chodzi. Patrzy na stolik. Przez chwilę Joachim stoi na obu nogach, odpoczywa, zbiera siły. Nagle staje na palcach, odchyła się w bok, najdalej jak potrafi. Ból jest nie do opisania. Wyciąga nogę, balansuje na czubku palców, wisi na naciągniętych ramionach. Widzi, że Ellen nareszcie zrozumiała, o co mu chodzi. W każdym razie próbuje mu pomóc, jest bliżej stolika niż on. Udaje jej się przesunąć stolik o kilka centymetrów. Słyszy, jak stolik szura po podłodze, i wstępuje w nią nadzieja, chęć działania. Walczy. Joachim kiwa głową zachęcająco. Ellen ponawia próbę, ale znów jest bliska poddania się. I nagle trafia w niego obiema nogami, zawisa na rękach, Joachim nie potrafi wyobrazić sobie, jak ta szczupła kobieta jest w stanie to wytrzymać. Tak czy inaczej, udaje jej się przesunąć stolik w ich stronę. Nagle przestaje. Ale teraz Joachim jest już w stanie dosięgnąć stolika nogami. Przesuwa go tak, że dotykają go promienie słońca. Ellen patrzy na szmatę i nagle rozumie, na czym polega plan Joachima. Jest zaniepokojona, jej nozdrza się rozszerzają. Teraz już oboje to czują: zapach gorącego kleju. Ellen kręci głową, jej wzrok mówi: nie. To zbyt niebezpieczne. Ognia nie można kontrolować. Spłoną. Nad szmatą unosi się smużka dymu. Patrzą na siebie. To ich jedyna szansa. Ellen też to wie. Przez moment Joachim boi się, że szmata jednak się zapali, ale nagle widzi płomienie, niebieskie, żółte. Potem już wszystko idzie szybko, szmata na stole niemal eksploduje, inne zajmują się od niej. Płomienie wżerają się w drewno stołu, ogień pnie się do góry, szybko. Joachim zerka na Ellen, na jej zaciętą twarz. Może myśli to samo. Lepiej szybko spłonąć, niż powoli wysychać. Staje na palcach, odchyła się jak najdalej od ognia, ale strzępy sukienki pozostają. Nagle ogień zaczyna biec szczeliną w kamiennej posadzce. Czyżby Kollisanderowi wylało się trochę farby? Ogień w błyskawicznym tempie zbliża się do ściany po drugiej stronie Joachima, biegnie w górę, lecz nie dotyka belki nad ich głowami. Sukienka Ellen zaczyna się niebezpiecznie tlić. Joachim czuje, że skóra na biodrze, a chwilę potem na plecach zaczyna się nagrzewać. Ellen miała rację, ogień trudno kontrolować. Spłoną. Gdyby nie szmata w ustach, krzyczałby. Wydaje z siebie desperacki dźwięk. Stolik między nimi staje w płomieniach. Joachim patrzy na belkę, dolna krawędź jest już czarna. Dym. Ellen krzyczy, Joachim zamyka oczy, dobry Boże, myśli, nigdy w Ciebie nie wierzyłem, ale... Zaniechuje modlitwy, ból jest zbyt wielki. Otwiera oczy, patrzy w górę. Płomienie dotarły do belki. Próbuje wołać Ellen, ale ona nie reaguje. Dym świdruje w nozdrzach, wie, że nie ma już na co liczyć. Ogień zamienił wszystko w morze ognia. Dociera do niego, że plan od

początku był skazany na niepowodzenie. Ogień nie zstąpi noża, płomienie nożyczek, nie przetną sznura. Umrze. Tajemnicza kobieta spłonie, dowód na niewinność Helene zamieni się w popiół. A wszystkiemu winien jest on. Ale nie będzie musiał długo żyć z brzemieniem winy. Może kilka sekund. Umrze. Świadomość tego pozwala mu się uspokoić. Patrzy przez dym na Ellen, widzi, że jest spokojna. Zamyka oczy, ból jest za duży.

– Ellen! – woła, lecz z jego zakneblowanych ust wydobywa się tylko cichy jęk. Ellen nie reaguje. Zemdlała? A może już nie żyje?

Inspektor wyszedł, otworzył drzwi i wyszedł, ale fotograf twierdzi, że to bez znaczenia, piwnica po drugiej stronie jest ciemna, niemal nie przepuszcza światła, na pewno za mało, żeby mogło zniszczyć negatywy. Helene próbuje wychwycić strzępy rozmowy, którą inspektor prowadzi po drugiej stronie drzwi. Myśli nie dają jej spokoju. Nagle słyszy, że nurkowie coś znaleźli. Coś tak ważnego, że nie powinna tego słyszeć? Dlaczego? W końcu inspektor wraca. Helene patrzy na niego wyczekująco. Mężczyzna się waha. Nie powinien dzielić się z informacjami z kobietą podejrzaną o morderstwo.

– Gdyby nie ja, niczego byście się nie dowiedzieli – mówi chłodno. Nie spuszcza wzroku, nauczyła się tego od Helene Söderberg, patrzy na niego długo, zdecydowanie, twardo.

– Nurkowie znaleźli broń – mówi inspektor cicho.

– Na dnie?

– Niedaleko ciał. Posłużyli się detektorem do wykrywania metalu pod wodą – informuje. – Nigdy jeszcze nie brałem udziału w takim dochodzeniu – dodaje i uśmiecha się.

– To broń, której użyto do... – Helene urywa, szuka właściwego słowa.

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Poza tym ślady daktyloskopijne w wodzie nie zachowują się długo – mówi inspektor. Patrzy na zdjęcia i na fotografa. Starszy pan pracuje szybko, na sznurze pojawiają się coraz to nowe zdjęcia.

– Co pani na nich widzi?

– Proszę spojrzeć. – Helene pokazuje mu zdjęcia z pola truskawek. Ludzie siedzący na skraju uśmiechają się do zdjęcia, słońce świeci im w oczy. Fotografia z przeszłości. Inspektor przygląda się twarzom, nie do końca wie, czego ma szukać. Helene też tak się czuła. Dopóki go nie zobaczyła. Na jednym ze zdjęć dwoje ludzi się obejmuje. Kobieta ma długie włosy. Twarze są odwrócone, ostrość jest ustawiona na rosnące obok drzewo. Może przez niedopatrzenie, ale niewykluczone, że fotograf chciał dać upust swoim artystycznym zapędom. Kolejne zdjęcia trafiają na sznurek. Inspektor – podobnie jak ona – przygląda się bacznie galerii zdjęć martwego żołnierza. Młodzi ludzie na plaży, patrzy na ich twarze. Są jasne, radosne. Jest pełnia lata. Zbierają truskawki. Chwila odpoczynku. Kobieta z długimi włosami też jest na zdjęciach, uśmiecha się zakochana do obiektywu.

– Czego mam szukać? – pyta inspektor.

– Wie pan, jak wygląda mój mąż?

– Oczywiście.
– Widzi go pan na tych zdjęciach?
– To chyba niemożliwe. To zdjęcia z lat sześćdziesiątych – mówi i nagle go dostrzega. Amerykańskiego żołnierza. Henry’ego. Wygląda jak Edmund. Ma jego prosty nos, jego szeroką brodę, jego duże oczy. I jego gęste, ciemne włosy.
– To jego...?
– Ojciec – kończy Helene. Wskazuje na młodą kobietę, która siedzi obok Henry’ego na motorze. – To jego matka.
Inspektor przygląda się kobiecie. Caroline. Młoda, piękna i wyraźnie zakochana. Jej ręce wokół ciała Henry’ego, pogodne, uśmiechnięte zwrócone do siebie twarze. Caroline i Henry. Rodzice Edmunda.

65

Joachim podnosi głowę. Ogień strawił już większość drewnianej konstrukcji, teraz pora na nich. Nie widzi Ellen, dym położył się między nimi grubą warstwą. Jest wszędzie. Jedyne miejsce, do którego nie dotarł, to sznur, który ich podtrzymuje. Joachim myśli o Helene. Widzi przed sobą jej twarz. Widzi, jak budzi się rano, otwiera drzwi, staje za jego plecami, przygląda się mu. Woła coś do niego, krzyczy... W jakimś obcym języku. Krzyki. Joachim podnosi głowę. To nie Helene krzyczy, krzyczą ludzie, którzy przybiegli tu, bo zobaczyli płomień. Joachim próbuje coś powiedzieć, ale ma zakneblowane usta. Kopie w stół, tak mocno, jak tylko może, ale nie jest w stanie pokonać wścieklej siły ognia. Przez krótki moment widzi Ellen, jego kopnięcie rozproszyło na chwilę dym. Ellen nie opiera się już na nogach, jej ciało zwisa bezwładnie. Nagle Joachim słyszy głosy z podwórza. Włosi przekrzykują się. A potem kroki na schodach. *Attenzione*, krzyczy ktoś. Kto? Ktoś, kto chce powstrzymać kogoś od wejścia w morze płomieni. *Attenzione!* Teraz słychać już wiele głosów. Joachim stara się odwrócić, spogląda w stronę drzwi. Czyżby były otwarte? Próbuje zwrócić na siebie uwagę hałasem. Nagle widzi jakąś postać. Zbliży się, przez moment ma wrażenie, że widzi twarz Kollisandera, ale chwilę później staje przed nim młody mężczyzna z koszulką naciągniętą na twarz. Patrzy przerażony na Joachima i Ellen. Po chwili obok niego staje drugi młody Włoch. Joachim ponownie zamyka oczy, ból przybiera na sile. Mężczyźni walczą z węzłami. To wina Joachima, szarpiąc się, zaciągał je coraz bardziej. I nagle... Czuje, że jedną rękę ma już wolną. Ręka opada. Szybkimi ruchami, z pomocą drugiego Włocha, udaje mu się uwolnić drugą rękę. Jest wolny. Naprawdę wolny. Ale nie ma czucia w rękach, wydają się lekkie, jakby nic nie ważyły. Potrząsa nimi,

w końcu krążenie powraca. Drugi Włoch walczy z węzłami wokół nadgarstków Ellen. Joachim widzi, że jej sukienka się tli, zrywa ją z niej, przesuwa kopniakiem płonący stół. Byle jak najdalej od jej ciała, od jej poparzonych pleców. Włosi skupiają się na uwolnieniu nadgarstków Ellen. Ona jęczy z bólu, Joachim wyciąga szmatę z jej ust, potem odwiązuje sznur, który miał okręcony wokół głowy, i wypluwa knebel. Płomienie trawia już belki pod sufitem.

– *Come on* – zwraca się do Włochów głosem, którego sam niemal nie poznaje.

Ellen wygląda na całkowicie dezorientowaną. Jeden z Włochów obejmuje ją, niesie na rękach przez pracownię. Joachim zerka w płomienie, gdzie stoi dowód na niewinność Helene. Może wystarczy, że oboje, i on, i Ellen, go widzieli?

– *No!* – Słyszy krzyk młodego Włocha, kiedy wraca w płomienie. – *No!*

Rzuca się na stół, przewraca go, czuje ból w nodze. Macha rękami, próbuje rozproszyc dym, żeby lepiej widzieć. Nagle Włosi chwytają go za ręce, krzyczą. Po chwili jednak się poddaje. I wtedy go widzi. Obraz. Tajemniczą kobietę. Wyswabada się jednym mocnym szarpnięciem, chwytając obraz, zanim Włosi znów go powstrzymają. Tym razem mu się udaje. Rusza do drzwi, do światła, do życia.

*

Kiedy Joachim schodzi na dół podtrzymywany przez Włochów, Ellen leży już na dziedzińcu na kocu. Obok niej siedzi kobieta, przemywa wodą jej rany, zwilża jej usta. Włosi pomagają Joachimowi usiąść. Po chwili przejmują go już inne ręce, ludzie cały czas napływają na dziedziniec. Młodzi mężczyźni chcą wracać. Na parterze ktoś ponoć widział mężczyznę, domyśla się Joachim z głośniejszymi wymianami zdań. Inni mężczyźni próbują wyważyć drzwi do mieszkania. Są zamknięte od wewnątrz. Joachim patrzy przez okno, widzi ogień, który szaleje w pokoju, gdzie zaledwie kilka godzin temu jedli kolację z Kollisanderem. Młodzi mężczyźni nie rozumieją. Nie rozumieją, że Kollisander woli paść ofiarą ognia niż skandalu, jaki się rozpęta, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

– Joachim? – Słyszy głos Ellen. Odwraca się. Uśmiecha się do niej. I zamyka oczy.

Woda. Płynie leniwie, sennie, ożywa na kilka chwil, kiedy uderza o skalisty brzeg wyspy. Poza tym jest spokojna, czarna, martwa. On też jest martwy? Martwy jak woda. Nie, fala rzuca nim o skały, czuje ból, budzi się, patrzy na świat przez mgłę. I wraca do morza niemocy. Chce zniknąć. Niech te dwieście sześć kości i dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów żył i aort, które składają się na człowieka, znikną już na zawsze. Kto będzie go pamiętać? Kto będzie za nim tęsknić? Jego rodzina? Wątpliwe. Jego czytelnicy? Jakby im naprawdę na nim zależało.

– Nie, Panie Boże – szepcze w krótkim przebłysku świadomości. – Rzuć mnie jeszcze jeden, ostatni raz na skały, które nazywasz życiem. – Ale Bóg go nie słucha. Joachim nie umiera.

Minęło kilka dni? Tygodni? Joachim budzi się. Tym razem jednak – inaczej niż poprzednio – nie zasypia po kilku chwilach. Rozgląda się. Duży pokój z podwójnym oknem. Lekkie, białe firanki chronią przed popołudniowym słońcem. Od czasu do czasu szyby w oknie drgają lekko, kiedy w pobliżu przejeżdża pociąg. Cichy krystaliczny dźwięk. Powiedziała mu to jedna z pielęgniarek, kiedy na chwilę odzyskał świadomość, a ona zmusiła go do wypicia jakiegoś płynu. Jest w Palermo, szpital nazywa się Villa Maria Eleonora czy jakoś podobnie. Ładnie. Dobre miejsce na umieranie. Lepsze niż wiele innych. Nazwa będzie dobrze wyglądać na kolejnych wydaniach jego powieści, na tylnej okładce, pod zdjęciem autora. Urodzony w sylwestrowy wieczór w 1966 roku w Onsevig na Lolandii. Zmarł w 2015 roku w Palermo na Sycylii. Z obrzeży Danii na obrzeża Europy.

Z korytarza dobiegają go czyjeś szybkie kroki, zatroskane głosy. Czasami słyszy też czyjś podniesiony głos czy napad kaszlu. Zerka na swoje ciało: na bandażę i plastry, na oparzenia. Najgorzej wyglądają plecy. Całe w pęcherzach, otwartych ranach. Musi leżeć na boku. Miejsca, które nie są ukryte pod opatrunkiem, są posmarowane grubą warstwą lepkiej maści. Nadal bolą go płuca. Ale i tak miał szczęście. Pamięta, jak lekarz swoim nieudolnym angielskim zapewniał go, że wkrótce wróci do zdrowia. Kiedy Joachim spytał go o Ellen, zawahał się. O moment za długo. Potem, szukając właściwych słów i walcząc z gramatyką, tłumaczył mu mozolnie, że lekarze robią wszystko, żeby pomóc *the woman from Denmark*. Zaczadzenie. Płuca. *Very serious*. Joachim martwi się stanem zdrowia Ellen, nawet jeśli Ellen wiedziała, czy raczej domyślała się, że to Kollisander pozbawił Louise życia. Jak to możliwe, tego Joachim nadal nie wie. Przestaje o tym myśleć. Myśli o Helene. Tęskni za nią. Nie potrafi powiedzieć, czy bardziej dokucza mu tęsknota, czy rany. Wraca myślami do dzieła Kollisandera.

Tajemnicza kobieta. Czy udało się w końcu uratować obraz z płonącego domu? Próbuje przypomnieć sobie, jak schodził ze schodów: jest pewien, że miał wtedy pod pachą *Tajemniczą kobietę*. Co było dalej? Nie pamięta. Przypuszczalnie zemdłał. Bez obrazu, bez skóry Louise, nie będzie miał dowodu na to, że mordercą jest Kollisander. I wszystko na nic. Cały czas ma przed oczami promienną twarz Helene. Piękna, dobra Helene. Chciał ratować ją przed więzieniem. To był cel, który przyświecał jego szalonej walce z Kollisanderem. Myśl, że mogłaby trafić tam oskarżona o coś, czego nie zrobiła, jest nie do zniesienia. Nagle czuje się winny. Ellen. Lekarze nadal walczą o jej życie. Do pokoju wchodzi pielęgniarka, za nią idzie dwóch mężczyzn w mundurach.

– *Polizia* – mówi pielęgniarka.

Mężczyźni wyglądają poważnie, trzymają czapki pod ręką. Pielęgniarka wychodzi, po czym wraca z dwoma krzesłami, które stawia obok łóżka. Sprawnym ruchem wygładza prześcieradło, jakby chciała, żeby wszystko dobrze się prezentowało. Obaj policjanci są starannie ogoleni, w wieku Joachima, obaj są żonaci, na palcach mają złote obrączki. W tym momencie, właśnie w tym pokoju, blisko morza, Bóg postanowił zaprezentować przedstawicieli europejskich mężczyzn po czterdziestce. Są różni. Dwaj przystojni, bogobojni, żonaci, na pewno mają dzieci. I mężczyzna w łóżku, który zawsze zakochuje się w niewłaściwych kobietach, co doprowadza do tego, że jego związki kończą się chaosem.

Jeden z policjantów spogląda na zegarek, odchrząkuje i mówi coś cicho do drugiego. Drugi, być może wyższy od niego rangą, wstaje zniecierpliwiony, otwiera drzwi i wygląda na korytarz. Chwilę potem do sali wchodzi kolejny mężczyzna. Szczupły, siwy, o delikatnych rysach twarzy, w szytym na miarę garniturze w prążki. Podchodzi do Joachima.

– Frans Villumsen, ambasador – przedstawia się i zawiesza głos. – Przyleciałem z Rzymu. Jak pan się czuje?

Joachim wzrusza ramionami, milczy.

– Zadbaliśmy, żeby został pan przeniesiony do prywatnej kliniki. Są tu najlepsi specjaliści od leczenia poparzeń – mówi ambasador i rozkłada ręce. – Policja chce zadać panu kilka pytań. *Are you up for it*, jak to się mówi po angielsku. Zgadza się pan?

– Tak – szepcze Joachim. – I bardzo dziękuję.

Ambasador spogląda na niego zdziwiony. Uśmiecha się. Krótki uśmiech, który sprawia, że Joachim na chwilę odzyskuje chęć życia. Może wdzięczność stanie się jego nową siłą napędową? Gdyby to było takie proste. Myśli z wdzięcznością o pielęgniarce, gdy ta wchodzi do sali z trzecim krzesłem. Ambasador zwraca się do niej po włosku. Joachim nie potrafi tego ocenić, ale odnosi wrażenie, że mężczyzna mówi płynnie, bez wysiłku. Policjanci wyjmują długopisy i notesy. Rozpoczyna się przesłuchanie. Ambasador tłumaczy, również

gładko i płynnie jakby tłumaczył rozmowę towarzyską na temat, jaki makaron jest najlepszy w Trastevere. Funkcjonariusze wydają się zdezorientowani. Trzeba dużo czasu i sporo językowych nieporozumień, zanim dociera do nich, kim jest Joachim i co oboje z Ellen robili w domu Kollisandera. Joachim próbuje im to wytłumaczyć, ale pytania i nieco chaotyczna sytuacja utrudniają sprawę. Ambasador cały czas przerywa mu w środku zdania, komórki policjantów dzwonią bez przerwy, jeden z nich co chwila wychodzi na korytarz, gdzie prowadzi głośne rozmowy. Kiedy wraca na salę, następuje ostra wymiana zdań z pozostałymi. Na dodatek wszystko musi zostać spisane. Jednak powoli kawałki układanki trafiają na swoje miejsce. Nawet ambasador zaczyna wykazywać zainteresowanie historią. W końcu formalności zostają dopełnione i Joachim może zadać swoje pytania.

– Czy znaleźliście obraz wykonany na skórze Louise? Dowód na to, że to Kollisander ją zamordował.

Ambasador tłumaczy, policjanci wyglądają na zdziwionych, kręcą głowami.

– Jest pan pewien, że obraz został wyniesiony z płonącego budynku? – pyta ambasador.

– Miałem go ze sobą, kiedy schodziłem po schodach – mówi Joachim. – A potem już niczego nie pamiętam.

Jeden funkcjonariusz pisze, drugi sięga po komórkę i dzwoni. Rozmawia głośno, długo. Joachim czeka, aż ambasador przetłumaczy.

– Ratownicy z karetki wzięli obraz, jest nadal w szpitalu. Policja włoska skontaktuje się z policją w Kopenhadze. W takich sprawach często powołuje się międzynarodowy zespół dochodzeniowy – mówi ambasador. Porusza też wiele innych kwestii, ale Joachim już go nie słucha. Słyszy tylko głos w swojej głowie, który powtarza mu: Helene nie trafi do więzienia. Helene nie trafi do więzienia.

– Panie ambasadorze – zaczyna. Mężczyzna zatrzymuje się w drzwiach, patrzy na Joachima.

– Frans.

– Frans, może pan powiedzieć im, że chciałbym porozmawiać z Helene?

*

Pielęgniarka idzie z nim korytarzem. Joachim nie może się doczekać, kiedy znów usłyszy głos Helene. Jest niespokojny. A jeśli Helene nie będzie chciała go znać?

– Przestań – szepcze sam do siebie.

Pielęgniarka zatrzymuje się przed drzwiami do jednej z sal. Patrzy na niego.

– Si?

Tak. Co tak? Joachim kiwa po prostu głową. Tak, chce żyć, chce być z Helene, oddychać i dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Pielęgniarka otwiera drzwi. Ale nie do gabinetu lekarza, gdzie jest aparat

telefoniczny, z którego Joachim chciał skorzystać, tylko do jednej z sal. Joachim staje na progu. Okiennice są zamknięte, wpuszczają tylko pojedyncze promienie światła. Widzi ją w półmroku. Ellen. Leży na łóżku. Niemal nieruchomo.

– *Prego* – mówi pielęgniarka i pokazuje, że może wejść do środka. Joachim wchodzi, nie do końca przekonany. Drzwi zamykają się za nim. Zostają sami. Widzi jej drobną sylwetkę, gdzieś w głębi pokoju, koło okna. Siedzi podparta na łóżku.

– Nienawidzisz mnie? – pyta. Jej głos brzmi szorstko. Joachim robi kilka kroków w jej stronę. Widzi jej twarz. Żadnych ran, ale wygląda na zmęczoną.

– Zastosowali takie samo leczenie, jakiemu został poddany Niki Lauda – mówi Ellen.

– Niki Lauda? – pyta Joachim i spogląda na bandaż okrywający jej rękę.

– Kierowca rajdowy. Ten, któremu zapalił się samochód, i miał uszkodzone płuca – wyjaśnia Ellen.

Joachim stoi obok jej łóżka. Powinien usiąść. Analizuje swoje uczucia do niej. Nienawidzi jej?

– Skąd wiedziałaś? – pyta w końcu.

– Nie usiądziesz? Czuję się taka samotna.

Joachim nie ma ochoty siadać. Ma ochotę uciec, chce usłyszeć głos Helene, nie chce słuchać głosu Ellen. Mimo to siada. Długo milczą. Doszedł do wniosku, że to ona powinna się tłumaczyć.

– Kiedy zaczynaliśmy studia na akademii... – zaczyna w końcu Ellen.

– Zaczynaliśmy? My? Czyli kto? – wchodzi jej w słowo Joachim.

– Kollisander był na roku niżej. Ale już wtedy w tym, co robił, była jakaś perwersja.

– To znaczy?

Ellen odchrząkuje, walczy o powietrze, mówi z trudem.

– Kiedy szkicowaliśmy modele, zdarzało się, że przekraczał granice. Tak uważaliśmy.

– Co robił? – dopytuje Joachim, nie spuszczać z niej wzroku.

Ellen wzrusza ramionami, na jej twarzy pojawia się grymas bólu.

– Pewnego razu namalował obraz uryną i krwią jednego z młodych modeli. Wywołało to burzliwą dyskusję – Ellen milknie, zastanawia się chwilę, po czym mówi dalej: – Kollisanderowi nie wystarczało, żeby sztuka wiernie oddawała rzeczywistość. Nie chciał, aby była jedynie metaforą.

– Miała być rzeczywistością – dodaje Joachim.

– Więc kiedy pojawiłeś się i opowiedziałeś mi historię dziewczyny, która została oskórowana i wspomniałeś coś o kleju kostnym... – Ellen urywa, milczy dłuższą chwilę. Przez okno docierają do nich głosy z rynku, gruchanie gołębi i odgłosy kłótni.

– Jeśli wiedziałaś, że to on, to dlaczego zgodziłaś się na to wszystko? I jeszcze zabrałaś mnie ze sobą.

Ellen odwraca głowę. Joachim siedzi na krawędzi łóżka, złość zniknęła, zostało tylko współczucie. Dobrze wie, jakiej odpowiedzi się spodziewać. Dlaczego więc zależy mu, żeby ją usłyszeć?

– Zawsze wiedziałam, że do mnie wrócisz – mówi Ellen. – Wiedziałam też, że kiedy to nastąpi, sam zrozumiesz.

– Co zrozumiem, Ellen?

– Co mi zrobiłaś.

*

Joachim wybiera długi numer na klawiaturze staromodnego telefonu. Numer podał mu ambasador, zapewniając, że Helene czeka na rozmowę. Po drugiej stronie rozbrzmiewa sygnał, trwa to w nieskończoność, i nagle jest połączenie.

– Joachim? – dobiega go zdyszany głos po drugiej stronie.

– Helene?

Słyszy jej oddech. Tak daleko. I tak blisko.

– Helene – powtarza. Ma łzy w oczach.

– Płaczesz? – pyta Helene. – Czy może to wina kiepskiego połączenia?

Joachim śmieje się przez łzy.

– I jedno, i drugie – mówi. – Ale chyba głównie to pierwsze – dodaje. Chce jej wszystko wytłumaczyć, jednak nie bardzo wie, od czego zacząć.

Helene mówi, że policja przekazała jej już pewne wiadomości. Wie, że Kollisander był w odlewni. Przypomina sobie tę scenę jak przez mgłę. Pamięta walkę, pamięta też, jak dotarła na prom płynący na Bornholm. Coraz wyraźniej pamięta też ucieczkę z Silkeborga. Mówi, że nigdy nie chciała opuścić dzieci. Uciekła, bo potrzebowała trochę czasu dla siebie, żeby wszystko przemyśleć. Zastanowić się, jak odebrać dzieci Edmundowi i Caroline. Joachim słucha jej głosu, a ona opowiada dalej. Jakiś kierowca tira podrzucił ją do Kopenhagi, gdzie spotkała Louise, czy raczej to Louise ją znalazła. I zabrała do siebie. Helene nadal była w szoku. Nędzne życie, jakie Louise wiodła w dawnej odlewni, odpowiadało jej stanowi ducha. Helene była zdecydowana odebrać dzieci Edmundowi, tylko nie wiedziała, jak to zrobić. Bała się Edmunda, bała się Caroline, bała się tego, co oboje mogli zrobić. Jednak przede wszystkim chciała chronić dzieci. Wówczas była przecież przekonana, że są owocem kazirodczego związku.

– Wówczas? – podchwytuje Joachim.

– Zaraz do tego dojdę – mówi Helene i opowiada o swojej ucieczce, po tym jak Kollisander zabił Louise. Nie mogła pójść na policję, bo wtedy Edmund natychmiast by ją znalazł. Przeżywała koszmar. Kiedy zeszła z promu na Bornholmie, nie miała już na nic siły, była przekonana, że umrze. Straciła

przytomność i upadła. Kiedy odzyskała przytomność, jej mózg w końcu pozwolił jej na chwilę wytchnienia. Pozwolił zapomnieć o wszystkim, co było złe, by mogła żyć dalej.

Teraz przychodzi kolej na opowieść Joachima. Helene płacze, kiedy Joachim opowiada jej o obrazie namalowanym na skórze zdartej z pleców Louise. Przestaje płakać dopiero, gdy Joachim mówi jej o śmierci Kollisandera w płomieniach. Potem na linii zapada długie milczenie.

– Jesteś tam? – pyta Joachim.

– Tak.

– Gdzie jesteś?

– W komisariacie. Policjanci chcieli usłyszeć twoją historię.

– Nadal nas słuchają?

– Nie. Jesteśmy już sami – mówi Helene. – Ja też mam ci sporo do opowiedzenia – dodaje i zaczyna swoją opowieść.

Joachim stoi przed kawiarnią na Christiansø. Drzwi są zamknięte, światła pogaszone, szyby pokrywa gruba warstwa kurzu. Na chodniku stoją krzesła, ustawione jedno na drugim i opasane łańcuchem. Przed drzwiami leżą zeschnięte liście, szeleszczą na wietrze. Z sycylijskiego upału do duńskiej jesieni, myśli Joachim. Idzie do tylnego wejścia. Zapasowy klucz leży pod dużą doniczką z rozmarynem, tam gdzie zawsze. Joachim strzepuje z niego ziemię. Wkłada do zamka, przekręca. Wchodzi do środka. Na stolikach leżą obrusy, stoją pojemniki z solą i pieprzem. Na barze okrągłe tacki z kieliszkami. W każdej chwili można otwierać. Tylko kurz i martwe muchy na parapecie świadczą o tym, że lokal był zamknięty od dłuższego czasu. Joachim zatrzymuje się na chwilę, przypomina sobie dzień, w którym wszystko się zmieniło. Kiedy do środka wszedł Edmund i wywrócił całe ich życie do góry nogami. Teraz Edmund wrócił do pracy. Helene twierdzi, że praca go opętała. Mówiła też, że Edmund nie chce o niczym rozmawiać, że zamknął się w sobie. Na zewnątrz zachowuje pozorny spokój, nie komentuje faktu, że jego matka została aresztowana i oskarżona o zamordowanie amerykańskiego żołnierza, biologicznego ojca Edmunda. Caroline upierała się przy swojej wersji do momentu, kiedy nadeszły wyniki badań odcisków palców zdjętych z pistoletu. W normalnych warunkach ślady daktyloskopijne nie przetrwałyby w wodzie dłużej niż kilka miesięcy, najwyżej rok. Ale miejsce, gdzie Helene się wychowywała i dorastała, jest wyjątkowe. Tu woda niesie historię. Zachowuje ciała kobiet i mężczyzn złożonych w ofierze bogom przed wieloma tysiącami lat. Ubogi w tlen szlam zachowuje wszystko. Zachował też odciski palców Caroline, a dokładnie odciski trzech palców jej lewej ręki.

Caroline uwiodła Aksela, ojca Helene, by odzyskać to, co jej się zgodnie z prawem należało. Wiedziała, że na drodze sądowej jej się to nie uda. Uznała, że może to zrobić jedynie przez małżeństwo, ale Aksel bardzo uważał, kiedy się kochali, i nigdy nie zaszła w ciążę. Znalazła więc młodego amerykańskiego żołnierza poszukującego przygód w podróży po Danii i stwierdziła, że wykorzysta go do swojego celu. Miał ją zapłodnić, a ona miała przekonać Aksela, że to jego dziecko i w ten sposób zmusić go do małżeństwa. Pojawił się jednak problem, bo Henry zakochał się w Caroline i wcale nie miał zamiaru zniknąć. Poza tym był przekonany, że to jego dziecko. Szybko się zorientował, co Caroline planuje. Zagroził, że ją wyda. Był zdesperowany. Kochał ją. Ale Caroline nie zamierzała rezygnować ze swojej części spadku i pewnego sierpniowego wieczora zastrzeliła Henry'go jego własnym pistoletem. Oddała tylko jeden strzał. Niezbyt celny.

Henry wpadł do jeziora, walczył jeszcze dobrą minutę. Jego krew mieszała się z ciemną odwieczną wodą jeziora. Niestety ciało nie poszło na dno, unosiło się na powierzchni, więc w końcu Caroline przywiązała do nogi Henry'go kotwicę. Tak właśnie postąpiono w przypadku pierwszej ofiary, tyle że wówczas stało się to na polecenie Aksela. Nie czuła, że zabija ojca swojego dziecka. Podkreśliła to podczas przesłuchania. Dochodziła tego, co jej się należało i była gotowa pozbyć się każdego, kto stanąłby jej na drodze. Dlatego, zgodziła się opłacić sownie mężczyznę, który miał zabić Helene, w dniu, w którym odwiedziła Mariusa Flinta w gospodzie. Policja nadal szuka tego mężczyzny, ale jest przekonana, że znalezienie go to jedynie kwestia czasu. To jeden z ochroniarzy zatrudnionych przez firmę Söderbergów. Były skorumpowany policjant, któremu udało się niepostrzeżenie przejść do prywatnej firmy, jak to robi wielu byłych policjantów. Zostają doradcami do spraw bezpieczeństwa, strażnikami, prywatnymi detektywami. Akurat tego Edmund zatrudnił zaraz po zniknięciu Helene. Mężczyzna bardzo zbliżył się do rodziny, szczególnie do Caroline. Wynajęła go, wabiąc pieniędzmi. Co zresztą nie było trudne, bo niektórzy dla pieniędzy są gotowi zrobić wszystko. Dla pieniędzy. Dla sławy też, pomyślał Joachim.

Helene odwiedziła Caroline w więzieniu. Chociaż kobieta dopuściła się strasznych rzeczy – popełniła zbrodnię, zniszczyła życie jednemu synowi – to Helene jej współczuła. Współczuła też Edmundowi, który nie zamierzał już nigdy widzieć się z matką. Dla niego ta historia się skończyła. Nie zamierzał do niej wracać. Powiedział to Helene, kiedy pewnego dnia odwiedziła go w biurze. Podpisała dwadzieścia dwa pełnomocnictwa dające mu pełną kontrolę nad firmą. Nie miała żadnych oporów, żeby to zrobić. Chciała być wolna, odzyskać dzieci i zabrać je jak najdalej od chorej walki o pieniądze i władzę. Tak tłumaczyła to potem Joachimowi. Powiedziała mu też, że kiedy Edmund dowiedział się, że dzieci nie są owocem kazirodczego związku, wcale nie poczuł ulgi, nie był też poruszony faktem, że jego matka zabiła jego ojca. Interesowała go tylko firma, jej rozwój. Zamierzał kupić holenderską stocznnię i tym samym stworzyć największą spółkę na rynku. Latał na spotkania prywatnym odrzutowcem, nagle znalazł się w samym centrum światowego ośrodka władzy, spotykał się z ministrami, przywódcami państw.

Joachim czuje ukłucie zazdrości. Edmund jest kimś, z kim on nawet nie może się mierzyć. Nie ma stałej pracy, jest w stanie skupić się na pisaniu jedynie przez kilka godzin dziennie. Traci czas na rzeczy nieistotne. Czy pewnego dnia Helene się nim znudzi? Może zatęskni za adrenaliną, którą daje władza?

– Przestań – szepcze sam do siebie. Idzie po walizkę i torbę z zakupami, które zostawił przed drzwiami kawiarni. Szybko przechodzi przez kuchnię, wychodzi tylnymi drzwiami na podwórze i idzie schodami do mieszkania na górze. Tutaj wszystko pozostało nietknięte. Otwiera lodówkę, w środku znajduje samotny

słoik z kaparami. Lina musiała opróżnić lodówkę przed wyjazdem z wyspy. Joachim zapełnia półki. Nie miał pojęcia, co kupić. Brał więc produkty, które, jak sądził, lubią dzieci. Słodycze, mnóstwo słodyczy. Płatki czekolady do chleba, trzy rodzaje dżemów, syrop z truskawek. Helene pewnie nie będzie zadowolona. Joachim robi rundę po mieszkaniu, jakby chciał się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu. Salon. Zatrzymuje się na progu, wchodzi do środka, siada nieco skrepowany na miękkiej kanapie. Nie spodziewał się, że widok kanapy dostarczy mu tyle radości. Czuje podniecenie, gdzieś głęboko w żołądku. Dotyka ostrożnie uda. Blizna po poparzeniu sprawia, że noga nadal jest trochę sztywna, trudno mu się schylać. Ale i to wkrótce minie. Walczył o powrót do zdrowia jak wracający z wojny żołnierz walczy o miłość. Jak Odyseusz. Joachim uśmiecha się do siebie. Wciąż nie wygląda najlepiej. Ma nadzieję, że dzieci się go nie przestraszą. Helene ostrzegła go, że jeszcze nie doszły do siebie. Ich ran nie widać, ale one są. Wszystko jednak się ułoży, mają czas. Muszą go poznać, a on ich. On i Helene też muszą poznać się na nowo. Joachim wie, że się zmienił. Natomiast Helene doświadczyła rzeczy, które musiały zostawić ślady. Zauważył to już w trakcie ich rozmów telefonicznych. Poza tym zmieniła się zewnętrznie. Ma nową fryzurę, ufarbowała włosy. Śmiała się, opowiadając mu o scenie na kempingu. O tym, jak farbowała włosy w sedesie. Joachimowi czasem trudno uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Plecak leży nadal na podłodze, w miejscu, gdzie go zostawił, kiedy znalazł podkładkę pod szklankę z zapisanym numerem telefonu. Louise. Tajemnicza kobieta. Joachim bierze do ręki plecak, stoi z nim chwilę. Postanawia opisać historię Louise. Tylko czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie pisać? Helene poświęciła wszystko – pieniądze, firmę – żeby mogli być razem, żyć razem. Może on powinien poświęcić dla niej swoje pisanie. Nie tyle dla niej, ile dla ich wspólnego życia. Ale czuje, że znów może pisać. Bo przecież wcześniej potrafił. Tak czy inaczej, musi spakować swój gabinet, który teraz ma być pokojem Christiana. Chłopiec urządzi go sam, po swojemu. Sam wybierze kolor ścian, jeśli oczywiście będzie chciał. Wszystko się ułoży. Sofie będzie spała w ich pokoju, przynajmniej na początek. Co będzie dalej, okaże się później.

Joachim patrzy na morze, które ciągnie się po horyzont. Mruży oczy. Chmury płyną obok siebie. Nagle się rozsuwają, obnażając niebo. Promień słońca oślepia Joachima. Po chwili, kiedy słońce znów znika za chmurą, Joachim dostrzega na wodzie małą plamkę. Prom. Zbliża się.

*

Stary prom przedziera się z mozołem przez fale, walcząc z wiatrem. Helene przyciąga do siebie Sofie, czuje ciepło jej ciała. Przed oczami nadal ma scenę powrotu dzieci w towarzystwie Katinki. Czekala na nie w hali przylotów. Katinka

była naburmuszona jak zwykle. Taką ją zapamiętała z ich krótkich spotkań w stajni. Nie potrafi zrozumieć, jak Edmund i Caroline mogli powierzyć jej dzieci. Fakt, żadne z nich, włącznie z nią, nie mogło w tamtym momencie być z nimi. Zrozumiała to wtedy na lotnisku, a teraz na promie wraca do tego. Nigdy więcej, powtarza sobie w duchu. Początkowo Sofie nie chciała puścić ręki Katinki. W końcu dziewczyna wyszeptała jej coś do ucha i pchnęła lekko w stronę matki. Sofie podeszła do Helene, pozwoliła nawet, żeby matka ją objęła. Powoli zaczęła się odprężać. Jest jeszcze mała, mniej to przeżywa. Gorzej z Christianem. Zatrzymał się trzy kroki od niej, stał z rękami w kieszeniach, z ponurą miną. Poszedł z nią do samochodu, ale nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Nie pozwolił jej się do siebie zbliżyć. Nadal trzyma się nieco z daleka, patrzy na morze. Jego dorosłe spojrzenie mówi wyraźnie, że doświadczył zbyt wiele jak na swój młody wiek. Helene przygląda mu się zatroskana, widzi jego czerwone policzki, wiatr targa jego włosy. Pociesza się, że z czasem będzie lepiej. Muszą znaleźć własny rytm. Dzieci czeka nowa szkoła. Podczas ferii i w niektóre weekendy będą spotykać się z ojcem. Dwadzieścia dwa pełnomocnictwa w zamian za dzieci. Helene nie zastanawiała się nawet sekundy.

Opiera się plecami o reling. Bierze głęboki wdech. Odwraca się, mruży oczy. Christiansø. Nigdy nie miała dosyć widoku wyrastających z wody skał. Oaza na pustyni wody. Tam jest jej dom. Tam czeka na nią on. Mają sobie dużo do opowiedzenia. Helene nie wie, co jeszcze z czasem sobie przypomni. Przyzwyczała się, że nagle wraca jakaś scena, jakiś wątek. Małe kawałki układanki, której być może nigdy nie uda się jej ułożyć. Ale to nie ma już znaczenia. Najważniejsze rzeczy wie. Wie, kim jest. Kim chce być. Wie, że jej przyszłość jest tutaj. W kawiarni, w mieszkaniu na Christiansø. To jest jej miejsce, tu są ludzie, którzy potrafią wydobyć z niej to, co w niej najlepsze. Ludzie, którzy ją kochają, a ona kocha ich. Dziwne, że życie, które wiodła, kiedy nic nie pamiętała, nagle okazało się tym prawdziwym. Tym, do którego tęskniła i do którego postanowiła wrócić. To tu chce być razem z Joachimem i dziećmi. Wie, że Joachim też tego chce. Nawet zaproponował, żeby przerobić jego gabinet na pokój dla Christiana.

– Na pokój Christiana na Christiansø – powiedział, a ona się uśmiechnęła.

– A gdzie będziesz pisać? – spytała zdziwiona.

– To nie ma znaczenia – powiedział i się roześmiał. – Coś wymyślimy.

Tak brzmiała jego odpowiedź na wszystkie jej zmartwienia. „Coś wymyślimy”. Była w nim jakaś lekkość. Nie знаła go od tej strony, ale to ta lekkość sprawiła, że zaczęła głębiej oddychać, że się odprężyła. Teraz Joachim czeka na nią na wyspie, która w tym momencie wyłania się z morza. Nabiera kształtu. Dachy domów, skały. Helene prostuje się, wskazuje ręką na kawiarnię, port. Nagle coś sobie uświadamia.

Zawsze, kiedy budziła się rano i patrzyła na morze, spodziewała się, że pewnego dnia właśnie od strony morza pojawi się ktoś, kto wszystko zmieni. Teraz zrozumiała, że tym kimś jest ona sama. To na siebie czekała.



ANNA EKBERG

**TAJEMNICZA
KOBIEȦ**

Świat Książki

